

BEVERLY  
BARTON

Piąta ofiara

Tytuł oryginalny:  
*The Fifth Victim*

## Prolog

Ciemność. Chłód. Cisza przed świtem. Wiatr smagający korony wysokich, starych leśnych drzew. Nad Scotsman's Bluff wkrótce wszędzie słońce. Miał zaatakować w chwili, kiedy na ołtarz spłynie poranne światło. Kiedy dopełni dzieła i poświęci pierwszą ofiarę, rytuał zacznie się od nowa. Jak tylko posmakuje słodkiej, życiodajnej krwi, przestanie odczuwać zimno. Jej krew go ogrzeje, da mu siłę i przygotuje do kolejnych ceremonii, które doprowadzą do najważniejszej przemiany w jego życiu. Przez te wszystkie lata pilnie poszukiwał doskonałości, największej mocy, nieustannie czerpiąc siły ze zwykłych śmiertelników.

Zmierzył wzrokiem nagie ciało dziewczyny, przywiązanej do drewnianego ołtarza. Długie, jasne włosy owiewały jej anielską twarz, a lodowaty wiatr pieścił ponętne ciało. Jej powieki drgnęły. To dobrze. To znaczy, że środek, który jej podał, przestawał działać i do ceremonii zdąży się wybudzić. Uwielbiał obserwować przerażenie i strach na ich twarzach, kiedy pojmowały, co się z nimi stanie.

Uśmiechnął się, zrzucając ciemną pelerynę. Nie ma pośpiechu. Po wszystkim będzie miał czas, żeby rozkoszować się ofiarą tak długo, jak tylko będzie chciał. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zapłacze się do lasu o świcie w styczniu. Oprócz niego i dziewczyny.

Położył misternie rzeźbiony drewniany futerał na jej drżącym ciele, otworzył go i wyjął ciężki miecz, a futerał odłożył na ziemię. Czekał, wpatrując się w niebo.

Jęknęła, ale knebel w ustach nie pozwolił jej na nic więcej. Spojrzał na nią, przesunął dłonią po jej nagich piersiach i uniósł miecz ku niebu.

Nad Scotsman's Bluff rozciągała się blad różowa zorza, ledwie widoczna na ciemnym niebie.

- Zaraz, moja owieczko. Zaraz.

Słońce witało nadejście nowego dnia, oświetlając coraz większy fragment nieba. Zerwał knebel z ust dziewczyny. Krzyknęła. Trzymając miecz nad głową, wypowiedział święte słowa w starożytnym języku.

- Z głębi piekieł wysłuchaj mnie i wejrzyj na mój czyn. Niech ta ofiara będzie ci miła. Składam ci ją, byś zaspokoił pragnienie i spełnił mą wolę.

Zaczął opuszczać miecz niżej i niżej. Rozplątał ją od szyi do pępka. Jej martwe oczy patrzyły w górę, na korony drzew.

Wytań ostrze miękką szmatką i odłożył miecz na miejsce, a poplamiony krwią materiał wsadził do plastikowego worka i wrzucił do futerału. Kiedy pochylił głowę, żeby dotknąć wargami otwartej rany, krew była jeszcze ciepła. Lizał, ssał i połykał krew, chłonąc siłę witalną ofiary, nim się ulotni.

Genevieve Madoc obudziła się nagle, zrana potem, w wilgotnej flanelowej koszuli. Jej serce łomotało w niebezpiecznie szybkim rytmie. Poderwała się i usiadła na łóżku.

- O Boże! O Boże! - jęknęła, przypominając sobie sen - mroczną, przerażającą wizję śmierci.

Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Nie znosiła tych chwil następujących tuż po wizji. Była wtedy osłabiona i bezbronna, niezdolna do najmniejszego ruchu. Opadła na łóżko, zanurzając głowę w pościeli. Kiedy odzyska dość sił, żeby sięgnąć po telefon stojący na nocnej szafce, zadzwonił po pomoc do Jazzy. A na razie będzie leżeć i czekać. I modlić się, żeby obrazy nie wróciły. Wizje nawiedzały ją we śnie, ale równie często doświadczała ich na jawie.

Drudwyn podniósł się z ręcznie tkanego dywanu przed kominkiem i pocziwymi oczami poszukał w ciemności swojej pani. Zawył zaniepokojony.

- Nic mi nie będzie - uspokoiła go łagodnym szeptem i zaczęła przemawiać do niego w myślach, telepatycznie zapewniając, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Wielki mieszaniec zatoczył się, uderzył bokiem o łóżko, po czym z łoskotem opadł na drewnianą podłogę. Wyczuła jego nastrój i zorientowała się, że zadziałał u niego instynkt obronny. Pies, którego wychowała od szczeniaka, uważał się za jej obrońcę. Powstał z krzyżówki wilka z mieszańcem owczarka niemieckiego i labradora i dzięki temu był wyjątkowy. Podobnie jak ona. Wprawdzie szkocko-irlandzkie, angielskie i indiańskie korzenie nie należały w tych regionach do rzadkości, ale dar jasnowidzenia, który odziedziczyła po babce, na pewno był niezwykły.

Leżała w łóżku, czekając, aż odzyska siły, ale nie mogła przestać myśleć o wizji. Gdzieś została zamordowana młoda kobieta. Genny była tego tak pewna, jak własnego nazwiska. Nie widziała twarzy dziewczyny, jedynie jej nieskazitelne nagie ciało i ogromny miecz, który rozciął ją na pół jak dojrzały melon. Poczula w żołądku gorycz, która podeszła jej do gardła i paliła w przełyku.

Nie, tylko nie to. Tylko nie mdłości. Nie teraz. Nie mam siły, żeby wyczołgać się z łóżka. Starła się zapanować nad żołądkiem.

Kto mógł popełnić tak ohydny zbrodnie? Jakim trzeba być potworem, żeby składać ofiarę z człowieka?

Jej kuzyn Jacob wspominał, że w okolicy ktoś złożył kilka rytualnych ofiar ze zwierząt - cztery od Święta Dziękczynienia. Czyżby były tylko wstępem do zabicia człowieka?

Najpierw zadzwoni do Jazzy, a potem do Jacoba. Nie zdąży już pomóc tej kobiecie, ale jako szeryf okręgu będzie musiał przeprowadzić śledztwo w sprawie morderstwa.

I co mu powiesz? - spytała samą siebie. Zrozumie, jeżeli wytłumaczysz mu, że miałaś kolejną wizję, tyle że tym razem o wiele okrutniejszą niż wszystkie poprzednie. Płynie w nas ta sama krew. Nie zlekceważy tego, nie powie, że to tylko koszmarny sen.

Piętnaście minut później zdołała przesunąć się na brzeg łóżka. Podniosła słuchawkę i wybrała numer Jazzy. Dopiero po pięciu sygnałach usłyszała zaspány głos.

- Do cholery, kto wydzwania o tak nieludzkiej porze?
- Jazzy?
- Genny, to ty?
- Tak. Proszę...
- Już jadę. Nie ruszaj się.
- Dziękuję.

Kiedy Jazzy się rozłączyła, Genny wybrała numer Jacoba. Odebrał po drugim sygnale. Jej kuzyn był rannym ptaszkiem, tak jak ona, i o tej godzinie pewnie robił sobie śniadanie.

- Butler, słucham - odezwał się niskim, głębokim barytonem.

- Jacob, tu Genny. Proszę, przyjedź do mnie... zaraz.
- Co się stało?
- Miałam sen... wizję.
- Dobrze się czujesz?
- Nie, ale zaraz mi przejdzie. Zadzwoniłam do Jazzy. Przyjedzie niedługo. Ale muszę ci powiedzieć... - Nagle straciła głos.

- Co powiedzieć?
- Ktoś został zamordowany. - Odkaslnęła. - Młoda kobieta. Ciało znajdziesz w Cedar Tree Forest, niedaleko stąd.

Widziałam... oczami zabójcy... widziałam... - Wzięła głęboki oddech. - Podziwiał wschód słońca nad Scotsman's Bluff.

- Jesteś pewna, Genny? Na pewno nie był to zwykły koszmar?

- Na pewno. Już za późno, żeby ją uratować, ale trzeba odszukać ciało, a może przy okazji znajdą się wskazówki dotyczące mordercy. Musisz szybko tam dotrzeć. Chyba będę w stanie zaprowadzić cię dokładnie w to miejsce.

- Cholera... - wymruczał pod nosem Jacob.

- Jacob?

- Tak?

- Przywiązał ją do czegoś w rodzaju ołtarza i złożył w ofierze. Chyba... chyba wypił jej krew.

- Sukinsyn!

## Rozdział 1

Agentka specjalna FBI Teri Nash spojrzała na faks, który trzymała w dłoni. List i zdjęcie. Czekając, aż Dallas wyjdzie spod prysznic i się ogoli, siedziała przy jego zagraconym biurku w rogu salonu. Faks przyszedł, kiedy relaksowała się przy dżynie z tonikiem. Nie spotykali się już od kilku lat, poza tym była związana z agentem FBI, specjalistą od profili, ale wciąż traktowała Dallasa jak dobrego przyjaciela. Od ośmiu miesięcy - od śmierci jego siostrzenicy - starała się mieć dawnego kochanka na oku. Chociaż do brutalnego morderstwa Brooke podchodził jak do wszystkiego innego - bez emocji i z żelaznym opanowaniem, pod niewzruszoną maską dostrzegła ból. Po pogrzebie wrócił do głównej siedziby FBI w Waszyngtonie i na

własną rękę zaczął poszukiwać wszelkich informacji, które mogłyby doprowadzić go do zabójcy siostrzenicy. To, że wykorzystywał bogate zaplecze instytucji do celów prywatnych, stało się kością niezgody pomiędzy nim a zastępcą dyrektora wydziału kryminalnego. Dallas i Tom Rutherford nie lubili się, jednak Tom pozwalał Dallasowi na wiele. Teri zastanawiała się, jak długo to potrwa.

Przeczytała faks po raz trzeci. Była to odpowiedź na list, który Dallas rozesłał do funkcjonariuszy organów porządku publicznego w całym kraju. W ciągu kilku ostatnich miesięcy była to siódma tego rodzaju informacja, ale Teri miała nieodparte wrażenie, że to właśnie na tę Dallas czekał od czasu zabójstwa Brooke. Teri nie chciała więcej patrzeć na zdjęcie z faksu. Jedno spojrzenie w zupełności jej wystarczyło. Widoku młodej blondynki z rozplątanym ciałem nie da się szybko zapomnieć. Wzdrygnęła się.

Szeryf hrabstwa Cherokee w Tennessee informował o zabójstwie, najwyraźniej rytualnym, do którego wczesnym rankiem doszło w jego okręgu. Szczegóły dotyczące śmierci kobiety właściwie nie różniły się od tych związanych z przerażającym zabójstwem Brooke w Mobile w Alabamie, w maju zeszłego roku.

Teri po raz kolejny przejrzała informacje, pokręciła głową i westchnęła. Wiedziała, że Dallas zniknie, jak tylko zobaczy faks. Chciała go chronić i w głębi duszy miała ochotę wyrzucić faks do śmieci i zachowywać się, jakby nigdy nic. Ich związek był wprawdzie krótki i zakończył się trzy lata temu, jednak Dallas nie był jej obojętny. Biedak wiele przeszedł, a przez kilka ostatnich miesięcy wiele razy zabrnął w ślepą uliczkę. Nie chciała patrzeć, jak znów wyrusza w nieznaną, w kolejną pogoń za nieuchwytnym seryjnym zabójcą. Zakładając oczywiście, że teoria Dallasa była prawdziwa i ten okrutny seryjny zabójca

faktycznie istniał. Teri nie była pewna, ile wolnych dni zostało Dallasowi. Ani jak długo jeszcze Rutherford będzie tolerował jego nieobecności.

Dallas Sloan wyłonił się z łazienki przylegającej do małej sypialni w trzypokojowym mieszkaniu. Teri wzięła głęboki oddech. Cholera, na widok tego faceta ciągle zapierało jej dech. Jego ciemnoblond włosy były mokre po kąpieli. Miał na sobie tylko białe slipki i prezentował zgrabne ciało w całej okazałości. Nogi i ręce pokrywało brązowe owłosienie, które na środku muskularnego torsu układało się w kształt litery V. Teri z trudem oderwała wzrok od jego ciała i spojrzała mu w twarz. Uśmiechnął się do niej szeroko. Szelmowsko.

- Tylko podziwiam widok - powiedziała. - Nic nie chcę.

- Co tam masz w ręce? - spytał, spoglądając na faks.

- To? - Uniosła dwie kartki niczym trofeum. - Faks.

- Skarbie, rozumiem, że mnie popędasz, ale nie rozumiem, dlaczego czytasz moją korespondencję. - Przeszukał zawartość szafy, wyciągnął parę znoszonych dżinsów, włożył je, a z komody wyjął kremowy wełniany sweter i wsunął go przez głowę. - Od kogo ten faks?

- Od szeryfa Jacoba Butlera z hrabstwa Cherokee w Tennessee. - Podeszła do łóżka, na którym siedział Dallas i wkładał skarpetki.

Wsunął stopy w buty, zawiązał sznurówki i spojrzał na Teri.

- Chodzi o...

- W jego okręgu doszło do morderstwa, jak się zdaje, rytualnego. - Teri wyciągnęła dłoń z faksem. - Dzisiaj rano.

Dallas wyrwał jej kartki z ręki, rzucił na nie okiem i zaklął pod nosem.

- Muszę do niego zadzwonić... natychmiast. - Wstał. - Słuchaj, skarbie, lepiej na mnie nie czekaj, wracaj do pracy.



Jeżeli sytuacja jest taka, na jaką wygląda, dziś wieczorem polecę do Tennessee.

- Na pewno znów chcesz próbować? - Teri chwyciła go za rękę. - Jak dotąd wszystkie informacje, jakie otrzymałeś, okazały się...

- Teraz jest inaczej. Już na pierwszy rzut oka widać podobieństwa do zabójstwa Brooke.

- No i co z tego? Przecież zebrałeś już niemało informacji o rytualnych morderstwach i wygląda na to, że kobiety nie miały ze sobą nic wspólnego poza tym, że wszystkie zostały złożone w ofierze.

- Jakiś związek istnieje na pewno - oznajmił Dallas. - Tylko na razie go nie widzimy. Linc dopiero w zeszłym tygodniu zaczął przygotowywać dla mnie profil, w dodatku robi to po godzinach, żeby Rutherford się nie wtrącał, więc trochę to potrwa.

- Został ci jeszcze jakiś urlop albo chorobowe? - Doskonale wiedziała, że nie ma sensu sprzeczać się z mężczyzną, którego nie przekona.

- Trzy dni.

- A co będzie, jeżeli się okaże, że to zabójstwo, na które czekałeś? Nowy fragment układanki?

- Wezmę urlop bezpłatny.

- Tak przypuszczałam.

- Mogę liczyć na ciebie i Linca, prawda?

- Nieoficjalnie.

Dallas pocałował ją. Bez namiętności, ze zwykłej wdzięczności.

- Nie musisz na mnie czekać. Idź już. Zadzwoń do ciebie na komórkę, jeżeli będę dziś wylatywał.

- Mam nadzieję, że w końcu trafiłeś na właściwy trop. - Teri pogłaskała go po policzku.

Nie kwapił się, żeby odprowadzić ją do drzwi, więc wyszła sama, przystając w progu. Westchnęła. Już zdażył o niej zapomnieć. Wziął telefon i wybrał numer kierunkowy, a potem numer biura szeryfa.

- Mówi agent specjalny Dallas Sloan z Federalnego Biura Śledczego. Chciałbym rozmawiać z szeryfem Butlerem.

Teri zamknęła drzwi, minęła korytarz i zeszła po schodach na parter. Nie masz tu czego szukać, powiedziała sobie. Nie ma sensu łudzić się, że Dallas zmieni zdanie i zechce się z nią związać na stałe. Musi wyzbyć się ostatnich okrucich nadziei, bo inaczej związek z Lincem nigdy nie stanie się tym, czym powinien.

- Spadnie śnieg. Czuję to w kościach - oznajmiła Sally Talbot, dokładając kolejne polano do pękatego kominka z kutego żelaza.

- W telewizji zapowiadali deszcz ze śniegiem i deszcz - sprostowała Ludie Smith. - Komu mam wierzyć? Twoim starym kościom czy wykształconemu człowiekowi, który wie wszystko o cumulusach, punkcie rosy i wskaźnikach ciepła?

- Słowo daję, Ludie, odkąd jesienią zrobiłaś te kursy dla dorosłych, bez przerwy się wymądrzasz.

- Ja się wymądrzam? - Ludie gniewnie spojrzała na Sally pełnymi wyrazu dużymi, czarnymi oczami. - A ty zadzierasz nosa jak bogaczka, odkąd Jazzy dobudowała do twojej szopy to białe skrzydło.

- Chcesz powiedzieć, że mój dom to szopa? A twój to niby co? Pałac?

- Domek - odpowiedziała Ludie. - Po prostu. Domek. Ładny mały domek, jakich wiele w kalendarzach i filmach o angielskiej wsi sprzed II wojny światowej.

- A co stara indiańska kobiecina ze wzgórz Tennessee może wiedzieć o angielskiej wsi? Poza tym, ten twój dom to żaden domek, tylko wynajęta czteropokojowa, drewniana szopa, taka sama jak moja.

- No cóż, pani wszechwiedząca, o angielskiej wsi wiem tyle samo, co ty. A kim ty jesteś? Zwykłą stukniętą starą białą krową ze wzgórz Tennessee.

Jazzy Talbot stanęła w drzwiach oddzielających kuchnię ciotki Sally od salonu, która jak zawsze, odkąd tylko Jazzy sięgała pamięcią, kłóciła się zawzięcie ze swoją przyjaciółką Ludie. Ktoś obcy, słuchając dwóch staruszek, dałby głowę, że się nienawidzą, chociaż w rzeczywistości było dokładnie na odwrót. Ludie i Sally przyjaźniły się przez całe życie, ale żadna nigdy nie przyznałaby, jak bardzo kocha drugą. Można było odnieść wrażenie, że ich ulubioną formą rozrywki jest sprzecanie się na wszelkie możliwe tematy - od pogody po sposób gotowania jarmużu.

Jazzy odkaszlęła. Obie kobiety w jednej chwili umilkły i odwróciły się do niej. Sally była koścista, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, burzę krótkich białych włosów i błękitne oczy w odcieniu lodu. Ludie, dla odmiany, miała czarne oczy i stalowosrebrne włosy, mierzyła zaledwie metr pięćdziesiąt i była okrągła jak pączek. Jazzy nie miała pojęcia, ile mogą mieć lat, ale domyślała się, że obie skończyły siedemdziesiąt.

- Kiedy przyjechałaś? - spytała Sally, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Dopiero co. Nie słyszałaś dżipa?

- Była pochłonięta trajkotaniem - powiedziała Ludie. - Myśli, że spadnie śnieg, ale w telewizji wyraźnie mówili, że...

- Będzie padał deszcz ze śniegiem, potem pojawi się lód, a potem śnieg - powiedziała Jazzy.

Kobiety spojrzały na nią wielkimi oczami, marszcząc brwi.

- Skąd... Widziałaś się dzisiaj z Genny, co? - Sally wzięła następny kawałek drewna i wsadziła go do pieca. Zatrzasnęła drzwiczki kominka i wytarła dłonie w wyblakłe dżinsy.

- Genny powiedziała, że będzie padał śnieg? - spytała Ludie. Jazzy skinęła głową.

- Słyszałam, jak mówiła do Jacoba, żeby lepiej od razu pojechali na miejsce zbrodni, bo wieczorem będzie brzydka pogoda. Podobno zrobi się naprawdę paskudnie.

- No to lepiej się przygotujmy - oznajmiła Sally. - Ta dziewczyna zawsze wie, jaka będzie pogoda. Jest taka sam jak jej babka. Melva Mae też miała dar.

- Straszny los spotkał tę biedną Susie Richards. - Ludie pokręciła głową. - Kto mógł zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi? W dodatku siedemnastoletniej dziewczynie?

- Po co pojechałaś do Genny? - spytała Sally. - Znów miała zwidy?

Jazzy pokiwała głową.

- Widziała morderstwo tej Richards. Ale lepiej nikomu o tym nie opowiadajcie.

- Niech Bóg bron! - Ludie uderzyła się w piersi.

- Zadzwoń do Jacoba i powiedz mu, gdzie znajdzie ciało Susie. Jacob ma teraz na głowie sprawę morderstwa i przerażonych mieszkańców całego okręgu.

- Jacob nie da rady zbadać miejsca zbrodni, bo nie ma ani ludzi, ani sprzętu. - Sally ruszyła w stronę kuchni. - Zostajesz na kolacji, czy wracasz do siebie, zanim pogoda nam się popsuje?

- Chyba pojedę do domu - odpowiedziała Jazzy. - Wpadłam tylko, żeby zobaczyć czy niczego wam nie potrzeba. Mieszkacie daleko od miasta, jeżeli pod śniegiem zrobi się lód, pewnie przez kilka dni nie będziecie mogły pojechać do Cherokee Pointe.

- Ja wszystko mam, niczego nie potrzebuje! - krzyknęła Sally z kuchni. - Napijesz się kawy, zanim pojedziesz?

- Poproszę o kawę i kawałek tego ciasta z kremem, które widziałam na blacie. - Jazzy puściła oko do Ludie, doskonale wiedząc, że to ona upiekła i przyniosła ciasto. Sally nigdy nie była dobrą kucharką. Gdyby nie Ludie, Jazzy pewnie wyrosłaby na chlebie kukurydzianym, smażonych ziemniakach oraz sezonowych warzywach. Ludie miała prawdziwy talent kulinarny i gotowała w restauracji Jazzy w mieście. W zeszłym roku zrezygnowała z pełnego etatu i zaczęła pracować tylko kilka dni w tygodniu.

Kiedy Jazzy i Ludie weszły do kuchni, Sally zdążyła już pokroić ciasto i położyć na stole trzy talerzyki i widelce. Zdjęła z pieca stary metalowy czajnik do kawy i nalała czarnego parującego płynu do glinianych kubków z różnych kompletów.

Usiadły przy nakrytym żółtą ceratą stole i Sally i Ludie nagle zamilkły. Jazzy odniosła dziwne wrażenie, że coś jest nie tak. I że nie ma to związku z wczorajszym morderstwem w hrabstwie Cherokee.

- Jak tam interes? - spytała Sally.

- Jak to w styczniu - odpowiedziała Jazzy. - Domki wynajmuje garstka turystów, a do restauracji po drodze do Pigeon Forge i Gatlinburga zagląda niewielu więcej.

- Wiosną się poprawi - odezwała się Ludie. - Jak zawsze.

- Dla mnie mogłaby już być wiosna. - Sally napiła się kawy.

- Dla mnie też. - Ludie westchnęła. - Nie ma to jak śpiew ptaków i kwitnące jaskry, i tulipany.

Jazzy dostrzegła, że ciotka i Ludie wymieniają wymowne spojrzenia.

- Dobra, co jest grane?

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Sally spojrzała w górę, na sufit z płyty pilśniowej.

- Może lepiej jej powiedz - stwierdziła Ludie. - Dziwne, że jeszcze nie słyszała.

- O czym nie słyszałam? - Jazzy poczuła, że ściska ją w dole brzucha.

- On wrócił, ale to wcale nie znaczy, że musisz mieć z nim coś wspólnego. - Sally posłała Jazzy ostrzegawcze spojrzenie. - Jak zacznie się koło ciebie kręcić, poślij go do diabła. Jeżeli masz trochę oleju w głowie, to tak właśnie zrobisz. Ten chłopak to nic dobrego. Od samego początku.

- O kim ty mówisz... O Boże! Chyba nie chcesz powiedzieć, że...

- Usłyszałam o tym rano w mieście, zanim rozniosła się wiadomość o tej Richards - wyjaśniła Ludie. - Jamie Upton zjawił się na farmie dwa dni temu, a dziadek kazał zabić tuczne cielę, żeby uczcić powrót marnotrawnego wnuka.

- Powiedz jej wszystko - odezwała się Sally.

- Przywiózł ze sobą kobietę. - Ludie spuściła głowę, unikając wzroku Jazzy.

- Żonę? - spytała Jazzy.

- Narzeczoną - odpowiedziała Ludie.

- Był już zaręczony, i co z tego? - odezwała się Jazzy. - Wiesz, jaki jest Jamie.

- Wiem, że nie jest wart złamanego grosza. - Sally dopiła kawę, a potem wstała i naląła sobie drugi kubek.

Jazzy bawiła się kawałkiem ciasta. Uwielbiała wypieki Ludie, ale wiedziała, że teraz deser będzie miał smak tektury. Nie była już zakochana w Jamiem. Właściwie nie była pewna, czy kiedykolwiek go kochała. Ale pragnęła go. Boże, jakże go pragnęła. Był jej pierwszym chłopakiem, dawno temu, kiedy była młoda i na tyle naiwna, żeby wyobrażać sobie, że jedyny

wnuk Wielkiego Jima Uptona ożeni się z kimś takim jak ona - biednym bękartem wychowanym przez zdziwaczalą starą kobietę, którą połowa miasteczka miała za szaloną.

- Chyba lepiej pojedę do miasta. - Jazzy wstała. - Podwieźć cię do domu, Ludie?

- No coś ty. Przecież mieszkam niecałe pół kilometra stąd.

- Ale grasuje zabójca...

- W kieszeni płaszcza mam pistolet, jak zwykle - oznajmiła Ludie. - Wiesz, że bez niego się nie ruszam.

Ludie nosiła starego smith & wessona, który wcześniej należał do jej ojca, a Sally nie ruszała się bez strzelby. Większość ludzi uważała je za stare wariatki.

- Zamknij drzwi na klucz - zwróciła się Jazzy do ciotki, a potem uściskała Ludie.

- Oczywiście - zapewniła ją Sally. - Mam dubeltówkę, a zanim zrobi się ciemno, przyprawdę Petera i Paula. Zawsze tak robię zimą. Psy nie pozwolą, żeby coś mi się stało.

Pięć minut później Jazzy jechała dżipem w stronę Cherokee Pointe, przywołując wspomnienia związane z Jamiem Uptonem. Jego uśmiech. I śmiech. Sposób w jaki mówił do niej „kochanie”. Drobnie prezenty, które dawał jej, odkąd skończyła szesnaście lat i oddała mu swoje dziewictwo. Drogie świece. Ale przecież to nie była zapłata za świadczone usługi. Co najmniej sto razy powiedział, że ją kocha. Wyjeżdżał z miasta na długie miesiące, czasem lata, a potem wracał do domu, spodziewając się, że przywita go z otwartymi ramionami. Właściwie należałoby powiedzieć - z rozchylonymi nogami. Dlaczego kiedy się zjawiał, nie była w stanie mu się oprzeć?

Dlatego, idiotko, że za każdym razem, kiedy znów pojawia się w twoim życiu, dajesz się nabrać, że cię kocha, pragnie i że czeka was wspólna przyszłość. Raz czy dwa przywiózł ze sobą

narzeczoną, a mimo to przychodził do Jazzy dla seksu. Jak mogła być taką skończoną idiotką?

No, ale tym razem pan Jamie Upton będzie musiał poszukać sobie innej dziwki. Bo tak się przez niego czuła - jak dziwka, za którą zresztą ją uważano.

Za następnym zakrętem drogi okrężowe się przecinały. Jazzy zatrzymała się na skrzyżowaniu i spojrzała w lewo, na łukowatą bramę i długi podjazd prowadzący na największą farmę w hrabstwie Cherokee - farmę Uptonów.

Kilometry prywatny podjazd wiódł do typowej południowej posiadłości, wzorowanej na starych domach sprzed wojny secesyjnej. Została wybudowana ponad sto lat temu przez babkę Wielkiego Jima Uptona, która była masonką z Wirginii.

Dawno, dawno temu Jazzy marzyła, że wyjdzie za Jamiego i zamieszka w tym wielkim białym domu, pełnym służących, przybiegających na każde zawołanie. Przez całe życie chciała mieć więcej i potrzebowała czegoś więcej niż cztery ściany i dach. W głębi duszy pragnęła być damą, a to było dla niej równoznaczne z bogactwem.

Opanowała wzruszenie, które chwyciło ją za gardło, roześmiała się, a potem wcisnęła gaz i przemknęła przez skrzyżowanie. Może tym razem Jamie się u niej nie zjawi. A nawet gdyby, może tym razem ona znajdzie w sobie siłę, by odprawić go z kwitkiem.

Jacob Butler zapiął brązową skórzaną kurtkę, włożył na głowę brązowego stetsona i wyszedł z biura. Nie miał w ustach nic od siódmej rano, kiedy po drodze nad Scotsman's Bluff pochłoniął kanapkę z jajecznicą. To był długi, męczący dzień. Był to pierwszy przypadek morderstwa, odkąd został wybrany na szeryfa.



- Dzwonił ten facet z FBI! - krzyknął Bobby Joe Harte, kiedy Jacob mijał jego biurko. - Kazał przekazać, że jest w Knoxville i wynajął samochód. Mówił, że wkrótce wyrusza i chce z tobą porozmawiać wieczorem, jak przyjedzie.

- Uprzedziłeś go, że wieczorem ma spaść śnieg? - spytał Jacob.

- Nie, sir. Chyba słuchał prognozy?

- Nie obchodzi mnie, co przepowiadają w telewizji. Genny zapowiedziała silne opady śniegu.

- Zabawne, że ona zawsze trafia z pogodą. - Bobby Joe uśmiechnął się szeroko.

- Słuchaj, gdyby ten cały Sloan pojawił się, zanim wrócę, powiedz mu, że jestem w Jasmine's na kolacji.

- A tak z czystej ciekawości, Jacob, co federalnych obchodzi miejscowe morderstwo?

- Nic - odparł szeryf. - To osobista sprawa Sloana. Jego siostrzenica została zamordowana w ten sam sposób, co Susie Richards. Zarżnięta jak owca.

- No to ładnie. Będzie ciężko.

Jacob opuścił biuro szeryfa, znajdujące się na parterze południowego skrzydła gmachu sądu hrabstwa Cherokee, zamknął za sobą drzwi i wyszedł na ulicę. Dookoła hulał przenikliwy wieczorny wiatr, podrywając maleńkie świeże płatki śniegu z chodnika. Jacob spojrzał w ciemne niebo i w blasku pobliskiej latarni dostrzegł roztańczony biały puch.

Idąc główną ulicą, myślał o dziewczynie, która wczesnym rankiem zginęła z rąk potwora. Kiedy Pete Holt, koroner i właściciel zakładu pogrzebowego, zbadał ciało na miejscu zdarzenia, stwierdził, że zgon prawdopodobnie nastąpił kilka godzin wcześniej. Zrobili co mogli, żeby spełnić wymagane procedury, zebrać dowody i niczego nie przeoczyć. Zadzwoił po radę do Roddy'ego Watsona, który przez ostatnich piętnaście lat

był komendantem policji w Cherokee Pointe. Braki w inteligencji częściowo nadrabiał doświadczeniem. Powiedział Jacobowi, że w takim przypadku cały materiał dowodowy będą musieli przesłać do Knoxville, do laboratorium kryminalistyki.

Jacob skrzył za róg, na Florence Avenue i skierował się do Jasmine's, najlepszej restauracji w miasteczku. Kiedy zbliżał się do głównego wejścia odnowionego piętrowego budynku, wyczuł, że ktoś go obserwuje. Obejrzał się przez ramię i chociaż nikogo nie zauważył, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś mu się przygląda.

Cholera, Butler, weź się w garść. W twoim okręgu doszło do okrutnego morderstwa, ale to jeszcze nie znaczy, że w ciemnościach czai się potwór.

Stał po drugiej stronie ulicy i obserwował wchodzącego do Jasmine's szeryfa.

Jacob Butler. Postawny - miał z metr dziewięćdziesiąt i na pewno ważył nie mniej niż sto dwadzieścia kilogramów. Na stanowisko szeryfa wybrany większością głosów. Miejscowy chłopak, któremu się udało. Wyjechał z Cherokee Pointe, kiedy miał osiemnaście lat, i wstąpił do marynarki. Znalazł się w oddziałach fok, odznaczono go za odwagę, a podczas ostatniej misji został ranny na tyle poważnie, że w wieku trzydziestu pięciu lat został weteranem. Był mieszkańcem, a jednak witało go całe miasteczko. Pół roku po powrocie namówiono go, żeby ubiegał się o stanowisko szeryfa.

Na temat Jacoba wiedział wszystko. Świadomość, że przeciwnik jest mądry, znacznie ułatwi mu sprawę. Jak mówi stare porzekadło - trzymaj się blisko przyjaciół, ale jeszcze bliżej wrogów. Zamierzał poznać wszystkie posunięcia szeryfa dotyczące sprawy Susie Richards.

Nie było powodu, żeby ktokolwiek go podejrzewał. Cieszył się nieposzlakowaną opinią. Po następnym morderstwie miejscowe władze znów będą zaskoczone i nie będą w stanie dociec, kto i dlaczego. Wystarczy, że będzie postępował tak, jak niezliczoną ilość razy wcześniej - ostrożnie, cierpliwie i uważnie. Każda ofiara doda mu sił. Z jedną różnicą - tym razem znalazł doskonałą piątą ofiarę.

## Rozdział 2

Genny przez cały dzień nabierała sił, więc teraz nie była śpiąca. Na dworze zupełnie niespodziewanie rozszalała się śnieżycą. Do rana, pod grubą warstwą śniegu, który dopiero co spadł, utworzy się kilkucentymetrowa warstwa lodu. Wiedziała, że musi przygotować się na życie z dala od świata, na które tu, w górach, jest skazana. Nie doszła jeszcze całkiem do siebie po nocnej wizji, ale wydobrzała na tyle, że mogła sama się sobą zająć i nie potrzebowała niczyjej pomocy. Jacob zdażył zadzwonić do niej dwa razy, żeby sprawdzić, jak się czuje, a po południu w góry Cherokee przyjechała Jazzy, żeby po raz drugi tego dnia sprawdzić, jak miewa się przyjaciółka. Jacob i Jazzy byli jedynymi ludźmi, do których mogła zwrócić się w ciężkich chwilach, zwłaszcza, jeśli te ciężkie chwile związane były z odziedziczonym po babce darem.

Jacobowi, z którym spędziła dzieciństwo i którego traktowała jak brata, i Jazzy, którą знаła od kołyski, ufała bezgranicznie. Rozumieli, że jest inna, jak ujmowała to Jazzy - „wyjątkowa”, i oboje kochali ją i wspierali. Być może nie do

końca wiedzieli, przez co przechodzi, ale rozumieli ją lepiej niż ktokolwiek inny... poza babcią.

Niektórzy nie wierzą w paranormalne zdolności, a połowa z tych, którzy wierzą, boi się każdego, kto ich zdaniem może je mieć. Przez dwadzieścia osiem lat swojego życia Genny zdażyła usłyszeć najgorsze wyzwiska, podobnie jak wcześniej matka jej matki. Babcia Butler była wyśmiewana przez tych, którzy nie rozumieli, że ma niewielką, jeżeli jakąkolwiek, kontrolę nad swoim darem. Zdolność widzenia rzeczy, których na zdrowy rozum widzieć nie można, była wątpliwym błogosławieństwem, a czasem wręcz przekleństwem. Zaściankowi mieszkańcy hrabstwa Cherokee nazywali jej babkę czarownicą. Wielu śmiertelnie się jej bało, ale równie wielu przychodziło do babci ze względu na jej nadprzyrodzone zdolności. Teraz ci sami ludzie, a także ich dzieci i wnuki, często przychodzili do Genny. Czasami była w stanie im pomóc, kiedy indziej odchodzili przerażeni albo zostawali odesłani, nie otrzymawszy pomocy, jakiej szukali.

Każdego dnia dziękowała dobremu Bogu za to, że miała babcię, która jej doradzała, uczyła ją i chroniła przez wiele lat. Sześć lat temu babcia zmarła, zostawiając w sercu Genny pustkę. Kiedy miała dwa lata, a Jacob osiem, jej matka wraz z matką Jacoba zginęły w tym samym wypadku samochodowym. Ojciec porzucił jej matkę, kiedy była w ciąży z Genny, więc jedynym ojcem, jakiego znała, był ojciec Jacoba, wuj Marcus.

Przez lata spędzone w szkole w hrabstwie Cherokee, starała się ukrywać swoje zdolności, dopasować się do otoczenia i być jak wszyscy. Jednak o jej babce słyszał każdy. Ludzie szeptali za jej plecami, opowiadali, że ona i babcia są czarownicami. Jacob, broniąc ich dobrego imienia, wdawał się w liczne bójki. Jak można wytłumaczyć ludziom, że nie jest się czarownicą, że nie uprawia się żadnej magii, ani białej, ani czarnej?

W żyłach babci Butler płynęła krew szamana Cherokee i księżniczki celtyckich druidów.

- Obie moje babki miały dar. Ominął twoją matkę i wuja Marcusa i przeszedł od razu na ciebie. Moją matkę i jej rodzeństwo też ominął i przeszedł na mnie. - Tak babcia wyjaśniła sześćioletniej Genny jej wyjątkowe dziedzictwo, kiedy ta po raz pierwszy miała wizję.

Genny nigdy nie goniła za rozrywką. Lubiała być sama i coraz bardziej wciągało ją samotne życie w solidnym starym domu, w którym wraz z Jacobem dorastała pod troskliwym okiem babci.

Z wieszaka w zabudowanym tylnym ganku zdjęła ciężką zimową kurtkę i skierowała się do drzwi. Wokół domu hulał wieczorny wiatr i przenikał przez skórę niczym tysiąc drobnych ostrzy. Pośpiesznie włożyła kurtkę, zanurzyła ręce w kieszeniach, żeby wyjąć rękawiczki i wsunęła w nie dłonie. Jak tylko wyszła do ogródka, z lasu, który otaczał polanę zajmującą ćwierć hektara ziemi, na której prapradziadek wybudował dom dla rodziny, wybiegł Drudwyn.

- Znowu byłeś u swojej damy? - spytała Genny, wyciągając rękę, żeby pogłaskać psa po ogromnym łbie i grzbiecie.

Podniósł wzrok i spojrzał na nią oczami wilka, oczami swojego ojca. Wiedziała, że któregoś dnia ją zostawi i przyłączy się do stada wilków, mieszkających wysoko w górach. Nie miała wizji, że Drudwyn odejdzie, ale ostatnio wyczuła to kilka razy, kiedy ze sobą rozmawiali. Jedną z kilku zdolności był rzadki dar komunikacji ze zwierzętami. Nie była to oczywiście prawdziwa rozmowa, podczas której ona mówiła, a zwierzęta odpowiadały - po prostu wyczuwała to, co myślą i czują, a one najwyraźniej potrafiły to samo.

- Muszę sprawdzić generatory - powiedziała Genny. - Wieczorem pewnie wysiądzie prąd, a szklarnie nie mogą zostać bez zasilania.

Drudwyn szedł przy niej, kiedy jak zazwyczaj sprawdzała generatory i szklarnie. Dzięki nim miała z czego żyć - hodowała w nich okazałe kwiaty i wyborne zioła, które sprzedawała w okolicy i na zamówienie rozsyłała po całym kraju. Handlu wysyłkowego nie rozszerzyła jeszcze o krzewy i drzewa ze szkółki, ale miała zamiar zrobić to w najbliższej przyszłości. W zimie dawała sobie radę sama z pomocą Wallace'a, ale kiedy przychodziła wiosna, co roku zatrudniała tuzin pracowników sezonowych.

Wallace przyjeżdżał z Cherokee Pointe codziennie, poza niedzielami i poniedziałkami. Dzisiaj był właśnie poniedziałek. Wallace był złotą rączką od czasów babci. Pracował w szkółce, odkąd tylko Genny sięgała pamięcią. Okoliczni mieszkańcy byli wobec Wallace'a niemili lub wręcz okrutni, bo był „opóźniony”. Podobnie jak wobec babci za to, że była „czarownicą”. Nie miało znaczenia, że Wallace jest młodszym bratem Farlana MacKinnona i że MacKinnonowie są jedną z najbogatszych rodzin w okręgu. Pan Farlan już dawno przestał rozkazywać swojemu opóźnionemu w rozwoju bratu i pozwalał mu robić to, na co miał ochotę. A Wallace zawsze miał ochotę pracować dla Melvy Mae Butler.

Genny wzięła naręcze drewna z wielkiego stosu z tyłu domu i przeniosła je do pudła na tylnym ganku. Kiedy wysiądzie elektryczność, a przy takiej pogodzie wysiądzie na pewno, ciepło będą musiały zapewnić jej kominki i piece. Generatory służyły tylko do ogrzewania szklarni.

Nagle, dokładnie w chwili, gdy wyciągała jedną rękę z rękawa kurtki, ogarnęło ją złe przecucie. Wyczuła czyjaś obecność. Mężczyzny. Wysokiego blondyna. Pokręciła głową,

usiłując pozbyć się dziwnych myśli. Czyżby próbowała wyobrazić sobie zabójcę biednej młodej Susie Richards?

Przystanąła na tylnym ganku. Drudwyn gładził ją nosem po nodze, okazując troskę, a ona zamknęła oczy, żeby w pełni doświadczyć wizji. Była promienna, nie mroczna jak ta, która pojawiła się rano. Zalało ją czyste, jasne światło. To zawsze oznaczało dobro, nie zło. Przez śniegi w kierunku jej domu przedzierał się wysoki blondyn. Był zły. Nie, nie zły. Podenerwowany. Zbliżał się do niej. Serce biło jej jak szalone. Nie ze strachu, a z podniecenia. Jechał do niej. Po nią.

Nie, nie, to nie tak. To niemożliwe. Dlaczego miałby jechać po nią? Nie był to zabójca. Nie wyczuwała w nim zła, a jedynie nieopisany smutek.

Zjawa zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Genny drżała na całym ciele. Wyciągnęła ręce, żeby oprzeć się o ścianę.

Jedzie tu, mówił jej wewnętrzny głos. Będzie u ciebie dziś wieczorem.

Drudwyn zapiszczał. Genny wzięła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić, spojrzała wilkowi w oczy, a potem zdjęła kurtkę i powiesiła ją na wieszaku w sieni.

- Nie wiem, kim on jest - powiedziała do Drudwyna, wchodząc do kuchni. - Przekonamy się wieczorem. Czuję, że to dobry człowiek i można mu zaufać.

Genny miała nadzieję, że nie myli się co do nieznanego. Nie zawsze była w stanie ocenić człowieka, używając szóstego zmysłu. Większość ludzi ukrywała swoje prawdziwe wnętrze przed innymi, nawet obdarzonymi nadzwyczajnymi zdolnościami. Z niewiadomej przyczyny zdołała przekroczyć mur obronny tego mężczyzny i choć trwało to zaledwie kilka chwil, wystarczyło, żeby wyczuć jego smutek.

- Jamie Uptonie, ty diable rogaty. - Cindy Todd zaczepnie poklepała młodego księcia rodziny Uptonów po piersi. - Wiesz, że jestem szczęśliwą mężatką.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Przycisnęła ją do ściany na końcu korytarza, przy toalecie. - Sprawność seksualna Jerry'ego Lee chyba nie uległa aż takiej poprawie, odkąd ostatni raz byłem w mieście. Doskonale pamiętam, że...

Cindy delikatnie położyła dłoń na ustach Jamiego. Polizał wilgotną, słoną skórę. Zadrżała, zabrała rękę i spojrzała na niego gniewnie.

- Masz nową narzeczoną, która chyba powinna ci wystarczyć. A... a ja też mam kogoś innego.

- Poza Jerryem, co? Co to za jeden? Znam go?

- Nie, nie znasz. Przyjechał do miasta niedawno. - I jest najlepszym, co mnie w życiu spotkało, dodała w myślach.

- Czujesz się przy nim tak, jak ze mną? - Przesunął dłonią między ich ciałami i ujął jej lewą pierś. - Jest tak samo dobry w łóżku?

- Cholera, a tylko to się liczy? Słyszałeś coś, przyznaj się. Ktoś ci powiedział, że jestem z Dillonem, i twoje ego nie może ścierpieć, że nie umierałam z tęsknoty za tobą. Jazzy Talbot też nie.

- Nie odpowiedziałas na pytanie. - Jamie uśmiechnął się szeroko.

- I nie mam zamiaru. Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć. Był między nami tylko dziki seks... kilka numerków.

- Nie ma sprawy. - Jamie uwolnił jej pierś i odsunął się, dając jej trochę swobody. - Pomyślałem po prostu, że zanim zadzwonię do Jazzy, najpierw uderzę do ciebie. Myślałem, że będziesz łatwiejsza. Jazzy zawsze robi ceregiele, zanim w końcu ulegnie.



- Jeżeli jest choć w połowie tak rozsądna, jak myślę, tym razem ci nie ulegnie - powiedziała Cindy. - Wiesz, że kilka razy spotkała się z Jacobem Butlerem, odkąd wrócił do Cherokee Pointe.

- Z Jacobem Butlerem? Wnukiem starej czarownicy? Myślałem, że poszedł do wojska czy coś w tym stylu. Kiedy wrócił?

- W zeszłym roku. Jest nowym szeryfem i wszystkie kobiety do niego wzdychają, nawet Jazzy.

- Nie jest w jej typie. Jazzy lubi bogatych mężczyzn, takich jak ja. Nie będzie tracić czasu na mieszańca, który nie ma nic poza pensją szeryfa okręgowego.

- Ludzie się zmieniają - stwierdziła Cindy. - Tym razem nie było cię trzy lata. Jazzy dorosła i zmadrzała. Poza tym, już ci mówiłam, że nie umierała z tęsknoty za tobą, podobnie jak ja.

Jamie się roześmiał. Dźwięk jego zmysłowego śmiechu wywołał w Cindy fale pożądania. Jamie Upton na każdym kroku promieniował seksapilem. Aż nieprzyzwoite, żeby mężczyzna był tak ładny. Miał falujące brązowe włosy i hipnotyzujące orzechowe oczy. Nie był zbyt wysoki, ale każdy centymetr jego mierzącego metr siedemdziesiąt pięć ciała był idealnie szczupły i umięśniony. Był przystojny, bogaty i potrafił być czarujący, kiedy zechciał. Wiedział też, jak sprawić kobiecie przyjemność w łóżku. Jeżeli było mu to na rękę.

- Muszę wracać do towarzystwa - oznajmiła Cindy. - Jerry Lee zacznie się zastanawiać, co tak długo zatrzymało mnie w toalecie.

Jamie odsunął się na bok. Cindy odetchnęła z ulgą, a potem przeszła pośpiesznie przez korytarz, nieco szybszym niż zwykle krokiem.

Wprawdzie intuicja kazała jej biec co sił w nogach, jednak dziewczyna powstrzymała się. Nie chciała dać Jamiemu

satysfakcji i pokazać, że musi od niego uciec, żeby nie poddać się zdradzieckiemu požądaniu. Dopóki się z nim nie przespała, nie wiedziała, czemu Jazzy Talbot ustawicznie robi z siebie kretynkę przez tego faceta. Ale teraz już rozumiała. Był bydlakiem o kamiennym sercu, ale miał w sobie coś, czemu nie można było się oprzeć. Wątpiła, czy kiedykolwiek w życiu kogoś kochał, oczywiście poza sobą samym.

Cindy zbliżyła się do głównego salonu, przystanęła, oblizała wargi, poprawiła brzegi dopasowanej, jedwabnej sukienki i się wyprostowała. Trzymaj fason, powiedziała sobie. Zdobyła się na sztuczny uśmiech i weszła do pokoju, w którym Uptonowie zabawiali członków miejscowej społeczności. Kolacja została zaplanowana wiele tygodni przed przyjazdem Jamiego, jednak stała się przyjęciem powitalnym na cześć jedyne go wnuka Uptonów. Pani Reba szybko dodała do listy gości kilkanaście osób, w tym Jerry'ego Lee oraz Cindy i zmieniła kolację w bankiet.

Kiedy weszła, Jerry Lee nawet jej nie zauważył, bo pogrążony był w rozmowie z Wielkim Jimem Uptonem, patriarchą rodziny Uptonów. Ojciec Jerry'ego przyjaźnił się z Wielkim Jimem, który użył swoich wpływów i bogactwa, żeby pomóc synowi wygrać wybory na burmistrza Cherokee Pointe w dwóch kadencjach; druga właśnie się zaczynała.

Wielki Jim miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a wskazówka na wadze prawdopodobnie dochodziła do stu pięćdziesięciu kilogramów. Miał gęstą czuprynę siwych włosów i nosił eleganckie białe wasy. Rodzina Uptonów miała farmę, która zaopatrywała w codzienne produkty większość domów w północno-wschodnim Tennessee. Należeli do stosunkowo starej prosperity. Cztery pokolenia bogactwa. Każdy z Uptonów wziął za żonę pannę z pozycją, dzięki czemu z każdym pokoleniem nazwisko cieszyło się większym szacunkiem. W przypadku

obecnego spadkobiercy coś jednak nie wyszło. Jamie Upton pochodził wprawdzie z dobrego domu, ale był nic niewartym sukinsynem bez serca.

- O, jesteś, Cindy! - krzyknęła Reba Upton. - Chodź, kochana, poznaj państwa Stowe'ów.

Cindy zmusiła się do uśmiechu i podeszła do pani Reby, małej, drobnej blondynki, żony Wielkiego Jima. Jej pozbawiona zmarszczek twarz i szczupłe, zgrabne ciało nie zdradzały, że ma siedemdziesiąt lat. Co sześć lat odwiedzała wprawnoego chirurga, dzięki czemu twarz miała gładką jak pupa niemowlaka, a ciało utrzymywały w formie codzienne ćwiczenia z osobistym trenerem.

- Cindy, poznaj wielbego pana Stowe'a i jego żonę. - Reba wsunęła rękę pod ramię Cindy, a jej fiołokoworóżowe usta rozciągnęły się w uprzejmym uśmiechu. - Niedawno przyjechali do Cherokee Pointe. Wielbny Stowe został przydzielony do kościoła kongregacyjnego. - Reba poklepała Cindy po ręce. - A ta miła dziewczyna to żona burmistrza, Cindy Todd.

- Miło panią poznać, pani Todd. - Duchowny, wysoki, szczupły mężczyzna z rzednącymi brązowymi włosami i bladoniebieskimi oczami, skinął głową. - Byłbym zaszczycony, gdyby wraz z burmistrzem wzięła pani udział w naszym niedzielnym nabożeństwie.

Od pani Stowe, ubranej klasycznie, w prostą lnianą, beżową sukienkę, emanowała aura zmysłowości - być może z powodu długich, prostych włosów w kolorze platynowego blond albo ogromnych brązowych oczu, okolonych gęstymi, czarnymi rzęsami. Stała przy boku męża cicho i posłusznie, ze znudzoną miną.

- Bardzo dziękujemy za zaproszenie, ale Jerry Lee i ja jesteśmy zdeklarowanymi baptystami - zwróciła się Cindy do pana Stowe'a.

Duchowny nie zdążył odpowiedzieć, bo Reba pociągnęła Cindy za rękę.

- Proszę nam wybaczyć - zwróciła się do państwa Stowe'ów. - Widzę, że doktor MacNair z żoną stoją zupełnie sami. Zabiorę Cindy, żeby ją przedstawić. Czujcie się jak u siebie w domu. Miłej zabawy. Cieszę się bardzo, że przyszlście.

Reba oddaliła się z Cindy.

- Nie masz wrażenia, że to dziwni ludzie? - spytała, kiedy znalazły się poza zasięgiem uszu państwa Stowe'ów. - Ona jest o wiele młodsza od niego. Powiedziałabym, że ze trzydzieści lat. I zachowuje się, jakby była ślepa i głucha. Odkąd przyszli, nie powiedziała ani słowa.

- Może jest nieśmiała? - odezwała się Cindy.

- Nieśmiała? Wątpię.

Reba poprowadziła Cindy w stronę pary młodych ludzi stojących samotnie w rogu zatłoczonego pokoju. Mężczyzna był krępej budowy, miał rumianą twarz i zakola, chociaż pewnie był dopiero po trzydziestce. Jego żona dorównywała mu wzrostem - miała z metr siedemdziesiąt, ale w przeciwieństwie do korpulentnego męża, była chuda jak patyk. Ciepła blondynka. Nie należała wprawdzie do piękności, ale miała miłą twarz. Cindy od razu ją polubiła.

- Witam! - krzyknęła Reba do stojącej na uboczu pary. - Cindy, musisz poznać tych wspaniałych ludzi - zwróciła się do towarzyszek, kiedy znalazły się przy gościach. - To doktor Galvin MacNair i pani MacNair. - Reba popatrzyła na żonę doktora. - Jak ci na imię, moja droga?

- Nina - odpowiedziała młoda kobieta, uśmiechając się delikatnie.

- Galvin przyszedł do szpitala na miejsce doktora Webstera - wyjaśniła Reba. - Przyjechał do nas niedawno z... Hm, no właśnie, skąd? Z jakiego miasta?

- Bowling Green - odpowiedział Galvin.

Cindy zamieniła z państwem MacNairami kilka zdań, a Reba poszła zabawić innych gości. Polubiła młode małżeństwo, żonę bardziej niż męża, bo sprawiał wrażenie dziwnie wyciszonego. Umówiła się nawet z Niną MacNair na obiad w miejscowym klubie w czwartek.

Cindy spojrzała na zegarek i zorientowała się, że dochodzi dziewiąta. Obiecała Dillonowi, że znajdzie sposób, żeby się z nim spotkać wieczorem, choćby na godzinę. Składając obietnicę, wyobrażała sobie, że wykręci się od przyjęcia bólem głowy i zostanie w domu, ale Jerry Lee przejrzał ją w jednej chwili.

- Ubieraj się. Za dwadzieścia minut masz być gotowa do wyjścia na przyjęcie u Uptonów. - Jego okrągła twarz była czerwona ze złości. - Jeżeli nie zdążysz, ubiorę cię własnoręcznie, a najpierw jeszcze raz ci udowodnię, kto tu rządzi.

Jerry Lee potrafił być groźny, jeżeli się go sprowokowało i kilka razy brutalnie się z nią obszedł. Nic jej nigdy nie złamał, ale przez ostanie cztery lata kilka razy miała przez niego siniaki i zadrapania. Myślała o tym, żeby od niego odejść. Marzyła o innym mężczyźnie, który ją uratuje, ale nie było nikogo, kto przyszedłby jej z pomocą. Dopóki nie pojawił się Dillon. Sypiali ze sobą od miesiąca, odkąd zapisała się do małej grupy teatralnej. Do Cherokee Pointe przeprowadził się zeszłego lata, kiedy miasto zatrudniło go do kierowania miejscowym teatrem, który miał wystawiać sztuki i przyciągać turystów.

Co zrobi Jerry Lee, jeżeli podejdzie do niego teraz i powie, że potwornie boli ją głowa i musi iść do domu? Nie będzie chciał wychodzić. Zawsze, kiedy przyjęcie wydawali Uptonowie albo MacKinnonowie, Jerry Lee Todd zjawiał się jako jeden z pierwszych, a wychodził ostatni. Jej szanowny małżonek umiał

włazić w dupę najlepiej ze wszystkich ludzi, których znała. Był wazeliniarzem pierwszej klasy.

Wyszła do holu, żeby chwilę odpocząć od gwaru, który w salonie sięgał poziomu ogłuszającej wrzawy. Zauważyła, że państwo MacNairowie biorą płaszcze od służącej. Wracają do domu.

Zanim uświadomiła sobie, co robi, podbiegła do Niny MacNair.

- Czy mogliby mnie państwo podwieźć do miasta? Potwornie boli mnie głowa, a nie chcę robić kłopotu Jerry'emu Lee. Uwielbia przyjęcia.

- Oczywiście. - Nina wyciągnęła rękę i poklepała Cindy po ramieniu. - Z przyjemnością podwieziemy panią do domu. A jeżeli pani chce, Galvin da pani coś przeciwbólowego.

- Och, bardzo dziękuję, ale nie ma potrzeby. Wezmę coś w domu. - Odwróciła się do pokojówki. - Mogłaby mi pani przynieść płaszczy? Proszę też później powiedzieć panu Toddowi, że nie czułam się dobrze i pojechałam do domu z państwem MacNairami.

- Dobrze, proszę pani. - Pokojówka poszła po płaszczy Cindy.

Pół godziny później Cindy stała przed drzwiami mieszkania Dillona. W zimnym deszczu przeszła trzy przecznice, od swojego domu przy Chestnut Street do piętrowego budynku na Baker's Lane. Przemoczona do suchej nitki, zdyszana po biegu po schodach, kilka razy nacisnęła dzwonek. Ma najwyżej godzinę, żeby zaznać pocieszenia i czułości, bo potem będzie musiała gnać do domu i udawać, że śpi, kiedy Jerry Lee wróci od Uptonów. Przy odrobinie szczęścia przyjęcie potrwa przynajmniej do jedenastej, mimo że jest poniedziałek.

- O Boże, skarbie, wchodź i ściągaj te mokre rzeczy. - Dillon otworzył drzwi i zmierzył ją od stóp do głów.

Nie należał do przystojnych, a jednak był niewytłumaczalnie atrakcyjny. Miał metr osiemdziesiąt dwa. Kręcone ciemne włosy sięgały mu do ramion. Wystarczyło, żeby się do niej uśmiechnął, a już robiła się wilgotna.

Minęła go z uśmiechem i weszła do zagraconego salonu. Wielu ludzi o twórczych talentach słynęło z bałaganiarstwa i niezorganizowania. Dillon bez wątpienia miał obie te cechy. Dookoła walały się gazety i czasopisma, na brzegu ławy stał pusty kubek, a po obu stronach sofy leżały adidas i brudne skarpetki.

- Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie. - Dillon pomógł jej zdjąć mokry płaszcz. - Jerry Lee wcześniej poszedł dziś spać?

- Musieliśmy iść na przyjęcie do Uptonów. - Cindy przesunęła dłońmi po swoich ramionach, żeby się ogrzać.

- To dlatego jesteś w tej wystrzałowej sukience. Wyglądasz wyjątkowo ładnie.

- Oj, Boże, nie kłam - ucięła. - Wyglądam jak zmokła kura i oboje dobrze o tym wiemy.

- Jesteś piękna, nawet taka przemoknięta i z rozmazanym makijażem. - Poglądził ją grzbietem dłoni po policzku. - Idź do łazienki i zdejmij te mokre ciuchy.

- Chodź ze mną. - Chwyciła go za rękę. - Mam mało czasu. Nie wiem, o której on wróci.

- Idź pierwsza, zaraz do ciebie przyjdę. - Dillon odwrócił jej dłoń i pocałował w sam środek. - Zrobij nam drinki. Łyk jacka danielsa powinien szybko cię rozgrzać.

Nie chciała whisky, chciała jego. Ale posłusznie poszła do łazienki, równie zagraconej, co salon. Wszędzie walały się ubrania. Kosz na bieliznę pełen był, jak się domyślała, wypranych, ale nieposkładanych ręczników, a na komodzie w rogu piętrzyła się góra bielizny. Przed sobą miała nieposłane łóżko, kołdra zsuwała się na dywan. Przypuszczała, że pościel

nie była zmieniana od tygodni, ale nie miało to dla niej znaczenia. Wolała dzielić brudne łóżko z Dillonem niż spać w satynowej pościeli z Jerrym Lee.

Pośpiesznie zdjęła sukienkę, zrzuciła buty, ściągnęła stanik i rajstopy. Kiedy Dillon wszedł do sypialni, zsuwała majtki. Pozwoliła czarnym figom opaść do kostek i spojrzała na niego.

Przez kilka minut wpatrywał się w nią z uznaniem. Od środka zalewało ją ciepło, ciało naprężało się i rozluźniało. Wiedziała, że dobrze wygląda nago. Nie była przecież taka stara. Miała trzydzieści trzy lata. Nie rodziła, jej piersi były małe, ale jędrne, brzuch płaski, a dzięki temu, że miała świra na punkcie ćwiczeń, uniknęła cellulitu i mięśnie ładnie rysowały się pod skórą.

Dillon przeszedł przez pokój świadomie leniwym krokiem, jak tancerz w zwolnionym tempie. Podał jej do połowy napełnioną szklankę. Przez niekończącą się chwilę wbijali w siebie wzrok. Podniosła jedną stopę, potem drugą i odsunęła majtki na bok. Wzięła od niego szklankę.

- Skoro nie wiesz, kiedy mąż wróci, cholernie ryzykujesz, przychodząc tutaj. - Popijając alkohol, spojrzał na nią znad brzegu szklanki.

Dlaczego jej o tym przypomina? Może jej tu nie chce? Może doszedł do wniosku, że romans z żoną burmistrza jest zbyt niebezpieczny?

- Warto ryzykować, żeby być z tobą. - Drżącymi dłońmi uniosła szklankę i posmakowała whisky, która niczym rozgrzane ostrze przeszła gardło i rozpałała żołądek jak ognista kula. Zakaszła kilka razy, nie spuszczać z niego wzroku. - Myślałam, że czujesz to samo.

Dillon wypił kilka łyków, wypuścił strumień gorącego powietrza i odstawił szklankę. Zanim Cindy się zorientowała,



wyciągnął ręce i ją chwycił. Westchnęła, kiedy jej nagie piersi zetknęły się z jego grubym swetrem.

- Pokażę ci, co czuję. - Wziął od niej szklanke i postawił obok swojej, na dzinsach leżących na skrzyni w nogach łóżka.

Jej serce załomotało, kiedy ujął w dłonie jej pośladki i przycisnął do swojej wzwiedzionej męskości. Szaleńczym ruchem przesunęła dłońmi pod jego swetrem, aby dotknąć szczupłego torsu. Wspólnymi siłami pozbyli się jego ubrań, cały czas całując się i dotykając. Kilka chwil później pchnął ją na łóżko i wziął bez żadnej gry wstępnej. Wszedł w nią i zaczął poruszać się jak w amoku. Na szczęście była już wilgotna i wiała się z pożądania. Kochali się niczym zwierzęta i oboje doszli po kilku chwilach.

Później - nie była pewna, czy po pięciu, czy dziesięciu minutach - wysunęła się z jego ramion i wstała. Poszła do łazienki, umyła się i wróciła do sypialni po ubrania. Dillon uniósł się na łóżku, oparł o zagłówek i patrzył, jak się ubiera.

Jej rzeczy były mokre i zimne, ale nie miała wyjścia. Nie mogła zostać tak długo, żeby zdążyły wyschnąć.

- Dillon?

- Tak?

- Jeżeli zostawię Jerry'ego Lee, to... będziesz ze mną?

- Przecież mówiłaś, że na pewno nie pozwoli ci odejść. Że prędzej cię zabije. - Dillon wpatrywał się w nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

- Nie zabije, jeżeli ktoś będzie mnie bronił.

- Tego chcesz? Żebym cię bronił przed twoim mężem?

- Tak, tego właśnie chcę. Chcę, żeby komuś zależało na mnie na tyle, żeby zabrał mnie od Jerry'ego Lee i żebym czuła się bezpieczna.

- Skarbie, nie wiem, czy dobrze trafiłaś. Zależy mi na tobie, ale...

- Ale nie aż tak.

Żeby nie pograżać się jeszcze bardziej, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Chwyciła płaszcz z sofy w salonie, włożyła na siebie i wybiegła na korytarz. Wzięła kilka głębokich oddechów i powstrzymała się, żeby nie krzyknąć. Nie była jednak w stanie powstrzymać łez, ciekących strumieniami po policzkach.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, zorientowała się, że sypie śnieg. Nie widziała dalej niż na trzy metry. Boże, zamarznie na śmierć, zanim pieszo dojdzie do domu.

Nagle dostrzegła światła nadjeżdżającego samochodu. Może ktoś ją podwiezie. Miasteczko jest tak małe, że może nawet zna kierowcę.

Samochód zwolnił i się zatrzymał. Drzwi otworzyły się szeroko.

- Cindy, to ty?

- Tak, to ja. - Odetchnęła z ulgą.

- Co robisz na dworze w taką noc?

- Byłam u koleżanki. Podrzuciłbyś mnie do domu?

- Oczywiście - odpowiedział. - Z przyjemnością.

## Rozdział 3

Jacob siedział przy stoliku na tyłach pustej sali restauracyjnej. Lokal przy London Street należał do Jasmine Talbot. Jasmine's była miłą, rodzinną restauracją do której zaglądali miejscowi i turyści. Jazzy's Joint, w przyległym budynku na końcu ulicy, był połączeniem staromodnego baru z dyskoteką. Lokale, przeznaczone dla zupełnie odmiennej

klienteli, miały osobne wejścia i przedzielone były grubym murem z podwójnej cegły. Kiedy nie był na służbie, czasami zaglądał do tej bardziej rozrywkowej części, ale dziś wieczorem nie szukał rozrywki, lecz porządnego posiłku i odrobiny spokoju, który pozwoli mu zebrać myśli.

To było pierwsze morderstwo, odkąd został wybrany na szeryfa hrabstwa Cherokee. W dodatku, nie była to zwykła strzelanina, sprawa nie miała nic wspólnego z narkotykami, domową awanturą czy zemstą. Susie Richards miała dopiero siedemnaście lat. Zdażył się już dowiedzieć, że była porządną dziewczyną z dobrego domu, wzorową uczennicą, przewodniczącą klasy w liceum Cherokee Pointe. Lubili ją wszyscy, którzy ją znali.

Kiedy Jacob przelatywał ostatni kęs szarlotki i odsuwał talerzyk na bok, pojawiła się przy nim Jazzy z dzbankiem pełnym świeżej kawy. Podniósł wzrok i się uśmiechnął. Była ukojeniem dla jego zmęczonych oczu. Widok ładnej kobiety jest w stanie zawsze poprawić nastrój. A Jasmine Talbot należała do najładniejszych. Wysoka, z długimi nogami i dużymi piersiami, zbudowana jak bogini. Miała gęstą czuprynę niesfornych rudych włosów w tak jaskrawym odcieniu, że musiały być farbowane. Zielone jak u kota oczy sprawiały wrażenie, że potrafią przejrzeć człowieka na wskroś.

Umówili się parę razy, całowali się trochę i obmacywali, ale nie przekroczyli granicy, jaka dzieli przyjaciół od partnerów seksualnych. I cieszył się z tego. Szczerze się lubili, ale nie było między nimi chemii. Gdyby zaczęli ze sobą sypiać, trudniej by im było pozostać przyjaciółmi.

- Dolać ci kawy? - spytała Jazzy i nie czekając na odpowiedź, napełniła jego kubek. Postawiła dzbanek na stole i usiadła naprzeciw niego.

- Dzięki. - Uniósł kubek do ust.

- Bezkofeinowa.
- Nie piję bezkofeinowej. - Zmarszczył brwi.
- Dzisiaj pijesz. Przypuszczam, że jesteś już dość podminowany po tym wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło. Domyślam się, że przez cały dzień piłeś siekiere. Pewnie zamiast krwi płynie ci w żyłach kawa.
- Znasz mnie aż za dobrze.
- Powinieneś wrócić do domu i porządnie się wyspać. Wyglądasz potwornie.
- To właśnie jedna z rzeczy, które w tobie lubię: brutalna szczerość. - Uśmiechnął się szeroko.
- Dobrze, że mieszkasz w mieście - powiedziała Jazzy. - Na dobre rozpełtała się śnieżycą, którą przepowiedziała Genny. Pod śniegiem powstała już pewnie gruba warstwa lodu, a jest dopiero wpół do jedenastej.
- Chyba będę źle spał. - Jacob skinął głową.
- Nie dziwię się. Też bym kiepsko spała, gdybym napatrzyła się na Susie Richards. - Jazzy odwróciła stojący do góry dnem czysty kubek i nalala sobie kawy. - Po mieście krążą rozmaite plotki. Wiem, że nie możesz mi nic powiedzieć, ale... nie możesz dłużej odkładać oświadczenia dla prasy. Brian MacKinnon zrobi z tego zabójstwa sensację. Przez długie tygodnie będzie się pojawiać na pierwszej stronie „Cherokee Pointe Herald”, szczególnie, jeśli od razu nie schwytasz zabójcy. MacKinnon tylko czeka na okazję, żeby przedstawić cię w złym świetle.
- Brian to dupek - prychnął Jacob. - Następny, któremu się wydaje, że za pieniądze kupi wszystko. - Spojrzał Jazzy prosto w oczy.
- Tak, wiem, że Jamie wrócił. Sally i Ludie mi powiedziały. Nie martw się, nie mam zamiaru się z nim zadawać.
- Twoje życie, twoje decyzje - skwitował Jacob. - Jamie to nie mój problem, ale Brian, owszem. Nie lubi mnie, bo nie

podoba mi się, że kręci się koło Genny. Jest dla niej za stary, a ona jest dla niego za dobra i mu to powiedziałem. Niejeden raz.

- Brutalna szczerłość. - Jazzy roześmiała się, a potem uniosła kubek do ust i napiła się gorącej kawy. - Nasza wspólna cecha.

- W Brianie coś mi się nie podoba. Od zawsze, odkąd byłem dzieckiem. Jest za grzeczny, za bardzo układny. Nie jest taki, na jakiego wygląda. Genny chyba też to wyczuwa i dlatego go do niczego nie zachęca.

- Facetowi takiemu jak Brian nie trzeba wielkiej zachęty. Przywykł, że dostaje to, co chce. A wierz mi, że chce Genny, i to nie są żarty.

- No, cóż, ma teraz konkurencję w postaci tego Pierponta. Idealny nie jest, ale już o wiele lepszy od MacKinnona.

- Royce Pierpont wygląda na dość miłego. - Jazzy dołała kawy do obu kubków. - Bardziej pasuje do Genny. Jest wrażliwy, subtelny i łagodny.

- Może i tak. Ale niewiele o nim wiemy. Kiedy to przyjechał do miasta i otworzył ten swój sklep z antykami? Trzy czy cztery miesiące temu?

- Jakoś przed Świętem Dziękczynienia.

Jacob wziął kolejny łyk kawy, wstał, wyjął z kieszeni spodni portfel i wyciągnął z niego kilka banknotów. Wręczył pieniądze Jazzy.

- Wpadnę tu jeszcze po drodze do domu.

- Rozwiążesz tę sprawę. - Jazzy stanęła przy nim i objęła go w pasie. - Jestem tego zupełnie pewna. - Stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

Przytulił ją na chwilę, a potem wyszedł z restauracji na mroźne powietrze. Cholera, ledwie było widać latarnię przed Jazzy's Joint. Śnieg sypał tak mocno, że Dallas prawie nic nie

widział. Postawił kołnierz kurtki i brnął przez zaspy z powrotem do biura, znajdującego się kilka przecznic dalej.

Na ulicach nie było żywego ducha i Cherokee Pointe wyglądało jak wymarłe miasto.

Dallas Sloan zaklął głośno. Skąd to się wzięło? Nikt nie mówił o śnieżyca! Prognozy wspominały tylko o zamarzającym deszczu i deszczu ze śniegiem. Podróż, która powinna trwać godzinę, zajęła mu już trzy razy tyle. Oczywiście to, że źle skręcił trzydzieści kilometrów wcześniej, dodatkowo pogorszyło sprawę. Nie był nawet pewien, czy jedzie właściwą drogą. Cherokee Pointe znajdowało się w dolinie u stóp Smoky Mountains, więc wydawało mu się, że drogą wzdłuż górskich zboczy dojedzie na miejsce. Pech chciał, że wylądował w rowie. Nie należał do kierowców, którzy mylą zjazd czy tracą panowanie nad kierownicą. Wszystko szło nie tak, odkąd wysiadł z samolotu w Knoxville.

Był lekko rozkojarzony. Jego myśli krążyły wokół morderstwa Brooke i podobieństw między jej brutalnym zabójstwem a śmiercią siedemnastoletniej Susie Richards. Brooke miała piętnaście lat. Była najstarszą z trójki dzieci jego siostry, pierwszą wnuczką w rodzinie. Wszyscy oszaleli na jej punkcie, nawet wuj Dallas.

Szybko się przekonał, że kiedy sprawa dotyczy kwestii osobistych, nie sposób nabrać chłodnego dystansu, z jakim podchodzi się do nieznaney ofiary. Niełatwo mu się pracowało przez ostatnich osiem miesięcy, ale się starał. I częściowo mu się to udawało. Szedł tropem wielu śladów prowadzących donikąd, ale w tym przypadku miał dobre przeczucie. Wykorzystał już, co prawda, niemal cały urlop i zwolnienia. Prosił o przysługi wszystkich, których znał w biurze. I co z tego? Nikt nie kwestionował jego prawa do takiego postępowania. Być

może ktoś inny na jego miejscu dostałby kompletnego świra i popadł w obsesję znalezienia zabójcy siostrzenicy. Czasami ciężko było mu nad sobą panować i pilnować granicy między determinacją a obsesją. Ale szczylił się tym, że zawsze miał wszystko pod kontrolą. Nigdy nie dopuszczał, żeby emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. Jeżeli ma zamiar odnaleźć zabójcę Brooke, nie może sobie pozwolić na sentymenty.

Wybrał numer szeryfa w swoim telefonie komórkowym. Głucho. Nie ma zasięgu czy może beznadziejna pogoda zakłóca sygnał? I co ma teraz zrobić? Nie zadzwoni po pomoc, a jeżeli całą noc spędzi w samochodzie, pewnie zamarznie na śmierć. Chyba jednak nie miał wyjścia. Jeżeli wysiadzie i pieszo pójdzie szukać pomocy, najprawdopodobniej zgubi się w tej cholernej śnieżycy. No dobrze, może wymyśli jakiś sposób, żeby wyciągnąć wypożyczonego saturna z rowu.

Kiedy otworzył drzwiczki, przeraźliwy wiatr zbombardował go lepką mieszaniną deszczu i śniegu. Zamrugał kilka razy, żeby pozbyć się kropel. Wysiadł, zatrzasnął za sobą drzwi i obejrzał auto z każdej strony. Prawa strona samochodu znajdowała się w głębokim przydrożnym rowie, a lewa opierała się o skraj krętej górskiej drogi. Kiedy szedł w stronę bagażnika, poślizgnął się. Chwycił się lewego tylnego zderzaka, ale dłonie w rękawiczkach ześlizgnęły się i całkiem stracił równowagę. Upadł na ziemię, wzbijając tuman świeżego śniegu.

Zaklął na czym świat stoi. Powinien był się domyślić, że pod niewinnie wyglądającym śniegiem kryje się niebezpieczna warstwa lodu. Wstał i spojrzał na drogę. Upewnił się, czy nie przegapił jakiegoś domu, a potem skierował wzrok przed siebie, wypatrując czegoś w gęstym śniegu. Otarł twarz, zamrugał i skupił się na jednym punkcie w oddali. Czyżby w ciemności widział światło? Przy tej pogodzie nie mogły to być księżyc ani

gwiazda. Światło musiało oznaczać obecność człowieka. Inny samochód? A może to dom stojący na pustkowiu?

Dallas ostrożnie spróbował wydostać się z rowu, ale skórzane podeszwy butów ślizgały się po śniegu. Chwyił się gałęzi niewielkiego drzewa, rosnącego przy drodze, podciągnął się i stanął na jezdni. Szedł ostrożnie, bez przerwy przecierając oczy, żeby cokolwiek widzieć. Po niespełna trzydziestu krokach dostrzegł dom położony wysoko nad drogą. Ganek był jasno oświetlony, niczym latarnia morska w środku nocy. Po kilku minutach znalazł się na drodze prowadzącej do dużego, białego, drewnianego domu na farmie. A niech to, stroma jak diabli. Do cholery, jak ma się wspiać po tym oblodzonym, niemal pionowym podjeździe? Nagle, dwa czy trzy metry od podjazdu, dostrzegł jaskrawoczerwoną skrzynkę na listy.

Schody! Od skrzynki prowadziły w górę kamienne schody - miał nadzieję, że do samego ogródka. Jeżeli nie będzie innego wyjścia, wczłoga się po nich do domu. Kiedy dotknął stopą pierwszego kamiennego stopnia, zobaczył długą, żelazną poręcz, ciągnącą się wzdłuż prowizorycznych schodów. Dzięki Bogu!

Dobrze, że był w doskonałej formie, inaczej sapałby jak parowóz, zanimby dotarł do imponującej wielkości ogrodu. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek coś wydawało mu się równie miłe, jak to światło na ganku. Ale po co o tej godzinie oświetlać ganek? Może gospodarze czekają na kogoś albo wyszli. Wolał mieć nadzieję, że domownicy są w środku. W przeciwnym razie będzie musiał złamać prawo i się włamać.

Na ganku strzepnął śnieg z głowy i z płaszcza. Przez kilka sekund rozglądał się za dzwonkiem. Gdy stwierdził, że dzwonka nie ma, uniósł dłoń i zapukał. Nagły odgłos niskiego, gromkiego warczenia ostrzegł go, że w domu jest pies. Sądząc po donośnym szczekaniu - duży.



Drzwi otworzyły się szeroko. Dallas spoglądał to na masywnego psa, przypominającego wilka, to na drobną, czarnooką kobietę, która stała obok groźnej bestii i jedną ręką głaskała ją po łbie. Kobieta odezwała się, ale nie zrozumiał ani słowa, bo wszystkie dźwięki zagłuszał świst wiatru.

Pochylił się. Pies się zjeżył i wyszczerzył ostre kły. Kobieta uspokoiła zwierzę słowami, których Dallas nie usłyszał.

Gestem dłoni zaprosiła go do środka, więc wszedł natychmiast i stanął po lewej stronie kobiety, bo po prawej stał pies.

- Dziękuję pani - odezwał się Dallas, czekając tuż za progiem. - Mój samochód wpadł do rowu niedaleko stąd, a komórka mi wysiadła, więc...

Zatrzasnęła drzwi, pochyliła się i wyszeptwała coś do psa, a potem odwróciła się i spojrzała Dallasowi w oczy.

- Proszę, niech pan wejdzie do salonu i ogrzeje się przy kominku.

Dallas wpatrywał się w najciemniejsze i najbardziej hipnotyzujące oczy, jakie w życiu widział - oczy koloru czarnej, żywej ziemi. Czemu ta kobieta się go nie boi? Może myśli, że pies jest w stanie obronić ją przed wszelkim złem? Przecież musi wiedzieć, że w hrabstwie Cherokee grasuje zabójca. Może powinien się przedstawić, żeby ją uspokoić, gdyby obawiała się przyjąć u siebie zupełnie obcego człowieka.

- Jestem Dallas Sloan, agent specjalny FBI. - Rozpiął kurtkę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni po legitymację i plakietkę służbową, które uniósł tak, żeby mogła się im przyjrzeć.

- To pan jest tym agentem, który dzwonił do Jacoba? - Spojrzała na legitymację i się uśmiechnęła.

- Do Jacoba?

- Do szeryfa Jacoba Butlera.

- Tak, to ja do niego dzwoniłem. Zna pani szeryfa? - Domyślał się, że w takim miejscu znajdują się wszyscy.

- Jacob to mój kuzyn, ale jesteśmy jak rodzeństwo.

Uśmiechnęła się. Z delikatnej twarzy emanowały łagodność oraz ciepło. Dallas przyjrzał się kobiecie - od długich rozpuszczonych czarnych włosów poprzez drobne, delikatne ciało ukryte pod wytartymi dżinsami i czerwoną flanelową koszulą w kratę, po stopy w kozakach. Była egzotyczną pięknoscią. Miała skórę koloru kawy z mlekiem, a całości dopełniały pełne, naturalnie różowe usta, szczupły nos i oczy w kształcie migdałów.

- Działa pani telefon? - spytał szorstko, kiedy dotarło do niego, że się na nią gapi. Odwrócił wzrok, zły na siebie, że dał się omamić wyjątkowej urodzie. - Wezwałbym lawetę albo taksówkę...

Roześmiała się, a jej śmiech przypomniał dźwięk pobrzękujących na wietrze dzwoneczków.

- Przepraszam - odezwała się. - Nie śmieję się z pana. Telefon jeszcze działa. Ale nikt nie wypuści się w góry w taką noc. Poza tym obawiam się, że w Cherokee Pointe nie ma taksówek. Jedyłą taksówką w mieście jeździł stary John Berryman, ale zmarł i nikt nie przejął po nim interesu. W tych rejonach mało kto potrzebuje taksówki.

Dallas sapnął, przesunął dłonią po twarzy i poczuł twardy zarost na brodzie.

- Chce pani powiedzieć, że utknąłem?

- Tak. Przynajmniej dopóki śnieżycy się nie uspokoi i drogi nie staną się przejezdne. Rano władze wyślą brygady do odśnieżania dróg.

- Czy bardzo bym się narzucił, gdybym...

- Może pan się zatrzymać - powiedziała bez chwili wahania.  
- Mam dużo miejsca. W tym starym domu mieszkamy tylko Drudwyn i ja.

- Proszę pani, nie powinna pani opowiadać obcemu człowiekowi, który zjawia się u pani w domu, że mieszka pani sama. - Spojrzał na nią i się uśmiechnął. - Wyjadę z samego rana. Tak szybko, jak uda mi się...

- Na pewno nie jutro rano - ucięła. - Pługi dotrą tu najwcześniej po południu. Do Cherokee Pointe powinien pan dotrzeć wieczorem. Oczywiście pod warunkiem, że do rana przestanie sypać śnieg, ale wydaje mi się, że przestanie.

- Nie mogę tu być tak długo. Muszę porozmawiać z szeryfem Butlerem najszybciej jak to możliwe.

Wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni. Zareagował na jej dotyk każdym nerwem. Miał wrażenie, że skóra mu płonie.

- Zadzwońię do Jacoba i powiem mu, że jest pan u mnie. O wszystkim może pan z nim porozmawiać przez telefon.

- Co powie na to, że nocuje u pani obcy mężczyzna?

- Na pewno pana ostrzeże, żeby się pan pilnował, ale nie będzie się o mnie zbytnio martwił. Wie, że Drudwyn zagryzłby każdego, kto chciałby zrobić mi krzywdę.

Jakby rozumiejąc słowa swojej pani, olbrzymi pies warknął złowrogo.

- W porządku, stary, wszystko rozumiem. Nie zrobię jej krzywdy. - Dallas podniósł ręce w geście poddania.

- Wytłumaczyłam mu - powiedziała. - Wie, że nie chce pan zrobić mi nic złego, ale chyba jest trochę zazdrosny. Wydaje mu się, że jest tutaj najważniejszy, a wyczuwa, że pan też ma dominującą osobowość i wkracza na jego terytorium.

- Ale nie muszę się bać, że podgryzie mi gardło, jak będę spał? - spytał Dallas, nie do końca żartem.

- Proszę zdjąć kurtkę i rękawiczki. Powieszę je, powinny wyschnąć za kilka godzin.

- Dzięki. - Ściągnął kurtkę, zdjął rękawiczki i podał je kobiecie.

- Niech pan wejdzie do salonu i usiądzie przy kominku. - Wskazała ręką pokój po lewej stronie, biorąc od niego ubranie. - Przyniosę panu herbatę i kanapkę, jeżeli ma pan ochotę.

- Nie chcę sprawiać kłopotu. - Południowa gościnność. Ta kobieta zdobyłaby pierwszą nagrodę w konkursie na idealną gospodynię.

- To żaden kłopot - odpowiedziała i zniknęła w korytarzu. Na szczęście Drudwyn poszedł za nią. - W salonie jest telefon! - krzyknęła po chwili. - Może pan zadzwonić do Jacoba. Proszę spróbować najpierw do biura szeryfa, a jeżeli go tam nie będzie, to dam panu numer domowy.

- Dobrze, dziękuję. Zadzwonię do niego.

Dallas rozejrzał się po salonie i nagle poczuł się tak, jakby cofnął się w czasie. Przypuszczał, że wszystko w tym pokoju miało przynajmniej pięćdziesiąt lat, a może i więcej. Ściany wyłożone były do połowy starymi drewnianymi panelami, prawdopodobnie patynowaną sosną, połyskującą w łagodnym świetle kominka i dwóch lamp, ustawionych po obu stronach sofy. Meble wyglądały jak eksponaty muzealne. Różniły się tylko tym, że nosiły ślady użytkowania - musiały służyć wielu pokoleniom. Podłoga wykonana była z białych, nieskazitelnie czystych desek, wypolerowanych woskiem na wysoki połysk.

Uwagę Dallasa zwrócił nowoczesny przenośny telefon na otwartym antycznym sekretarzyku. Dzięki Bogu, że chociaż jedna rzecz była z tej epoki. Wziął telefon i usiadł na jednym z dwóch foteli przy kominku. Jego wilgotne ubranie przeniknęło ciepło. Westchnął. Przyjechał tu w potwornej zamieci i gdyby nie

opatrzność, musiałby tkwić w samochodzie w rowie. Los zawiódł go jednak do ciepłego, przyjaznego domu.

Usiadł wygodnie, wyjął mały, czarny notatnik i go otworzył. Głośno przeczytał numer, który zapisał wieczorem przed wylotem z Waszyngtonu. Wsiadł w pierwszy samolot do Knoxville, nie czekając na poranny lot, którym dostałby się na małe lotnisko w Cherokee Pointe. Teraz doszedł do wniosku, że powinien był polecieć porannym samolotem.

Włączył telefon i wybrał numer wydziału szeryfa. Po drugim sygnale usłyszał męski głos.

- Agent specjalny Dallas Sloan - zwrócił się do mężczyzny, który przedstawił się jako agent Bobby Joe Harte. - Zostałem szeryfa Butlera?

- Przypadkiem tak. Proszę poczekać, poszukam go. Wiem, że spodziewa się pana dziś wieczorem.

- Utknąłem - powiedział Dallas. - Dotrę do miasta najwcześniej jutro.

Dallas czekał na odpowiedź, ale jej nie usłyszał. Zorientował się, że stracił połączenie. Cholera. Więc jednak dziś wieczorem nie porozmawia z szeryfem Butlerem.

- Dodzwonił się pan do Jacoba? - spytała kobieta, wchodząc do pokoju ze srebrną tacą w dłoniach.

Dallas natychmiast się poderwał. Wziął tacę i zaniósł do ławy stojącej przy kominku, którą wskazała mu gestem dłoni.

- Dodzwoniłem się do policjanta o nazwisku Harte, ale nie zdążyłem porozmawiać z szeryfem, bo połączenie zostało przerwane.

Gestem poprosiła, żeby usiadł.

- To znaczy, że warstwa lodu zrobiła się za ciężka i przerwała linię telefoniczną. - Uniosła srebrny czajnik z herbatą i nalala czerwonobrazowego płynu do filiżanek z chińskiej

porcelany. - Zrobiłam panu kanapkę z sałatką z kurczaka. Może być?

- Zawsze jest pani taka gościnna dla obcych, których wywieje w góry? - Wziął od niej filiżankę z herbatą. - W takim razie dziwi mnie, że pani kuzyn Jacob nie poprosił pani, żeby była ostrożniejsza. - Rozejrzył się po pokoju. - A właśnie, gdzie się podział pani towarzysz?

Usiadła naprzeciwko Dallasa i zdjęła lnianą ściereczkę z talerza z chińskiej porcelany w różę, ukazując wielką, smakowitą kanapkę. Dallasowi burknęło w brzuchu. Od obiadu nie miał nic w ustach, a było to ponad dziesięć godzin temu.

- Został w kuchni - odpowiedziała.

- Sam z siebie?

- Po wspólnych uzgodnieniach. - Wpatrywała się w niego bez skrępowania, aż poczuł dziwne ściskanie w żołądku. - Niech pan je, panie Sloan.

Jego nazwisko wypowiedziane ze śpiewnym południowym akcentem zabrzmiało tak, jakby ociekało słodyczą. Znów poczuł, że ścisza go w żołądku. Działo się z nim coś bardzo dziwnego. Nie miał w zwyczaju reagować na kobiety w ten sposób. Nigdy.

- Nie wiem, jak się pani nazywa. - Wysiłił się na uśmiech. Cholera, wcale nie było mu do śmiechu i miał ochotę wybiec z domu, jak najdalej od tej dziwnej, ale niezwykle intrygującej kobiety.

- Genevieve Madoc. Ale mówią na mnie Genny.

Genevieve. Pasuje do niej. Genny również. Staroświeckie, nieco romantyczne imię.

- Dziękuję pani za gościnność.

- Nie ma za co.

Jeszcze raz wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni, ale tym razem z zamkniętymi oczami. Do diabła, co ona wyprawia? Nagle cofnęła dłoń.

- Coś się stało? - spytał.

- Bardzo pan cierpi - odezwała się. - Tak bardzo, że ból jest prawie nie do zniesienia. To nie pana wina, że ona zginęła. I to nie pana wina, że nie schwytał pan zabójcy. Ale odnajdzie go pan. Niedługo.

Dallas wypuścił kubek z rąk. Filiżanka upadła na drewnianą podłogę i roztrzaskała się na kawałki. Po lśniącej powierzchni rozlał się gorący płyn. Przypatrywał się Genny przez dobrych kilka minut. Miał wrażenie, że czas stanął w miejscu.

- Przepraszam. - Schylił się, żeby pozbierać skorupy. - Proszę dać mi ścierkę, to...

- Nic się nie stało. Ja się tym zajmę. Proszę. - Nalała herbaty do swojej filiżanki i mu ją podała. - Niech pan pije, je i odpoczywa. Zadbam o pana.

Zanim zdążył zareagować, wstała i szybkim krokiem skierowała się do drzwi. Wpatrywał się w nią, zdumiony jej słowami. Zadbam o pana.

- Skąd pani wie o mojej siostrzenicy? - spytał.

- Jacob mi chyba wspomniał - odpowiedziała, przystając w progu.

Wydawało mu się, że Genny ma w sobie coś niepokojącego. Ochłoń, Sloan, zgañł się. Jesteś zmęczony, zestresowany i od pół roku nie miałeś kobiety. Przesadnie reagujesz na zwykłą ludzką uprzejmość.

Może to prawda, ale miał nieodparte wrażenie, że Genevieve Madoc odmieni jego życie na zawsze.

Położył jej bezwładne ciało na środku łóżka, spojrzął na nią i się uśmiechnął.

Druga ofiara wpadła mu w ręce tak samo łatwo, jak pierwsza. Opatrzność czuwa, jak zawsze. Pierwszych czterech

ofiar nie musiał nigdy wybierać - zawsze same wpadały mu w ręce. On tylko czekał. Czasami wystarczyło kilka dni. Czasami - kilka tygodni. Ale były niezbędne. Ich krew podtrzymywała go, wzmacniała i przygotowywała na piątą ofiarę.

Będzie nieprzytomna przez kilka godzin. Na tyle długo, żeby zdążył ją rozebrać i się zadowolić. Doszedł do wniosku, że przy tak brzydkiej pogodzie nie ma sensu organizować ceremonii na dworze. Gdzie znajdzie odpowiednie miejsce do złożenia ofiary? Żeby dopełnić dzieła wystarczą mu ołtarz i zupełne odosobnienie.

Nie mógł jej tu trzymać zbyt długo. Ryzykowałby, że go znajdą. Szybko musi wybrać miejsce, gdzieś niedaleko, bo długa jazda w zimowej zamieci nie wchodzi w grę. Przed brzaskiem położy ją na ołtarzu, wypowie uroczyste, święte słowa, których nauczył się jako dziecko, a później, kiedy nad wschodnim horyzontem zaświta, złoży ofiarę.

Jedną ofiarę już złożył. Zostały mu jeszcze trzy i posiadzie tę, która da mu więcej mocy niż wszystkie inne piąte ofiary razem wzięte. Sama myśl o tym nieznośnie go podniecała.

Nieprzytomna Cindy Todd leżała na pryczy w piwnicy, a on rozpiął spodnie, uwolnił swój członek i zaczął się onanizować. Po kilku chwilach na jej nagi brzuch trysnęła sperma.

## Rozdział 4

Wielki Jim Upton nalał sobie brandy i robił, co mógł, żeby nie słyszeć piskliwego głosu żony. Nie dlatego, że jej nie kochał. Owszem, kochał. Była dobrą kobietą, ale nie tą jedyną. Poślubił ją ponad pięćdziesiąt pięć lat temu, by zemścić się na miłości



swojego życia, która wyszła za innego mężczyznę. Nie żałował, że się z nią ożenił, przynajmniej do niedawna. Reba dała mu syna i córkę - wspólnie przeżyli stratę obojga. Przez lata żyli nadzieją, że ich jedyny wnuk wyrośnie na porządnego, odpowiedzialnego człowieka. Jamie miał trzydzieści lat i powinien się w końcu ustatkować, ale Jim nie miał złudzeń, że stanie się to w najbliższym czasie.

- Do diabła, gdzie on się podziewa? - jęknęła Reba, przechadzając się po salonie. - Jak mógł bez słowa zniknąć z własnego przyjęcia?

Jim zerknął na siedzącą w drugiej części pokoju nową narzeczoną Jamiego. Laura Willis siedziała na kanapie, wbijając wzrok w splecione dłonie, spoczywające na kolanach. Była o niebo lepsza niż kobiety, które poprzednio przywoził do domu - dwie narzeczone w ciągu ośmiu lat. Nie ożeni się z tą dziewczyną, podobnie jak nie ożenił się z tymi, które przywoził wcześniej, a ona pewnie jeszcze o tym nie wie. Ale się dowie. Być może dziś wieczorem. Jim chyba domyślał się, dokąd pojechał Jamie. Kiedy zjawiał się w Cherokee, nawet zimowa zawierucha nie była w stanie utrzymać go z daleka od Jazzy Talbot.

- Może ma problem z samochodem i dlatego nie wrócił? - Laura uniosła głowę, ale nie spojrzała w twarz Jimowi ani Rebie.

- Mógł zadzwonić - skwitowała Reba. - Telefon ma sprawny. Sama sprawdzałam kilka minut temu.

- Jaki jest sens, żebyśmy dłużej tu siedzieli? - spytał Jim. - Jak wróci, to wróci. Nie ma w sobie za grosz odpowiedzialności ani przyzwoitości.

- No, wiesz, Jim?! - oburzyła się Reba. - Co pomyśli sobie droga Laura, słysząc, jak wyrażasz się o własnym wnuku?

Droga Laura? Jim zachichotał skrycie, z całych sił powstrzymując uśmiech. Jak tylko Reba dowiedziała się, że

rodzice Laury, Willisowie z Lexington w Kentucky, są współwłaścicielami hodowli koni, wzięła Laurę pod swoje skrzydła. Reba, bardziej niż czegokolwiek innego, pragnęła, żeby Jamie dobrze się ożenił. Znaczyło to, że powinien poślubić odpowiednią dziewczynę z dobrego domu. Zadbała także, żeby ich syn Jim junior i córka Melanie znaleźli odpowiednie partie.

Przypuszczał, że Jim junior i jego żona byli umiarkowanie szczęśliwi, zwłaszcza po narodzinach Jamiego. Melanie jednak została nieszczęśliwą żoną senatora stanowego, syna jednej z przyjaciółek Reby z bractwa studenckiego. Biedna, kochana Melanie. Najśłodsze dziecko. Najbardziej oddana z córek. W czwartą rocznicę ślubu odeszła od męża. Dopiero dwanaście lat później dowiedzieli się prawdy. Nie od niej, a o niej. Policja z Memphis zadzwoniła z informacją, że ich córka nie żyje. Przedawkowała narkotyki.

- Zadzwońię do szeryfa Butlera. - Reba ruszyła w kierunku wyjścia z pokoju.

- Poczekaj! - krzyknął za nią Jim. - Oboje wiemy, gdzie jest. Nie ma sensu zawracać głowy Jacobowi Butlerowi o tej porze. Dochodzi pierwsza w nocy. Poza tym, teraz już drogi są zasypane, więc nawet nie będzie próbował wrócić dziś do domu.

- Wie pan, gdzie on jest? - Laura odważyła się spojrzeć niebieskimi, błyszczącymi oczami w ciemne oczy Jima.

- Nie, nie wie, po prostu się domyśla. - Reba odwróciła się i podbiegła do kanapy. Usiadła obok Laury i zgaśniła Jima wzrokiem.

- Do licha, Rebo, może powinna znać prawdę? I tak niedługo się dowie.

- Zamknij się, Jim - warknęła oschle Reba.

- Czego... czego państwo nie chcą mi powiedzieć? Jest inna kobieta?

- Tak! - wykrzyknął Jim.

- Nie! - zawtórowała mu Reba.

Jimowi zrobiło się żal Laury. Była taka młoda, miała pewnie nie więcej niż dwadzieścia dwa lata i sprawiała wrażenie szaleńczo zakochanej w Jamie. Oczywiście, one wszystkie były szaleńczo zakochane, każda naiwna, którą poprosił o rękę. Większość kobiet z miejsca ulegała urokowi Jamiego, nawet Jazzy Talbot. To jest kobieta dla niego! Niestety, ma nieodpowiednie pochodzenie. Gdyby nie to, Reba by ją zaakceptowała. Jeżeli jakiegokolwiek kobiecie udało się doprowadzić Jamiego do ołtarza, to tylko Jazzy Talbot.

- Jamie ma tu, w Cherokee kilku dobrych przyjaciół - oznajmił Jim. - Szczególnie jednego. Zwykle odwiedza go, jak tylko zjawia się w domu. Pewnie jest w tej chwili u niego.

- Czy ten przyjaciel to kobieta? - spytała Laura ledwie słyszalnym szeptem.

- Ależ skąd - zaprzeczyła Reba. - To dawny kolega ze szkoły. Grali razem w piłkę.

Jim mruknął zdegustowany, wznosząc oczy ku niebu. Niech Reba kłamie z powodu wnuka, on nie ma zamiaru.

- Zostańcie tu, panie, jak długo chcecie. Ja idę spać.

- Jim, proszę, zadzwoń do kolegi Jamiego i sprawdź, czy jest u niego. - Reba spojrzała na niego błagalnie. - Może miał wypadek albo...

- Idźcie na górę i szykujcie się do snu - powiedział Jim. - Ja zadzwonię do Jaz... Jaya i sprawdzę, czy jest tam Jamie.

- Chodź, moja droga. - Reba podniosła się i poczekała, aż Laura wstanie. Wzięła ją pod ramię i wyprowadziła z salonu na korytarz, kierując się w stronę głównych schodów.

Kiedy weszły na półpiętro, Jim zaszył się w swoim gabinecie. Włączył lampkę, stojącą na masywnym dębowym biurku, usiadł na skórzanym obrotowym fotelu i przeszukał swój wizytownik. Ostatnim razem, kiedy Jamie zjawił się w

domu po długiej nieobecności, przyrzekł sobie, że nie będzie go pilnował. Robił wszystko, co mógł, żeby utrzymać go w cuglach, żeby zrobić z niego mężczyznę, ale bez skutku. Ciężko było mu to przyznać, ale Jamie okazał się całkowitą porażką wychowawczą. Winił za to siebie i Rebę. To oni go zepsuli. Dawali mu wszystko, czego tylko chciał. Ale jemu zawsze było mało i nigdy nic nie uszczęśliwiało go na dłużej.

Nie pozwolili mu tylko na jedno - na życie z Jazzy Talbot. Kiedy miał dwadzieścia lat, chciał się z nią ożenić, ale Reba sprzeciwiała się raz za razem, czego zresztą się spodziewał.

- To zwykła mała biała dziwka - powiedziała wtedy. - A ta jej ciotka jest nieźle szurnięta.

Jim nie odważył się pomyśleć, że gdyby pozwolili Jamieemu na ślub z Jazzy, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej. Małżeństwo by nie przetrwało. W życiu Jamiego nic nie trwało długo. Chciał różnorodności, podniety i wyzwania. Ale najbardziej ze wszystkiego chciał tego, czego nie mógł mieć. To dlatego nadal tak cholernie pragnął Jazzy. Niejeden raz ta dziewczyna przechodziła przez niego piekło.

Jim podniósł słuchawkę telefonu, wybrał numer i czekał.

Odezwała się po piątym sygnale.

- Tak? - spytała zaspianym głosem.

- Jazzy, tu Jim Upton.

- Czego pan chce?

- Reba się martwi, bo Jim zniknął z przyjęcia powitalnego i nie wrócił. Może przypadkiem jest z tobą?

- Domyślam się, że nowa narzeczona nie siedzi z panem w pokoju? - roześmiała się Jazzy.

- Nie, poszły z Rebą szykować się do snu.

- Jamiego tu nie ma.

- A może wiesz, gdzie jest?

- Może.

- A mogłabyś mi powiedzieć?  
- Przyszedł do mnie do Jazzy's Joint. - Westchnęła. -  
Rozmawialiśmy. Spławiłam go. A Jamie jak to Jamie, wściekł się i uderzył do pierwszej z brzegu kobiety, żebym była zazdrosna.

- Poderwał jakąś przy barze?  
- Tak.  
- A wiesz...  
- Na imię jej chyba April czy Amber. Była w Jazzy's Joint parę razy, ale jej osobiście nie znam. Jamie chyba jest z nią.  
- Dziękuję, Jazzy. I... przepraszam.  
- Za to, że mnie pan obudził?  
- Za to też, ale przede wszystkim za to, że Jamie nigdy nie miał dość odwagi, żeby przeciwstawić się babce i ożenić się z tobą mimo jej sprzeciwu.

Jazzy milczała przez kilka minut.

- Niech pan powie tej jego nowej narzeczonej, żeby uciekała od niego gdzie pieprz rośnie.

W uchu Wielkiego Jima Uptona rozległ się sygnał.

Jacob, zamiast pójść do domu, wyciągnął się na leżance w swoim gabinecie w gmachu sądu. Przewracał się z boku na bok prawie godzinę, aż w końcu zasnął kilka minut po północy. Obudził go hałas za drzwiami gabinetu. Wcisnął guzik cyfrowego zegarka, żeby podświetlić tarczę. Dwanaście po czwartej.

- Natychmiast chcę się widzieć z Jacobem! - krzyknął męski głos.

- Ale on śpi - poinformowała intruza Tewanda Hardy. - Jest wycieńczony.

- Do diabła, kobieto, zejdź mi z drogi. Muszę rozmawiać z Jacobem.

Jacob usiadł na brzegu leżanki, przesunął dłonią po twarzy, ziewnął szeroko i wstał. Rozpoznał męski głos. Burmistrz Jerry Lee Todd. Co, u licha, wywołało u niego taką panikę?

Ledwie Jacob zrobił dwa kroki, drzwi biura otworzyły się z impetem i do środka wparował Jerry Lee, a za nim Tewanda.

- Przepraszam, Jacob - odezwała się. - Burmistrz nalegał, żeby się z tobą zobaczyć.

- Nic się nie stało - zwrócił się do swojej pracownicy. Tewanda była jedyną kobietą w jego zespole, w dodatku jednym z najlepszych pracowników, o ile nie najlepszym. Studiowała na uniwersytecie w Knoxville, i żeby mogła zrobić dyplom, ułożył jej grafik tak, by pracowała na nocną zmianę. Marzyła o pracy prawnika, a Jacob nie miał wątpliwości, że byłaby dobra w tym fachu. Już teraz orientowała się w prawie tak dobrze jak on, a może nawet lepiej.

- Musisz mi pomóc - oznajmił Jerry Lee.

- Co się stało?

Kiedy Tewanda włączyła górne światło w gabinecie, Jacob przyjrzał się burmistrzowi. Wyglądał jak śmierć na chorągwi. Przemoknięty do suchej nitki, z twarzą czerwoną od mrozu i włosami przyklejonymi do łysiejącej głowy, stanowił obraz nędzy i rozpacz. Jacob spojrzął nad ramieniem Jerry'ego Lee na Tewandę, która uniosła dłoń i dotknęła kilka razy szyi, pokazując, że jej zdaniem burmistrz jest pijany.

- Piłeś? - spytał Jacob.

- Tak, piłem - odpowiedział. - Byłem wieczorem u Wielkiego Jima na powitalnym przyjęciu Jamiego i wypilem kilka kieliszków szampana. A potem w domu wypilem kilka szklanek szkockiej, żeby się rozgrzać. Ale nie jestem pijany. - Obrócił się na pięcie i spojrzął gniewnie na Tewandę. - Jestem zdenerwowany, do cholery, a nie pijany.

- Nie przeczę, burmistrzu. - Tewanda wzniosła oczy ku sufitowi.

- Mogłaby pani zostawić nas samych? Muszę porozmawiać z Jacobem na osobności - powiedział Jerry Lee.

Tewanda bez słowa odwróciła się i wyszła z gabinetu, zostawiając otwarte drzwi. Jerry Lee zamknął je kopniakiem.

- Kobiety nie powinny pracować w policji - stwierdził.

- Powiesz mi, o co chodzi? - Jacob skrzyżował ręce na piersiach. - Jest czwarta rano. Co takiego się stało, że nie możesz poczekać do rana?

- Cindy zaginęła.

- Co?

- Wyszła wcześniej z przyjęcia. - Jerry Lee potarł powieki. - Zabrała się z nowym lekarzem i jego żoną. - Otworzył oczy i podszedł do Jacoba, tłumacząc dalej z rozbieganym wzrokiem: - Rozmawiałem z nimi. Twierdzą, że wysadzili ją pod domem, około dziewiętej czterdzieści pięć. Wróciłem do domu chwilę po jedenastej, a jej nie było.

- Mogła mieć jakiś powód, żeby od ciebie odejść? - spytał Jacob, doskonale wiedząc, co połowa miasteczka mówiła na temat małżeńskich kłótni Cindy i Jerry'ego Lee.

- Nie odeszła ode mnie. Wszystkie jej rzeczy są w domu. Kiedy wyjeżdża na parę dni, pakuje kilka walizek. Ale nic nie zabrała.

- Może nocuje u przyjaciół. - Jacob celowo unikał wymieniania płci. Cindy słynęła z tego, że sypiała z kim popadnie i w trakcie sześcioletniego małżeństwa zdradziła Jerry'ego Lee z co najmniej sześcioma facetami.

- Nigdy nie zostaje na noc u przyjaciół. Do tej godziny zawsze wraca do domu. - Jerry Lee opadł na jedno z dwóch krzeseł, stojących przed biurkiem Jacoba. Na oczach Jacoba

postarzał się o dziesięć lat. - Wiem, co myślisz. Jesteś przekonany, że uciekła z jakimś facetem, ale mówię ci, że nie.

- Skąd ta pewność? - Jacob podszedł do Jerry'ego Lee i położył mu rękę na ramieniu.

- Jej ostatnim kochankiem jest ten Carson. Wiesz, ten, co chce zostać aktorem czy reżyserem i kieruje teatrykiem miejskim. - Jerry Lee splótł palce i wygiął je, aż strzeliły stawy. - Zadzwoń do niego, ale nie chciał ze mną rozmawiać, więc się do niego wybrałem. W końcu przyznał, że była u niego wieczorem, ale przysięgał, że wyszła przed jedenastą.

Jacob chciał współczuć Jerry'emu Lee, ale nie potrafił. Sam ściągnął na siebie to nieszczęście. Ożenił się z niewłaściwą kobietą, nie chciał pozwolić jej odejść, a później za swoje niepowodzenie wyzywał się na niej i na wszystkich dookoła.

- Daj mi listę jej przyjaciół - powiedział Jacob. - Około szóstej zadzwonię w parę miejsc.

- Nie jest u żadnego z przyjaciół. Mówię ci, że ma kłopoty. Czuję to... - Uderzył się zaciśniętą pięścią w brzuch. - Tutaj. W Cherokee grasuje zabójca...

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Cindy zapewne nie jest i za kilka godzin zjawi się w domu.

- Naprawdę tak myślisz? Jacob skinął głową.

- Chcę wypełnić formularz zgłoszenia zaginięcia - oznajmił Jerry Lee. - I jeżeli nie wróci do domu, chcę, żebyś...

- Jeżeli nie wróci do domu do południa, zadzwoń do Roddy'ego Watsona. Mieszkasz w mieście, zapomniałeś? Zaginięcie musisz zgłosić na policji w Cherokee Pointe.

- Tak, wiem. Ale wolałbym, żebyś to ty szukał Cindy. Znasz naszą historię i wszystko. Roddy i ja gramy razem w golfa, należymy do klubu okręgowego, nasze matki grywają razem w brydża. Sam rozumiesz.



Tak, Jacob rozumiał aż za dobrze. Jerry Lee nie chciał angażować swojego przyjaciela, komendanta policji, którego uważał za równego sobie. Jacobowi mógł wyznać, że spotkał się z nowym kochankiem Cindy, ale wobec przyjaciela nigdy nie zdobyłby się na taką szczerość.

- Jedź do domu, spróbuj odpocząć, a jeżeli Cindy nie pojawi się do południa, zadzwoń do mnie i wtedy zaczniemy działać.

Jerry Lee wstał zgarbiony, z wyraźnie zmartwioną miną.

- Dzięki. - Uścisnął dłoń Jacoba.

Jak tylko burmistrz wyszedł, Tewanda przyniosła do gabinetu szeryfa dwa kubki kawy i podała mu jeden. Spojrzał na nią zza biurka, i uśmiechnął się.

- Niezły z niego agent, co? - zagadnęła Tewanda.

- Nie wiem czemu, ale kiedy mówi pani coś takiego, mam wrażenie, że nie lubi pani naszego burmistrza?

- Lubić? - Tewanda parsknęła. - To bigot, który bije żonę i...

- Nie musi się pani gryźć w język, chcę usłyszeć, co pani o nim naprawdę myśli.

- Mam nadzieję, że Cindy Todd uciekła od niego z kimś innym na zawsze.

- Jeżeli uciekła z facetem, to mam nadzieję, że zostawiła Jerry'emu Lee jakiś liścik. Bo inaczej zwariujemy, jeśli nie wróci do domu. - Jacob upił łyk kawy i westchnął z zadowoleniem, kiedy poczuł, że jest świeżo zaparzona. - Dziękuję za dobrą kawę.

- Jak tylko otworzą Jasmine's o szóstej, pobiegnę i kupię na śniadanie parę bułek z kiełbasą - powiedziała Tewanda. - Ale mam masło orzechowe i krakersy, jeżeli pan ma ochotę.

- Nie, dziękuję. - Wyciągnął pomarańczowy kubek z kawą. - To na razie utrzyma mnie na nogach.

Tewarda spojrzała na zdjęcia porozkładane na biurku Jacoba - zrobione na miejscu zbrodni fotografie zmasakrowanego ciała Susie Richards.

- Od samego patrzenia robi mi się niedobrze.

Jacob zebrał zdjęcia, wsunął do teczki i odłożył na bok.

- Zrobiliśmy wszystko, co powinniśmy, ale obawiam się, że to nie wystarczy, żeby ująć tego faceta. Nie zostawił nam wielu tropów. Ukrył ślady jak profesjonalista, więc przypuszczam, że to dla niego nie pierwszozna.

- Czy ja dobrze słyszę? - Tewarda zadrżała.

- Tak. Jeżeli robił to wcześniej, zrobi to znowu. Mam tylko nadzieję, że schwytemy go, zanim zginie następna niewinna osoba.

Po niespokojnej nocy Jazzy obudziła się o świcie. Spała godzinę, obudziła się i myślała o Jamiem. Później przespała dwie godziny, obudziła się i znów myślała o Jamiem. Schemat powtarzał się przez całą noc, z jednym wyjątkiem - około wpół do drugiej obudził ją telefon Wielkiego Jima.

Czy widziała Jamiego? Cholera, oczywiście! Przyszedł do Jazzy's Joint około wpół do jedenastej. Wystarczyło, że na niego spojrzała i ścisnęło ją w żołądku. Do tej pory nie była pewna, czy to z pożądania czy ze strachu. Pewnie jedno i drugie.

Był jej pewien, a ona z ogromną przyjemnością posłała go do diabła. Naciskał, ale nie uległa.

- Było, minęło - powiedziała. - Wyzwoliłam się od przeszłości. Więc nie myśl sobie, że możesz, jakby nigdy nic, zjawiać się w moim życiu i wślizgiwać się do mojego łóżka. Nigdy więcej!

Połowa klientów Jazzy's Joint nie słyszała do tej pory, żeby Jazzy na niego krzyczała. Było jej wszystko jedno. Całe cholerne miasteczko znało ich gorzką historię - wszyscy wiedzieli, że

zaszła z Jamiem w ciążę, kiedy miała siedemnaście lat, i że jego babka zabroniła mu się z nią ożenić. Większość była przekonana, że poddała się aborcji, a ona nigdy temu nie zaprzeczała. Prawdę знаła jedynie garstka ludzi - ciocia Sally, Ludie, Genny i Jacob. Poroziła w połowie czwartego miesiąca. Kawalek jej serca umarł razem z tym małym, słodkim dzieckiem.

Kiedy wstała, przeszył ją panujący w sypialni chłód. Wyciągnęła rękę, wzięła szlafrok leżący w nogach łóżka i włożyła go po drodze do łazienki. Załatwiła się, a potem weszła do maleńkiej kuchni swojego mieszkania nad Jasmine's i szybko nastawiła ekspres do kawy.

Wyjrzała przez wschodnie okno i dostrzegła pierwszy, nikły blask jutrzeńki. Ciekawe, czy Jamie śpi w domu ze swoją nową narzeczoną, czy może jest w łóżku z kobietą o imieniu April, Amber albo jakoś inaczej na „A”, z cukierkowato brzmiącym nazwiskiem? Jest albo z jedną, albo z drugą. Kochał się z którąś z tych kobiet, przytulał ją, całował i szeptał jej do ucha słodkie, czule słówka. Tą kobietą mogła być ona. Wystarczyło tylko, żeby zaprosiła go z powrotem do swojego życia. Byłby z nią każdej nocy, dopóki nie wyjechałby z miasta, gdyby tylko powiedziała „tak”.

Jej ciało skręcało się z tęsknoty za jego ciałem.

Otworzyła lodówkę, wyjęła sok pomarańczowy i napiła się wprost z kartonu.

Zastanawiała się, czy jej ciało tęskniło za Jamiem, czy po prostu za mężczyzną? Jakimkolwiek? Nie była z nikim od bardzo dawna. Wbrew temu, co myśleli ludzie, traktowała seks bardzo poważnie. Przez lata, poza Jamiem, było kilku innych mężczyzn, ale niewielu. Na każdym z nich jej zależało, z każdym wiązała nadzieje i każdy ją rozczarował.

Może w głębi duszy zawsze będzie kochać Jamiego, ale wiedziała, że nie jest już w nim zakochana. Był dla niej trucizną. Za każdym razem, kiedy pojawiał się w mieście, przychodził do niej i rozbudzał nadzieję na coś prawdziwego i trwałego. Ale nie tym razem. Nigdy więcej. Za Jamiem Uptonem nie uroni już ani jednej łzy!

Dallas obudził się nagle, słysząc kobiecy krzyk. Usiadł na łóżku jak rażony piorunem. Przez chwilę nie pamiętał, gdzie jest. Jesteś w domu Genny Madoc w Tennessee, w górach, przypomniał sobie. Dobry Boże, czy to Genny krzyczy? Wyskoczył z łóżka i wciągnął spodnie, które poprzedniego wieczoru przerzucił przez cedrową ramę. Z kabury na biodrze wyjął półautomatycznego smith & wessona i wybiegł na ciemny korytarz.

- Genny?!

Cisza.

- Genny?! - krzyknął jeszcze raz, pędząc w stronę jej sypialni. Zapukał do drzwi. Żadnej reakcji. Zapukał znowu. Drudwyn zawył.

I wtedy usłyszał cichy, słaby głos.

- Pomocy...

Zamaszystym ruchem otworzył drzwi, nie wiedząc, czego się spodziewać. Zapalona lampa naftowa oświetlała gzyms kominka, na którym stała i rzucała cienie na drewnianą podłogę i tapetę w kwiaty. Genny leżała nieruchomo na środku łóżka, sztywna, wpatrując się w niego, kiedy do niej podchodził.

Drudwyn warknął, gdy Dallas znalazł się przy niej.

Genny zamknęła oczy i pies w jednej chwili zamilkł. Gdyby nie zdrowy rozsądek, Dallas pomyślałby, że pies czyta w jej myślach.

- Co się stało? - spytał, pochylając się nad nią i patrząc jej w oczy. - Źle się czujesz? Boli cię coś?

- Tak - wyszeptwała, kiwając głową.

Dobra, wie co nieco na temat pierwszej pomocy i potrafi poradzić sobie w typowych sprawach, ale jeżeli Genny dolega coś poważnego, to będą mieli problem.

- Możesz mi powiedzieć, co się dzieje? Jak mogę ci pomóc?

- Zostań ze mną. - Spojrzała na brzeg łóżka.

- Pomóc ci pójść do łazienki? - Może ma grypę żołądkową albo się zatrują.

- Nie mam mdłości. - Brakowało jej tchu, jakby biegła w wyścigu i była wycieńczona.

- Więc co się dzieje?

- Telefon działa? - Spojrzała na aparat na szafce nocnej.

Dallas przyłożył słuchawkę do ucha. Głucho.

- Nie, ciągle nie działa.

- Weź moją komórkę.

- Gdzie jest?

- W szufladzie, w nocnej szafce.

Otworzył szufladę, wyjął mały aparat i spojrzał na nią, czekając na polecenia.

- Zadzwoń do Jacoba. - Wyrecytowała numer.

- Cholera - zaklął Dallas. - Nie odbiera.

- Trudno. - Łzy napłynęły do oczu Genny. - I tak nie zdażyłby jej uratować, nawet gdyby udało nam się z nim skontaktować.

Dallas wrzucił aparat z powrotem do szuflady i usiadł na łóżku obok Genny.

- O czym ty mówisz? Kogo Jacob nie mógłby uratować?

- Kobiety, którą on zabije...

- Nie rozumiem...

- Miałam kolejny sen. Następną wizję. On znowu zabije. Może już złożył ją w ofierze.

Dallas chwycił Genny, szarpnął i posadził na łóżku. Ściskając jej kruche ramiona, spoglądał gniewnie w hipnotyzujące czarne oczy.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Widziałam ją na ołtarzu. Oświetlone okna. Kolory. Być może witraże. I miecz. Był podniecony. Czekał na właściwy moment.

Do diabła, o co tu chodzi? Co za zwariowany sen miała Genny?

- Widocznie miałaś koszmar - powiedział. - Zabójca jest na wolności, twoja wyobraźnia zaczęła pracować.

- To nie był zwykły sen... To była... - głos jej się urwał.

Zemdlała. Opadła w ramiona Dallasa. Delikatna. Krucha. Bezradna.

Zaklął głośno.

## Rozdział 5

Przez chwilę Dallas nie był w stanie trzeźwo myśleć. Liczyło się tylko to, że trzymał tę piękną kobietę w ramionach. Była niska i drobna, ale jej ciało miało doskonale kształty.

Teraz jej uniesione, pełne piersi przylegały do jego nagiego torsu, a długie, jedwabiste, czarne włosy opadały na jego ramiona. Wziął głęboki oddech, odsunął od siebie Genny i położył ją delikatnie na łóżku.

Powiedziała, że to nie był zwykły sen. Co to może znaczyć? Jakiś zwyrodnialec rozciął dziewczynę w środku lasu w okręgu,

w którym mieszka Genny. Jej kuzyn jest szeryfem i pewnie powiedział jej na temat brutalnego morderstwa więcej niż powinien. Zасыpiając, na pewno rozmyślała o popełnionej zbrodni i jej podświadomość wytworzyła przerażający koszmar.

Ciągle rozbrzmiewał mu w uszach krzyk przerażenia, który go obudził. Genny była jak sparaliżowana. Ale kiedy się obudziła i zorientowała, że nic jej nie jest i że nie jest sama, szybko powinna była dość do siebie. Lecz tak się nie stało. Zemdlała, jakby z niewiadomej przyczyny była całkowicie wyczerpana.

Kiedy tak leżała z zamkniętymi oczami, oddychając wolno i miarowo, przyglądał się jej twarzy. Twarzy anioła. Przesunął wzrok niżej i zatrzymał się na jej piersiach, które unosiły się i opadały w rytmie oddechu. Twarde brodawki odznaczały się pod bawełnianą tkaniną piżamy z długim rękawem.

Dallas z trudem przełknął ślinę. Nie pora teraz podniecać się ładnym ciałem. Skrzywił się dwie sekundy po tym, jak ta myśl pojawiła się w jego głowie. Do cholery, dlaczego to zrobił? Uznał, że ta kobieta wydała mu się atrakcyjna tylko pod wpływem pożądania. Stało się to jego przeklętym nawykiem. Zawsze, kiedy docierało do niego, że jakaś kobieta szczególnie go interesuje, wmawiał sobie, że nie ma w tym żadnych uczuć - tylko męskie libido.

Genny jęknęła cicho. Jej powieki drgnęły.

Dallas pogładził ją po policzku.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Strach, który widział zaledwie chwilę wcześniej, zastąpiło zmęczenie.

- Nic ci nie jest? - spytał.

- Jestem zmęczona. Bardzo zmęczona.

- Nie rozumiem. Dlaczego tak cię wykończył zwykły koszmar?

- Zawsze jestem po nich bardzo słaba.

Chciała unieść rękę, żeby go dotknąć. Kiedy zorientował się, ile wysiłku ją to kosztuje, ujął jej dłoń w swoją i przytulił do piersi.

Nic nie rozumiał. Chyba nieczęsto się zdarza, żeby koszmar tak wycieńczył człowieka.

- Mogę ci jakoś pomóc?
- Zostań ze mną. Proszę. Dopóki mi nie przejdzie.
- Zdarzyło ci się to wcześniej?
- Wiele razy. - Skinęła głową.
- Jak długo...
- Kilka godzin.
- Odpoczywaj. Będę przy tobie.
- Dallas?
- Tak?
- Od czasu do czasu sprawdzaj telefon. Trzeba powiadomić

Jacoba.

- O śnie?
- O drugiej ofierze.

Jego serce zamarło. Cholera! W głowie kłębiły mu się szalone myśli. Druga ofiara... Druga ofiara.

- Genny?

Nie odpowiedziała, więc spojrzał na nią i zorientował się, że zasnęła. Odłożył jej rękę, wstał z łóżka i zaczął się przechadzać po sypialni. Każdy jego krok śledził uważny wzrok Drudwyna.

- Co jej jest, stary? - zagadnął psa.

Drudwyn wstał, podszedł do Dallasa i zatrzymał się u jego boku. Spojrzeli na siebie z dziwnym zrozumieniem. Za Genevieve Madoc obaj skoczyliby w ogień.

- Cholera - zaklął Dallas pod nosem. Skoczyć za tą kobietą w ogień? Skąd przyszła mu do głowy taka myśl? Co się z nim dzieje? Prawie jej nie zna, kilka godzin temu zobaczył ją pierwszy raz w życiu.



Odsunął koronkowe firanki w długich, wąskich oknach i wyrzwał na dwór. Na horyzoncie pojawiło się światło brzasku, rozlewające się bladoróżową smugą na ciemnoszarym niebie. Śnieżyca musiała ustać w nocy, ale dostrzegł, że wszystko w zasięgu wzroku pokrywał biały puch.

Zaciągnął firanki, zaniknął oczy i starał się myśleć trzeźwo. Pozwolił, żeby sytuacja, w której się znalazł - odcięty od świata wraz z atrakcyjną kobietą, która jakimś sposobem bardzo szybko złapała go w sidła - zakłócała jego procesy myślowe. Można było pomyśleć, że Genny jest czarownicą, która rzuciła na niego urok.

Zachichotał. Tak, jasne. Czarownica? Nie wierzył w nic, czego nie można doświadczyć pięcioma zmysłami. Nie istniało dla niego nic, czego nie mógł zobaczyć, usłyszeć, dotknąć, posmakować lub poczuć. W prawdziwym świecie, w którym żył, nie było czarownic, uzdrowicieli, duchów, jasnowidzów ani aniołów stróżów. Tego rodzaju brednie nadawały się dla durni i zagubionych biedaków, którzy nie radzą sobie z rzeczywistością.

Rozejrzał się po pokoju. Był kobiecy, ale nie tandetny. Antyczne meble. Koronkowe firanki. Pastelowe kolory połączone z bielą. W rogu dojrzał wielki fotel, który wyglądał na wygodny. Podszedł do niego i usiadł, a potem uniósł swoją dużą stopę i położył na otomanie. Przebiegł go dreszcz, który przypomniał mu, że od pasa w górę jest nagi. Ściągnął biały, szydełkowy pled z oparcia fotela i się nim owinął.

Jak tylko telefony zaczną działać, zadzwoni po pomoc drogową, żeby wyciągnęli jego samochód z rowu, a potem podziękuje Genny za gościnność i będzie wiał stąd co sił w nogach. Ma do załatwienia sprawę z szeryfem Butlerem, a nie z jego czarującą kuzynką.

Musi znaleźć konkretny związek między morderstwem Susie Richards i Brooke. Przez ostatnich osiem miesięcy, odkąd

jego młoda siostrzenica została brutalnie zamordowana, każdą wolną minutę poświęcał na to, żeby odnaleźć jakikolwiek ślad zabójcy. Rytualne morderstwa nie były rzeczą niesłychaną. Okazało się, że w Stanach Zjednoczonych wydarzyło się ich więcej, niż Dallas przypuszczał. Wiele miało związek z pogańskim kultem szatana, ale na pewno nie wszystkie. Przez ostatnich osiem lat dwadzieścia cztery przypadki podobne do morderstwa Brooke pozostały niewyjaśnione. A najdziwniejsze było to, że dwadzieścia z nich najwyraźniej wystąpiło w seriach po pięć.

Dzięki pomocy Teri i Linca przez kilka miesięcy Dallasowi udało się stworzyć przerażającą hipotezę - ktoś składa ofiary z pięciu kobiet mieszkających w tym samym regionie, w okresie trwającym przeciętnie od trzech do sześciu tygodni. Proceder rozpoczyna się od nowa w innym regionie rok lub dwa lata później i przebiega według tego samego scenariusza. Zdołał połączyć te fakty zaledwie kilka tygodni temu, więc nie zdążył odwiedzić każdego okręgu i zbadać wszystkich dowodów.

Jeżeli jednak jego przypuszczenia są słuszne i Susie Richards była pierwszą ofiarą, to znaczy, że w Cherokee jeszcze czterem kobietom grozi niebezpieczeństwo. I że tutaj jest zabójca Brooke.

Policjant Bobby Joe Harte zapukał do drzwi gabinetu Jacoba, a potem wsunął głowę do środka.

- Dzwonił przed chwilą komendant Watson. Powiedział, żebyś przyjechał do niego najszybciej, jak się da. Jest w kościele kongregacyjnym, znaleźli tam martwe ciało. Przypadek podobny do Susie Richards.

- Co?

- Nic więcej nie powiedział. Kazał ci przekazać, żebyś się tam zaraz zjawił.

- Cholera! Co tu się dzieje? W Cherokee od lat nie mieliśmy morderstwa, a teraz nagle dwa w ciągu czterdziestu ośmiu godzin?

Jacob zapiał kaburę, włożył skórzaną kurtkę, zdjął stetsona z wieszaka przy drzwiach i opuścił biuro. Ostrożnie szedł po oblodzonym chodniku do swojej ciężarówki. Buty za kostkę zostawiały głębokie, duże ślady na spiętrzonej przy krawężniku śniegu. Otworzył czarnego dodge'a rama, wsiadł do środka i odpalił samochód. Czekając aż silnik się rozgrzeje, pozwolił myślom błądzić. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, ubiegając się w zeszłym roku o stanowisko szeryfa.

Urodził się i dorastał w hrabstwie Cherokee jako biedny chłopak, mieszanec. W wieku osiemnastu lat zaciągnął się do marynarki. Dziesięć miesięcy temu, kiedy odszedł ze służby po latach w fokach i wrócił do domu, powitano go jak bohatera. Kiedy Farlan MacKinnon zaproponował mu, żeby ubiegał się o stanowisko szeryfa, nie potraktował jego poparcia poważnie. Ale Farlan nalegał. A na ogół dostawał to, czego chciał. Był jednym z dwóch najbogatszych ludzi w okręgu i najbardziej wpływowym człowiekiem w swojej partii. Obiecał Jacobowi, że jeżeli wystartuje w wyborach, wygra. Miał rację. Teraz Jacob zastanawiał się, po jaką cholere dał się Farlanowi namówić na tę robotę.

Przywołało go do rzeczywistości trąbienie klaksonu. Spojrzał przez częściowo oszronioną tylną szybę i dostrzegł Royce'a Pierponta w srebrnym lexusie sedanie, który machał mu ręką. Jacob pomachał mu również. Po co Royce otwiera dziś swój sklep ze starociami? - zastanawiał się. Przy takiej pogodzie w mieście nie będzie żadnych turystów, a i miejscowych z pewnością niewiele.

Jacob wrzucił wsteczny i wycofał samochód. Prowadził powoli i uważnie, bo asfalt nadal pokrywała cienka warstwa lodu.

Kościół kongregacyjny - wielka, ceglana konstrukcja, wybudowana na początku XX wieku i od czasu do czasu odnawiana - znajdował się u zbiegu ulic Monroe i Highland. Jacob zaparkował, wysiadł i ruszył chodnikiem. W środku i na zewnątrz, niczym rój pszczół, krążyli policjanci. Wyglądało na to, że przybył tam cały wydział policji Cherokee Pointe.

Komendant Watson czekał na Jacoba w przedsionku.

- Cieszę się, że jesteś - powiedział, jak tylko go zobaczył. - Krwawa jatka.

- Bobby Joe mówił, że według ciebie ten przypadek jest podobny do morderstwa Susie Richards...

- Kolejne rytualne zabójstwo - stwierdził Watson. - Widziałem zdjęcia Susie Richards, które zrobił twój wydział, ale mówię ci, dopóki człowiek nie zobaczy tego na własne oczy, nie jest w stanie sobie wyobrazić takiej potworności.

- Mogę wejść? - Jacob przygotował się na obraz kolejnej straszliwej zbrodni.

Komendant Watson wprowadził go do kościoła. Przez witrażowe okna sączyły się tęcze promienie poranka i oświetlały drewniane ławki z siedziskami z czerwonego aksamitu.

- Jest tam, na ołtarzu - oznajmił.

- Hm...

Kilku pracowników zakładu medycyny sądowej krzątało się, zbierając dowody. Jacob podszedł bliżej, spojrzał i szybko odwrócił wzrok.

- Cindy Todd.

Na ołtarzu leżała naga żona burmistrza. Jej łydki i stopy zwisały bezwładnie. Otwarta rana od piersi do wżgórka łonowego lśniła od krwi i ukazywała wnętrznosci.

- Człowiekowi może zrobić się niedobrze - stwierdził Watson, błady i spocony.

- Czy ktoś powiadomił Jerry'ego Lee? - spytał Jacob.

- Dzwoniłem do niego, zanim zadzwoniłem do ciebie. Poprosiłem, żeby przyjechał na komendę policji, ale nie mówiłem nic konkretnego. Powiedziałem tylko, że to ważne.

- Przyjechał do mnie do biura nad ranem, szukał jej.

- Chyba nie sądzisz, że Jerry Lee mógłby...

- To nie w jego stylu - skwitował Jacob. - On by ją prędzej zastrzelił albo zatłukł na śmierć. Poza tym, wszystkie znaki wskazują na podobieństwo do zabójstwa Susie Richards.

- Myślisz, że mamy w Cherokee Pointe seryjnego zabójcę?

- Za wcześnie na takie stwierdzenia. - Jacob pokręcił głową. - Może to jakieś obrzędy.

- Masz na myśli kult szatana?

- To tylko jedna z możliwości. - Jacob rozejrzał się i szybko namierzył wzrokiem nowego duchownego i jego żonę, którzy, objęci, rozmawiali z funkcjonariuszem policji na tyłach świątyni.

- Kto znalazł ciało?

- Wielebny Stowe - odpowiedział Watson. - Jest w lekkim szoku, ale kto by nie był?

- A co tu robi jego żona?

- Po tym jak zadzwonił do nas z gabinetu, tam w korytarzu... - Watson wskazał położenie biura skinieniem głowy - ...poszedł do domu i czekał na nas. On i pani Stowe wrócili tu razem.

Jacob przez chwilę przyglądał się państwu Stowe'om, a później znów zwrócił się do komendanta.

- Chyba będziemy potrzebować pomocy. Ani twój, ani mój wydział nie jest tak wyposażony, żeby poradzić sobie z tego rodzaju zbrodnią zwłaszcza że mamy do czynienia z dwoma identycznymi morderstwami.

- Nie skreślaj nas tak od razu - obruszył się Watson. - Nie mam zamiaru wzywać pomocy z zewnątrz. Przynajmniej na razie.

- Myślisz, że twoi ludzie poradzą sobie z tą sprawą, jeżeli się okaże, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą?

- Do diaska, Jacob, przed chwilą chyba mówiłeś, że to prawdopodobnie kult szatana.

- Nie mam pewności. I w tym właśnie problem. Jestem nowy na stanowisku i brak mi doświadczenia w takich sprawach. Zaplecze biura szeryfa hrabstwa Cherokee jest ograniczone. A ja nie unoszę się dumą i potrafię zwrócić się o pomoc, kiedy jej potrzebuje.

- No to dalej, wezwij pomoc. Ja sobie dam radę sam. Jestem komendantem policji od piętnastu lat. Wiem, jak prowadzić dochodzenie w sprawie morderstwa.

Jacob wiedział, że z Roddym Watsonem nie ma sensu się sprzeczać, bo jest upartym, ograniczonym ignorantem.

- Rób jak uważasz.

Kiedy Jacob odwracał się do wyjścia, do kościoła z impetem wpadł Jerry Lee. Kilku policjantów bezskutecznie usiłowało go powstrzymać, a kiedy spróbowali obezwładnić burmistrza, komendant Watson gestem nakazał im zostawić go w spokoju. Jerry Lee podbiegł do ołtarza.

- Stój! - krzyknął za nim Watson. - Lepiej nie podchodź.

- To ona? - spytał Jerry Lee. - To moja Cindy?

- Tak, to Cindy - odpowiedział Watson. - Wierz mi, Jerry Lee, nie chcesz tego...

- Co się stało? Ona naprawdę nie żyje? - Jerry Lee przedarł się przez ekipę sądową, lekceważąc ich prośby by nie naruszać miejsca zbrodni.

- Cindy! O Boże, Cindy! - Jerry Lee znieruchomiał, kiedy zobaczył zmasakrowane ciało żony.

- Cholera - mruknął Watson.

Jacob podbiegł i chwycił Jerry'ego Lee za ramię, żeby nie zbliżył się do ciała Cindy.

- Puść mnie, do diabła. - Jerry Lee patrzył z żalem i wściekłością. - Muszę do niej podejść. Muszę z nią porozmawiać i jej dotknąć.

- Nie - uciął Jacob. - Pozwól policji spokojnie pracować, żeby mogli znaleźć sprawcę.

- Nie możesz mnie powstrzymać. To moja żona. - Jerry Lee wyrwał się. - Mam pełne prawo...

Jacob zamierzył się i pięścią uderzył Jerry'ego Lee w skroń. Burmistrz padł jak rażony piorunem.

- Niech dwóch twoich chłopaków odwiezie go do domu i pilnuje, dopóki się nie uspokoi - powiedział Jacob do komendanta Watsona.

- Kiedy oprzytomnieje, będzie wściekły jak jasny gwint - stwierdził Watson. - Ale nie miałeś wyjścia.

- Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybym był potrzebny.

Opuścił miejsce zbrodni, zostawiając zrozumiiałego, głupiego komendanta policji. W głowie miał mnóstwo pytań bez odpowiedzi.

Esther Stowe mocno trzymała męża za ręce, kiedy stali z tyłu świątyni. Przez ostatnią godzinę odpowiadali na niekończące się pytania, a mimo to nadal nie pozwalano im odejść. Dowiedzieli się, że komendant będzie chciał zweryfikować kilka kwestii. Esther nie była pewna, jak długo

jeszcze wytrzyma Haden. Nie był silny psychicznie. Gdyby nie jej siła, nie byłby dzisiaj tym, kim jest.

Czasami żałowała, że wyszła za mięczaka, i marzyła o mężczyźnie, który by jej dorównywał. Patrząc na nią i Hadena, nikt by się nie domyślił, że to ona dominuje. Publicznie zachowywali dość zabawne pozory staroświeckiej pary małżeńskiej, w której głową rodziny jest mąż. Haden Stowe nie miał jaj, żeby być głową rodziny, ale pozwalała mu grać tę rolę, bo było jej to na rękę.

- A jak się dowiedzą... - wyszeptał Haden.

- Nie dowiedzą się!

- A jeśli jednak...

- Zamknij się. Nie ma mowy, żeby się dowiedzieli. Nie trzymam tego w kościele, tylko w domu. Nie mają podstaw, żeby przeszukiwać dom.

- Jak to się mogło stać? Dlaczego tutaj? Dlaczego w moim kościele? - Spojrzał na nią oskarżycielsko. - To chyba nie ty...

- Nie gadaj bzdur, oczywiście, że nie.

- Ale została złożona w ofierze, tak jak tamta.

- Nie mamy nic wspólnego ani z jedną ani z drugą. Przecież wiesz.

Haden skinął głową.

Esther nie spuszczała wzroku z szeryfa, który wychodził z budynku. Z komendantem Watsonem da sobie radę. To idiota. Ale Jacob Butler to inna para kaloszy. Może się okazać niebezpieczny. Trzeba go obserwować. Bacznie.



## Rozdział 6

Genny budziła się powoli i leniwie. Czowała się bezpiecznie. Dopiero po kilku chwilach przypomniało jej się, co się stało. Ogarnął ją przejmujący smutek. Miała kolejną wizję. Jedną wczoraj o świcie, a dziś nad ranem drugą. Za każdym razem wyczuwała zamiary zabójcy. Wczoraj właściwie była świadkiem zbrodni. Dzisiaj tylko widziała leżącą na ołtarzu kobietę i czuła niecierpliwość mężczyzny. Och, Boże, biedaczka już pewnie nie żyje. Tym razem Genny otrzymała ostrzeżenie, jednak było już za późno, żeby pomóc drugiej ofierze.

Sypialnię oświetlało poranne słońce. Zorientowała się, że przespała kilka godzin. Rozejrzała się po pokoju i dostrzegła Dallasa Sloana, śpiącego na fotelu w rogu. Przy nim, zwinięty w kłębek na dywanie, leżał Drudwyn. Dziwne, że obronny pies zaakceptował tego mężczyznę, jakby i on wyczuwał, że można mu zaufać. Kiedy wstała z łóżka i opuściła bose stopy na podłogę, Drudwyn uniósł łeb i spojrzał na nią. Przyłożyła palce do ust. Drudwyn zamruczał cicho. Powieki Dallasa uniosły się gwałtownie, a jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Genny.

- Dzień dobry - powiedziała, sięgając po szlafrok, leżący w nogach łóżka.

Dallas wyprostował się, a biały bawełniany pled zsunął się z jego ramion, odsłaniając muskularny tors.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Skinęła głową, przewiązując paskiem różowy wełniany szlafrok i zaciskając go mocno wokół talii.

- Nie miałem zamiaru zasypiać, musiałem być wykończony. - Dallas odrzucił pled na bok, wstał i przeciągnął się.

- Więc nie sprawdzałeś telefonów?

- No, nie. - Pokręcił głową.

Genny wzięła słuchawkę z szafki nocnej i przyłożyła do ucha.

- Jeszcze nie ma sygnału. - Podeszła do okna, odsunęła zasłonę i zahaczyła o klamerkę w okiennej framudze. Wyrzała przez okno.

- Piękny dzień. Może słońce roztopi trochę śniegu. Jeżeli pług śnieżny do nas dotrą, po południu powinniśmy być w stanie dojechać do miasta.

Nie czekając na reakcję Dallasa, zawołała Drudwyna.

- Czas na spacer, psiaku. - Spojrzała na Dallasa. - Co powiesz na naleśniki z syropem klonowym na śniadanie?

- Pycha - odpowiedział. - Ale nie zwracaj sobie mną głowy. Przed wyjściem z domu zwykle piję tylko kubek kawy.

- Wypuszczę Drudwyna i przygotowuję śniadanie, a ty w tym czasie weź prysznic. Mam piecyk gazowy, więc ciepłej wody nam nie zabraknie, chociaż nie ma prądu.

- Dobry pomysł.

- Przykro mi, ale nie mam nic, w co mógłbyś się przebrać. Z moich rzeczy chyba nic nie będzie na ciebie pasować, a Jacob w zeszłym roku wyprowadził się do miasta i zabrał wszystkie swoje ubrania.

- Nie szkodzi.

- Dobrze. Jak się wykąpiesz, przyjdź do kuchni.

Dallas przyciągał ją jak magnes, ale siłą woli odsunęła się od niego. Szła do kuchni, tuż za nią Drudwyn, i zastanawiała się nad dziwnymi odczuciami, które wzbudził w niej Dallas Sloan. Od pierwszej chwili, kiedy poprzedniego wieczoru otworzyła mu drzwi, wiedziała, że stanie się dla niej kimś ważnym. Przyjacielem? Kochankiem? A może po prostu bodźcem, który odmieni jej życie? Nie była pewna. Wiedziała jedynie, że w jej życiu pojawił się wysoki, nieznajomy blondyn.

Kiedy otworzyła tylne drzwi, Drudwyn wybiegł na ganek, a potem na śnieg. Drżąc, zamknęła szybko drzwi. Światło wpadało do kuchni przez dwie pary podwójnych okien na zewnętrznych ścianach. Genny wcisnęła włącznik, żeby sprawdzić, czy jest prąd. Tak, jak podejrzewała, elektryczności nadal nie było. Postanowiła zaparzyć kawę w starym, metalowym czajniku. Postawiła go na kuchence gazowej i zajęła się przygotowywaniem ciasta na naleśniki. Usiłowała nie myśleć o porannej wizji, ale jej umysł raz za razem odtwarzał scenę.

Kolejna młoda kobieta nie żyje. Wiedziała, że ofiara była młoda, bo miała jędrne piersi i smukłe ciało. Kto zginął tym razem? I gdzie? Pierwsza kobieta została zamordowana na prowizorycznym ołtarzu w lesie. Ale tym razem ołtarz był bardziej wyszukany, podobny do kościelnego.

O Boże! Wielokolorowe światło. Witraże. Ozdobnie rzeźbiony ołtarz. Czyżby zamordował tę kobietę w kościele? W kościele w Cherokee Pointe?

Jej ręce zaczęły drżeć. Z dłoni wypadło surowe jajko, którego kleista zawartość rozbryzgała się po szerokich klepkach. Pośpiesznie sprzątnęła bałagan i powróciła do naleśników. W żaden sposób nie mogła pomóc drugiej ofierze, podobnie jak nic nie mogła zrobić dla Susie Richards. Dlaczego, Boże? Dlaczego dałeś mi ten niesamowity dar, a nie pozwalasz mi go wykorzystać, żeby uratować komuś życie?

Piętnaście minut później Dallas zastał ją przy kuchennym stole. Gęste, niesforne włosy miał jeszcze wilgotne, a jednodniowy, brązowy zarost nadawał surowej męskiej twarzy szelmowskiego wyrazu. Jego ciemne spodnie i biała koszula były pogniecione, ale najwyraźniej wcale nie był zakłopotany swoim lekko niechlujnym wyglądem. Dziwne, ale Genny wydał się przez to jeszcze bardziej interesujący.

- Coś ładnie pachnie - zagadnął.

- Siadaj. Śniadanie gotowe.

Usiedli naprzeciwko siebie przy dużym okrągłym stole i jedli w zupełnej ciszy, od czasu do czasu wymieniając między sobą spojrzenia. Ona bawiła się jedzeniem, a on jadł zachłannie i wziął dokładkę.

- Masz ochotę na drugą filiżankę kawy? - spytała, wstając od stołu.

- Siedź. To ja powinienem obsłużyć ciebie. Ty przygotowałaś śniadanie.

- I tak muszę wstać. Trzeba nakarmić Drudwyna i innych.

- Innych?

- Wiewiórki, szopy, ptaki i inne dzikie stworzenia, które są ode mnie zależne w taką pogodę.

- Chyba sporo wydajesz, skoro chcesz wykarmić wszystkie zwierzaki w lesie.

- Na swoje potrzeby pieniędzy mam aż nadto, więc dzielę się z innymi.

Dallas dokończył śniadanie, opróżnił czwarty kubek kawy, a potem zebrał naczynia i włożył je do zlewu. Wyrzwał przez okno i dostrzegł Drudwyna biegającego po śniegu, rozbawionego i tryskającego energią, mimo przeraźliwego zimna. Później zobaczył Genny. Miała na sobie ciężką czarną kurtkę, którą założyła na piżamę i szlafrok, na nogach grube kalosze, a na głowie naciągniętą na uszy czarną, wełnianą czapkę. Stała na środku ogródka, otoczona zwierzętami - wiewiórkami, szopami, oposami. Było też kilka lisów, jeleni i srebrnoszary wilk, a jej ramię i wyciągniętą rękę obsiadły ptaki.

Dallas zamrugał, żeby upewnić się, czy dobrze widzi. Wydawało mu się, że tę scenę po prostu sobie wyobraził. Nie był to jednak wytwór jego wyobraźni, lecz rzeczywistość. Genny Madoc oswoiła dzikie leśne zwierzęta. Przychodziły do niej jak

dzieci do matki. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. I chociaż teraz ujrzał to na własne oczy, nie mógł uwierzyć, że to prawda.

W dole brzucha pojawiło się dziwne uczucie. Wcześniej żartobliwie uznał, że jest czarownicą, która rzuciła na niego urok. Gdy teraz na nią patrzył, w tej scenerii, otoczoną gromadą zauroczonych zwierząt, myśl o tym, że Genny ma nadprzyrodzoną moc, nie wydawała mu się już tak zabawna.

Opanuj się, Sloan, zgań się. Genny nie jest czarownicą, bo czarownice nie istnieją. Nie rzuciła czaru ani na ciebie, ani na te zwierzęta.

Ciebie po prostu pociąga seksualnie. A co do zwierząt, pewnie dokarmia je od lat. Tak, trafił w sedno. Te wyjaśnienia wydały mu się sensowne i logiczne.

Nagle ptaki odfrunęły, a zwierzęta się rozpierzchły. Genny odwróciła głowę i spojrzała w stronę domu. Dallas usłyszał jednostajny odgłos silników.

Genny pobiegła do domu i ściągając kurtkę oraz czapkę, weszła do kuchni.

- Jada pługi śnieżne - wyrzuciła z siebie bez tchu. - Niedługo uda nam się dotrzeć do miasta.

- Nam? - spytał Dallas.

- Twój samochód tkwi ciągle w rowie, więc pojedziemy moim. Po twoje auto możemy wysłać lawetę. Chyba oboje chcemy się spotkać z Jacobem najszybciej, jak się da.

- A ty po co chcesz się z nim spotkać?

- Powiedzieć mu o drugiej ofierze - odpowiedziała. - Być może już wie. Jestem prawie pewna, że do zbrodni doszło w kościele, i to w jednym z ładniejszych w mieście. Żaden wiejski kościół nie ma witraży w oknach.

- O czym ty mówisz? Naprawdę masz zamiar zawracać głowę szeryfowi swoim zwariowanym snem? Chyba nie sądzisz, że to prawda? Że to, co ci się śniło, wydarzyło się naprawdę?

- Ty nie rozumiesz, prawda? - Genny przyjrzała mu się pytająco, jakby mówił do niej w obcym języku. - Nie, oczywiście, że nie. - Położyła kurtkę i czapkę na stole, zrzuciła buty. - Odświeżę się i ubiorę. Niedługo będziemy mogli wyruszyć do Cherokee Pointe.

Kiedy przemykała obok Dallasa, wyciągnął rękę i chwycił ją. Zatrzymała się, obejrzała przez ramię i spojrzała mu prosto w oczy, jakby pytając, o co chodzi.

- Masz rację, nie rozumiem - przyznał. - Może mi wytłumaczysz?

Usiłowała uwolnić się z uścisku. Puścił ją natychmiast.

- Wszyscy w okolicy o mnie słyszeli. Moja babka, a przed nią obie jej babki były... inne. Tak jak ja. Potrafię wyczuwać rzeczy, widzieć i czuć to, czego inni nie widzą i nie czują.

Dallas spojrzał na nią gniewnie. Do diabła, co też ona chce przez to powiedzieć? W zasadzie wszystko jedno, bo i tak jej nie wierzy.

- Nie musisz mnie przekonywać, że jesteś jakąś jasnowidzką czy wróżką, czy jak się zwa ci wszyscy naciągacze. Daruj sobie - odezwał się surowo Dallas. - Nie wierzę w nic, czego nie mogę doświadczyć któryms z pięciu zmysłów.

- Aha. - Jej usta przybrały kształt lekkiego owalu. Czarne oczy się zaszklily.

- Co „aha”? To niby ja zwariowałem dlatego, że ci nie wierzę?

- Poza Jacobem, moją przyjaciółką Jazzy i pewnie Sally, i Ludie, nikt nie wie o mojej poprzedniej wizji. Jeżeli zostaniesz tu trochę dłużej, przedstawię ci Sally i Ludie. - Genny pokręciła

głową. - To zresztą nieistotne. Prawda jest taka, że nie ma znaczenia, czy mi wierzysz, czy nie. Jacob mi wierzy. On wie.

Genny pośpiesznie wyszła z kuchni, zostawiając Dallasa z otwartymi ustami. Przecież ci powiedziała, prawda?

Po kilku minutach ruszył za nią, bo nie chciał, by pozostała między nimi nieprzyjemna atmosfera. Kiedy wszedł do jej sypialni, akurat zdejmowała górę od piżamy. Rzuciła ją na łóżko, na swój szlafrok. Cholera! Pośpiesznie zdjęła spodnie i została całkiem naga. Zastygł w bezruchu. Pożerał wzrokiem jej idealne ciało. Nie był w stanie ruszyć się ani odezwać.

Kiedy kładła na łóżku spodnie od piżamy, najwyraźniej wyczuła jego obecność. Odwróciła się i westchnęła, z zaskoczenia szeroko otwierając oczy.

- Przepraszam - powiedział, chociaż wcale nie żałował. Do śmierci nie pożałuje tej chwili. Może i Genny Madoc jest stuknięta, ale nie miało to dla niego znaczenia. Była tak piękna, że zaparło mu dech.

Nie krzyknęła ani nie starała się zakryć nagości. Po prostu stała, pozwalając mu nasycić wzrok. Po kilku minutach dotarło do niego, że jego zachowanie jest całkiem nie na miejscu.

- Genny... Poczekał w salonie. - Odwrócił się i niemal wybiegł na korytarz.

Kiedy znalazł się w pokoju, walnął pięścią w ścianę.

- Idiota!

Wciąż miał przed oczami widok nagiej Genny. Była niska i drobna, delikatnej budowy. Miała nieskazitelną skórę koloru jasnego miodu. Wąską talię, uniesione, okrągłe piersi, zwieńczone brzoskwiniowymi brodawkami. Pełne biodra i jędrne, okazałe pośladki. Pomiedzy zgrabnymi udami krył się trójząbek kruczoczarnych włosów.

Dallas z trudem przełknął ślinę i zaklął pod nosem. Miał piekielny wzwód.

Jim Upton nakrył wnuka, gdy ten skradał się tylnymi schodami. Całą noc był poza domem i Bóg jeden wie co robił. Jim nie spał zbyt dobrze.

Martwił się o Jamiego i zastanawiał, jakim cholernym bezceństwem oddaje się jego wnuk. Bez wątpienia, tym samym, co zwykle. Pieprzy jakąś latawicę. Upija się do nieprzytomności. Przegrywa pieniądze, których nie zarobił. Wdaje się w bójkę i łąduje w areszcie albo w miejscowym szpitalu. Widząc, że Jamie jest cały i zdrowy, nie ma podbitego oka ani połamanych kości, Jim poczuł krótkotrwałą ulgę. Niejeden raz w ciągu ostatnich kilku lat miał ochotę skreślić chłopaka i uznać za straconego. Ale Reba do grobowej deski będzie wynosić jedyne go wnuka pod niebiosa, bez względu na to, do czego się posunie.

Jim przeszedł przez dużą, odnowioną kuchnię i zatrzymał się u dołu schodów.

- To miłe, że wreszcie wróciłeś do domu.

Jamie zatrzymał się wpół kroku. Wyprostował się i spojrzał na dziadka z głupim, szelmowskim uśmieszkiem na przystojnej twarzy.

- Dzień dobry, Wielki Dziadku. - Zszedł ze schodów. - Chyba zanosz się na całkiem ładny dzionek po tej nocnej śnieżycy.

- Utknąłeś w mieście? - spytał Jim.

- Coś w tym stylu. - Jamie wzruszył ramionami. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mogłeś zadzwonić. Twoja babka umierała ze zmartwienia. A Laura nie była uszczęśliwiona, że ją opuściłeś.

- Poradzę sobie z moimi paniami. Nie martw się. Wybaczają mi.

- Reba wybaczy ci wszystko, ale ja nie. Lepiej miej to na uwadze. Prędzej czy później przeciągniesz strunę.



- Obaj znamy życie. - Jamie położył rękę na ramieniu dziadka. - Wiesz, jak to jest. Mężczyzna musi robić, co do niego należy.

Jim spojrzał gniewnie na wnuka.

- Więc może mi powiesz, chłopcze, co ty właściwie robisz, poza wydawaniem moich pieniędzy i sprawianiem problemów?

Jamie roześmiał się zaraźliwym, beztruskim śmiechem, który był wyrazem jego płytkiej, niedojrzałej osobowości.

- Nie mów mi, że nie wiesz, co znaczy chcieć odmiany. Laura jest słodka. Naprawdę. Ale od czasu do czasu potrzebuję czegoś ostrzejszego. Ty uwielbiasz babcię, ale to wcale nie znaczy, że nie zanurzasz swojego pióra w innych kałamarzach i obaj o tym wiemy.

- Nie rozmawiamy o moim zachowaniu. - Twarz Jima zapłonęła ze złości. Co za bezczelny gówniarz.

- No co się tak naburmuszasz. - Jamie poklepał Jima po piersi. - Jeszcze dostaniesz ataku serca, a tego nie chcemy. Nie zamierzałem cię obrazić. Ja tylko stwierdziłem fakt. Zawsze, odkąd sięgam pamięcią, miałeś kogoś na boku, więc nie praw mi teraz kazań tylko dlatego, że...

Jim wymierzył Jamiemu policzek z taką siłą, że chłopak poleciał do tyłu. Chwycił się poręczy i przyłożył dłoń do piekającej twarzy. Spojrzał z gniewem na dziadka.

- O co chodzi? Prawda w oczy kole, stary?

- Twoja babka chce, żebyś ożenił się z Laurą. Jeżeli wiesz, co jest dla ciebie dobre, nie pozbedziesz się tej dziewczyny jak dwóch poprzednich, które przywiozłeś do domu. - Jim z trudem przełknął ślinę i dla uspokojenia wziął kilka głębokich wdechów. - Jeżeli Laura się dowie, że spędziłeś noc z...

- Nie spędziłem nocy z Jazzy, jeżeli o to ci chodzi.

Jim uniósł pytająco brwi.

- Jazzy chciała mnie ukarać i odprawiła mnie z kwitkiem. Będzie mi się sprzeciwiać przez tydzień albo dwa, a potem sama do mnie przybiegnie. Jak zawsze.

- No to z kim byłeś? - Jazzy wspomniała, że Jamie wyszedł z kobietą o imieniu April albo Amber.

- Co za różnica? - Jamie zastanawiając się, otworzył szeroko oczy. - Boisz się, że spałem z twoją najnowszą kochanką? - Roześmiał się Jimowi w twarz. - Cholera, o ile twoja pani nie siedziała wczoraj w Jazzy's Joint, to jej nie przeleciałem.

Przeklęty dureń! Nie ma zielonego pojęcia o tym, jak zatrzymać przy sobie kochankę. Myśli, że większość kobiet to zdziury, które rozchyłają nogi przed każdym mężczyzną. Ale Jim wiedział swoje. Jeżeli mężczyzna dokona właściwego wyboru i potrafi zadowolić kobietę, ona nie będzie szukać spełnienia gdzie indziej.

- Zabieraj tyłek na górę, weź prysznic i przebierz się, a potem zjeżdż na dół i zjedz śniadanie z rodziną - nakazał Jim. - Powiesz babce i Laurze, że pojechałeś do miasta spotkać się z kolegą z liceum i zatrzymała cię śnieżycą. Powiesz, że ci przykro, że się przez ciebie martwiły, ale zanim się zorientowałeś, że nie dasz rady wrócić do domu, było za późno, żeby dzwonić i wszystkich budzić.

- Tak jest, sir. - Jamie uśmiechnął się od ucha do ucha. - Jak każesz. Muszę przyznać, że całkiem nieźle wychodzi ci zmyślanie przekonujących historyjek.

Jim prychnął. Jamie, z głupim uśmiechem na twarzy, odwrócił się i poszedł na górę. W połowie schodów zaczął pogwizdywać.

Jim westchnął ciężko. Ten nicpoń był jego spuścizną dla świata. Smutna i gorzka myśl. Chciał mieć więcej dzieci, ale Reba nie mogła zająć w ciążę po urodzeniu Melanie. Los zadrwił

z nich okrutnie, zabierając im syna, z którego był tak dumny, i córkę, którą kochał do szaleństwa. Jakim cudem Jamie tak różnił się od Jima Juniora? Czyżby odziedziczył słabsze geny po matce? A może Reba i on zwyczajnie zepsuli chłopaka, nadskakując mu przez całe życie? Ale mogli też zepsuć Juniora, prawda? A jednak on był chlubą rodziny.

Dość tego, powiedział sobie Jim. Nic już nie zmienisz. Jest jak jest. Skup się na pozytywnych rzeczach.

Nalał sobie kawy z dzbanka, który gospościa przygotowała wcześniej, zanim poszła do swojego pokoju, by przygotować się do pracy. Z kubkiem w dłoni przeszedł korytarzem do gabinetu. Zamknął za sobą drzwi i usiadł za masywnym, mahoniowym biurkiem. Wypił kilka łyków czarnej kawy i postawił kubek na skórzanej podstawce. Wziął słuchawkę telefonu, wybrał numer i czekał.

- Halo? - usłyszał zmysłowy kobiecy głos.

- Jak przeżyłaś wczorajszą śnieżycę? - spytał.

- Dobrze. Ale byłoby mi o wiele milej, gdybyś ty był tu ze mną uwięziony.

- Dzisiaj pewnie nie dam rady tam dotrzeć.

- Tak podejrzewałam.

- Szkoda, że nie przyjechałaś wczoraj na przyjęcie - powiedział Jim. - Chyba dostałaś zaproszenie?

- Dostałam. Ale nie czułabym się zbyt dobrze, widząc cię z żoną. Jestem o nią trochę zazdrosna.

Poczuł ciepło w dole brzucha.

- Masz wszystko, żeby przetrwać kilka dni, dopóki drogi nie staną się przejezdne?

- Mam wszystko, czego potrzebuję poza... tobą.

- Jestem twój. Owinęłam mnie sobie wokół palca.

- Chciałabym, żeby tak było.

- Uważaj na siebie, dobrze? Niepokoję się, że jesteś tam sama, a w okolicy grasuje zabójca.

- Mam pistolet od ciebie. I umiem się nim posługiwać.

- Tylko uważaj. I nie wpuszczaj do domu nikogo obcego.

- Przyjedź do mnie, jak tylko będziesz mógł. Tęsknię za tobą.

Członek Jima drgnął. Umiała pobudzić go do życia samym głosem.

- Ja też za tobą tęsknię... ale muszę iść. Zadzwoń wieczorem.

Usłyszał sygnał telefonu. Był skończonym starym durniem i wiedział o tym. Erin Mercer była atrakcyjna i młodsza od niego o dwadzieścia pięć lat. Wcale nie potrzebowała jego wsparcia. Poznał ją kilka lat temu, kiedy się tutaj sprowadziła. Kiedy tylko ją zobaczył, zapragnął jej. Nie była dziwką, więc opłacanie jej usług nie wchodziło w grę. Wydawało mu się, że nie ma u niej najmniejszych szans. Ale się mylił. To ona go upolowała, zaciągnęła do łóżka i sprawiała, że ciągle wracał, błagając o więcej. Ten romans nie miał jednak przyszłości. Podobnie jak wszystkie inne. Nigdy z żadną z swoich kochanek nie chciał związać się na stałe. Ale z Erin było inaczej. Prawie się w niej zakochał i gdyby był dziesięć lat młodszy, poprosiłby Rebę o rozwód.

Ale miał siedemdziesiąt pięć lat. Był w stanie zadowolić Erin seksualnie, bo miał pod ręką zapas viagry. Lecz ile lat mu jeszcze pozostało? Cztery? Pięć? Był fizycznie sprawny jak na swój wiek, ale nawet zdrowe, opalone, umięśnione ciało nie jest w stanie zatrzymać czasu.

Jim przesunął dłońmi po twarzy i potarł oczy. Gdyby był w wieku Jamiego, nie marnowałby życia jak jego wnuk. Gdyby mógł zacząć od nowa... Co zrobiłby inaczej?

Wszystko. Po pierwsze, nie ożeniłby się z Rebą.

## Rozdział 7

Dallas siedział za kierownicą chevy trailblazera Genny i powoli, ostrożnie jechał do miasta po świeżo odśnieżonej drodze. Celowo milczał, bo nie wiedział, jak się do niej odnosić. Jej uroda go pociągała, niepokoiły go jej słowa o wizjach. Świadomość, że zafascynowała go kobieta, która prawdopodobnie jest miejscową wariatką, niezbyt mu odpowiadała. Teri nieźle by się ubawiła, gdyby wiedziała, że rozsądny Dallas Sloan oszalał na punkcie kogoś takiego jak Genny. Kiedyś kpił z ludzi, którzy twierdzili, że mają szósty zmysł. Jasne, kilka razy prawie w to uwierzył. Brał udział w dochodzeniu, do którego angażowano tak zwane medium, pomagające znaleźć sprawcę. Ale za każdym razem był w stanie znaleźć logiczne wyjaśnienie tajemnej wiedzy.

- Skręć w lewo na rozwidleniu - powiedziała Genny. - Droga w prawo prowadzi z powrotem w góry.

Dallas przytaknął i wyglądał zakreću. Po kilku minutach dostrzegł rozgałęzienie i ostrożnie skręcił w lewo. Chociaż jezdnia była odśnieżona i posypana piachem, w wielu miejscach było nadal ślisko, a po obu stronach drogi piętrzył się brudny śnieg - wypełniał też liczne dziury.

Kawałek dalej, po lewej stronie, zauważył masywną bramę z kutego żelaza - wejście do wiejskiej posiadłości. W oddali, w odległości dobrego kilometra, dostrzegł wielki dom z potężnymi białymi kolumnami otaczającymi drzwi.

- Imponujące - stwierdził.

- To farma Uptonów - poinformowała Genny. - Są jedną z najbogatszych rodzin w Cherokee.

- Bogacze od pokoleń? - spytał Dallas.

- Nie od tak wielu pokoleń. Od wojny domowej.

- Powiedziałaś, że to jedni z najbogatszych. Jest ktoś bogatszy?

- Równie bogaci, albo nawet bogatsi, są pewnie MacKinnonowie. Oni też dorobili się w czasie wojny. Obie rodziny rywalizują ze sobą. Mają odmienne zdanie dosłownie na każdy temat, od polityki po religię. MacKinnonowie są demokratami i metodystami. Uptonowie republikanami i kongregacjonalistami.

- Tylko mi nie mów, że syn jednych zakochał się córce drugich i rozgrywa się tu romans rodem z *Romea i Julii*.

- Niezupełnie. - Genny się uśmiechnęła. - Kiedy Wielki Jim Upton i Farlan MacKinnon byli młodzi, a obaj mają teraz po siedemdziesiątce, zakochali się w młodej kobiecie, która nazywała się Melva Mae Nelson. Pochodziła z dość biednej rodziny i mieszkała w górach.

- I od tamtej pory się nienawidzą - skwitował Dallas. - Który zdobył Melwę Mae? Upton czy MacKinnon?

- Żaden. Melva Mae wyszła za miłość swojego życia, półkrwi Indianina, jak ona sama. Za Jacoba Butlera.

- Jacoba... Ma coś wspólnego z twoim kuzynem Jacobem?

- Był naszym dziadkiem.

- Więc Melva Mae była...

- Naszą babcią.

- Tą, która była...

- Wyjątkowa - dokończyła Genny.

- Niezła historia. Dwóch najbogatszych mężczyzn w mieście zakochanych w dziewczynie, którą wszyscy mają za wariatkę. A ona, zamiast któregoś z bogaczy, wybrała biednego chłopaka. Ale im pokazała.

- Jesteś cyniczny - zauważyła Genny, jakby właśnie w tej chwili zdała sobie z tego sprawę.

- Gdybyś naprawdę miała szósty zmysł, wiedziałabyś o tym już dawno.

- Tu się mylisz. Ludzie, którzy mają intuicję, nie są wszechwiedzący ani wszechmogący. A większości z nas bardzo trudno jest panować nad tymi szczególnymi zdolnościami, niezależnie od tego, jakie one są.

- Słyszałem już takie wyjaśnienie. To zwalnia ludzi takich jak ty z odpowiedzialności w razie pomyłki.

- Ludzi takich jak ja? Ludzi, którzy mają szósty zmysł?

- Ludzi, którzy twierdzą, że mają szósty zmysł. - Dallas prychnął.

- Tak, oczywiście. Możemy jedynie twierdzić, że mamy dar, ale nikt z nas w rzeczywistości go nie otrzymał. Tak ci się wydaje?

- Tego jestem pewien. - Spojrzał na nią ukradkiem, a później znów całą uwagę skupił na drodze.

- Więc zetknąłeś się z ludźmi takimi jak ja?

- Z kilkoma osobami, które twierdziły, że są mediami, telepatami czy jasnowidzami, jak zwał, tak zwał. - Przerwał na kilka sekund. - Ale żadna z nich nie była podobna do ciebie, Genevieve Madoc.

- A kto taki zamknął twój umysł na możliwość, że w życiu jest coś ponad to, czego możemy doświadczyć zmysłami?

- Nie ma sensu dyskutować na ten temat. - Dallas westchnął. - Nie dojdziemy do żadnych konstruktywnych wniosków. Może po prostu zgodzimy się co do tego, że się nie zgadzamy?

- No dobrze. Na razie.

Nie spodobało mu się to, co usłyszał. Miał wrażenie, że Genny jest przekonana, iż potrafi zmienić jego zdanie. A nie potrafi, o ile nie okaże się, że rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. A to mało prawdopodobne.

Kilka minut później wjechali do Cherokee Pointe, zamieszkanego przez dziesięć tysięcy czterystu osiemdziesięciu trzech ludzi. Ruch na zablokowanych jezdniach był umiarkowany, a po chodnikach przemieszczała się garstka przechodniów. Przejechali obok odrestaurowanego hotelu, który prawdopodobnie został wybudowany na początku XX wieku. Wzdłuż Szóstej ulicy ciągnęły się niezliczone sklepiki.

- Na następnych światłach skręć w prawo. Przejedziemy obok restauracji i baru mojej przyjaciółki, Jazzy. Na Loden Street skręć w lewo i miń dwie przecznice. Na pewno zobaczysz budynek sądu na Main Street. To duży biały gmach z wielkimi kolumnami.

- Jazzy, twoja przyjaciółka, która wierzy w twój szósty zmysł, jest właścicielką restauracji?

- Jazzy to miejscowa businesswoman. Jest właścicielką Jasmine's, najlepszej restauracji w miasteczku, jak również Jazzy's Joint... to coś pomiędzy pubem a zajazdem. Jest też współwłaścicielką domków kempingowych do wynajęcia.

- Hm...

Dallas skręcił w prawo, minął dwa budynki należące do przyjaciółki Genny, minął dwie przecznice, a na Loden skręcił w lewo. W oddali widział budynek sądu - dwupiętrową murowaną konstrukcję, pomalowaną na biało, z dzwonnica zwieńczoną kopułą i imponującymi kolumnami jońskimi z trzech stron. Gmach znajdował się w połowie drogi między dwiema przecznicami, a po obu stronach stały budynki miejscowej straży pożarnej i policji.

- Możesz zaparkować z tyłu - powiedziała Genny. - Mój samo- chód wszyscy znają, więc nie musimy płacić za parking.

- Kuzynka szeryfa cieszy się szczególnymi przywilejami, co? - zażartował.

Genny się roześmiała.



Dallas zatrzymał się przy służbowym samochodzie na zadaszonym parkingu na tyłach sądu. Wyłączył silnik i odwrócił się do Genny.

- Jeszcze raz dziękuję ci za to, że wczoraj wieczorem przygarnęłaś obcego człowieka. Gdyby nie twoja uprzejmość, musiałbym nocować w samochodzie.

- Zamarzałyś na śmierć. W każdym razie, dość miło było mi cię gościć.

Dallas wysiadł, okrążył samochód i otworzył drzwi przed Genny. Podał jej rękę i pomógł zeskoczyć na oblodzony chodnik. Trzymał jej dłoń chwilę dłużej niż powinien, po czym nagle ją wyswobodził.

- Gdybym się z tobą już więcej nie widział... dzięki i... no cóż, po prostu dzięki.

- Już to mówiłeś.

- Wiem.

Położyła mu rękę na ramieniu. Cholera! Wydawało mu się, że ciepło jej dłoni czuje przez koszulę, marynarkę i kurtkę. Rozum mówił mu, że to niemożliwe, jednak jego zmysły uparcie dowodziły, że to prawda. Ciepło rozlewało się wzdłuż jego ręki. Wpatrywał się w jej głębokie czarne oczy i odebrało mu mowę.

- Chodźmy do Jacoba. - Genny, jakby wyczuwając jego zakłopotanie, zabrała dłoń.

Dallas skinął głową i pozwolił, żeby zaprowadziła go do gmachu sądu. Wszedł za nią tylnymi drzwiami i korytarzem z marmurową podłogą doszedł do krętych schodów, prowadzących na półpiętro i na niższy poziom.

- Do wydziału szeryfa idzie się tędy - wskazała Genny. - To niedaleko.

Po kilku minutach weszli do biura. Zza jednego z trzech biurków wyskoczył schludnie ostrzyżony, młody, piegowaty rudzielec i z serdecznym uśmiechem podbiegł do Genny.

- Witam, Genny. - Funkcjonariusz był najwyraźniej zachwycony, bo uśmiechał się jak idiota. - Co panią sprowadza do miasta w taką pogodę?

- Przyjechałam porozmawiać z Jacobem. - Genny odwróciła się do Dallasa. - Agent specjalny Sloan, a to Bobby Joe Harte. - Uśmiechnęła się do chłopaka. - Musimy natychmiast widzieć się z Jacobem. Jest w gabinecie?

- Tak, madam. - Bobby Joe zmierzył Dallasa od stóp do głów i z trudem przełknął ślinę. - Ale przypuszczam, że po drugim morderstwie...

- Było drugie morderstwo? - spytał.

- Tak jest, sir. Nie wiedział pan?

- Kolejne rytualne morderstwo? - Dallasowi zaczęło dudnić w skroniach.

- Chodźmy do Jacoba. - Genny ścisnęła go za rękę. - Powie ci wszystko, co musisz wiedzieć.

- Rozmawia przez telefon z laboratorium kryminalistyki w Knoxville - uprzedził Bobby Joe. - Zapukajcie, zanim wejdziecie.

Genny uśmiechnęła się ciepło, a Bobby Joe Harte stopniał jak lody w rożku upuszczone latem na rozgrzany chodnik. Dallasowi zrobiło się żal funkcjonariusza, bo sam za dobrze poznał już czar tej kobiety.

Przed drzwiami gabinetu szeryfa Genny uniosła dłoń i delikatnie zapukała. Dallas stał spięty obok niej, zastanawiając się, na ile otwarty będzie Butler wobec agenta działającego w prywatnej sprawie.

- Możemy wejść? - spytała Genny. - Jest ze mną agent Sloan.

Po dwóch sekundach drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich jeden z najbardziej onieśmielających mężczyzn, jakich Dallas widział w życiu. Jacob Butler musiał mieć co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. Jego barki wypełniały całą

szerokość drzwi, a ręce i nogi miał jak pniaki drzew. Ważył pewnie ze sto dwadzieścia, a może nawet sto pięćdziesiąt kilo. Jeżeli do imponującego wzrostu dodać skośne, zielone oczy, ciemną skórę, która nadawała mu wygląd granitowej rzeźby i sięgające ramion kruczoczarne włosy, związane w kucyk, nic dziwnego, że sama jego obecność sprawiała, że ludzie mieli się na baczności.

- Genny. - Głęboki baryton Jacoba przypominał odgłos papieru ściernego trącego metal. Jego twarz lekko złagodniała. - Dobrze się czujesz? Co robisz w mieście? Takie złe drogi...

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Jacob ponad jej ramieniem spojrzął na Dallasa. Zmrużył badawczo oczy i zmarszczył czoło.

- Jacob, to Dallas Sloan, agent FBI, z którym rozmawiałeś wczoraj przez telefon, zanim...

- Gdzie pan wczoraj nocował? - spytał Jacob.

- U mnie - odpowiedziała Genny. - Jego samochód wpadł do rowu i wczoraj wieczorem nie mógł dojechać do miasta. Przenocował w jednym z pokoi gościnnych.

Dallas mógłby przysiąc, że usłyszał dzikie warknięcia Jacoba. Do licha, nie ma szans, żeby dogadać się z szeryfem, który jest tak przeczulony na punkcie honoru kuzynki.

Genny pochyliła się i pocałowała szeryfa w policzek. Odkaslnęła.

- Bobby Joe powiedział, że było drugie morderstwo. Możesz nam powiedzieć, co się stało?

- Wejdźcie i siadajcie. - Jacob odsunął się, żeby Genny i Dallas mogli wejść. Usiedli na krzesłach naprzeciwko biurka. Zamknął drzwi, przysiadł na brzegu pulpitu i założył masywne ręce na piersiach.

- Nowy duchowny kościoła kongregacyjnego znalazł na ołtarzu ciało kobiety, kiedy przyszedł tam rano. Natychmiast nas wezwał.

- Ten kościół ma w oknach witraże, prawda? - spytała Genny.

- Tak, czemu? Czyżbyś miała kolejną... - Zerknął na Dallasa.

- Dallas wie. Był w domu, kiedy obudziłam się z krzykiem o świcie. Powiedziałam mu, co widziałam.

- A co widziałaś? - spytał Jacob.

- Nagie ciało młodej kobiety na zdobionym ołtarzu. Światło wczesnego poranka. Wielobarwne światła. I... i miecz.

- Widziałaś twarz mężczyzny?

Genny pokręciła głową. Łza spłynęła po jej policzku.

- Nic ci nie jest? Odpoczęłaś potem?

- Dallas mi towarzyszył. Był bardzo miły.

Dallas przysłuchiwał się Jacobowi i Genny, którzy rozmawiali tak, jakby go nie było. Słyszał, co mówili, ale nie mógł się nadziwić, że Jacob Butler z taką łatwością daje wiarę każdemu słowu kuzynki. Jak ma postępować ze stróżem prawa, który wierzy w te wszystkie czary-mary? A z drugiej strony, skąd, u licha, Genny mogła wiedzieć, że drugą ofiarę znaleziono w kościele?

Jacob wstał i ujął obie dłonie Genny.

- *I gi do...*

Dallas zauważył, że Genny zeszywniała w chwili, kiedy kuzyn przemówił do niej w niezrozumiałym języku. Co też jej powiedział?

- Kiedy nazywasz mnie siostrą, wiem, że chcesz mi powiedzieć coś bardzo poważnego. - Spojrzała Jacobowi w oczy.

- Ofiarą była Cindy Todd.

- Oooch... - westchnęła Genny. - Biedna Cindy.

- Znałaś ofiarę? - Dallas odruchowo pochylił się w jej stronę.

- Znałyśmy się. - Przytaknęła. - Dość dobrze. Była bardzo nieszczęśliwa.

- Nie powinnaś tu siedzieć - powiedział Jacob. - Lepiej jedź do domu, zanim się ściemni. Albo lepiej przenocuj w mieście u Jazzy.

- Mam zamiar wpaść do Jazzy, skoro jestem w mieście, ale na noc pojedę do domu.

- Nie podoba mi się, żebyś sama jechała nocą w góry. Zabójca jest na wolności. Odwiozę cię do domu, jak będziesz chciała wracać.

Genny skinęła głową.

- Nie potrafię powiedzieć nic, co mogłoby ci pomóc, poza tym, że... ten mężczyzna czerpie satysfakcję z tego, co robi. To go podnieca.

- Seksualnie? - spytał Jacob.

- Tak.

- Sukinsyn.

- Nie ma sumienia. Nie wyczuwam w nim konfliktu, nie ma poczucia dobra ani zła.

Dallas przyglądał się jej uważnie, kiedy mówiła. Modlił się w duchu, żeby przestało go ścisnąć w żołądku. Zmusił się, żeby odwrócić od niej wzrok i skupić się na szeryfie.

- Czy ofiary zostały zgwałcone? - spytał. Jacob przyjrzał mu się badawczo.

- Agencie Sloan, nie jest pan tutaj służbowo, a ta informacja jest...

- Powiedz mu - odezwała się Genny. - Może ci pomóc.

Dallas zacisnął zęby. Nie wiedział, czy powinien jej dziękować, czy poprosić, żeby skończyła z tymi paranormalnymi bzdurami.

Jacob usiadł przy biurku. Obiema dłońmi chwycił się krawędzi.

- Według Pete'a Holta, naszego koronera, Susie Richards i Cindy Todd zostały seksualnie wykorzystane.

Dallas zerknął na Genny.

- Wahał się pan, czy podzielić się tą informacją z agentem federalnym, a nie ma pan oporów, żeby przekazać ją swojej kuzynce?

- Genny nieraz pomagała wydziałowi szeryfa i miejscowej policji - oznajmił Jacob. - Powiedzmy, że jest funkcjonariuszem honorowym.

- Rozumiem. Więc przy funkcjonariusz Madoc mogę mówić otwarcie? - spytał z nutą sarkazmu w głosie.

Jacob skinął głową, ale zmrużył oczy z naganą.

- Obie ofiary zostały seksualnie wykorzystane, przywiązane do ołtarza i rozcięte ostrym mieczem od piersi do kości łonowej - stwierdził Dallas. - Ofiary były kobietami, miały od piętnastu do czterdziestu lat i mieszkały w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od siebie, ale poza tym nie miały ze sobą nic wspólnego.

- Wspominał pan przez telefon, że był pan zaangażowany w inną sprawę, w której zabójca działał w podobny sposób - odezwał się Jacob. - Dotyczyła serii rytualnych zabójstw w Mobile, w Alabamie, jakoś w zeszłym roku.

- W ciągu sześciu tygodni zamordowano pięć kobiet. Każda została seksualnie wykorzystana, rozcięta mieczem na ołtarzu albo czymś, co miało pełnić taką funkcję.

- Dlaczego zaangażowano FBI? - spytał Jacob.

- Nie zaangażowano.

- To dlaczego pan...

- Czwartą ofiarą była moja siostrzenica. - Dallas poczuł przeraźliwy ból na wspomnienie rozpaczliwej śmierci jej najstarszego dziecka.

- Świetnie. Po prostu świetnie. - Jacob zacisnął dłonie na krawędzi biurka tak mocno, że pobieleły mu palce. - Niech pan lepiej wraca do Waszyngtonu. Nie potrzebuję, żeby w moje sprawy wtykał nos ktoś, kim kieruje osobista żądza zemsty.

- Wie pan, ona ma rację. - Dallas skinął głową w kierunku Genny, nie spoglądając na nią. - Mogę panu pomóc.

- Niby jak?

- Mogę panu powiedzieć, że będą jeszcze trzy ofiary, że wszystkie będą kobietami, które mieszkają w okolicy. Zostaną wybrane przypadkiem, a piąta ofiara będzie szczególna.

- To znaczy? - spytał Jacob.

- Wytnie jej serce.

Genny westchnęła.

- Nie nadażam - przyznał Jacob. - Opiera pan tę teorię na serii morderstw, które miały miejsce w zeszłym roku w Mobile, w których czwartą ofiarą była pana siostrzenica. Owszem, są pewne podobieństwa, ale skąd ma pan pewność, że zabójcą był ten sam człowiek, który zamordował Susie i Cindy? I dlaczego sądzi pan, że tu, w moim okręgu będzie w sumie pięć ofiar?

- Bo od śmierci mojej siostrzenicy, osiem miesięcy temu, znajomi z FBI nieoficjalnie trochę mi pomogli i udało nam się dowiedzieć, że w ciągu ostatnich ośmiu lat doszło do czterech niemal identycznych serii zabójstw. W sumie dwadzieścia morderstw. W Mobile w Alabamie, w Hilton Head w Południowej Karolinie, w Lafayette w Luizjanie i w Breckenridge w Teksasie. Za każdym razem było dokładnie pięć ofiar. I za każdym razem zabójca zabierał serce piątej.

- A tych pięć ofiar miało ze sobą coś wspólnego? Cokolwiek, co by je łączyło? - spytał Jacob.

- Miejscowe organy ścigania nic nie wytropiły. - Dallas zastanawiał się, na ile może być szczery wobec szeryfa. - Te cztery serie zabójstw, o których wspomniałem... To ja wpadłem

na to, że są identyczne i że zabójca jest jeden: seryjny morderca, który działa według rutynowego schematu.

- Możliwe, że chwytła się pan tej teorii jak tonący brzytwy - zauważył Jacob. - Chce pan odnaleźć zabójcę siostrzenicy, więc na podstawie dowodów, do których się pan dokopał, stworzył pan taką teorię. Skąd ma pan pewność, że mamy do czynienia z tym samym człowiekiem, który zabił pana siostrzenicę?

- A pan nie może mieć pewności, że nie mamy - odpowiedział Dallas. - Bo wtedy jeszcze trzy kobiety w pana okręgu zginą okrutną śmiercią. Chyba że połączymy siły, żeby powstrzymać mordercę.

## Rozdział 8

Brian MacKinnon rzucił gazetę na biurko i się uśmiechnął. Za kilka godzin na półkach znajdzie się dzisiejszy numer „Cherokee Pointe Herald” - gazety, która od pokoleń należała do jego rodziny. Własnoręcznie napisał artykuł na temat dwóch brutalnych morderstw, do których doszło wczoraj i dzisiaj rano, przedstawiając zarówno komendanta Watsona, jak i szeryfa Butlera jako skończonych idiotów. Od lat wiedział, że Watson to kpina i że utrzymuje się na stanowisku wyłącznie dzięki poparciu i wpływowi Wielkiego Jima Uptona. Wszyscy wiedzieli, że Wielki Jim trzyma Watsona w kieszeni. Z Butlerem rzecz się miała zupełnie inaczej. On na stanowisko został wybrany przez mieszkańców okręgu. Briana ubodło, że jego własny ojciec był tak oddanym zwolennikiem Butlera. Z pewnością znacznie ułatwiło to Jacobowi wygraną w zeszłorocznych wyborach. Lubili go niemal wszyscy, mimo że był półkrwi Indianinem.



Dzięki przeszłości w fokach stał się miejscowym bohaterem. Wciąż mówiło się o jego wyczynach w marynarce.

Brian bardzo się starał, żeby Butler go polubił, ze względu na Genny. Ale z niewiadomej przyczyny, od pierwszej chwili nie przypadł mu do gustu, a to z pewnością utrudniało starania o względy pięknej Genevieve. Nie wiedział dokładnie, kiedy uświadomił sobie, że jest zakochany w tej zjawiskowej kobiecie. Widocznie działo się to stopniowo, aż w końcu go zaskoczyło. Nie należała do tego typu kobiet, które na ogół uważał za atrakcyjne. W niczym nie przypominała jego byłej żony Phyllis, która była kobietą światową i pewną siebie. Genny ujęła go swoją urodą, łagodnością i dobrym sercem. Nigdy wcześniej nie spotkał nikogo takiego jak ona. Oczywiście, doszły go plotki, że odziedziczyła zdolności po babce, którą w miasteczku nazywano czarownicą. Ale nikt, kto znał Genny, nie uwierzyłby, że ta anielska istota ma w sobie choć odrobinę zła.

O przyjaźń Genny zabiegał dłużej i bardziej niż o względy jakiegokolwiek innej kobiety, którą chciał zaciągnąć do łóżka. Nigdy go nie zachęcała, nigdy nie dała mu najmniejszej nadziei, że ich znajomość może przerodzić się w związek miłosny, ale miał pewność, że prędzej czy później ją zdobędzie. Musi być tylko cierpliwy. Kilka miesięcy temu, właśnie kiedy stwierdził, że niebawem będzie mógł poprosić Genny o rękę, stanął im na przeszkodzie inny mężczyzna - Royce Pierpont, zniewieściały dupek. Przyjechał do miasteczka srebrnym lśniącym lexusem, otworzył sklep z antykami na Main Street i niemal od razu wystartował do Genny. Podobnie jak na kilka innych kobiet z miasteczka, podziały na nią jego wygląd i urok.

Myśl, że Pierpont czy jakikolwiek inny mężczyzna mógłby dotykać Genny, doprowadzała Briana niemal do szaleństwa. Kiedyś pozwoliła mu się pocałować, ale nic poza tym. Podejrzał, że Pierpont nie zaszedł dalej. Jego Genny była

czysta. Prawdziwie niewinna, jeśli chodzi o mężczyzn. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest dziewicą. Chciał, żeby pozostała nietknięta, aby w noc poślubną miał ją niezhańbioną.

Kilkakrotne pukanie do drzwi oderwało Briana od rozkosznych myśli.

Nie podniósł się z krzesła, żeby ukryć stan podniecenia. Stawał mu na samą myśl, że kocha się z Genny.

- Tak?

- Przyszedł pana wuj, Wallace - poinformowała sekretarka, Glenda, wtykając głowę przez drzwi.

Psiakrew! Jak ten cymbał śmie przychodzić do jego biura? Młodszy brat ojca był zakałą rodziny. Opóźniony w rozwoju stary przyk już dawno temu powinien być zostać wysłany do przytułku. Ojciec Briana, podobnie jak wcześniej jego rodzice, nie chciał jednak słyszeć o tym, żeby zamknąć Wallace'a w jakimś ośrodku. Mało tego - wszyscy mu dogadzali, skakali wokół niego i pozwalali poruszać się po mieście jak normalnemu człowiekowi. Traf chciał, że Genny darzyła go wielką sympatią. Jej babka zatrudniła Wallace'a, kiedy miał dwadzieścia lat. Po jej śmierci, Genny nadal wypłacała teraz już siedemdziesięcioletniemu wujowi pełną pensję, chociaż nie był wart połowy tego, co od niej dostawał.

Brian od razu zorientował się, że może wykorzystać jej słabość do Wallace'a.

- Powiedz wujowi Wallace'owi, żeby wszedł. I przynieś nam dwie butelki Dr. Peppera. Wuj Wallace za nimi przepada.

Zaskoczona Glenda uniosła brwi, ale uwagi zachowała dla siebie. Brian wiedział, że cieszy się opinią prawdziwego dupka. Ale życie nauczyło go, że jeżeli jest się zbyt wyrozumiałym dla pracowników, bez skrupułów to wykorzystają. Zaś Brian MacKinnon nikomu nie da się wykorzystać.

Wallace przyczłapał do gabinetu niczym ciężki niedźwiedź. Miał metr osiemdziesiąt siedem i okrągły brzuch. Nosił kombinezon i czapkę bejsbolową. Był zawsze ogolony, bo codziennie odwiedzał miejscowego fryzjera, któremu płaciła rodzina MacKinnonów. Swoją marną pensję Wallace przeznaczał na okręgowe schronisko dla zwierząt i pomoc każdemu cwaniakowi, który potrafił go wzruszyć wymyśloną historyjką.

- Czym mogę ci służyć? - Brian nie podniósł się z krzesła.

- Rozmawiałeś dziś z Genny? - spytał Wallace, ściągając czapkę i drapiąc się po głowie.

- Usiłowałem się z nią skontaktować, ale jej telefon nie działa - odpowiedział Brian. - Wczorajsza śnieżycy odcięła prąd i linie telefoniczne.

- Pojechałem tam. Zabrałem się z Billem Davisem. Przeszedłem całą drogę pod górę do domu Genny, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. A jej nie było - oznajmił Wallace bez tchu, pośpiesznie wyrzucając z siebie słowa.

- Nie było jej w domu? Sprawdziłeś dokładnie?

- Samochodu też nie było.

- No to może jest w mieście. Zadzwońię...

- No tak. Dlaczego ja na to nie wpadłem? Pewnie przyjechała do miasta. - Wallace chwycił dłoń Briana i pokręcił głową, jednocześnie potrząsając ręką. - Tak się o nią martwiłem. Wiesz, że jakiś zły człowiek zabija ludzi. Nie chcę, żeby zrobił krzywdę Genny.

- Jeśli chcesz, zadzwonię do Jazzy. - Brian wyswobodził się z mocnego uścisku wuja. - Jeżeli Genny jest w mieście, Jazzy na pewno będzie wiedziała gdzie. - Wolał nie rozmawiać z Jasmine Talbot, ale najwyraźniej nie miał wyjścia. Jazzy, najlepsza przyjaciółka Genny, podobnie jak Jacob, nie była do

niego przekonana. Zapewne namawiała Genny, żeby się z nim nie widywała.

- Nie trzeba - powiedział Wallace. - Mogę przecież podejść do pani Jazzy i sam zapytać.

- Dobrze. - Brian wstał, w końcu uwolniony od kłopotliwej erekcji. - Jak znajdziesz Genny, to poproś ją, żeby do mnie zadzwoniła. Powiedz, że się o nią niepokoiłem... martwiłem.

- Ty też lubisz Genny, co? - Wallace uśmiechnął się szeroko, przez co wyglądał na jeszcze bardziej ograniczonego.

- Tak, bardzo lubię Genny.

W otwartych drzwiach przystanąła Glenda z dwiema butelkami Dr. Peppera w rękach.

- Podać teraz?

- Jasne. Wejdz. - Brian skinął na nią.

Glenda podała jedną butelkę Brianowi, a drugą Wallace'owi.

- Jak się pan miewa, panie MacKinnon? - Uśmiechnęła się do Wallace'a.

- Nie jestem pan MacKinnon - Wallace zachichotał. - Pan MacKinnon to mój brat, Farlan. Ja jestem Wallace.

- Jak się masz, Wallace? - Glenda powtórzyła pytanie.

- Dobrze, dziękuję, madam.

Brian chrząknął. Glenda wyszła z gabinetu.

- Ludzie mówią, że nie jesteś zbyt miłym człowiekiem, ale nie mają racji. - Wallace uniósł butelkę do ust i duszkiem wypił połowę zawartości. Uśmiechnął się promiennie do Briana. - Zmieniłeś się. To przez Genny, prawda?

Brian był zły, że musi się spowiadać stukniętemu wujowi, ale nie mógł przecież mu oznajmić, że marnuje na niego czas tylko po to, żeby zrobić wrażenie na Genny.

- Tak, przez Genny. Jest wyjątkową kobietą.

- Kochasz ją.

Brian wciągnął policzki, a potem odetchnął.

- Chcę, żeby na razie to była nasza tajemnica. Chyba nie jestem jeszcze gotowy na to, żeby wyznać Genny, co czuje.

- Ona też cię kocha.

- Co? - Brian poczuł pulsowanie w skroniach.

- Genny kocha ciebie i kocha mnie. Genny kocha wszystkich.

- Tak, oczywiście. - Brian zmusił się, żeby poklepać wuja po plecach. - Leć do Jazzy i dowiedz się, co z Genny.

- Dobrze. - Wallace ruszył w stronę otwartych drzwi gabinetu. Brian rzeczywiście kocha Genny. Kocha ją do nieprzytomności.

Ona też go w końcu pokocha. Ale nie tak, jak myślał Wallace. Pokocha go namiętnie, tak jak kobieta kocha mężczyznę. A kiedy zostanie jego żoną, nauczy ją, jak go zadowalać.

Brian znów poczuł podniecenie. Usiadł za biurkiem.

- Nie zapomnij powiedzieć Genny, że się o nią martwiłem! - krzyknął do wuja.

- Może skoczę do Jasmine's i poproszę, żeby Gertie przygotowała nam kolację? - zaproponowała Genny. - Wiem, że macie sporo spraw do omówienia, niekoniecznie w mojej obecności.

- Nie mam przed tobą nic do ukrycia... - zaczął Jacob. - Ale...

- Ty i Dallas potrzebujecie czasu, żeby przekonać się, czy jesteście w stanie sobie zaufać i czy możecie zdecydować się na współpracę. A w mojej obecności żaden z was nie zdobędzie się na brutalną szczerość.

- Zamów u Gertie zupę i kanapki i przynieś nam do biura - powiedział Jacob. - Po kolacji odwiezę cię do domu.

Genny zostawiła Dallasa z Jacobem. Zanim wyszła za próg, wiedziała, że to nie Jacob odwiezie ją wieczorem do domu. Dallas zdążył już postanowić, że oszczędzi szeryfowi kłopotu. Wyczuwała, że go pociąga, a on walczy z tym ze wszystkich sił. Była pewna, że w końcu przegra tę bitwę. Przyjechał do hrabstwa Cherokee, by załatwić osobistą sprawę, a nie po to, żeby wdawać się w romans z kobietą, która w dodatku twierdzi, że ma nadprzyrodzone zdolności, w których istnienie on nie wierzy. Rozumiała, dlaczego nie chciał, żeby cokolwiek stanęło mu na drodze do celu i przeszkodziło w schwytaniu człowieka, który zabił jego siostrzenicę. A w tej chwili Dallas i Jacob stali przed najważniejszym pytaniem - czy człowiek, który zamordował siostrzenicę Dallasa to ten sam, który złożył w ofierze Susie Richards i Cindy Todd?

Po drodze do Jasmine's Genny myślała o ostatniej wizycie Cindy. Przyjechała w góry porozmawiać z nią jakiś miesiąc temu, tuż przed Bożym Narodzeniem. Genny z zasady nie wróżyła. Ale dla nielicznych, którzy rozpaczliwie potrzebowali pomocy, używała swoich zdolności w taki sposób. Cindy potrzebowała pomocy, jak mało kto. Jako dziecko była wykorzystywana, a w wieku szesnastu lat zaszła w ciążę ze swoim ówczesnym chłopakiem. Oddała dziecko do adopcji, mając siedemnaście lat, a potem uzależniła się od narkotyków. Przeżyła dramatyczną młodość. Sześć lat temu Jerry Lee Todd pojechał na wakacje na Florydę, porwał Cindy w wir szalonego romansu i przywiózł ją ze sobą do Cherokee Pointe. Wymyślił odpowiednią wersję jej przeszłości i starał się zrobić z niej kobietę z klasą. Jednak coraz bardziej ją wykorzystywał - z początku emocjonalnie, a z biegiem czasu, także seksualnie. Już w pierwszym roku małżeństwa Cindy zaczęła szukać pocieszenia u innych mężczyzn, wracając do złych nawyków z przeszłości.

Genny ujrzała, że Cindy spotka w przyszłości nieszczęście, i poradziła jej, żeby zostawiła Jerry'ego Lee. Myślała, że tragedii da się zapobiec, jeżeli kobieta ucieknie od wykorzystującego ją męża. Tymczasem okazało się, że nieszczęście, które przewidziała, nie miało żadnego związku z małżeństwem Cindy.

Genny przystanąła przed wejściem do restauracji, otrzepała buty ze śniegu i otworzyła drzwi. Kiedy weszła do środka, poczuła przyjemne ciepło. Po kilku minutach jej wzrok oswoił się z panującym wewnątrz półmrokiem. Zdjęła kurtkę, przerzuciła ją przez ramię i skierowała się w stronę kuchni. Rozejrzała się dookoła i zauważyła, że przy stolikach i w łóżach siedzi paru klientów. Nie była to jeszcze pora kolacji, więc zdziwiła się, że w restauracji w ogóle ktoś jest. Nim dotarła do kuchennych drzwi, zaczepiła ją Misty Harte.

- Cześć, Genny.

Przystanąła i odwróciła się do kobiety, która długo uganiała się za Jacobem. Misty była starszą siostrą pracownika biura szeryfa, Bobby'ego Joe Harte'a. Miała trzydzieści pięć lat i była dwukrotną, bezdzietną rozwódką.

- Cześć, Misty. Co słychać?

- W porządku. A u ciebie?

Genny mimochodem zmierzyła kobietę od stóp do głów. Tlenione blond włosy, spięte w kucyk. Jasnoczerwona pomadka i lakier do paznokci. Wielkie złote koła w uszach. Strój kelnerki - czarne spodnie i biała bluzka - ukrywał jej szczupłą sylwetkę i długie nogi.

- U mnie też. Wpadłam do Jazzy. Chcę zamówić kolację na wynos.

- Nie ma jej w kuchni - powiedziała Misty. - Jest w biurze.

- Dzięki. W takim razie złożę zamówienie, a później zajrzę do biura. - Genny chciała się odwrócić, ale nie zdążyła.

- Zamawiasz kolację dla Jacoba?

- Zgadza się. - Genny westchnęła dyskretnie.

- Pewnie będzie pracował do późna... Te dwa morderstwa, no i w ogóle... Afera nie z tej ziemi z tą Cindy Todd i Susie Richards. Kto by uwierzył, że w naszej okolicy może zdarzyć się coś takiego.

- Tak, Jacob będzie pracował do późna i mam zamiar zjeść z nim kolację, zanim wrócę do domu.

- Pozdrów go ode mnie.

- Dziękuję. - Genny zdobyła się na uśmiech. Nie mogła powiedzieć, że nie lubi Misty, ale po prostu nie sądziła, by była odpowiednią kobietą dla Jacoba. Niestety, nie należała do tych, które łatwo rezygnują.

Genny zamówiła kolację u Gertie Walter, wyszkolonej przez Ludie kucharki z Jasmine's, i przeszła tylnym korytarzem w kierunku biura Jazzy. Z daleka, przez częściowo uchylone drzwi, usłyszała głos Jazzy:

- Nawet nie próbuj się ze mną zobaczyć. Powiedziałam ci wczoraj, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Już nigdy.

Genny zapukała do drzwi, żeby uprzedzić Jazzy o swojej obecności. Nie chciała podsłuchiwać, chociaż przyjaciółka na pewno o wszystkim powie jej sama. Nie miały przed sobą tajemnic. Od dzieciństwa zdradzały sobie najszybsze myśli i uczucia.

- Daj mi święty spokój! - Jazzy rzuciła słuchawką, odsunęła krzesło i wstała. Zerknęła w stronę drzwi. - Proszę.

- Niech zgadnę, kto dzwonił. - Genny weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

- Wydaje mi się, że jeżeli będzie pijany, to w końcu mu ulegnę. - Jazzy podeszła i objęła Genny. - Co robisz w mieście? Kilkakrotnie próbowałam się dzisiaj do ciebie dodzwonić, ale bez skutku. Pewnie linie telefoniczne są uszkodzone.



- Przywiozłam do miasta kogoś, kto chciał się spotkać z Jacobem.

Jazzy spojrzała na Genny pytająco.

- Nazywa się Dallas Sloan. Jest agentem FBI. Wczoraj wieczorem jego samochód wpadł w poślizg i wylądował w rowie niedaleko mojego domu.

- Więc sprawą zajęło się FBI?

- Nieoficjalnie.

- Nic nie rozumiem.

- Siostrzenica Dallasa została zamordowana w sposób podobny do tego, w jaki zginęły Susie Richards i Cindy Todd. To było prawie rok temu w Mobile.

- Ta cała sprawa z facetem, który z kobiet z Cherokee robi sobie baranki ofiarne, śmiertelnie mnie przeraża. - Jazzy potarła dłońmi ramiona, przyglądając się Genny przez chwilę. - Powiedziałaś o nim „Dallas”. Jakim cudem tak szybko zaczęłaś mu mówić po imieniu? I gdzie nocował?

- U mnie, w pokoju gościnnym. - Genny nie była w stanie się powstrzymać i kąciki jej warg uniosły się w lekkim uśmiechu. - To dziwne, ale... mam wrażenie, jakbym go znała od zawsze.

- Uuu. Niech zgadnę. Jest wysoki, ciemny, niebezpieczny i nieziemsko przystojny.

Genny się roześmiała.

- Jest wysokim blondynem, nieziemsko przystojnym i... - Jej twarz spochmurniała. - ...Trawi go głęboki ból.

- Coś do niego czujesz, prawda? - Jazzy chwyciła Genny za ramio- na i potrząsnęła dla żartu. - Czy to miłość od pierwszego wejrzenia?

- Nie bądź śmieszna. Nie jesteśmy zakochani. Po prostu coś nas do siebie ciągnie - przyznała. - Poza tym, on ma problem z moim... eee... szóstym zmysłem.

- To on wie, że jesteś...

- Miałam kolejną wizję... zapowiedź śmierci Cindy. Tyle tylko, że nie wiedziałam, że to ona.

- Och, Boże, Gen, jak ty sobie dałaś tam radę sama... aha, przecież nie byłaś sama, prawda? Towarzyszył ci ten cały Dallas.

- Był bardzo miły, ale nie rozumiał, co mnie tak wyczerpało ani co mówiłam. Chyba myśli, że jestem szurnięta albo oszukuję.

- A jednak go pociągasz?

- Nie wiem. - Genny pokręciła głową. - Pewnie mimo woli. Poza tym, nie przyjechał tu szukać romansów, tylko zabójcy swojej siostrzenicy.

- I myśli, że Susie i Cindy zabił ten sam facet, który zamordował jego siostrzenicę?

- Myśli, że to możliwe.

- A co na to Jacob?

- Jeszcze nie wie, ale jest otwarty na różne hipotezy.

Zadzwoił telefon. Jazzy spojrzała na numer, który się wyświetlił.

- Znowu Jamie? - spytała Genny.

- Dzwonił już dzisiaj z dziesięć razy.

- Mam odebrać?

- Niech sobie dzwoni. - Jazzy chwyciła Genny za rękę. - Chodź, pójdziemy na kawę z szarlotką.

- Zamówiłam zupę i kanapki u Gertie. Zjem z Jacobem i Dallasem kolację, a potem wrócę do domu.

- A może zostaniesz u mnie, dopóki nie schwytają zabójcy? We dwie będziemy bezpieczniejsze. - Wyszły z gabinetu Jazzy, zostawiając uparcie dzwoniący telefon.

- Nic mi się nie stanie. Mam Drudwyna. I na ogół wyczuwam, kiedy ktoś się zbliża.

Zanim dotarły do sali jadalnej, podbiegła do nich Misty Harte.

- Ten stary głupek, Wallace MacKinnon, jest tutaj i robi sceny. Chce się widzieć z Genny. Pytał o ciebie, ale nie miałam pojęcia, że wpadnie w szal. Mówi, że ma wiadomość od Briana.

- Chodź, Gen. - Jazzy się roześmiała. - Musisz okiełznać tę dziką bestię. Biedny stary Wallace pewnie przeraził się, kiedy nie mógł się z tobą skontaktować. - Odwróciła się do Misty. - Powiedz Wallace'owi, że Genny już do niego idzie. I nigdy więcej nie nazywaj go głupkiem.

Misty oddaliła się pośpiesznie, a Jazzy odwróciła się do przyjaciółki.

- Kiedy byłaś mała, Wallace podjął się roli twojego anioła stróża i traktuje ją bardzo poważnie. Przysięgam, że nie wiem, co takiego w sobie masz, że mężczyźni cię idealizują i chcą się o ciebie troszczyć. Mnie chcą tylko pieprzyć.

- Jazzy, jesteś wulgarna! - Genny uśmiechnęła się promiennie. - Usiłujesz wszystkich przekonać, że jesteś naprawdę zła. Udajesz niegrzeczną dziewczynkę i nikomu nie pozwalasz poznać twojego wnętrza.

- Ty poznałaś.

- Tak, ale ja cię znam od kołyski.

- I wiesz lepiej niż inni, że ta niegrzeczna dziewczynka to nie do końca poza. Nie jestem biała jak lilia i obie o tym wiemy. Zrobiłam w życiu więcej głupot, niż przewiduje norma. Żeby nie szukać daleko - Jamie Upton.

- Kochałaś Jamiego. To on jest głupi, że nie docenia tak wspaniałej osoby, jak ty.

W korytarzu rozległ się niemal histeryczny krzyk Wallace'a.

- Postaraj się go uciszyć, zanim wystraszy mi klientów - poprosiła Jazzy.

Genny pobiegła do jadalni. Wallace chodził od stolika do stolika, szukając jej i wołając ile tchu w płucach.

- Wallace! - krzyknęła do niego łagodnie, ale głośno.

Przystanął na środku sali, odwrócił się i uśmiechnął szeroko. Miał najśłodszy i najmiłszy uśmiech, jaki znała. Przypominał uśmiech małego dziecka. Pod wieloma względami był jak małe, kochane dziecko, mieszkające w ciele mężczyzny po siedemdziesiątce.

Podbiegł do niej, uśmiechając się od ucha do ucha i chichocząc do siebie, z szeroko otwartymi ramionami. Kiedy znalazł się przy niej, porwał ją na ręce.

- Tak się martwiłem. Pojechałem do ciebie do domu, ale cie nie było.

- Przyjechałam do miasta - odpowiedziała.

- Tak powiedział Brian. Powiedział: Genny pewnie jest w mieście. Idź do Jazzy i ją spytaj. Ona na pewno wie.

- Postaw mnie na ziemi, Wallace - poprosiła spokojnym, opanowanym głosem.

Posłuchał, a potem podniósł z podłogi kurtkę i podał ją Genny.

- Brian też się o ciebie martwił. Kazał ci powtórzyć.

- Bardzo mi miło, że ty i Brian się o mnie martwicie, ale jak widzisz, nic mi nie jest.

- Brian cię lubi.

- Ja też go lubię.

- To dobry człowiek. - Wallace rozpromienił się jeszcze bardziej. - Nie taki, jak był. Teraz jest dla mnie zawsze miły. Nawet ze mną rozmawia.

- To dobrze. - Genny wsunęła dłoń pod ramię Wallace'a. - Może odwiezie cię do domu? Zbliża się pora kolacji. Pani Veda na pewno wyśle pana Farlana, żeby cię poszukał, jeżeli nie wrócisz do domu przed zmrokiem.

Jazzy zagwizdała.

- Weź mojego dżipa. Stoi z tyłu. - Sięgnęła do kieszeni džinsów, wyciągnęła kluczyki i rzuciła je przyjaciółce, która złapała pęk w locie.

- Naprawdę pojedziemy czerwonym dżipem Jazzy? - ucieszył się Wallace.

- Tak. - Genny poprowadziła Wallace'a do kuchni, a potem tylnymi drzwiami wyprowadziła na uliczkę, na której czekał na nich najnowszy, lśniący model dżipa liberty.

- Chce pan kawy? - spytał Jacob. - Mogę zaparzyć świeżej.

- Nie, dzięki - odpowiedział Dallas. - Niech pan posłucha. Rozumiem, że nie ma pan powodu, żeby ze mną współpracować, ale jeżeli mam rację i to ten sam człowiek, który przez ostatnich osiem lat dokonywał serii morderstw w innych stanach, to pewnie wiem o nim więcej niż ktokolwiek inny. A tak między nami... - Dallas spojrział Jacobowi prosto w oczy. Postanowił mu zaufać. - Nad profilem tego faceta pracuje dla mnie agent FBI.

- Nieoficjalnie?

Dallas skinął głową.

Co ma powiedzieć czy zrobić, żeby szeryf Butler zgodził się na współpracę? Na niektórych stróżach prawa nie robił wrażenia, z kolei inni kłaniali mu się w pas tylko dlatego, że był z FBI. Okazało się, że nowe przypadki zabójstw, które badał prywatnie, miały niewiele wspólnego z morderstwem Brooke, więc nie było sensu angażować się w dalsze dochodzenie. Dwa zabójstwa w Cherokee były inne. Do tej pory każdy szczegół przypominał metody działania zabójcy Brooke.

- Niech pan się postawi w mojej sytuacji - powiedział Dallas. - Co, gdyby ofiarą tego zwyrodnialca został ktoś, kogo pan kocha? Chyba robiłby pan wszystko, żeby go wytropić i postawić przed sądem?

Jacob skinął głową.

- Więc proszę mi pozwolić pracować z panem nad tą sprawą. Pan pomoże mnie, a ja panu.

- Wie pan, że pana sprawdziłem - wyznał Jacob.

- Przypuszczałem, że pan to zrobi.

- Ma pan imponujący życiorys. Ale już przed zabójstwem siostrzenicy nie zawsze przestrzegał pan zasad. A od tamtego zdarzenia dorobił się pan opinii niezłego ziółka.

- Robię, co do mnie należy. A to, czym się zajmuję w czasie wolnym, to moja sprawa.

- Chce pan ryzykować posadę, żeby doprowadzić tę sprawę do końca?

- Jeżeli nie będzie wyjścia.

- Genny chyba jest zdania, że można panu zaufać, a ja ufam intuicji Genny, chociaż ona z natury lubi wszystkich. Niech będzie.

- Niech będzie? Co mam przez to rozumieć?

- Dam panu szansę na współpracę, ale jeżeli przekroczy pan granice, porachuję się z panem.

Dallas przypuszczał, że większość ludzi takiej perspektywy bałaby się bardziej niż samej śmierci. Nie był głupi. Nie zamierzał drażnić szeryfa, ani teraz, ani w przyszłości. Uwaga Butlera nie przestraszyła go jednak w najmniejszym stopniu. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek ktoś zdołał go wystraszyć.

Poza jedną wyjątkową kobietą, przy której czuł się zupełnie zagubiony. Genevieve Madoc.

- Ciało Susie jest poddawane sekcji w Knoxville - powiedział Jacob. - Ciało Cindy też zostanie tam przewiezione. Wprawdzie nasz koroner, Pete Holt, dał mi już wstępny raport, ale poprosiłem tych z Knoxville, żeby się pospieszyli.

- Niech zgadnę. - Dallas pochylił się, wsunął dłonie między rozchylone uda i splótł palce. - Między piersiami i na brzuchu obu ofiar znaleziono ślady nasienia.

Jacob zmrużył oczy, aż zrobiły się z nich dwie wąskie szparki.

- Tak działa morderca, którego pan szuka?

- Mam rację? - nie dawał za wygraną Dallas.

- Ma pan rację.

- Jeżeli lekarz sądowy z Knoxville porządnie przeprowadzi sekcję, odkryje kolejny odrażający fakt

- Jaki?

- Po obu stronach nacięcia znajdzie ludzką ślinę zmieszaną z krwią ofiary.

- Chce pan powiedzieć, że ten facet... - Jacob zmarszczył czoło, aż utworzyły się na nim pionowe bruzdy sięgające nasady nosa.

- Wypija krew ofiary, a potem liże ranę.

- Niech mnie szlag. - Jacob zerwał się z krzesła, podszedł do okna i spojrzał na pokrytą śniegiem ziemię. - Jak uda nam się aresztować tego faceta, z tyloma śladami DNA od razu dostanie wyrok śmierci.

- Na pewno - przytaknął Dallas. - Tyle że bez podejrzanego DNA na nic się nie przyda.

## Rozdział 9

Dallas szedł do Jasmine's po oblodzonym chodniku, brnąc w rozdeptanym śniegu. Butler zaczął się niepokoić, że Genny długo nie wraca z zupą i kanapkami. Chciał dzwonić do

restauracji, ale zatelefonował do niego Roddy Watson, komendant policji Cherokee Pointe.

- Przejdę się i sprawdzę, co się dzieje - zaproponował Dallas.

Butler przełączył szefa policji na tryb oczekiwania, poinstruował Dallasa i przeszył go ostrzegawczym spojrzeniem. Gniewny wzrok szeryfa dał Dallasowi do myślenia. Może Butler jakimś cudem wyczuł, że pomiędzy nim a Genny iskrzy? Ale niby jak? Żadne z nich nie powiedziało ani nie zrobiło nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Może każdemu mężczyźnie, który pojawiał się obok Genny, szeryf dawał do zrozumienia, że jest dla niej jak starszy brat, który się nią opiekuje? Dallas nie miał najmniejszych wątpliwości, że gdyby to on miał ją chronić, zachowywałby się tak samo.

Przystanął pod Jasmine's. Z zewnątrz nic nadzwyczajnego - zwykły odnowiony budynek z zieloną markizą nad wejściem i złotym napisem na drzwiach wejściowych. Nazwa widniała także na prostym metalowym szyldzie, zawieszonym między parterem a piętrem budynku.

W środku panowało przyjemne ciepło. Dallas zdjął kurtkę i przewiesił sobie przez ramię. Zauważył, że interes kręci się nie najlepiej - zajęta była zaledwie połowa stolików i łóży. Przyczyn było pewnie kilka: sezon zimowy, brzydka pogoda i wtorkowy wieczór.

Dallas zlustrował pomieszczenie, rozglądając się za Genny. Kiedy ją dostrzegł, na jego ustach pojawił się mimowolny uśmiech. Nagle zorientował się, że przy stoliku siedzi z nią szczupły szatyn, ubrany nienagannie w granatowe spodnie, błękitną koszulę i tweedową sportową marynarkę. Genny gawędziła z nim, jej twarz rozświecila ciepło i życzliwość. Widocznie taką już ma przyjacielską naturę. Roześmiała się na słowa zalotnika. Dallasa ścisnęło w dole brzucha.



- Stolik dla palących czy niepalących?

Gwałtownie odwrócił głowę i dostrzegł obok siebie atrakcyjną kobietę z menu w ręce. Była ruda, miała oczy zielone jak kot i widać było, że jest znużona życiem. W każdym razie, ktoś tak doświadczony przez los jak on, wyczuwał to od razu.

- Dziękuję. Przyszedłem po Genny Madoc. - Skupił wzrok na Genny, nadal w najlepsze pograżonej w rozmowie z mężczyzną, którego Dallas widział jedynie z profilu.

- Pan Sloan, agent specjalny FBI, zgadza się? - Rudowłosa zmierzyła Dallasa od stóp do głów.

- Skąd pani wie? - Dallas skierował uwagę na kelnerkę.

- Jestem Jazzy Talbot. Genny jest moją najlepszą przyjaciółką. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. - Skinęła głową w kierunku stolika, przy którym siedziała Genny. - To Royce Pierpont. Tylko się przyjaźnią, chociaż chciałabym, żeby było z tego coś więcej.

- Życie prywatne pani Madoc mnie nie interesuje. Skoro powiedziała pani, kim jestem, to na pewno wyjawiała też, po co przyjechałem do Cherokee Pointe.

Jazzy skinęła głową.

- Powiedziała mi jeszcze, że spędził pan u niej zeszłą noc. - Jeszcze raz zmierzyła go wzrokiem. - Doskonale pana opisała.

- Mogłaby pani jej powiedzieć, że tu jestem? - poprosił Dallas. - Nie chcę przeszkadzać, ale szeryf Butler się niepokoił. Chyba trochę za długo nie wracała z kolacją.

- Uhm... Jacob rzeczywiście martwi się o Genny. Jak chyba wszyscy. Wie pan, jest wyjątkową osobą. Bardzo ufna i troskliwa.

Jazzy czekała, jakby spodziewała się jakiejś reakcji, ale Dallas nie miał pojęcia, co chciała usłyszeć. Nie znał Genny, mógł opierać się jedynie na pierwszym wrażeniu, które najwyraźniej pokrywało się z opinią Jazzy. Skinął głową.

- Jacob przygląda się mężczyznom, którzy się obok niej pojawiają - ciągnęła Jazzy. - Od zawsze. Nie żeby było ich tak wielu. Ostatnio kręci się koło niej Royce. Jest w mieście od niedawna i Genny go lubi, ale nic więcej. Jest też Brian MacKinnon, bogaty i wpływowy, ale Jacob go nie lubi. Ja sama też nie przepadam za panem Kasiastym. Jednak Genny uważa, że można go zmienić.

- Pani Talbot, dlaczego pani...?

- Genny potrafi dostrzegać w ludziach to, co najlepsze. To jeden z jej darów. Ona widzi w panu to, co najlepsze, panie Sloan. Nie chcę nawet myśleć, że mógłby pan ją rozczarować.

- Proszę posłuchać, nie wiem, co Genny pani o mnie powiedziała, ale...

- Powiedziała, że był pan dla niej bardzo miły rano, kiedy wybudziła się ze... ze swojej wizji. Jest po nich zupełnie wyczerpana i trzeba wtedy przy niej być. Cieszę się, że nie była sama.

Dallas spuścił głowę i przyglądał się czubkom swoich przemokniętych butów. Najwyraźniej najbliżsi Genny wierzą, że ma wizje i szósty zmysł. Widocznie łatwiej nabierać ludzi, którzy cię kochają.

Zanim Dallas zdążył zastanowić się nad odpowiedzią, Jazzy podeszła do Genny i powiedziała jej coś na ucho. Dziewczyna spojrzała na Dallasa. Jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Wyciągnęła rękę i pomachała do niego. Royce Pierpont odwrócił się powoli i zerknął na Dallasa przez ramię. Kryształowo błękitne oczy patrzyły na niego z ciekawością. I z zazdrością? Genny powiedziała coś do Pierponta i pochyliła się, żeby pocałować go w policzek. Wzięła stojącą na stole paczkę i ruszyła w stronę Dallasa.

Wyszedł jej naprzeciw i wziął od niej pudełko.

- Szeryf się o ciebie martwił.

- Przykro mi, że Jacob się niepokoił - powiedziała Genny. - Zatrzymał mnie...

- Chłopak? Czy może powinienem powiedzieć: jeden z twoich chłopaków?

- Widzę, że rozmawiała z tobą Jazzy. - Genny spojrzała na niego zaskoczona i westchnęła.

- Gdzie masz płaszcz? - burknął Dallas.

- Oj, kurczę, zostawiłam go na...

Pierpont podszedł do Genny, stanął za nią i zarzucił jej płaszcz na ramiona. Zatrzymał dłonie na jej ciele nieco dłużej niż powinien, a przynajmniej tak wydawało się Dallasowi, który usiłował nie gapić się na zaborczy uścisk mężczyzny.

- Chyba nie masz zamiaru go zostawić - odezwał się Pierpont. - Nie chcę, żebyś przemarzła.

- Dziękuję, Royce. - Genny posłała mu kolejny promienny uśmiech.

Mężczyzna spojrzał Dallasowi w oczy i wyciągnął dłoń.

- Nazywam się Royce Pierpont, jestem jednym z absztyfikantów Genny.

Czyżby żartował? Absztyfikantów? Tego archaizmu nie używał chyba nikt od czterech pokoleń.

- Agent specjalny Sloan. - Dallas podał mu rękę. Uścisk Pierponta był delikatny, serdeczny i nie miał w sobie nic z samczego pokazu siły. Najwidoczniej nie postrzegał Dallasa jako rywala.

- Genny mówi, że będzie pan pracował z Jacobem nad morderstwami - zagadnął Pierpont. - Nie sądziłem, że FBI zainteresuje się dwoma zabójstwami tu, w Cherokee.

- FBI interesuje się łamaniem prawa wszędzie. Zawsze robimy wszystko, żeby pomóc miejscowym organom ochrony porządku publicznego.

- Rozumiem.

- Gotowa? - Dallas wyciągnął rękę i chwycił Genny pod ramię. Skinęła głową.

- Miłego wieczoru - zwróciła się do Pierponta, a później zerknęła na Jazzy. - Zadzwoń do ciebie później, o ile telefony zaczną działać.

- A jeżeli nie, to nie zostawię jej samej na noc - powiedział Dallas w chwili, kiedy słowa te przysły mu na myśl.

Pierpont zmarszczył brwi. Jazzy się uśmiechnęła. Genny ze zdumienia otworzyła miękkie, różowe usta.

O wpół do ósmej Dallas Sloan i Genny opuścili gabinet szeryfa. Zjedli razem przepyszną zupę jarzynową i chrupiące kanapki z befsztykiem wołowym, przygotowane przez Gertie. Posiłek zakończyli najlepszym pod słońcem jagodowym ciastem, upieczonym według przepisu pani Ludie, z jagód rosnących na wzgórzach Tennessee.

Chociaż wiedziała, że dziś wieczorem do domu pojedzie z nią Dallas, a nie Jacob, odczuwała niezwykle podniecenie, kiedy nowym, wynajętym samochodem wjeżdżał za jej trailblazerem na częściowo oblodzony podjazd przy domu. Na co właściwie liczyła? Prawdę mówiąc, nie wiedziała. Nie miała jednak wątpliwości, że między nią i agentem FBI, który pojawił się w jej życiu niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, coś się zrodziło. Coś niesamowitego. Wyjątkowego. Gdyby go zapytać, pewnie by zaprzeczył, ale okłamywałby samego siebie. Mógł odsuwać od siebie nieuniknione, ale w końcu będzie musiał spojrzeć prawdzie w oczy.

Ledwie zdążyła otworzyć drzwi i wysiąść, Dallas wyskoczył z samochodu i stanął obok niej.

- Wejść z tobą i rozejrzeć się po domu. Jeżeli telefony nie działają, zabieram cię z powrotem do miasta.

- Tutaj będę zupełnie bezpieczna - upierała się Genny.

Chwycił ją za rękę i delikatnie pociągnął za sobą. Przeszli ostrożnie po laciej śnieżnej pierzynie, przykrywającej warstwę lodu, która nadal skuwała ziemię.

Kiedy skierował się w stronę głównego wejścia, przystanąła.

- Wejźmy od tyłu. Będzie bezpieczniej, bo nie ma schodów.

- Dobrze.

Otworzyła szklane drzwi werandy i podeszła prosto do drzwi kuchennych. Wybrała jeden z pęku kluczy na ozdobnym breloku, wsunęła go w zamek i przekręciła. Otworzyła drzwi, a Dallas wszedł za nią. Włączyła światło i w kuchni zrobiło się jasno. Drudwyn podniósł się z legowiska w rogu i przyczłapał do nich. Genny przykucnęła, objęła psa za szyję i przytuliła.

- Chyba chcesz wyjść, co, kolego?

Patrzyła, jak pies mija Dallasa i wybiega na werandę. Otworzył sobie szklane drzwi i zniknął w ciemności.

- Prąd już jest - zauważyła Genny. - Sprawdzę telefon.

- Dobrze.

Dallas przypatrywał się, jak podnosi słuchawkę aparatu. Kiedy przyłożyła ją do ucha, usłyszała sygnał.

- Działa.

- To dobrze. - Stał w drzwiach, nadal w kurtce, szaliku i skórzanych rękawiczkach.

- Zostaniesz na chwilę? - spytała. Ściągnęła rękawiczki, czapkę oraz kurtkę i rzuciła je na kuchenne krzesło. - Mogę zaparzyć kawę bezkofeinową albo herbatę.

- Chyba powinienem wracać. - Oderwał oczy od jej twarzy i błędził wzrokiem po zakamarkach kuchni, jakby czuł się zakłopotany, przebywając z Genny sam na sam. - Muszę znaleźć miejsce na nocleg, zanim zrobi się późno.

- Jazzy mówiła, że ma wolny jeden domek pod miastem, więc problem masz z głowy. - Przeczesała palcami długie do pasa włosy, które potargały się pod wełnianą czapkę.

- Twoja przyjaciółka Jazzy jest dość przedsiębiorcza, prawda? Ma restaurację, bar i domki do wynajęcia.

- Domki należą do niej i dwóch innych osób - wyjaśniła Genny. - Ale masz rację, Jazzy jest wyjątkową kobietą.

- Ona podobnie wyrażała się o tobie.

- Tak?

- Jazzy i twój kuzyn naprawdę wierzą, że masz nadprzyrodzoną moc, prawda?

Genny odniosła wrażenie, że słyszy sceptycyzm w jego głosie. Wcześniej powiedział, że kieruje się zdrowym rozsądkiem i wierzy tylko w to, czego może doświadczyć pięcioma zmysłami. Czy to znaczy, że nie jest zdolny do prawdziwej miłości? Miłość nie zawsze idzie w parze ze zdrowym rozsądkiem. I chociaż miłość fizyczną można odczuć zmysłami smaku, dotyku, wzroku, słuchu i zapachu, miłości duchowej, tej, która łączy dwie dusze na zawsze, nie można.

- Ty nie wierzysz - powiedziała. Ale uwierzysz. Niedługo uwierzysz, pomyślała.

- Gdyby chodziło o kogoś innego, stwierdziłbym, że to zwykle oszustwo, ale... Najwyraźniej wmówiłaś sobie, że te koszmary są wizjami, pewnie pod wpływem babki. Jeżeli uważała się za czarownicę...

- Nie uważała się za czarownicę. To niektórzy ludzie nazywali ją czarownicą, a babcia po prostu miała dar widzenia.

- Wiesz, jak to niedorzecznie brzmi? W tych czasach zdrowi na umyśle ludzie nie wierzą w czary-mary. Ale ci, którzy nie radzą sobie z problemami, chcą wierzyć, że ktoś rozwiąże je za pomocą czarodziejskiej różdżki. Dlatego tylu szarlatanów

bezkarnie żeruje na ludzkiej naiwności. Nie uwierzyłabyś, z jakimi oszustami miałem do czynienia w pracy.

- A co z tymi, którzy nie oszukują?
- Nie istnieją.

Słowa Dallasa nie były zwykłym oznajmieniem. Były tarczą, za którą się przed nią chronił. Być może nie zdawał sobie z tego sprawy, ale ona - owszem.

- Rozumiem.

Udało jej się zajrzeć do wnętrza tego postawnego, samotnego mężczyzny ze zranionym sercem i rozdartą duszą.

Odwróciła się i zajęła parzeniem bezkofeinowej kawy. Dallas nadal stał przy drzwiach. Po kilku chwilach milczenia zdjął rękawiczki i wsunął je do kieszeni kurtki, którą powiesił na oparciu drewnianego kuchennego krzesła.

- Pomóc ci w czymś? - spytał.
- Słuchaj, czy Drudwyn nie drapie do drzwi.
- Jasne.

Genny z górnej szafki wyjęła dwa porcelanowe kubki z podstawkami i postawiła je na stole. Zapamiętała, że Dallas, podobnie jak ona, pije czarną kawę, więc nie musiała wyciągać mleka ani cukru. Milczeli. Kawa się parzyła. Zegar w korytarzu wybił piętnaście po ósmej.

- Opowiedziałbyś mi o swojej siostrzenicy? - spytała Genny, wyczuwając, że Dallas nigdy z nikim nie podzielił się swoją rozpaczą. Nie należał do mężczyzn, którzy obnażają się emocjonalnie przed byle kim.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko, co chciałbyś mi opowiedzieć. - Zdjęła z ekspresu szklany dzbanek, podeszła do stołu i do obu kubków naalała kawy po sam brzeg. Dzbanek odstawiła na podgrzewacz.

Dallas wysunął dla niej krzesło i poczekał, aż usiądzie. Zajął miejsce naprzeciwko niej i uniósł ozdobny kubek do ust.

- Brooke miała piętnaście lat. Urodziny obchodziłaby kilka tygodni po... Była piękną niebieskooką blondynką. Typowa amerykańska uroda. Do tego bystra, miła i... - Wziął następny łyk kawy i ścisnął kubek obiema dłońmi.

- I kochałeś ją do szaleństwa - dodała Genny.

Dallas spojrział na nią gniewnie, nie chcąc przyznać, jak głęboko zraniła go śmierć Brooke. Odstawił kubek i spojrział na blat stołu.

- Była pierwszym dzieckiem mojej siostry. Wszyscy ją uwielbialiśmy. Była cudowną dziewczynką.

Genny wyciągnęła rękę przez stół i położyła dłoń na jego dłoni. W jednej chwili zeszywniał, jakby jej dotyk był dla niego nie do zniesienia. Chwyciła go za rękę i ścisnęła. Ich spojrzenia spotkały się, ale on szybko odwrócił wzrok i cofnął dłoń.

- Powiniennem się zbierać. - Odsunął krzesło i wstał. - Dobrze zamknij za mną drzwi i bądź bardzo ostrożna.

Genny wstała, podeszła za nim do tylnych drzwi i wyszła na ganek. Zza drzew wybiegł Drudwyn. Blade światło księżyca odbijało się od śniegu, oświetlając ogród.

- Dallas?

- Tak? - Przystanął, obejrzał się przez ramię i spojrział jej w oczy.

- Powodzenia. Znajdź to, czego szukasz.

- Chcę, żeby zabójca został schwytany - powiedział. - Nie chcę, żeby kolejna rodzina musiała przechodzić przez piekło, które przeżyliśmy po stracie Brooke.

Genny wyczuwała, że Dallas najchętniej udusiłby mordercę Brooke gołymi rękami - powoli i bezlitośnie. Wzdrygnęła się na myśl o dużych, silnych dłoniach Dallasa, dokonujących zbrodni.

Ale czy kara jest zbrodnią?

- Jedź ostrożnie. - Genny skinęła głową.



- Dobrze - odpowiedział. - Zawołaj Druwdyna, wracaj do środka i zamknij drzwi, zanim odjadę.

Zrobiła to, o co poprosił, a później szybko przeszła przez dom i stanęła przy oknie w salonie, z którego widać było podjazd. Stała bez ruchu i patrzyła, jak Dallas cofa wóz, wyjeżdża na drogę i jak samochód znika w ciemności.

Jazzy weszła do jacuzzi. Zanurzyła nagie ciało w ciepłej, bulgoczącej wodzie i westchnęła głośno. Dzień był ciężki, podobnie jak poprzedni. Dwa morderstwa w ciągu dwudziestu czterech godzin. Mieszkańcy miasteczka byli spięci i podenerwowani. Nikt nie wiedział, co się działo, i wszyscy zastanawiali się, kiedy wybrana zostanie kolejna ofiara. Po wczorajszej śnieżycy wielu mieszkańców okręgu zostało pozbawionych prądu i łączności, co tylko potęgowało niepokój wywołany tym, że w okolicy grasuje zabójca. Przez ostatnie dwa wieczory interes w Jasmine's i Jazzy's Joint szedł kiepsko. Chociaż w zimie na ogół nie było zbyt wielu turystów, mogła liczyć na to, że dzięki miejscowej klienteli lokale nie przyniosą strat.

Przypuszczała, że przesadnie skupia się na pieniądzach i za bardzo o nie martwi. Ale wychowywała się bez pieniędzy. Jak powiedziałyby ciocia Sally, kiedyś była biedna jak mysz kościelna. Sally Talbot nigdy nie przejmowała się biedą, ale Jazzy była inna. Od wczesnych lat wzdychała do rzeczy, które można było mieć dzięki pieniądзом. Jako nastolatka marzyła o ładnym domu, odlotowym samochodzie, modnych ciuchach. Jednak najbardziej tęskniła nie za rzeczami, które można było kupić, lecz za szacunkiem, który - jej zdaniem - zapewniały. Boże, jak bardzo zazdrościła MacKinnonom i Uptonom. Przypuszczała, że to właśnie z tego powodu na początku tak bardzo pociągał ją Jamie. Nie dlatego, że był przystojny i

czarujący, ale głównie dlatego, że był bogaty. Myślała, że jeżeli wyjdzie za niego i wejdzie do rodziny Uptonów, wszystkie jej marzenia się spełnią.

Oddała Jamiemu dziewictwo, kiedy miała szesnaście lat. Przynależał jej dożygonną miłość, więc była pewna, że się z nią ożeni, kiedy powie mu o ciąży.

Gąbką przetarła ręce i nogi. W wieku dwudziestu dziewięciu lat nadal miała nieskazitelne ciało, którego nie zeszpecił poród.

Chwycił ją za serce głęboki smutek, ale go odegnała. Nie chciała rozczulać się nad sobą i wspominać tych bolesnych wydarzeń.

Lepiej pamiętaj, przykazała sobie. Jeżeli nauczysz się wyciągać wnioski z własnych błędów, uchronisz się przed rozczarowaniem. Wybaczała Jamiemu nieskończoną ilość razy, oszukiwała się, wierząc, że zmieni się i stanie mężczyzną, jakiego potrzebowała. Ale za każdym razem samotnie płaciła za swoją naiwność.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Jamie pojawiał się w jej życiu i znikał tyle razy, że straciła rachubę. Miał już trzecią narzeczoną, która z pewnością podzieli los poprzedniczek. Kiedy przekonywały się, jaki naprawdę jest, pędem wracały pod skrzydła swoich bogatych rodziców. A Jamie, zawsze kiedy zjawiał się w mieście, sam czy też z kobietą u boku, szukał Jazzy. Przypuszczała, że na swój sposób jest od niej uzależniony, podobnie jak ona od niego. Byli przesiąknięci sobą nawzajem, niczym trucizną.

Tym razem mu nie ulegnie. Wiedziała, że przeżyje tylko wtedy, jeżeli wyzwoli się od działania tej trucizny, która, w przeciwnym razie, w końcu ją zabije. Chyba nie była już w stanie poddać się miłości do Jamiego, wiedząc, że za jakiś czas i tak złamie jej serce.

Pluskała się, dopóki woda prawie całkiem nie ostygła, wyszła z wanny i się wytarła. Kiedy owijała się satynowym szlafrokiem, usłyszała dzwonek do drzwi. Kogo tu niesie? Dobrze wiedziała. Zanim dotarła do salonu swojego mieszkania nad Jasmine's, wiedziała, kto czeka na nią za drzwiami.

- Kto tam? - spytała, biorąc głęboki oddech.

- Wpuść mnie, skarbie - odezwał się Jamie bełkotliwie. Był pijany. Nie był to jego jedyny nałóg.

- Odejdź - powiedziała.

- Nie pójdę. - Zaczął walić do drzwi.

- Jeżeli nie odejdiesz, zadzwonię po Jacoba.

- Co ty masz z tym Butlerem? - prychnął. - Lubisz się pieprzyć z tym wielkim, brzydkim Indianinem?

- Do cholery, Jamie, daj mi spokój.

Nie przestając walić do drzwi, zaczął powtarzać jej imię.

- Jazzy... Jazzy... Jazzy...

Przekreśliła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Jej serce biło jak oszalałe. Trzymając klamkę, wtoczył się do środka i uśmiechnął szeroko.

- Tęskniłem za tobą, skarbie - powiedział. - Tęskniłem okropnie.

- A ja za tobą nie tęskniłam - odparła pewnym głosem, chociaż w dole jej brzucha odezwało się znajome łaskotanie. Nie tęskniła za nim. Jej życie było o wiele lepsze bez niego. Jak dla niej, mógłby zniknąć z powierzchni ziemi.

Zrobił niepewny krok w jej stronę. Wstrzymała oddech. Pochylił się nad nią tak, że ich usta dzieliły ledwie trzy centymetry.

- Nie kocham cię. Nie chcę cię. Nie potrzebuję cię. - Jazzy nie była pewna, kogo usiłuje przekonać, Jamiego czy siebie samą.

Chwycił ją za pasek i poluźnił go na tyle, że zdołał wsunąć pod szlafrok jedną rękę i objąć Jazzy w talii. Westchnęła, kiedy przesunął dłonią po jej nagim biodrze i przyciągnął ją do siebie. Jego oddech był ciepły i przesiąknięty whisky. Potarł nosem o jej kark i wyszeptał do ucha jej imię.

- Czy Butler cię obsługiwał, kochanie? Trzymał cię napaloną i gotową dla mnie?

Jazzy zeszczywniała.

- To duży facet - stwierdził Jamie. - Chyba cię nie rozciągnął? Wiesz, że lubię, żeby moja cipcia była gorąca, wilgotna i... ciasna. Naprawdę ciasna.

Jazzy zamierzyła się, żeby dać mu w twarz, ale chwycił ją za nadgarstek.

- Nie bądź taka. Nie jestem zły, że ćwoczyłaś. Ja też ćwoczyłem. Nauczyłem się kilku nowych sztuczek. Chciałbym ci pokazać.

- Nauczyłam się od ciebie wszystkich sztuczek, jakich chciałam się nauczyć. - Choć jakaś chora, żalosna cząstka niej nadal wyrwała się do Jamiego, inna, silna i rozsądna, nienawidziła jego cholernej bezczelności. - Nic od ciebie nie chcę, Jamie. Wracaj do narzeczonej. Ją ucz nowych sztuczek.

Oczy Jamiego błyszczały z determinacji. Rozdarł szlafrok Jazzy, odsłaniając jej nagie ciało. Usiłowała zebrać poły szlafroka, ale chwycił ją, zdarł go jej z ramion i przycisnął ją do ściany. Wiedziała, do czego zmierza, opierała mu się. Był silniejszy i przez kilka minut miał nad nią przewagę. Dotknął wargami jej ust, a ręce uniósł nad głowę. Starła się uniknąć namiętnych pocałunków, ale w końcu poddała się i pozwoliła mu miażdżyć swoje wargi. Kiedy opuścił rękę, żeby rozpiąć spodnie i odsunął się od niej o kilka centymetrów, wykorzystała okazję, żeby go zaatakować. Kopnęła go kolaniem w krocze, a kiedy zgiął się z bólu, przyłożyła mu w nos. Wył i jęczał, a ona

pobiegła do sypialni, wysunęła z rozmachem szufladę nocnej szafki i wyjęła naładowaną berettę kaliber 25, którą tam trzymała.

- Pożałujesz tego. - Jamie stanął w drzwiach z wymalowaną na twarzy wściekłością.

Poczekala, aż zbliży się do niej na odległość paru kroków, wyjęła broń zza pleców i wycelowała prosto w niego.

- Podejź centymetr bliżej, a przez resztę życia będziesz śpiewał sopranem.

- Ty naprawdę chcesz do mnie strzelić, prawda? - Jamie przeniósł wzrok z jej twarzy na pistolet, a potem znów spojrzał jej w twarz.

- Pojętny jesteś.

- Co się stało z moją Jazzy? - spytał. - Gdzie jest dziewczyna, która mnie kochała?

- Ty ją zniszczyłeś, krok po kroku, kawałek po kawałku. - Wyciągnęła pistolet pewnym ruchem, starając się nie okazać słabości. Nie miała stuprocentowej pewności, czy byłaby w stanie postrzelić Jamiego, ale przecież on tego nie wiedział. Musi tylko przekonać go, że się nie zawaha i odstrzeli mu jaja.

- Wygrałaś tę rundę, skarbie. - Jego uśmiech był bardziej strachliwy niż szelmowski.

Stała w sypialni nieruchomo, ledwie oddychając, aż usłyszała trzaśnięcie drzwi. Z pistoletem w ręce pobiegła do salonu i sprawdziła, czy w żadnym zakamarku nie czyha na nią Jamie. Szybkim, pewnym ruchem otworzyła kuchenne drzwi, zapaliła światło i się rozejrzała. Później znów pobiegła do salonu, zamknęła drzwi wejściowe i zasunęła podwójną zasuwę.

Nagle zaczęła drżeć. Dreszcz wstrząsnął nią od stóp do głów. Opadła na najbliższe krzesło i upuściła pistolet na podłogę. Po policzkach spływały jej łzy. Szarpnięciem zdjęła wełniany pled z oparcia krzesła i owinęła nim nagie ciało.

Jacob, zmęczony do granic, marzył o tym, żeby porządnie się wyspać. Wrócił do domu piętnaście po jedenastej. Gdy wjechał na parking przed domem, zauważył jaskrawożółtą vegę. Miała zaparowane szyby i włączony silnik. Do cholery, co ona tu robi? Nie miał dziś siły na Misty. Był wyczerpany i sfrustrowany. Nie miał ochoty użerać się z kobietą. Z żadną kobietą.

Wysiadł, zamknął samochód, schował kluczyki do kieszeni, przeszedł przez parking i zastukał w szybę vegi od strony pasażera. Misty natychmiast wyłączyła silnik, wyskoczyła z auta i podbiegła do niego.

- Cześć, skarbie - odezwała się słodko.

Jej czerwone wargi rozciągnęły się w czymś, co uważała zapewne za uwodzicielski uśmiech. Mimo mrozu miała na sobie spódnicę mini, wzorzyste rajstopy i przykuwające uwagę żółte kozaki. Tylko kurtka ze sztucznego futerka pasowała do zimowej pogody.

- Co ty tu robisz? - spytał, starając się zdobyć na uprzejmy ton.

- Tak traktujesz kobietę, która zjawia się, żeby dać ci odrobinę czułości?

- Tak to się teraz nazywa?

Misty wybuchnęła śmiechem, który przypominał wycie syreny alarmowej, rozdzierającej nocną ciszę.

- Mało nie odmroziłam sobie tyłka. Może pójdziemy gdzieś, gdzie jest cieplej?

- Słuchaj Misty, jestem padnięty. Może lepiej...

- Nic nie musisz robić, wystarczy, że będziesz leżał i korzystał z życia - oznajmiła, wsuwając mu rękę pod ramię. - Całą brudną robotę biore na siebie.

Członek Jacoba zareagował na tę bezpośrednią propozycję. Najwidoczniej nie był tak zmęczony, jak jego właściciel. Ciało natychmiast przypomniało mu, że od dawna nie był z kobietą. Właściwie od ostatniej randki z Misty - ponad pięć miesięcy temu. Rzecz jasna, ona zapewne o tym nie wie, bo, podobnie jak większość mieszkańców miasteczka, przypuszczała, że sypiał z Jazzy.

- Dziękuję za propozycję, ale...

- Chyba nie jesteś już z Jazzy? Myślałam, że między wami koniec, finisz, kaput.

- Jesteśmy przyjaciółmi.

- Tylko czekałam, aż ze sobą skończycie i wiedziałam, że prędzej czy później się doczekam.

Do jasnej cholery! Misty chyba nie liczy na nic więcej niż seks. Powiedział jej całkiem jasno, kiedy poszli ze sobą do łóżka na pierwszej randce ponad rok temu, zaraz po jej drugim rozwodzie, że żaden poważny związek nie wchodzi w rachubę.

Po schodach weszli do jego mieszkania na piętrze budynku, w którym mieściło się osiem lokali. Otworzył drzwi, wpuścił ją do środka i nawet nie zawracał sobie głowy tym, żeby zapalić światło. Zamknął drzwi kopniakiem, wziął Misty na ręce i zaniósł prosto do sypialni.

Kiedy postawił ją na podłodze przy łóżku, przesunęła dłonią po wypukłości jego dzinsów.

- Cieszysz się, że mnie widzisz, prawda?

- Poniekąd - przyznał.

Znów się roześmiała. Pocałował ją, żeby jej śmiech nie zdążył go ostudzić. Nie była najpiękniejszą ani najbardziej inteligentną kobietą w hrabstwie Cherokee, ale nie brakowało jej innych zalet. Umiała całować. I umiała się pieprzyć.

Zdarli z siebie ubrania i po kilku minutach Jacob pchnął ją na łóżko. Pognał do łazienki po zapas kondomów, zdjął slipki i rzucił je na podłogę. Stojąc nad nią, włożył prezerwatywę.

- Chodź, duży chłopcze, daj mi to, czego chcę. - Misty wiała się uwodzicielsko na łóżku.

- Mówiłaś, zdaje się, że brudną robotę weźmiesz na siebie.

- Chodź tutaj, to ci pokażę, co zrobię. - Wyciągnęła do niego ręce. Przykrył jej ciało swoim, przesuwając wzwiedzionym członkiem po jej brzuchu, aż ułożył się między jej nogami. Pochylił głowę i polizał twardą jak kamień brodawkę, później drugą, a ona ugryzła go w ramię. Prawie nie poczuł bólu.

- Zamieńmy się - zaproponowała Misty. - Mam ochotę na ostrą jazdę.

Ledwie zdążyła dokończyć zdanie, uniósł ją i posadził na sobie. Dosiadła go okrakiem. Wyciągnął ręce, żeby pieścić jej piersi.

- Zawsze dostaję to, co chcę, kiedy jestem na górze.

Uniosła się na tyle, żeby wsunąć rękę pomiędzy ich ciała i ujęła jego penisa. Leżał pod nią, płonąc z pragnienia, a ona poprowadziła go do celu. Nasunęła się na niego jak śliska, rozgrzana rękawiczka na dłoń.

Ujeżdżała go z początku powoli, budując napięcie, ale po chwili przyspieszyła, zbliżając piersi do jego ust. Czuł, że zbliża się szczyt, że za kilka sekund eksploduje. Misty ujeżdżała go coraz mocniej i szybciej, dziko, dysząc jak szalona. Dochodząc, krzyknęła, ale Jacob zdołał uciszyć ją pocałunkiem, zanim rozdarł go jego własny orgazm.

Ta suka Misty Harte jest u szeryfa i pieprzy się z nim jak opętana. Znał ten typ bardzo dobrze. Ale czy tak wiele różni ją od innych kobiet? Większość nadaje się tylko do jednego. Poza nielicznymi, które mają w sobie coś wyjątkowego. Takie zdarzają



się rzadko, a kiedy udawało mu się znaleźć jedną z nich, stawała się dla niego cenniejsza niż wszystko inne na świecie.

Stał na klatce schodowej przed mieszkaniem Jacoba Butlera i zastanawiał się, czy Misty zostanie na noc, czy też wyjdzie przed świtem. Zejdzie na dół i poczeka w jej samochodzie. Durna dziwka nawet go nie zamknęła.

Jeżeli wyjdzie z łóżka szeryfa przed świtem, będzie to znak, że ma stać się trzecią ofiarą.

## Rozdział 10

Poranne słońce na błękitnym niebie było zwodnicze. Temperatura wzrosła do kilku stopni powyżej zera. Nadal trwała odwilż, która zaczęła się poprzedniego dnia. Dallas zawahał się, zanim wysiadł z samochodu. Jego dłoń spoczęła na telefonie komórkowym zaczepionym o pasek. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł tak nieodpartą potrzebę, żeby zadzwonić do kobiety. Nie miał jednak zamiaru dzwonić do Genny Madoc, choć bardzo tego chciał. Co chwila powtarzał sobie, że ona wcale nie potrzebuje jego ochrony. W roli obrońcy dość dobrze spisywał się jej kuzyn szeryf. Ma też przyjaciółki, takie jak Jazzy Talbot, i kilku chłopaków.

Właśnie, Sloan, nie zapominaj o chłopakach.

Dallasowi burknęło w brzuchu i przypomniał sobie, że jest głodny. Wysiadł z samochodu, zamknął drzwi i przeszedł ulicą do Jasmine's. Kiedy wynajmował wczoraj domek, recepcjonistka powiedziała mu, że najlepszym miejscem na ciepłe, domowe śniadanie jest Jasmine's.

Wszedłszy do restauracji, poczuł zapach świeżo zaparzonej kawy i smażonego bekonu. Właścicielki nie było widać. Nie był zaskoczony - Jazzy nie wyglądała mu na rannego ptaszka.

- Stolik dla palących czy niepalących? - spytała młoda kelnerka z kręconymi brązowymi włosami i serdecznym uśmiechem.

- Dla niepalących - odpowiedział, zdejmując kurtkę i przerzucając ją sobie przez ramię.

- Proszę za mną.

Kiedy prowadziła go do stolika z tyłu sali, Dallas dostrzegł szeryfa Butlera, siedzącego samotnie nad okazałą stertą naleśników.

- Dołączy pan? - Butler skinął głową.

- Jasne. - Dallas wziął menu od kelnerki. Rzucił kurtkę w róg siedzenia i wsunął się za stół, siadając dokładnie na wprost szeryfa.

- Kawy? - spytała kelnerka.

- Czarnej - odpowiedział. - I dużą szklanke soku pomarańczowego.

- Już podaję. - Młoda kobieta odeszła pośpiesznie, gwizdząc pod nosem.

Dallas miał ochotę spytać Butlera, czy dzwonił do Genny, ale jakimś cudem się powstrzymał i nie wspomniał o kuzynce szeryfa.

- Chciałbym się czegoś dowiedzieć - oznajmił Dallas.

- A mianowicie? - Jacob przekroił naleśniki widelcem, oddzielił kęs i włożył go do ust.

- Sporządził pan listę podejrzanych?

Jacob pogryzł i przełknął, a później uniósł kubek i spojrzał na Dallasa znad brzegu filiżanki. Prychnął.

- Nie ma podejrzanych. Za wcześnie na to - odpowiedział, kiedy przełknął kawę.

- Na pewno są. Wystarczy pomyśleć, kto przyjechał do miasta niedawno, powiedzmy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

- Cały czas przyjeżdżają i wyjeżdżają turyści.

- Ten facet się tu sprowadził. Przez jakiś czas poznawał teren i ludzi... i być może zastanawiał się nad ofiarami, wybierając kobiety, które odpowiadają jego perwersyjnym wymaganiom.

- Na czym opiera pan tę teorię? Dlaczego akurat sześć miesięcy?

- Bo piąte morderstwo w Mobile w zeszłym roku miało miejsce siedem i pół miesiąca temu. Dziesięć dni po zamordowaniu mojej siostrzenicy zabił jeszcze jedną kobietę.

Kelnerka wróciła i postawiła przed Dallasem kubek z parującą kawą i wysoką szklanę schłodzonego soku pomarańczowego.

- Już pan wybrał? - spytała.

- Bekon, jajecznicę i bułkę - powiedział. - Przypuszczam, że są w menu. Zgadza się? - Podał jej zamkniętą kartę dań.

- Zgadza się. - Wzięła od niego menu. - Już składam pańskie zamówienie. - Kiedy znów się do niego uśmiechnęła, zauważył plakietkę z jej imieniem. Tiffany.

Kiedy zostali sami, Butler dokończył naleśniki i odsunął na bok pusty talerz.

- Zakłada pan, że mężczyzna, który zabił Susie Richards i Cindy Todd, to ten sam, który zabił pięć kobiet w Mobile w zeszłym roku. To podstawowe założenie. Nie ma pan dowodów, żeby powiązać ze sobą te morderstwa.

- Gdybym miał jakikolwiek dowód, miałby pan pewność, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą - powiedział Dallas. - Na razie dysponuję tylko kilkoma faktami, które łączą serie pięciu morderstw, dokonanych w ciągu ostatnich ośmiu lat w różnych

częściach kraju. Ale mówię panu, że intuicja podpowiada mi, że to ten sam facet.

- Nie przeczę, że ma pan cholernie dobrą intuicję - zauważył Butler. - Ale...

- Mówiłem panu wczoraj, że morduje w seriach po pięć. Skończy się tak, że będzie pan miał jeszcze trzy ofiary. Chyba że znajdziemy tego szaleńca i w porę go powstrzymamy.

- Dobrze, powiedzmy, że kupuję tę teorię. Od czego zaczynamy? Wywnioskował pan, dlaczego jest pięć ofiar, a nie cztery czy sześć?

Dallas pokręcił głową.

- Wiem tylko tyle, że każdą kobietę wykorzystuje seksualnie, a składając ofiarę z pierwszych czterech, wypija trochę ich krwi. Z piątą obchodzi się w szczególny sposób: wyjmuje jej serce. Domyślam się, że je zjada.

- Zjada serce piątej ofiary?

- Dobrze słyszałam? - Do stolika wróciła kelnerka z dzbankiem kawy i szybko napełniła kubki obu mężczyzn. - Zabójca zjadł serce Cindy?

- Niech pani o tym zapomni - powiedział Butler. - Agent Sloan nie mówił o Cindy ani o Susie. Opowiadał mi o innym przypadku, w innym mieście.

- Dzięki Bogu. - Tiffany odetchnęła z ulgą. - Wystarczy, że grasuje tu zabójca. Gdyby na dodatek zjadał serca ofiar... - Wzdrygnęła się i odeszła, bo zauważyła nowego klienta wchodzącego do restauracji.

Czujny wzrok Butlera powędrował do wejścia, w którym na Tiffany czekał barczysty mężczyzna, mierzący około metra osiemdziesięciu. Zdjął drogi płaszcz i podał go kelnerce. Dallas wywnioskował, że prawdopodobnie jest przyzwyczajony do tego, że ma służących na każde zawołanie. Inni klienci wieszali kurtki na wieszaku przy wejściu albo zabierali ze sobą do stolika.

Dallas zastanawiał się, czym zajmuje się nowy klient. Może jest prawnikiem. Nie miał wątpliwości, że jest bogaty. Miał siwiejące włosy, klasycznie krótkie. Biła od niego aura wyższości.

Dallas zerknął na Butlera i zauważył, że jego skośne oczy zwięzły się w szparki, a twarz spochmurniała. Najwyraźniej szeryf nie lubił tego waźniaka.

Tiffany wprowadziła mężczyznę do strefy dla palących w drugim końcu restauracji. Obsługiwała go niemal w ukłonach, a potem szybko oddaliła się, niosąc jego płaszcz.

- Co to za facet? - spytał Dallas.
- Brian MacKinnon - odpowiedział Butler.

W głowie Dallasa pojawiło się echo słów Jazzy. Jest bogaty i wpływowy, Jacob go nie lubi. Ale Genny jest przekonana, że można go zmienić.

- Dlaczego pan go nie lubi?
- Słucham? - Jacob spojrział Dallasowi prosto w oczy.
- Jazzy powiedziała mi wczoraj, że ten facet stara się o Genny i pan go nie lubi.

- Powiedzmy, że pan MacKinnon i ja mamy odmienne spojrzenie na pewne sprawy. - Butler prychnął.

- Także na jego relację z Genny?
- Wydaje mi się, że ma na jej punkcie obsesję. - Butler przyjrzał się bacznie Dallasowi. - Martwi mnie to.

- A co na to Genny?
- Chyba powinien pan zapytać ją, nie mnie. - Butler uniósł kubek z kawą.

Zanim Dallas zdążył odpowiedzieć, Tiffany przyniosła mu śniadanie, położyła na stole rachunek i szybkim krokiem poszła zanieść Brianowi MacKinnonowi pierwszy kubek kawy.

Butler wstał. Wziął z krzesła brązową skórzaną kurtkę, ubrał się i włożył na głowę stetsona.

- Kiedy pan skończy, zapraszam do mnie do biura. Pomyślmy nad listą mężczyzn, którzy przyjechali do Cherokee w ciągu ostatnich sześciu czy siedmiu miesięcy. - Butler wyjął z kieszeni portfel, wyciągnął trzy dolary i położył napiwek na stoliku, a później wziął rachunek.

- Dobrze.

Z pomocą tak bystrego szeryfa jak Butler, może uda mu się schwycić zabójcę. Dallas uznał, że Jacobowi można zaufać.

Zanim Butler podszedł do kasjerki, którą była jedna z kelnerek, przystanął i odwrócił się do Dallasa.

- Dzwoniłem rano do Genny! - krzyknął. - Wszystko z nią w porządku. Kazała pana pozdrowić.

Dallas starał się powstrzymać reakcję. Skinął głową na znak, że usłyszał Jacoba. Szeryf spojrział na Briana MacKinnona, zapłacił rachunek i wyszedł. Dallas i MacKinnon spojrzeli na siebie. Sloan w jednej chwili wyczuł drżącą w tym człowieku nienawiść. Czyżby Butler rzucił uwagę o Genny tylko po to, żeby rozzłościć MacKinnona? Jeżeli tak, osiągnął zamierzony cel.

Do stolika podeszła Tiffany, żeby dolać mu kawy.

- Kim właściwie jest pan MacKinnon? - spytał Dallas.

- Właścicielem „Cherokee Pointe Herald” i naszej lokalnej telewizji, WMMK - odpowiedziała. - Jego ojciec, pan Farlan MacKinnon jest jednym z najbogatszych ludzi w okolicy. Mieszkają w tej wielkiej, starej, wiktoriańskiej posiadłości na Bethel Street.

- Rozumiem. Dziękuję. - Dallas dokończył śniadanie, zostawił Tiffany spory napiwek, zapłacił rachunek i unikając wzroku MacKinnona, wyszedł z restauracji.

Nie znał tego człowieka, ale skoro szeryf Butler twierdził, że ma obsesję na punkcie Genny, to wystarczyło, żeby Dallas poczuł do niego niechęć. Obsesja jest niebezpieczna. Coś o tym

wie. Sam omal nie popadł w obsesję, szukając zabójcy Brooke. Tylko dzięki silnej woli, wieloletniej praktyce i doświadczeniu w pracy agenta federalnego, nie przekroczył granicy pomiędzy bezwzględną determinacją a obsesją. Jeżeli MacKinnon tak bardzo chciał Genny, że przekroczył granicę pomiędzy pragnieniem a obsesją posiadania jej, to pewnie stał się niebezpieczny.

Czekał w jej vedze całą noc i kiedy już stracił nadzieję, że wyjdzie od szeryfa przed świtem, wyłoniła się. Gdy przemykała się schodami, nad horyzontem zaczynało świtać. Dzisiaj nie zdaży jej już poświęcić. Wahał się przez kilka chwil. Powinien ją puścić czy wziąć? Pierwszych czterech ofiar nigdy nie wybierał. Zdawał się na przeznaczenie. Wydawało mu się, że to los pchnął Misty Harte w jego ręce, a był człowiekiem, który nie sprzeciwia się przeznaczeniu. W młodym wieku nauczył się, jakie znaczenie ma to, co niespodziewane i niewytłumaczalne. Ufał kosmicznym mocom, które rządzą światem.

Związał i zakneblował Misty, ukrył ją w piwnicy, a jej mały, żółty samochód zostawił na parkingu opuszczonej stacji benzynowej niecały kilometr za miastem. Bez trudu wrócił pieszo do Cherokee Pointe, uważając, żeby nikt go nie zobaczył. Zawsze postępował bardzo ostrożnie.

Piwnica była doskonałą kryjówką. Nikt nigdy tu nie zajrzy. Mógłby ją przetrzymywać nawet przez parę dni, gdyby chciał przedłużyć sobie przyjemność, Nauczony doświadczeniem, wiedział, że jeżeli więzi się kobietę dłużej niż kilka godzin, najlepiej nafaszerować ją lekami. Zamroczona, nie będzie się szarpać. Nie chciał żadnych zadrapań na twarzy czy rękach, które mogłyby go zdradzić.

Ręcznikiem, który wziął ze sobą, wybierając się z drugą wizytą do swojej niewolnicy, wytarł członek, wciągnął slipki i

spodnie. Spojrzał w dół na nagą kobietę, przywiązaną do pryczy i uśmiechnął się, kiedy zobaczył swoje nasienie lśniąca na jej brzuchu.

Później weźmie prysznic, ogoli się, ubierze i zacznie nowy dzień. Około południa znów będzie musiał tu przyjechać, żeby dać Misty kolejny zastrzyk. Była zakneblowana i starannie przywiązana, ale nie chciał ryzykować. Przez lata dążył do ostatecznego celu, a w żadnym ze stanów władze nawet nie wpadły na jego trop. Przechytrzył wszystkich. I znów mu się uda. Jacob Butler jest inteligentny, ale to tylko niedoświadczony szeryf zacofanego okręgu Tennessee. Podobnie jak jego kolegom, nie uda mu się dojść, kto zamordował pięć miejscowych kobiet.

Tylko co z agentem FBI? Do cholery, skąd się wziął w Cherokee Pointe? Biuro nie miesza się w sprawy takie jak ta, dopóki miejscowe władze nie zwrócą się o pomoc. A nawet wtedy zaangażowanie FBI sprowadza się do udostępnienia zaplecza badawczego. Czyżby Butler wezwał FBI?

Będzie musiał działać bardzo ostrożnie. Żadnych błędów. Nie może sobie pozwolić na to, żeby cokolwiek poszło źle. Po tylu latach poszukiwań, w końcu ją znalazł. Tę, która da mu coś, czego pragnie najbardziej na świecie.

Wallace, którego podwiózł kierowca MacKinnonów, zjawił się u Genny trochę spóźniony.

Przez dobrych dziesięć minut musiała zapewniać, że nie jest na niego zła. Słodki Wallace. Gdyby wszyscy byli tacy mili i wrażliwi jak on, świat byłby o wiele lepszy. Był częścią jej życia, odkąd sięgała pamięcią. Od młodości pracował dla babci Butler i bardzo lubił Genny, podobnie jak ona jego. Traktowała Wallace'a jak członka rodziny. Przez lata miała okazję poznać pozostałych MacKinnonów, chociaż ich rodziny obracały się w



całkiem różnych kręgach społecznych. Pan Farlan był dość miły, pod warunkiem, że lubi się typ staroświeckiego, władczy mężczyzny. Pani Veda nie należała do wylewnych, ale nie była też nieuprzejma. Genny znalazła się w obecności wielkiej damy zaledwie kilka razy i za każdym wyczuwała w tej kobiecie głęboki smutek. Podejrzewała, że Veda nigdy nie była prawdziwie szczęśliwa.

Jedyny syn i spadkobierca MacKinnonów był od Genny dużo starszy i ich drogi zeszyły się dopiero kilka lat temu. Kiedy Wallace złamał nogę i leżał w szpitalu, Farlan przysłał Briana, żeby wyjaśnił sytuację. To wtedy po raz pierwszy się z nim zetknęła. Nigdy wcześniej się nie spotkali, ale zawsze wiedziała, kim jest i że ma opinię bydlaka bez serca.

Z jakiegoś powodu Brian stracił dla niej głowę i musiała przyznać, że z początku pochlebiały jej te zaloty. Nie dlatego, że wcześniej nikt o nią nie zabiegał. Ale nigdy dotąd nikt nie starał się o jej względy z tak zacieklą determinacją. Briana nie odstraszyły nawet plotki o tym, że, podobnie jak jej babka, jest czarownicą.

Wiedziała, że go nie kocha, a czasami wręcz go nie lubiła. Ale wyczuwała, że on rozpaczliwie jej potrzebuje. Nawet Wallace zauważył, że Genny ma zbawienny wpływ na jego siostrzeńca. Dlatego nie miała sumienia, żeby odtrącić Briana, jednak nigdy go nie okłamała i nie robiła mu żadnych nadziei.

- Chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi - powiedziała, kiedy trzymał ją za rękę.

Uniósł jej dłoń do ust i czule pocałował.

- Ja też tego chcę. Chciałbym, żebyśmy zostali dobrymi przyjaciółmi. Jestem cierpliwym mężczyzną, Genevieve. Będę czekał na ciebie tyle, ile będzie trzeba.

Pokręciła głową, otrząsając się z myśli o Brianie. Ostatnio zaczął ją irytować swoją natarczywością, ale Jacob z nim

porozmawiał i chyba skutecznie ostudził jego zapaly. Przynajmniej na jakiś czas. Podejrzawała, że Jacob po swoim, bez emocji zagroził Brianowi. Jej kuzyn nie bawił się w subtelności.

- Co jest, Genny? - spytał Wallace, wstawiając do zlewu talerze z obiadu.

- Nic takiego. - Genny spojzała na niego i się uśmiechnęła. - Tylko myślę.

- O czym?

- O Jacobie.

- Lubię Jacoba. To dobry człowiek.

- Ma bardzo ciężką pracę. - Genny uniosła dłoń i położyła Wallace'owi na ramieniu. - Dwa morderstwa i żadnych podejrzanych.

- Czemu ktoś skrzywdził te kobiety? - spytał bezradnie Wallace.

- Nie wiem. - Genny ścisnęła jego ramię. - Ale wiem, że za tymi zabójstwami stoi wielkie zło.

- A nie mogłabyś podczas wizji zobaczyć, kto jest zabójcą?

- Chciałabym, ale to nie takie proste. - Genny westchnęła. Oplukala naczynia i zaczęła wkładać je do zmywarki. - Nie mam wpływu na moje wizje.

- To nic. - Wallace poklepał ją po plecach. - Nie twoja wina, że nie możesz zobaczyć zabójcy. Melva Mae zawsze mówiła, że jej wizje są raczej przekleństwem niż błogosławieństwem.

- Miała rację. - Genny skończyła układać naczynia, wlała płyn i zamknęła drzwiczki. - Chodź. Musimy dziś wysłać ziola. Skończymy je pakować, a później, po drodze do domu, możesz je zabrać do biura FedEksu w mieście.

- Myślałem, że najpierw chcesz sprawdzić suszarnię - powiedział Wallace. - A później chyba ma przyjść pani Sally, żeby pomóc nam w pakowaniu.

- Masz rację - odpowiedziała Genny. - Może idź pierwszy i naszykuj pudełka w pakowalni, a ja zajrzę do suszarni? Nie będziemy czekać na Sally. Może się zjawić zaraz albo równie dobrze nie przyjść wcale. Wiesz, jaka jest.

- Dla mnie pani Sally jest zabawna. - Wallace zachichotał.  
- Rozśmiesza mnie.

- Masz rację. Przy Sally można boki zrywać.

Genny umyła i wytarła ręce, wyszła na tylny ganek. Drudwyn, który spał spokojnie obok przeszklonych drzwi, podniósł łeb i spojrzał na swoją panią.

- Chodź, stary, pewnie chcesz trochę pobiegać.

Gdy tylko otworzyła drzwi, pies wybiegł na dwór. Słońce świeciło wysoko nad głowami, niczym lśniąca żółtopomarańczowa kula. Zapowiadano lekkie ocieplenie. Temperatura miała osiągnąć pięć stopni. Wczoraj stopniała większość śniegu, a spod śnieżnej breji wyzierały łaty lodowej bieli. Genny zdjęła grubą kurtkę z wieszaka na tylnym ganku. Z kieszeni wyjęła rękawiczki i czapkę. Wsunęła rękawiczki, a potem założyła kurtkę i czapkę.

- Spotkamy się w pakowalni! - krzyknęła do Wallace'a, zostawiając go na tylnym ganku.

Suszarnię powiększyła kilka lat temu, kiedy rozbudowywała firmę. Ekologicznie hodowane zioła były obecnie hitem na rynku i przynosiły prawie jedną trzecią jej dochodów. Lista hodowanych przez nią ziół leczniczych była dość obszerna - od anyżu po żywokost lekarski. Niektóre dobrze rosły w szklarniach, inne uprawiała latem w ogrodzie, a kilka dzikich gatunków zbierała w okolicznych lasach. Wszystkiego, co wiedziała na temat ziół leczniczych, nauczyła się od babci. Ta z kolei sztukę leczenia ziołami poznała dzięki obu swoim babkom. Jedna z nich była pełnej krwi Indianką Cherokee, a druga pochodziła od celtyckich druidów. Genny wiedziała, że zarówno

jej rdzenni amerykańscy, jak i szkocko-irlandzcy przodkowie mieli szacunek dla przyrody. Indianie Cherokee, jak większość plemion, żyli w harmonii z naturą i stosowali zioła, by przyciągnąć uzdrawiające siły wszechświata.

Znajdująca się za szklarniami suszarnia, zbudowana z drewna i szkła, była wyposażona w nawiew. Babcia i Wallace posługiwali się prostą suszarką, zrobioną z kawałka rury, ale ona zastąpiła domową konstrukcję grzejnikiem na propan. Gaz sprawdzał się lepiej niż prąd. Był bardziej wydajny i pewniejszy.

Genny otworzyła drzwi i szybko zamknęła je za sobą. Zmierzyła wzrokiem powierzchnię czterystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Miała krokwie, siatki i półki, żeby w pełni wykorzystać przestrzeń. W jednym miejscu zbudowano podwyższenie - strukturę z belek przykrytych przepuszczalną tkaniną sizalową.

Przechodząc przez pomieszczenie, patrzyła na suszone zioła i decydowała, czym należy zająć się najprędzej. Zawsze trzymała zapas ziół dla rodziny i przyjaciół, a od czasu do czasu po mikstury i leki zjawiali się u niej mieszkańcy Cherokee.

Oczywiście, suszonych ziół nie można trzymać w nieskończoność, bo tracą swoje lecznicze właściwości. Babcia nauczyła ją, że zioła należy przechowywać tylko tak długo, jak długo trwa cykl ich hodowli. Jeżeli ziele kwitnie co roku, może być przechowywane tylko rok. A jeżeli nasiona dojrzewają w ciągu dwóch lat, mogą być przechowywane nie dłużej niż dwa lata.

Gdy Genny wyłoniła się z suszarni, dostrzegła Sally stojącą przy tylnym ganku, pogrążoną w rozmowie z Wallace'em. Byli w podobnym wieku i wyglądało na to, że mają ze sobą wiele wspólnego. Wallace uchodził za miejscowego wariata, a Sally za miejscową ekscentryczkę. Oboje mieli złote serca.

Być może temu światu potrzeba więcej wariatów i ekscentryków?

Sally przyproceedziła ze sobą Petera i Paula, swoje dwa wyżły. Rude psy, z których każdy ważył dobrze ponad czterdzieści kilo, baraszkowały w słońcu z Drudwynem. Oni też byli starymi przyjaciółmi.

Sally wyciągnęła rękę i pomachała Genny.

- Rozmawiałaś dziś z Jazzy?! - krzyknęła do niej.

Genny pokręciła głową.

- Czemu pytasz o Jazzy? - spytała, kiedy podeszła do Sally i Wallace'a. - Coś się stało?

- Właśnie nie wiem. - Sally wyjęła z kieszeni pudełko tabaki, uniosła wieczko i małym patyczkiem umieściła drobno zmielony tytoń między dziąsłem a wargą. - Kilka razy usiłowałam się do niej dodzwonić, ale w mieszkaniu nikt nie odbierał, a w restauracji powiedzieli, że dzwoniła, że dziś rano nie przyjdzie.

- To do Jazzy niepodobne. Próbowalaś dzwonić na komórkę? Może wyjechała z miasta?

- Komórki też nie odbiera - powiedziała Sally. - Poza tym, jak wyjeżdża z hrabstwa Cherokee, to zawsze mi mówi. Wie, że się o nią zamartwiam.

- Czy osoba z restauracji, która odebrała telefon, wspomniała, że Jazzy się źle czuje?

- Rozmawiałam z Tiffany. To do niej dzwoniła. Tiffany powiedziała mi, że Jazzy się nie tłumaczyła.

- Mam nadzieję, że panienka Jazzy się nie rozchorowała - zaniepokoił się Wallace. - Genny, może powinnaś jej zawieźć jakieś zioła?

- Spróbuję się z nią skontaktować po południu, a jeżeli mi się uda, pojedę do niej wieczorem - postanowiła Genny.

- Wiesz, że Jamie Upton jest znów w mieście. - Sally wypluła na ziemię ciemnobrązową maź, a potem otarła wargi grzbietem dłoni. - Wołałabym, żeby się nie pojawiał. - Prychnęła. - Cholera, chciałabym, żeby padł trupem. Wspomnisz moje słowa, w końcu ktoś zabije tego nic niewartego drania.

- Myślisz, że Jazzy jest z Jamiem? - Genny modliła się, żeby tak nie było. Jamie sprawiał Jazzy ból, odkąd się znali, czyli prawie przez całe życie.

- Przysięgała mi, że tym razem nie będzie się z nim zadawać. Naprawdę strasznie żałuję, że jej nie wyszło z Jacobem. Ta moja dziewczyna tego właśnie potrzebuje: dobrego faceta, który będzie ją dobrze traktował.

- Może pójdziecie z Wallace'em do pakowalni. Ja zadzwonię do Jazzy, a potem do was dołączę. - Genny posłała Sally wymuszony uśmiech i pośpiesznie weszła do domu.

Wzięła słuchawkę wiszącą na ścianie i wybrała numer domowy Jazzy. Sygnał powtórzył się kilka razy, a później włączyła się automatyczna sekretarka. Genny spróbowała na komórkę. Skrzynka głosowa. Na koniec zadzwoniła do restauracji.

- Tiffany, tu Genny Madoc. Czy Jazzy już przyszła?

- Tak, proszę pani, właśnie się pojawiła. Nie wiem, co się dzieje, ale chyba mamy epidemię nieobecności. Najpierw nie było Jazzy, później zadzwoniła Lois, że któreś z jej dzieci zachorowało, a na koniec na popołudniowej zmianie nie pojawiła się Misty.

- Przykro mi, że macie problemy - powiedziała Genny. - Czy mogłabyś mnie połączyć z gabinetem Jazzy?

- Jasne.

Jazzy odebrała po trzecim sygnale.

- Jasmine Talbot. Czym mogę służyć?

- Następnym razem, jak postanowisz nie odbierać telefonów albo nie przychodzić do pracy, najpierw zadzwoń do Sally, żeby nie musiała się o ciebie martwić.

- Boże, Genny, przeproś ją ode mnie. Ale... cóż...

- Co się stało?

- Muszę się z tobą zobaczyć. Chcę, żebyś mi powróżyła.

- Co się stało? Chodzi o Jamiego?

- Przyszedł do mnie wczoraj wieczorem.

- Czy...

- Nie. Wyrzuciłam go. Za pomocą pistoletu.

Zimny dreszcz przeszedł Genny od stóp do głów.

- Przyjedź koło wpół do szóstej. Postaram się, żeby Sally i Wallace'a już nie było.

- Genny?

- Co?

- Potwornie się boję.

- Jamiego?

- Tak, Jamiego. I siebie samej. Chyba byłabym w stanie naprawdę go zastrzelić. Chciałam... chciałam, żeby był martwy.

Brian MacKinnon z samego rana zadzwonił do senatora Everetta. Musiał wiedzieć, co Dallas Sloan robi w Cherokee Pointe. Gdyby lepiej żył z Jacobem Butlerem, o agenta FBI spytałby jego. Przy śniadaniu odniósł wrażenie, że są w dobrej komitywie. Jacob wyjątkowo unikał rozmowy z prasą na temat dwóch niedawnych morderstw. W ich względnie spokojnym okręgu morderstwo było sensacją. A dwa rytualne morderstwa nadawały się na pierwszą stronę gazety.

Czyżby Jacob poprosił o pomoc FBI? Czytelnicy „Cherokee Pointe Herald” mają prawo o tym wiedzieć, prawda? Na dyżurną linię „I ty masz głos” od dnia, kiedy doszło do pierwszego morderstwa, zadzwoniły setki widzów WMMK.

Poza tym, Brian jak najszybciej musiał dowiedzieć się wszystkiego na temat mężczyzny, który interesuje się Genny. Sprawy skomplikował już Pierpont, ale przy Dallasie Sloanie Pierpont to pryszcz. Agent FBI może okazać się prawdziwym rywalem.

## Rozdział 11

Kiedy Jacob był poza biurem w sprawach służbowych, Dallas zadzwonił do Teri Nash. Przekazał jej najnowsze informacje o drugim morderstwie i spytał, czy Linc Hughes skończył profil, który obiecał sporządzić na podstawie informacji na temat morderstw w Mobile, które przekazał mu Dallas.

- Przefaksuj mi wszystko, co przekaże ci szeryf Butler, a ja poproszę Linca, żeby porównał morderstwa z Mobile z tymi w Cherokee Pointe - powiedziała mu Teri. - W tej chwili noc i dzień pracuje dla Rutherforda nad inną sprawą.

Rutherford nie miał zamiaru dawać Dallasowi większej swobody działania. Czasem potrafił być prawdziwym dupkiem, ślepo trzymającym się zasad i przepisów. Kilka razy udzielił mu ustnej nagany i zagroził, że zawiesi go na kilka tygodni albo nawet miesięcy. Dallas przypuszczał, że będzie musiał pójść na urlop bezpłatny, bo inaczej go zawieszą.

Teri i Linc będą musieli działać bardzo ostrożnie, żeby nie ryzykować posady, ale Dallas wiedział, że go nie zawiodą. Rozumieli, jak bardzo mu zależy na odnalezieniu sprawcy. Mieli także świadomość, że trafnie przypuszcza, iż zabójca Brooke to seryjny morderca. Zawężając listę podejrzanych za pomocą



profesjonalnego profilu sporządzonego przez eksperta FBI, mogli uratować życie innych kobiet. Problem w tym, że biuro zatrudniało jedynie garstkę specjalistów od profili, którzy mieli ręce pełne roboty.

Ponieważ żadne z władz miejscowych czy stanowych z Alabamy, Teksasu, Południowej Karoliny czy Luizjany nie zwróciły się po pomoc federalną, FBI nie zaangażowało się w sprawę czterech serii pięciu rytualnych zbrodni. Biuro rzadko wtrącało się w śledztwa dotyczące pojedynczych przestępstw. Gdyby nadal mordowano kobiety w tym samym regionie i podejrzewano by, że przestępstwa są dziełem seryjnego zabójcy, miejscowe władze bez wątpienia zwróciłyby się po pomoc do FBI. Jednak podobieństwa między czterema seriami morderstw w różnych południowych stanach wyszły na jaw tylko dlatego, że Dallas zaczął dochodzenie na własną rękę.

Teri pomogła mu przeszukać dane zebrane w UCR - jednolitym programie dokumentacji przestępstw. Znalazła informacje o innych morderstwach, które miały cechy wspólne z zabójstwem Brooke. Dallas zadzwonił do wszystkich miejscowych organów ścigania i poprosił o informacje na temat każdej ze spraw. W dniu, kiedy wyjechał z Waszyngtonu, przysły dokumenty na temat podobnej zbrodni, którą popełniono wcześniej niż te w Mobile - z Hilton Head w Południowej Karolinie.

Pod nieobecność Jacoba, Dallas zadzwonił do terenowej jednostki FBI w Knoxville. Chet Morris, który kierował nią jako agent specjalny, był jego dawnym przyjacielem i zgodził się współpracować z szeryfem Butlerem, udostępniając laboratoria FBI do zbadania dowodów. Dallas musiał tylko skontaktować Butlera z Chetem.

Jacob wszedł do biura i zastał Dallasa za biurkiem analizującego strzępy informacji na temat dwóch morderstw w

Cherokee Pointe. Kiedy Dallas podniósł wzrok, Jacob skinął głową, ściągając kurtkę i czapkę, które później powiesił na wieszaku w rogu.

- Przepraszam, że tak długo mnie nie było, ale sprawdzałem każdy trop i odpowiadałem na każdy telefon z informacją o czymś podejrzanym. - Jacob podszedł do ekspresu do kawy, stojącym na małym stoliku pod ścianą. - Niektórzy są przekonani, że rytualne ofiary ze zwierząt, które znaleziono przed Bożym Narodzeniem, są powiązane z morderstwami Cindy i Susie.

Dallas wstał z krzesła, obszedł biurko i stanął obok Jacoba przy ekspresie. Tak wciągnęło go przeglądanie dokumentacji, że nie zrobił sobie nawet przerwy na lunch.

- A pan jak uważa? Jest jakiś związek? - spytał Dallas.

- Nie wiem, co myśleć, ale jeżeli chce pan wiedzieć, co podpowiada mi intuicja, powiedziałbym, że raczej nie.

- Chyba się zgadzam. Ofiary ze zwierząt nie są wielką rzadkością, ale ofiary z ludzi owszem.

Jacob nalał kawy do czystego kubka i podał go Dallasowi.

- Dzięki.

- Czy w pozostałych przypadkach były doniesienia o ofiarach ze zwierząt poprzedzających ofiary z ludzi? W serii morderstw z Mobile?

- Nie. - Dallas pokręcił głową.

- Rozmawiał pan dziś ze swoimi ludźmi z Biura?

- Nie mam jeszcze profilu zabójcy. Niedługo dostanę.

Jacob przysiadł na krawędzi biurka i uniósł do ust pomarańczowy kubek. Wypił kilka łyków i odstawił kubek na biurko.

- Będę z panem zupełnie szczery. Wydaje mi się, że mam za małe doświadczenie, żeby dobrze poprowadzić tę sprawę, a

na domiar złego nasz komendant policji jest skończonym durniem. Mam zamiar poprosić o pomoc.

- Niech pan zadzwoni do Cheta Morrisa z naszego biura terenowego w Knoxville i oficjalnie poprosi o pomoc FBI. Dzięki temu pana wydział będzie miał dostęp do naszego zaplecza. Chet jest w porządku. Nie będzie robił afery z tego, że zaglądam panu przez ramię. A jeżeli mi pan pozwoli, będę z panem nieoficjalnie współpracował. W pracy w organach ścigania mam doświadczenie, którego panu brakuje.

- Najpierw muszę porozmawiać z Roddym Watsonem. Uparł się, żebyśmy sami zajęli się tymi morderstwami. Będzie protestował.

- Panu podlega sprawa Susie Richards. Niech pan zadzwoni do Cheta w sprawie wykorzystania zaplecza FBI tylko do tej sprawy, a wtedy nie zostawi pan wielkiego wyboru Watsonowi. A może zechciałby pan poprosić Cheta, żeby kilku swoich ludzi przydzielił do pańskich sił operacyjnych?

- Tak, to chyba dobry pomysł. - Jacob zachichotał. - Załatwianie spraw za plecami Roddy'ego to wprawdzie podstęp, ale chyba nie ma na niego innego sposobu.

Dallas przełknął kilka dużych łyków kawy i postawił kubek na podłodze. Przyciągnął krzesło, postawił je obok biurka Jacoba, wziął notes i długopis.

- Ma pan czas, żebyśmy teraz zajęli się listą podejrzanych?

- Chodzi panu o listę mężczyzn, którzy niedawno się do nas sprowadzili?

Dallas skinął głową.

- Przede wszystkim, wielebny Stowe z kościoła kongregacyjnego i jego żona. - Jacob podrapał się w brodę. - Są tu zaledwie od kilku miesięcy. Przyjechali, kiedy wielebny Thomas odszedł na emeryturę.

- To chyba Stowe znalazł ciało Cindy Todd?

- Zgadza się.
  - A jak ma na imię ten duchowny?
  - Haden - odpowiedział Jacob. - A jego żona, Esther.
- Dallas zapisał imiona w notesie.

- Kto jeszcze?

- Niedawno sprowadził się też doktor Galvin MacNair. Mieszka tu od paru miesięcy. Jest internistą. Jego żona ma na imię Nina.

Dallas dopisał do listy MacNaira.

- Duchowny i lekarz - powiedział Jacob. - Ciężko podejrzewać ich o przestępstwo.

- Seryjny zabójca może skrywać się pod każdą maską - powiedział Dallas. - Zobaczę, czy Teri będzie mogła ich dla nas sprawdzić. Albo, jeżeli szybko zaangażuje pan do sprawy Cheta, on zweryfikuje listę podejrzanych. Musimy szukać mężczyzny, który często się przemieszcza albo przynajmniej sporo podróżuje.

- Jamie Upton.

- Kto?

- Nieważne. - Jacob dopił kawę i przeszedł przez gabinet, żeby sobie dołąć.

- Dlaczego nieważne? Kto to jest Jamie Upton?

- Rozwydrzony bachor, który wyrósł na żalostnego bydlaka. Dużo podróżuje. Co jakiś czas przyjeżdża do Cherokee Pointe. Zjawił się w mieście niecały tydzień temu.

- Tuż przed morderstwem Susie Richards?

- Tak, mniej więcej w tym czasie. Ale Jamie odpada. Tak mi wpadł do głowy. Chyba jestem do niego uprzedzony.

- Rozumiem, że wraz z Brianem MacKinnonem ten cały Jamie znajduje się wysoko na pańskiej liście dupków?

- Tak. - Kąciki ust Jacoba lekko się uniosły. - Czuje niechęć do bogatych facetów, którym się wydaje, że pieniądze

wyratują ich z kłopotów albo że dzięki nim dostaną to, czego chcą.

Dallas dopisał Jamiego do listy.

- Skoro wpisuje pan Jamiego, równie dobrze może pan dodać MacKinnona. Sporo podróżuje. Nie zaszkodzi go sprawdzić.

Dallas uśmiechnął się pod nosem, wpisując na listę Briana MacKinnona.

- Kto jeszcze mieszka w hrabstwie Cherokee od sześciu miesięcy lub krócej, albo dużo podróżuje?

- Dillon Carson. Prowadzi miejski teatr. Jest nowy i fircyk z niego jakich mało. No i ten przyjaciel Genny, Royce Pierpont. Na mnie robi wrażenie mięczaka i trochę dziwaka, ale Genny go lubi. Ma sklep z antykami w mieście. Nie mieszka u nas dłużej niż pół roku.

- Ktoś jeszcze?

- Nikt więcej nie przychodzi mi do głowy. A co, lista jest za krótka? Ile ma pan nazwisk?

- Sześć. - Dallas rzucił okiem na listę. - Jest to jakiś punkt wyjścia.

- Chce pan poczekać, aż skontaktuję się z Chetem Morrisem, czy woli pan poprosić pana znajomą Teri, żeby sprawdziła tę listę?

- Zadzwoń do Teri. Nie będziemy marnować ani chwili. Ale kiedy będzie pan rozmawiał z Chetem, niech mu pan wspomni, że już poprosiłem koleżankę z biura o przysługę, żebyśmy nie robili podwójnej roboty. Tylko niech pan przypadkiem nie podaje imienia Teri.

- Jeżeli nasz zabójca to ten sam facet, który popełnił przestępstwa w Mobile, jak pan sądzi, kiedy zaatakuje znowu? - spytał Jacob. - Zabił dwie kobiety w odstępie dwudziestu czterech godzin.

- Nie działa w określonych odstępach czasu. Niektóre morderstwa popełniane były w odstępach dwudziestocztorgodzinnych, inne z trzytygodniową przerwą. Najprawdopodobniej nie ma to żadnego wyjaśnienia. Ale w kwestii czasu wszystkie te morderstwa mają jedną cechę wspólną.

- A mianowicie? - Jacob zmrużył oczy.

- Wszystkie dokonywane są wczesnym rankiem, najprawdopodobniej o świcie.

- Im więcej się dowiaduję o tym pana seryjnym mordercy, tym bardziej przerażający wydaje mi się cały scenariusz. Jeżeli to ten sam facet, mamy do czynienia z bardzo skrzywioną osobą. - Jacob zaklął cicho pod nosem. - Cholera, co ja gadam. Nawet jeżeli to ktoś inny, mamy do czynienia z prawdziwym psychopata. Rozciął dwie niewinne kobiety.

- Jeżeli to ten sam zabójca, a jestem tego pewien, już poluje na trzecią ofiarę.

Genny wstawiła czajnik, żeby mogły się z Jazzy napić naparu z rumianku. Na uspokojenie. Jazzy była roztrzęsiona i potrzebowała spokojnej, troskliwej przyjaciółki - ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć. Genny rzadko źle życzyła jakiemukolwiek bożemu stworzeniu, nawet takim padalcem jak Jamie Upton. Ale gdyby miała moc ingerencji w ludzkie życie, usunęłaby Jamiego z życia Jazzy. Na zawsze. Oczywiście nie uśmierciłaby go, ale odprawiłaby z Cherokee na zawsze.

Wyjęła z kredensu pojemniczki z rumiankiem, odmierzyła odpowiednią ilość i wsypała do czajniczka na piecu. Uprawiała rumianek z podwójnym kwiatem, bo miał silniejsze właściwości lecznicze.

Odgłos samochodu wjeżdżającego na podjazd oznaczał, że gość przybył. Kiedy Gemma podeszła do drzwi wejściowych,

Jazzy stała już na ganku. Otworzyła drzwi na oścież i wyciągnęła ręce do przyjaciółki. Jazzy padła jej w objęcia.

- Od wczoraj odchodzę od zmysłów. - Jazzy podniosła głowę. - Naprawdę niewiele brakowało, żebym zabiła sukinsyna.

Genny chwyciła Jazzy za rękę i wprowadziła do domu. Zamknęła drzwi i zaprosiła ją do kuchni.

- Chodź ze mną - zwróciła się do przyjaciółki. - Porozmawiamy przy herbacie.

Jazzy poszła za nią posłusznie jak dziecko, chociaż każdy, kto ją znał, wiedział, że nie jest typem posłusznej czy podporządkowanej osoby. Ale ufała Genny jak nikomu innemu na świecie, z wzajemnością. Były prawdziwymi przyjaciółkami.

Kiedy Jazzy usiadła przy kuchennym stole, Genny przygotowała herbatę. Podała przyjaciółce kubek i zajęła miejsce naprzeciwko niej.

- Opowiedz mi wszystko spokojnie od samego początku.

- Mówiłam ci, że mnie zdręczał, zresztą tak, jak przewidywałam. - Jazzy westchnęła głośno, wpatrując się w twarz Genny, najwyraźniej szukając zrozumienia. - Skończyłam z nim. Nie mogę sobie robić takiej krzywdy. Chcę, żeby na zawsze zniknął z mojego życia. Ale... - Wzięła głęboki oddech. - Nie chcę, żeby umarł. Przysięgam, że nie chcę.

- Wypij herbatę, a później opowiedz mi dokładnie, co się stało wczoraj w nocy.

Jazzy uniosła kubek do ust i łyknęła gorącego naparu. Wzdrygnęła się.

- Nie cierpię tego.

- Dobrze ci zrobi - powiedziała Genny. - Wypij.

- Był podпиты. - Wzięła kilka kolejnych łyków. - Groził, że zrobi awanturę, jeżeli go nie wpuszczę. A ja, idiotka, myślałam, że sobie z nim poradzę i że przemówię mu do rozsądku.

- Powinnaś była wezwać Jacoba.

- Tym mu zagroziłam, ale wtedy on zarzucił mi, że pieprzę się z Jacobem.

- Jacob nie przejmowałby się tym, co wygaduje Jamie. Wsadziłby go na noc za kratki. Wiesz, że nie boi się Wielkiego Jima Uptona.

- On... omal mnie nie zgwałcił.

Zaskoczona Genny zaniemówiła.

Jazzy opowiadała powoli, spokojnie. Tak cicho, że kilka razy Genny ledwie dosłyszała jej słowa. Ale nie przerywała opowieści o przykrym przejściu z Jamiem.

- I wtedy zagroziłam, że odstrzelę mu jaja. Wiedział, że nie żartuję. - Łzy napłynęły do błyszczących zielonych oczu Jazzy. - Ale to nie koniec. On nie odpuści. Przyjdzie jeszcze raz... a ja nie mogę za siebie ręczyć.

- Zostań u mnie, dopóki nie wyjedzie z miasta. - Genny wyciągnęła ręce i ujęła dłonie Jazzy.

- Nie mogę. Mam w mieście trzy interesy. - Kąciki ust Jazzy uniosły się w nieśmiałym uśmiechu. - Poza tym nie dam temu bydlakowi satysfakcji i nie pozwolę, żeby myślał, że mnie wystraszył.

- Zadzwonimy do Jacoba i poprosimy, żeby porozmawiał sobie z Jamiem.

- Jacob ma na głowie dwa morderstwa i dość swoich zmartwień.

- Na dwuminutową rozmowę z Jamiem na pewno znajdzie czas.

- Dwuminutową, co? - Wargi Jazzy rozciągnęły się w pełnym uśmiechu. - Tak, masz rację. Jacobowi wystarczą dwie minuty, żeby śmiertelnie wystraszyć każdego.

- Zostań na kolacji ze mną i z Drudwynem. Potem zadzwonię do Jacoba.

Jazzy się zawahała.



- Obiecuję, że nie dam ci więcej rumianku - dodała Genny.  
- Zostanę - roześmiała się Jazzy - ale nie musisz dzwonić do Jacoba. Wpadnę do niego, jak wrócę do miasta. - Jazzy wbiła wzrok w obrus i zaczęła wyglądać niewidzialne zmarszczki. - Genny, ja... mogłabyś...

- Czego potrzebujesz? - Genny spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

- Wiesz dobrze.

- Na pewno?

Jazzy skinęła głową.

- Przez te wszystkie lata nigdy cię o to nie prosiłam, ale... To coś złego, że chcę wiedzieć?

- Nie ma nic złego w tym, że chce się poznać przyszłość, ale czasami to... niebezpieczne.

- Muszę wiedzieć, co z Jamiem. To wszystko. Nic więcej.

- Wiesz, że to tak nie działa. Spojrzę w twoją przyszłość, ale nie ode mnie będzie zależało to, co zobaczę.

- Zrób to. Proszę. - Jazzy chwyciła Genny za rękę.

Genny odsunęła krzesło i wstała.

- Chodźmy do pokoju babci. Tam jest cicho, ciemno i są świece.

Weszły na górę, do pogrążonego w półmroku pokoju Melvy Mae Butler. Okiennice były zamknięte, a w powietrzu unosił się zapach róż. Babcia zawsze pachniała różami, bo używała różanego pudru. Na ośmiu metrach kwadratowych dominował antyczny kredens. Genny zapaliła białe świece, porozstawiane w całej sypialni i usiadła na jednym z dwóch krzeseł stojących przy małym, antycznym stoliku. Położyła dłonie na stole, grzbietem do dołu. Zamknęła oczy i kilka razy powtórzyła imię „Jasmine”. Z zamkniętymi oczami wyciągnęła ręce i rozpostarte ręce położyła na dłoniach Jazzy.

Cisza. Jęczący pomruk zimowego wiatru. Miarowe oddychanie. Bicie dwóch serc.

Genny wróżyła tylko kilku osobom, które naprawdę wierzyły w jej zdolności. Nigdy nie brała za to pieniędzy i nie prosiła o nic w zamian. Zwykle ludzie przychodzili, żeby poznać przyszłość, kiedy zawiodło wszystko inne. Większość ludzi obawiała się przyszłości. Niewielu było na tyle odważnych, albo na tyle głupich, żeby chcieć wiedzieć, co ich czeka.

Wróżenie było inne niż wizje. Na wizje nie miała żadnego wpływu. Były tak niesamowicie realne, że miała wrażenie, jakby oglądała rzeczywistość przez obiektyw kamery trzymanej przez kogoś innego. Kiedy wróżyła, nie widziała wyrazistych obrazów, a w każdym razie nie zdarzało się to często. Miała odczucia, czasami słyszała szept wewnętrznego głosu.

- Smutek. Potworny smutek. Śmierć. Nie twoja, ale kogoś, kogo znasz, kogoś... - Genny westchnęła. - Zginie mężczyzna.

- Czy to Jamie? Zabije go? - głos Jazzy drżał z przejęcia.

- Nie wiem, kto to jest. - Genny ścisnęła dłonie Jazzy, a później otworzyła je i położyła na nich swoje. - Ale nie jesteś winna jego śmierci. Umrze niedługo. Za kilka miesięcy. Jego śmierć w pewnym sensie cię zrani. - Genny zadrżała.

- W jakim sensie? Jak?

- Nie wiem.

- Nic więcej nie widzisz?

Genny nie odpowiedziała. Po prostu siedziała nieruchomo, w zupełnej ciszy i czekała. Jeżeli ma zobaczyć coś więcej, obraz się pojawi. Widziała cień mężczyzny, jego zamazany obraz. Wyczuła w nim dobroć, czułość i miłość do Jazzy. I wtedy już wiedziała.

- Dzięki, Boże - wyszeptała.

- Co? Co?

- Jest mężczyzna, który cię uszczęśliwi. Nie jest nim Jamie ani Jacob. Będzie dla ciebie dobry.

- Uwolnię się raz na zawsze do Jamiego?

- Tak. - Genny się zawahała. - Tak, uwolnisz się od niego.

W jednej chwili ogarnęła ją ciemność. Czarny wir chciał ją wciągnąć i uwięzić. Zrozumiała i cofnęła się od tej złej mocy. Otworzyła oczy. Była cała zeszywniała.

- Nic ci nie jest? - Jazzy poderwała się z krzesła.

- Zaraz mi przejdzie. Muszę tylko przez chwilę odpocząć.

- Bardzo ci dziękuję. - Jazzy uściskała Genny. - Chciałam tylko wiedzieć, że nie zabiję Jamiego, ale się od niego uwolnię. A przy okazji dowiedziałam się, że w przyszłości pojawi się w moim życiu mężczyzna, który będzie dla mnie dobry.

Dwie godziny później, kiedy Jazzy sprzątała talerze po kolacji, Drudwyn postawił uszy i warknął.

- Spokojnie, psiaku. - Genny wyciągnęła rękę i pogłaskała go po łbie. - Ja też słyszałam. Ktoś do nas jedzie.

- Spodziewasz się kogoś? - spytała Jazzy.

- Chyba nie. - Genny pokręciła głową.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nikogo się nie spodziewałam, ale miałam nadzieję, że... że może Dallas Sloan...

Głośne pukanie do drzwi przerwało Genny w pół zdania.

- Ktokolwiek to jest, bardzo mu się do ciebie spieszy - skwitowała Jazzy. - Nie ruszaj się i odpoczywaj. Zobaczę, kto to.

Sesje takie jak ta, którą odbyła z Jazzy, odbierały jej energię, ale zwykle szybko dochodziła do siebie. Inaczej niż po wizjach, na które nie miała żadnego wpływu. Wróżenie mogła przynajmniej skończyć, kiedy tylko chciała.

Genny wstała z krzesła i z Drudwynem u boku wyszła z kuchni. Kiedy znalazła się na korytarzu, usłyszała głosy.

- Niech pan wchodzi. Genny chyba się pana spodziewała - oznajmiła Jazzy. - Ja właśnie wychodzę. Muszę wracać do miasta i zająć się interesami.

- Nie chcę pani wyganiać - powiedział Dallas. - Przyjechałem prosić Genny o pomoc.

- Jaką pomoc? Chyba nie przyjechał pan po to, żeby panu powróżyła? Bo w takim razie...

- Cicho siedź! - krzyknęła Genny. - Za dużo gadasz.

Musiała zamknąć usta Jazzy. Dallas Sloan nie wierzył w zdolności paranormalne i jego zdaniem żaden człowiek nie miał szóstego zmysłu. Nie chciała go do siebie zniechęcić, zanim zdąży ją poznać. Potrzebuje czasu, żeby zacząć odbierać na tych samych falach, żeby jej zaufać. Dopiero wtedy będzie w stanie jej uwierzyć.

Dallas i Jazzy odwrócili się i spojrzeli na Genny.

- Jestem pewna, że Dallas nie przyjechał tu po to. Nie interesują go rzeczy związane ze zdolnościami paranormalnymi.

- Genny ruszyła szybko korytarzem, ale od gwałtownego ruchu zakręciło jej się w głowie. Zachwiała się i wsparła dłonią o ścianę.

- Nic ci nie jest? - spytała Jazzy.

Dallas doskoczył do Genny. Jego wielkie dłonie spoczęły na jej ramionach.

- Co się dzieje? Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

- Przez chwilę kręciło mi się w głowie, ale nic już mi nie jest. - Spojrzała w jego przeszywająco niebieskie oczy i się uśmiechnęła.

- Chyba nie miałaś kolejnej wizji, co?

Pokręciła przecząco głową. Przesunął dłońmi od jej ramion, po rękach, do nadgarstków, a po chwili ją puścił.

- Wezmę kurtkę i będę się zbierać. - Jazzy odkaslnęła.

- Obiecuj mi, że porozmawiasz z Jacobem - przypomniała jej Genny.
  - Obiecuję.
  - Miałbyś ochotę coś zjeść? Zostało mi mnóstwo z kolacji - zwróciła się do Dallasa.
  - Nie, dziękuję. Już jadłem. W Jasmine's.
  - Najlepszej restauracji w mieście! - krzyknęła Jazzy, zamykając za sobą drzwi.
- Genny się roześmiała. Dallas się uśmiechnął.
- Po co przyjechałeś? - spytała.
  - Po pomoc.
  - Jak mogę ci pomóc?
  - Możesz pomóc znaleźć seryjnego mordercę, zanim zabije kolejną kobietę.

## Rozdział 12

Do cholery, co ja tu robię? Dallas zadał sobie to pytanie, zdejmując dłonie z drobnych ramion Genny i odsuwając się od niej. Usiłował wybić sobie z głowy ten pomysł, ale, Bóg mu świadkiem, ciągnęło go do tej kobiety w sposób zupełnie dla niego niepojęty. Zdażył zauważyć, że jest niezłe stuknięta. Cholera, idioto, ona wierzy, że ma zdolności paranormalne. Ma wizje. Przyjaciele i rodzina są święcie przekonani, że ma nadprzyrodzoną moc. Ale on wie swoje - bez dwóch zdań jest oszustką, jak wszyscy inni naciągacze, którzy twierdzą, że

zostali pobłogosławieni nieziemskimi talentami, na przykład darem jasnowidzenia.

Genny stała, wpatrując się w niego czarnymi oczami, jakby usiłowała zobaczyć coś więcej, niż jest w stanie dostrzec ludzkie oko. Odwrócił od niej wzrok i odkaszlnął.

- Dobrze - odpowiedziała.

- O czym ty mówisz? - Przecież nie czyta w twoich myślach, powiedział sobie. Po prostu pomyślała i zgadła.

- Możesz mi nie wierzyć, ale to i tak nic nie zmienia.

- Nie robię tajemnicy z tego, że nie wierzę w żadne czary-mary. - Dallas wsunął ręce do kieszeni kurtki. - Słuchaj, chyba niepotrzebnie tu przyjechałem. Pomyślałem tylko, że może... - Uniósł prawą rękę i przecesał gęste blond włosy, mrużąc pod nosem bez ładu i składu. - Cholera, prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego tu jestem.

- Owszem, wiesz. Sam mi powiedziałaś. Chcesz, żebym pomogła ci znaleźć seryjnego zabójcę, który zamordował twoją siostrzenicę.

- Wiem, co powiedziałem, ale nie mam pojęcia, jak niby mogłabyś mi pomóc. Naprawdę. Po prostu potraktuj to jak wizytę napalonego faceta.

- A jesteś napalony, agencie Sloan?

Spotkali się wzrokiem. Genny się uśmiechała.

- Nie wyglądasz na zaskoczoną. - Dallas uśmiechnął się szeroko. - Tylko mi nie mów, że twoja kryształowa kula powiedziała ci, że przyjadę tu dziś wieczorem i że będę się zachowywał jak idiota.

Wargi Genny lekko zadrżały.

- Nie używam kryształowej kuli.

- Co ty w sobie masz, kobieto? Nic nas ze sobą nie łączy. Moje życie to jeden wielki bałagan. Mam jeden cel: znaleźć

zabójcę Brooke. Jestem tu tylko dlatego, że cholernie potrzebuje seksu.

Uśmiech zniknął z twarzy Genny.

Czy przypadkiem się nie przesłyszała? Boże!

- Nie chciałem cię obrazić - wymruczał Dallas, wzruszając ramionami. - Uznałem tylko, że powinnaś wiedzieć, że nie jestem facetem skorym do zobowiązań i nie mam ochoty się angażować. Nie należę do mężczyzn, od których można oczekiwać czegoś na dłuższą metę.

- Chcesz mnie ostrzec?

- Czy ty zawsze zadajesz tyle pytań?

- Tak, jeżeli odpowiedzi mają dla mnie znaczenie.

- Pasujemy do siebie jak pięść do nosa.

Pożegnaj się i wyjdź, powiedział sobie. Od Genny Madoc nic nie dostaniesz. Nie jest z tych na jedną noc. Wiedziałeś o tym, zanim stanąłeś w drzwiach jej domu.

- Jak pięść do nosa, mówisz? - Zrobiła niepewny krok w jego stronę. - Ja postrzegam to raczej w kategoriach dynamitu i zapalonej zapalki.

Dallas nabrał powietrza do płuc, bo w jego głowie pojawił się obraz leżącej pod nim Genny, jej długich czarnych włosów rozrzuconych na białej poduszce i szczupłych nóg, oplecionych wokół jego ciała.

- Trzeba przyznać, że umiesz sprowadzić faceta do parteru.

Zrobiła kolejny krok w jego stronę. Nie poruszył się, chociaż zdrowy rozsądek nakazywał mu uciekać. Jeżeli podejdzie bliżej, prawdopodobnie porwie ją w ramiona.

Przystanąła.

- Co powiesz na szarlotkę z kawą?

- Co? - Jej uprzejma propozycja zaskoczyła go tak samo, jak nagła zmiana tematu.

- Nie idź - powiedziała. - Nie potrzeba szóstego zmysłu, żeby wyczuć, że lada moment ode mnie uciekniesz. Zostań, napijemy się kawy, zjemy szarlotkę i pogadamy. O seryjnym zabójcy. O Brooke. O wszystkim, o czym chcesz porozmawiać. Wydaje mi się, że ty nie potrzebujesz kogoś do łóżka, ale kogoś, kto cię wysłucha, obgada z tobą sytuację i komu będzie zależało na tym samym, co tobie.

Miała rację. Faktycznie potrzebował kogoś, z kim mógłby porozmawiać, kto go wysłucha. Przez ostatnich osiem miesięcy Teri sprawdziła się jako przyjaciółka i to jej radził się po zabójstwie Brooke. Szybko jednak zrozumiał, że wykorzystuje jej uczucia, które jeszcze nie wygasły. Wycofał się. Zasługiwała na coś lepszego. Chciał, żeby spróbowała z Lincem, ale dopóki uważała, że on jej potrzebuje, nie zrobiłaby żadnego ruchu. Pozwolił, żeby mu pomagała w nieoficjalnym śledztwie i wciągnął w to Linca, bo rozpaczliwie potrzebował pomocy. Ale szybko przeciął emocjonalną więź, którą Teri starała się między nimi odbudować.

Teraz Genny proponuje, żeby wyplakał jej się w rękaw, a jego kusilo, żeby z tej propozycji skorzystał.

- Dziękuję, że chcesz zostać moją powierniczką. Masz rację, potrzebuję kogoś, kto mnie wysłucha i zatroszczy się o mnie. Ale grubo się mylisz, jeżeli sądzisz, że wolę potrzymać cię za rączkę niż cię przelecieć.

- Naprawdę robisz wszystko, żeby mnie wystraszyć? - Genny westchnęła.

- A tak ci się wydaje?

- Tak, ale to nie działa. - Skinęła głową, wskazując, żeby poszedł za nią. - Chodź do salonu, a ja przyniosę szarlotkę i kawę.

- Wiesz, że usiłuję zaciągnąć cię do łóżka, a mimo to chcesz, żebyśmy zostali?



- Tak, chcę, żebyś został. Potrzebujesz mnie. - Odwróciła się i odeszła. Ruszył za nią, ale przystanąła i obejrzała się przez ramię. - I nie zaciągniesz mnie do łóżka. Nie dzisiaj.

Podtekst jej wypowiedzi zupełnie zbił go z tropu. Poczul się, jakby dostał kopniaka w brzuch. Nie powiedziała: „nigdy”, „nie ma mowy”, „wykluczone”. Powiedziała: „nie dzisiaj”.

- Wystarczy mi kawa, szarlotka i rozmowa. Na dzisiaj.

W Jazzy's Joint było spokojnie, choć lokal na ogół tętnił życiem. Był środek zimy, a w dodatku środek tygodnia. Tego wieczoru przy barze tkwiła garstka ludzi zamiast tłumu, który okupował go zazwyczaj. Przy stolikach na sali siedziało niewielu więcej. Jazzy doszła do wniosku, że w zimowe miesiące poza weekendami nie warto zatrudniać zespołu, który gra na żywo. Jednak dzięki stałym klientom szafa grająca, którą wypatrzyła na targu staroci w Knoxville, nie przestawała odtwarzać starych kawałków. Głosy sześciu rozmawiających przy drinku gości i dwóch facetów grających w bilard nie były w stanie zagłuszyć głośnej muzyki. *Blueberry Hill* w wykonaniu Fats Domino słychać było w całej sali.

Kiedy kupowała budynek z myślą, żeby na parterze urządzić bar, chciała, by lokal miał niepowtarzalną atmosferę i było w nim coś więcej niż głośna muzyka, lejący się strumieniami alkohol i dym papierosowy, chociaż tych trzech składników oczywiście nie brakowało.

Wystrój łączył prostą nowoczesność z elementami rustykalnymi. Bar, stoły i krzesła miały prostą linię. Wykonane były z chromu, połączonego z jasnym drewnem i szkłem. Na lakierowanej, drewnianej podłodze było już widać ślady użytkowania. Nad dwoma stołami do bilardu, umieszczonymi w tylnej części sali, wisiały dwa chromowane żyrandole. Ściany zdobiły rękodzieła Indian Cherokee: fajki obrzędowe, ręcznie

wyrabiane naczynia i kosze, rzeźbione maski oraz obrazy rdzennych Amerykanów. Na głównej ścianie wisiały trzy fascynujące malowidła - portret Austenaco, XVIII-wiecznego wodza Cherokee, podobizna Sequoyah, który stworzył alfabet Cherokee, pędzla Roberta Lindneux i portret George'a Lowery'ego, wybitnego przywódcy Indian Cherokee mieszanej krwi, który został delegatem Konwencji Konstytucjonalnej w 1827 roku.

Cherokee Pointe leżało w pobliżu Smoky Mountains, a okoliczne ziemie należały do potomków Indian, którym w XIX wieku udało się uniknąć przymusowego przesiedlenia, więc wszystko, co rdzennie amerykańskie przyciągało turystów. Żeby mieć pewność, że niczym nie urazi Genny ani Jacoba, którzy w jednej czwartej byli Indianami Cherokee, o pomoc w dekorowaniu wnętrza poprosiła Genny.

Jazzy weszła przez zaplecze baru. Drzwi jej biura w Jasmine's wychodziły na magazyn Jazzy's Joint, dzięki czemu mogła swobodnie przechodzić z jednego lokalu do drugiego. Skinęła głową barmance, Lacy Fallon, brunetce w średnim wieku z lekką chrypką, typową dla palaczy, i głębokimi zmarszczkami na twarzy. Lacy skinęła na Jazzy.

- O co chodzi, Lacy? - spytała, siadając na krześle barowym.

- Bert się dziś nie pojawił - oznajmiła.

- A zadzwonił chociaż?

Lacy pokręciła przecząco głową.

- Już czwarty raz od Bożego Narodzenia bez uprzedzenia nie przychodzi do pracy, a kiedy się w końcu zjawia, nie ma nic sensownego na swoje usprawiedliwienie. Moim zdaniem najwyższa pora, żebyś poszukała nowego bramkarza.

- To chyba pechowy dzień dla moich pracowników. - Jazzy westchnęła bezradnie. - Najpierw okazuje się, że nie ma Misty, a

teraz znowu Berta. Misty dam jeszcze jedną szansę, bo raczej nie miga się od pracy, chociaż nawala już drugi raz w tym miesiącu. Ale Bert, jak się pojawi, z miejsca dostanie wypowiedzenie.

- Miejmy nadzieję, że nie będziemy mieć dziś żadnych problemów.

- Nie zanosz się na to, żeby miało się coś wydarzyć. - Jazzy rozejrzała się wokół. - Ale każdy przyzwoity pub potrzebuje dobrego bramkarza. Jutro zadzwonię do „Cherokee Pointe Herald” i dam ogłoszenie. - Przyglądała się wieczornej klienteli, aż jej wzrok padł na stół do bilardu, przy którym Dillon Carson, prowadzący niewielki teatr, grał z nieznajomym.

Dillon był stałym bywalcem. Lubił Crown Royal i colę. Lubił też grać w bilard prawie tak samo, jak podrywać każdą kobietę, która miała ochotę z nim wyjść. Nie było tajemnicą, przynajmniej nie dla niej i stałych bywalców Jazzy's Joint, że Dillon pieprzył się z Cindy Todd. Ale była tylko jedną z wielu. Dillon nie był wybredny - wystarczyło mu, że kobieta nie ma pięćdziesiątki i jest chętna.

Właściwie nie wiedziała zbyt wiele o niedoszłym aktorze, który został amatorem reżyserem i producentem. Któregoś wieczoru, po kilku głębszych, zwierzył się jej, że jako dwudziestolatek próbował sił w Hollywood i na Broadwayu. Ponieważ próby zaistnienia w świecie kina okazały się bezowocne, a jego kariera staczała się po równi pochyłej, podjął się prowadzenia małego teatru gdzieś w Teksasie. Od tamtej pory bez przerwy zmieniał miejsce pracy. Domyślała się, że dla aktora czy reżysera Cherokee Pointe to miejsce bliskie samego dna.

- Dillon raczej nie oplakuje nad piwem śmierci Cindy. - Lacy klasnęła i pokręciła głową. - Przyznam ci się, że odkąd

wiem, że ktoś poluje na kobiety i zabija je jak tuczne cieleta, dwa razy sprawdzam zamki w drzwiach, zanim pójde spać.

- Tak, rozumiem, co chcesz powiedzieć. Kiedy się dowiedziałam, że Misty nie zjawiała się dziś w pracy ani nie zadzwoniła, zaczęłam się zastanawiać, czy nie powiadomić policji.

- I co?

- Zadzwoniłam do wydziału szeryfa i rozmawiałam z Bobbym Joe. Nie miał pojęcia, co się z nią dzieje, więc powiedział, że zajrzy do niej wieczorem, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

- Może nic się nie stało, pewnie zasnęła. Misty jest nocnym markiem, w dodatku lubi balować. Całkiem możliwe, że w południe jeszcze spała. A może się rozchorowała i po prostu nie wpadła na to, żeby cię powiadomić.

- Tak właśnie pomyślałam. Powiedziałam Bobby'emu Joe, żeby później do mnie zadzwonił.

Uwagę wszystkich zwrócił gromki śmiech z tyłu sali. Jazzy i Lacy odwróciły głowy, akurat w porę, żeby zobaczyć, jak Dillon, zaśmiewając się, klepie przeciwnika po plecach, a potem wyciąga portfel i wyjmuje z niego kilka banknotów.

- Musi być naprawdę niezły - stwierdziła Lacy. - Jeszcze nie widziałam, żeby Dillon przegrał choć jedną grę.

- Przynajmniej umie przegrywać z uśmiechem.

Kiedy Dillon, z prawie pustą szklanką z whisky i colą, ruszył w stronę baru, Jazzy przyjrzała się mężczyźnie, który zebrał kule i odwiesił kije. Nigdy wcześniej nie wiedziała go w Cherokee Pointe, a jako właścicielce pubu, restauracji i współwłaścicielce kompleksu domków wypoczynkowych, mało kto uchodził jej uwadze. Pewnie jest nowy, pomyślała, mierząc go od czubka kędzierzawych, brązowych włosów, które sięgały

kołnierzyka czarnej koszuli, po końce zdartych, skórzanych, czarnych butów.

Był wysoki - na oko miał metr osiemdziesiąt pięć i był smukłej, ale muskularnej budowy, która każdej kobiecie z krwi i kości wydałaby się pociągająca. Biła od niego pewność siebie, która jednak nie trąciła zarozumiałstwem. Ubrany był na czarno, w niedrogie ciuchy - dżinsy, czarną flanelową koszulę i widoczną pod nią białą koszulkę. Ale buty musiały kosztować majątek.

Obserwowała, jak idzie przez salę do stolika na tyłach. Poruszał się swobodnym, niespiesznym krokiem, jak pewny siebie, wielki lew, który wie, że jest królem dżungli. Usiadł na krześle, na którym wisiała czarna skórzana kurtka, wziął butelkę piwa, wypił resztkę ciepłego napoju i odstawił butelkę z powrotem. Obejrzał się przez ramię, najwyraźniej szukając kelnerki.

Lacy już miała wyjść zza baru, ale powstrzymała ją Jazzy.

- Ja do niego pójde.

Podeszła wolnym krokiem, dając mu kilka minut, żeby mógł się jej spokojnie przyjrzeć, tak jak ona jemu. Kiedy znalazła się przy stoliku, uśmiechnęła się.

- Co podać?

- Jeszcze raz to samo. - Spojrzał na butelkę po piwie. - A może byśmy trochę porozmawiali?

- Niech pan wymyśli jakiś interesujący temat, a ja pójde po piwo.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i przez ułamek sekundy czuła się jak zahipnotyzowana. Nie miał wyglądu gwiazdora filmowego, nie był też tak ładny jak Jamie, ale był olśniewająco atrakcyjny w absolutnie męski sposób. Oczy koloru wybornej whisky rozświetlały złote promyki. Ciemnobrązowe włosy połyskiwały tym samym miodowym odcieniem.

- Niech pani szybko wraca. - Jego głos był donośny i głęboki. Jazzy podeszła do baru i poprosiła Lacy o butelkę budweisera.

- Wydaje się niebezpieczny - stwierdziła Lacy.

- Niewykluczone. - Jazzy chwyciła butelkę piwa. - Ale od kiedy to ja boję się niebezpieczeństwa?

Lacy zachichotała.

Jazzy podała nieznanemu piwo i usiadła naprzeciwko.

- Jest pan w mieście od niedawna.

- Od paru dni. - Uniósł zimne piwo do ust, wziął duży łyk i otarł wargi grzbietem dłoni.

- Gdzie się pan zatrzymał?

- W motelu za miastem, przy drodze.

- Szkoda, że nie wynajął pan jednego z moich domków.

Mamy zimowe ceny.

- To pani jest właścicielką domków?

- Tego pubu i restauracji obok też. - Skinęła głową.

- Bogata dama. - Zagwizdał cicho.

- Do bogactwa mi daleko. - Jazzy się roześmiała. - Jestem ciężko pracującą dziewczyną i wiem, co robić z pieniędzmi.

- Więc pani jest Jazzy. Czy Jasmine? - Znów wypił z butelki kilka łyków.

- Jasmine Talbot - odpowiedziała. - Ale przyjaciele nazywają mnie Jazzy.

- Mogę mówić do pani Jazzy?

- Myśli pan, że się zaprzyjaźnimy?

- Nie nadaję się na przyjaciela. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Więc może zostaniemy dobrymi znajomymi... Jasmine.

Wypowiedział jej imię w taki sposób, że przeszył ją zmysłowy dreszcz - łagodnym, pieścotliwym tonem, jakim mężczyzna mówi w łóżku, po akcie miłosnym.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Więc, mój dobry znajomy, jak ci na imię?

- Caleb McCord.

Pasowało do niego to twarde imię. Intuicja podpowiadała jej, że jest dobrym człowiekiem, nawet jeśli niebezpiecznym. Była pewna, że był silnym, twardym facetem. Nieświadomie wysyłał sygnały ostrzegawcze, żeby z nim nie zadzierać.

- Skąd jesteś, Caleb?

- Z Memphis.

- Uhm... A co robisz w Cherokee Pointe?

- Po prostu przyjechałem.

- Masz w Cherokee przyjaciół albo rodzinę?

- Nie, zwiedzam okolicę. - Pokręcił głową.

- Zamierzasz zostać na dłużej?

- Być może.

- Nie jesteś zbyt rozmowny, co?

- Mam inne talenty.

W Jazzy zapłonął ogień, który szybko ogarnął całe ciało. Przez myśl przemknął jej obraz ich splecionych nagich ciał. Nikt jej tak nie pociągał - od czasu, kiedy miała szesnaście lat i szaleńczo zakochała się w Jamiem Uptonie. Ale z perspektywy czasu widziała, że pociągała ją pozycja Jamiego, a nie on sam. Ten mężczyzna był inny. Oceniała, że jest samotnikiem - żadnych więzów, żadnych korzeni, do tego niewiele albo żadnych pieniędzy. Więc co ją w nim tak pociąga?

- I cięty język. - Jazzy spojrzała mu prosto w oczy i dostrzegła odbicie swojego własnego pożądanego.

- Nauczyłem się, że najlepiej od samego początku być zupełnie szczerym i stawiać sprawy jasno. - Wypił kolejny łyk z butelki. - Jeżeli między nami do czegoś dojdzie, będzie to tylko gorączka ciał. Ty zaspokoisz mnie, ja ciebie. Żadnych uczuciowych zobowiązań.

- Jeżeli między nami do czegoś dojdzie, nie mam nic przeciwko czysto fizycznej relacji.

Jazzy odsunęła krzesło i wstała. Caleb zadarł głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Już mnie zostawiasz? - spytał.

- Jestem tu prawie codziennie o tej porze. - Uśmiechnęła się promiennie. - Jeżeli się jeszcze pojawisz, będę wiedziała, że jesteś zainteresowany. Jeżeli nie... - Wzruszyła ramionami.

- Jestem zainteresowany. Dzisiaj. W tej chwili.

- Wyhamuj. Dopiero co się poznaliśmy. Na pierwszej randce nawet się nie całuje.

- A to była nasza pierwsza randka?

- I być może jedyna.

Jazzy bała się, że ulegnie zgubnemu magnetyzmowi Caleba, więc czym prędzej odwróciła się i odeszła. W połowie drogi do baru wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Kiedy już miała wejść do magazynu na tyłach budynku i schronić się w swoim biurze, drzwi wejściowe do Jazzy's Joint otworzyły się, wpuszczając powiew chłodnego wieczornego powietrza. Do baru podszedł Jamie Upton, a kiedy ich spojrzenia spotkały się, uśmiechnął się i zbliżył do Jazzy swoim zmysłowym, zbyt pewnym siebie krokiem. Niech diabli wezmą jego czarną duszę!

- Jazzy, skarbie, nie uciekaj! - krzyknął do niej.

Ze stoickim spokojem na twarzy wyprostowała się, przygotowała do starcia i odwróciła do Jamiego.

- Muszę przyznać, że nieźle dziś wyglądasz. - Jego wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, kiedy mierzył ją od stóp do głów, zawieszając wzrok na jej piersiach. - Można by cię zjeść.

Jazzy rozejrzała się po sali. Wszyscy na nią patrzyli. Oprócz Caleba McCorda, który spoglądał gniewnie na Jamiego,



przyglądając mu się badawczo niczym próbcę pod mikroskopem.

Ośmiocentymetrowe obcasy sięgających kostek botków głośno zastukały o drewnianą podłogę, kiedy zbliżała się do Jamiego.

- Czego chcesz? - Panowała nad głosem, bo nie chciała dzielić się swoim prywatnym życiem z klientami.

Jamie wyciągnął rękę, żeby ją chwycić, ale się odsunęła.

- Wiesz, czego chcę. - Roześmiał się. - Chcę ciebie. Jak zawsze.

- Ale nie będzie tak jak zawsze - odpowiedziała. - Już nigdy.

- Oj, kochanie, dlaczego zachowujesz się w ten sposób? Przecież wiesz, że prędzej czy później mi się oddasz i oboje dostaniemy to, czego chcemy.

- Ja chcę, żebyś wyszedł. - Wskazała mu drzwi. - Wynos się stąd. Wyjdź i nie wracaj.

- Wyjdę, jeżeli ty wyjdiesz ze mną. - Spojrzał w sufit. - Zaproś mnie na górę. No dalej, Jazzy, złotko, przecież wiesz, że tego chcesz.

Tym razem nie mogła uniknąć uścisku. Chwycił ją i przyciągnął do siebie. Wyczuła zapach alkoholu. Jamie zawsze po kilku kieliszkach był czarujący i bystry.

- Puść mnie - zażądała. - Zostaw mnie w spokoju.

- Nie ma mowy, kochanie. Zostanę tu i będę cię przytulał, aż wróci ci rozum.

- Jak mnie nie puścisz, to...

- To co?

Jamie usiłował ją pocałować. Walczyła z nim. Dlaczego Bert, jak na złość, nie przyszedł do pracy właśnie dziś wieczorem? Akurat dzisiaj potrzebowała kogoś, kto wyrzuciłby Jamiego na zbity pysk.

Nagle wielka dłoń chwyciła Jamiego za ramię i odciągnęła od Jazzy. Omal nie straciła równowagi, kiedy tak niespodziewanie została wyswobodzona. Kiedy wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, dostrzegła, że Caleb McCord tarł Jamiego. Jedną ręką trzymał go za ramię, a drugą ścisnął za kark. Jamie wił się i jęczał. Caleb nie miał zamiaru go wypuścić.

- Co, do diabła? - Jamie bezskutecznie usiłował się uwolnić. - Lepiej dla ciebie, żebyś mnie w tej chwili puścił.

- A dla ciebie lepiej, żebyś zrobił to, o co prosiła cię ta pani i wyszedł.

Caleb popchnął Jamiego w stronę drzwi. Jamie ślizgał się po drewnianej podłodze, usiłując zaprzeć się stopami.

- Wiesz, kim jestem? - spytał głosem pełnym złości i strachu.

Jazzy nie była pewna, czy kiedykolwiek wcześniej w głosie Jamiego słyszała strach.

- Gówno mnie obchodzi, kim jesteś - odpowiedział Caleb. - Masz stąd wyjść i nie wracać. Jeżeli znów się dowiem, że napastujesz Jasmine, osobiście się z tobą porachuję.

Caleb zaciągnął opierającego się Jamiego do drzwi wyjściowych, a później do samochodu. Jazzy, jakby pchana niewidzialną siłą, poszła za nimi, podobnie jak wszyscy klienci baru. Nawet Lacy wyszła zza lady i stanęła z innymi w otwartych drzwiach.

Caleb zgiął Jamiego wpół nad maską szpanerskiego małego mercedesa, który stał w zakazanym miejscu, tuż przed samym wejściem do Jazzy's Joint. Caleb pochylił się i wyszeptał Jamieemu coś do ucha.

Jazzy wstrzymała oddech.

Uwolnił młodego Uptona i zrobił kilka kroków wstecz. Jamie wyprostował się, odwrócił i ze złością popatrzył na Caleba, unikając innych spojrzeń.

- Jeszcze się policzymy - rzucił Jamie.

- Nie ma sprawy - odwarknął Caleb. - Powiedz tylko, gdzie i kiedy.

Jamie wyszarpnął kluczyki z kieszeni, otworzył samochód, wsiadł i odpalił silnik. Kiedy odjeżdżał, w niewielkim tłumie stojącym za Jazzy, zapanowała ogólna wesołość. Gdy Caleb ruszył w jej kierunku, pozostali rozeszli się i wrócili do baru.

Jazzy stała na mroźnym wietrze i czekała na Caleba.

- Dzięki - powiedziała. - Niewielu ludzi z Cherokee Pointe postawiłoby się Jamiemu Uptonowi.

- Jamiemu Uptonowi. Hm. Domyślam się, że nie jest przyzwyczajony, żeby słyszeć słowo „nie”.

- Co mu powiedziałaś przy samochodzie?

Caleb wsunął pod swoje ramię rękę Jazzy i zaprowadził ją do wejścia.

- To, co mu powiedziałem, zostanie między mną a nim. Poza tym, nie przystoi, żeby mówić takie rzeczy przy damie.

Jazzy ścięło z nóg. Nikt dotąd nie nazwał jej damą. I mało kto traktował ją jak damę.

- Chodź do środka, postawię ci drinka - zaproponowała. - I mów mi Jazzy. Mimo wszystko, wydaje mi się, że zostaniemy przyjaciółmi.

## Rozdział 13

Genny wyczuła, że Dallas chce pobyć z nią dłużej, choć to pragnienie było wbrew jego zdrowemu rozsądkowi. Zbierał się do wyjścia kilka razy, a jednak zostawał. On oczywiście nie rozumiał, dlaczego, ale ona wiedziała. Nic w życiu nie dzieje się

bez przyczyny. Wprawdzie wiele przeczyło tej tezie, ale ona wiedziała, że wszystko ma swój czas i swoje miejsce, nawet rzeczy, których nie da się wytłumaczyć. Czekala na niego cale swoje zycie, moze nawet wiecej niz jedno. Marzyla o mezczyznie, ktory bedzie jej bratnia dusza. Od samego poczatku wiedziala, ze Brian MacKinnon nie jest dla niej, a Royce Pierpont pociagal ja, ale czula, ze nie odbieraja na tych samych falach.

Babcia Butler dawno temu powiedziala jej, ze kiedy poznala dziadka Butlera, od razu wiedziala, ze to ten. Nie miala watpliwosci, bo wyczula silna duchowa wiez. Babcia starala sie jej to wytlumaczyc, ale dopoki Genny nie wyczula obecności Dallasa Sloana - jeszcze zanim pojawil sie w jej domu - nie miala pojecia, jak silna moze byc taka wiez. A z kazda wspolnie spedzona chwila, wiez miedzy nimi coraz bardziej sie zacieciala. On rowniez to wyczuwal, ale przypisywal ten fakt zwyklemu fizycznemu pozadaniu. Nie wierzyl w nic pozazmyslowego, wiec nie od razu mogl zrozumiec to, co sie miedzy nimi dzialo.

- Ucichlas - powiedzial. - Czyzby ci uspil? Gadalem bez przerwy. - Wzruszyl ramionami. - Niepodobne do mnie, zebym tyle mowil. Ale jest w tobie cos takiego, co sprawia, ze chce ci wszystko opowiedziec.

- Mowilam ci, ze potrafię sluchac.

- Chyba tak. W calym moim zyciu tyle sie nagadalem.

- Dobrze, ze opowiedziales mi o swojej rodzinie, o dwuch siostrach. Bardzo mi sie podobaja imiona, jakie wybrala twoja matka. Savannah, Alexandria, Dallas.

- W pierwszych latach malzenstwa troche z tata podrozowali. Kazde z dzieci otrzymalo imie tego miejsca, w ktorym sie urodzilo.

- W takim razie Bogu dzienki, ze nie urodziles sie w Nowym Orleanie, Los Angeles albo Salt Lake City.

- I chyba nie chciałbym mieć na imię Savannah - zachichotał. - Dosyć dobrze nam się żyło w dzieciństwie. Do śmierci mamy. Potem tata już nigdy nie był taki sam. Niestety, jego drugie małżeństwo nie było szczęśliwe.

Genny wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Natychmiast zeszywniał.

- Nie bój się mnie - powiedziała.

- O czym ty mówisz. - Zmierzył ją pobłażliwym wzrokiem. - Dlaczego miałbym się bać...

Przysunęła się do niego na kanapie i położyła palec wskazujący na jego wargach, uciszając go.

- Nigdy bym cię nie zraniła. Nie wiesz o tym?

- To nie ciebie się boję. Boję się siebie samego. Ty możesz zostać zraniona. Nie mam zbyt chlubnej przeszłości, jeżeli chodzi o kobiety.

- Chcesz mi powiedzieć, że zostawiłeś za sobą morze złamanych serc?

Uwolnił jej nadgarstek i ujął jej dłoń.

- Chcę ci powiedzieć, że nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną, nawet na przelotny romans. Jesteśmy z innej bajki, że tak się wyrażę. Cholera, nie mamy ze sobą nic wspólnego. Ja jestem cynicznym bydlakiem. Pracuję w FBI od dwunastu lat, widziałem różne rzeczy i możesz mi wierzyć, że na ogół nie był to miły widok. Byłem w kilku krótkotrwałych, półpoważnych związkach, ale właściwie jestem samotnikiem. - Uwolnił jej dłoń i odsunął się na bezpieczną odległość.

- Ja też należę do samotników - wyznała. - Kilka razy zaangażowałam się uczuciowo, ale żadna z tych znajomości nie przerodziła się w nic poważnego. I chociaż mam naturę optymistki, też widziałam ciemną stronę życia. W moich wizjach.

- Do licha, Genny, następny problem. - Dallas poderwał się na równe nogi. Stojąc nad nią, spojrzał jej w twarz. - Masz sny i koszmary, które nazywasz wizjami. To po prostu podświadomość albo zwykła wyobraźnia. Nic więcej. Ktoś namieszał ci w głowie, wmawiając, że masz paranormalne zdolności. To chyba twoja babcia, która miała okolicznych ludzi...

- Babcia miała nadprzyrodzone zdolności - przerwała mu Genny. - Nikogo nie miała.

- Czy słyszysz siebie? Naprawdę jesteś święcie przekonana, że masz szczególny dar. Chyba zdajesz sobie sprawę, że to wariactwo?

Nie mogła pojąć, dlaczego mężczyzna, który jest jej pisany i w końcu pojawił się w jej życiu, musi być takim uparciuchem.

- Mam szczególne zdolności. Naprawdę mam wizje. Potrafię spojrzeć w przyszłość. Często wiem, co się stanie. I nie jestem wariatką. Mam dar. Albo jarzmo. Sam zdecyduj. Czasami dałabym wszystko, żeby być normalna jak inni.

Dallas chwycił jej ramiona i poderwał ją z kanapy.

- Nie mogę słuchać tych bredni. Nie uwierzę w te bzdury, bo to wbrew mojej naturze. - Wyswobodził ją gwałtownie, odwrócił się i zaczął niespokojnie przechadzać się po pokoju. W końcu stanął i wlepił w nią wzrok. - Przyznam, że jesteś inna od wszystkich kobiet, które do tej pory spotkałem. Masz w sobie coś wyjątkowego, ale... zapomnijmy o tym, dobrze? Głupio zrobiłem, że tu przyjechałem, w dodatku myślałem...

Przerwał w pół zdania, spojrzał na nią gniewnie i wyszedł z pokoju. Genny wzięła głęboki oddech. Daj mu czas, powiedziała sobie. Zmaga się z uczuciami, bo ich nie rozumie.

Nie rozumie mnie!

Poszła za Dallasem. Zastała go w korytarzu, kiedy wkładał płaszcz. Podeszła do niego, ale chwycił klamkę, nie odwracając się.

- Nie odchodź tak - powiedziała.

Wyczuła, że jest spięty i wiedziała, że chce od niej uciec, dopóki jeszcze może. Nie rozumiał, że już nigdy nie będzie w stanie od niej uciec. Było za późno, bo już się poznali. Ich ścieżki splotły się na zawsze.

- Nie liczyłem na nic... między nami - przyznał. - Nie chcę tego, nie mam na to czasu.

- Możesz odejść, ale i tak nie uciekniesz.

Odwrócił gwałtownie głowę i spojrzał na nią srogim wzrokiem.

- W każdym razie mogę spróbować.

Otworzył drzwi i wyszedł, zatrzasnąwszy je za sobą a Genny przez kilka minut stała w korytarzu i wsłuchiwała się w odgłos odjeżdżającego samochodu. Otuliła się wełnianym swetrem i założyła ręce na piersiach.

Przez całe życie różniła się od innych ludzi, od dziewcząt, które znała. Niektóre miały ją za wariatkę, inne zazdrościły jej wyjątkowych zdolności. Wielu ludzi z miasteczka akceptowało ją bądź ignorowało, a wielu traktowało jak następczynię starej czarownicy. Podejrzewała, że tak właśnie jest. Dopóki żyła babcia, chroniła ją najlepiej jak umiała. I tylko babcia rozumiała, co to znaczy mieć rzadki dar. Te zdolności najwyraźniej były dziedziczne, przekazywane z babki na wnuczkę, podobnie jak czarne włosy i niebieskie oczy, które odziedziczyła po rodzicach.

Westchnęła, obudziła Drudwyna z drzemki i wyprowadziła go na tylny ganek. Zanim wyszła z nim na dwór, włożyła grubą kurtkę, czapkę i rękawiczki. Czarne niebo mieniło się od gwiazd - migoczących punkcików oddalonych o miliony kilometrów.

Temperatura zdążyła już spaść poniżej zera, ale nie było wiatru, więc nie odczuwała mrozu. Kiedy Drudwyn załatwiał swoje sprawy, Genny zajrzała do szklarni.

Nad jej głową przeleciała sowa, ukryła się na pobliskim drzewie i zaczęła przeraźliwie pohukiwać. Ze skraju lasu, ślepiami podobnymi do bursztynów, przyglądała jej się para szarych wilków.

Kiedy skończyła wieczorny obchód i skierowała się w stronę tylnego ganku, nagle ogarnął ją niepokój. Przystanąła, spróbowała głęboko oddychać i czekała. Jej powieki zaczęły mrugać we własnym rytmie. Nie, nie teraz. Nie tutaj. Starła się zmusić stopy do posłuszeństwa, usiłowała iść, ale nie była w stanie zrobić kroku. Do jej głowy zakradły się czarne cienie. Na jawie, na środku ogrodu, uległa mrokowi i dała się zalać wizji. Podobnie jak przy wszystkich wizjach, których do tej pory doświadczyła, nad tą również nie miała kontroli.

Kobieta, którą widziała Genny, leżała spokojnie, z szeroko otwartymi ze strachu oczami. Kiedy jej dotknął, skrzywiła się, ale nie była w stanie krzyknąć ani zaprotestować. Była zakneblowana i związana. Podniósł ją z łóżka i zaniósł w stronę drzwi. Genny nie widziała pokoju, nie mogła też rozpoznać kobiety ani mężczyzny.

- Niedługo, moja owieczko, niedługo - wyszeptał kobiecie do ucha.

Genny właściwie nie słyszała głosu mężczyzny - słowa pobrzmiewały w jej głowie, jakby docierały do niej przez filtr. Upadła na kolana, ale wizja się nie skończyła. Obrazy po prostu wyblakły i przeniosły się w inny czas i miejsce.

Kobieta leżała na drewnianej płycie, ułożonej na dwóch drewnianych kozłach. Prowizoryczny ołtarz. Dłoń w rękawicze unosiła imponujący, zdobiony ornamentem miecz. W dużej pustej przestrzeni świt wypierał noc. Genny słyszała bicie



dwóch serc. Mężczyzna zdjął knebel z ust kobiety. Jej przeraźliwy krzyk rozdarł grobową ciszę.

Teraz Genny widziała tylko kobietę. Jej usta, blond włosy. Błękitne oczy pełne łez.

Genny krzyknęła. Tuż nad nią przeleciała sowa i przysiadła na gałęzi pobliskiego drzewa. Drudwyn podbiegł do niej. Dwa wilki wyszły z lasu i ruszyły wolno w jej kierunku.

Genny wiedziała, kto stanie się kolejną ofiarą. Widziała jej twarz. Wyraźnie.

O świcie zginie Misty Harte.

Jacob uniósł głowę znad biurka i spojrzał w stronę otwartych drzwi, w których stała Tewanda Hardy. Zdjęła czapkę oraz kurtkę i weszła do środka.

- Coś się stało? - spytał Jacob.

- Na zachodnim froncie cisza. - Kobieta pokręciła głową.

- Jakiś ślad Misty?

- Żadnego - odpowiedziała. - Nikt jej dziś nie widział. Wygląda na to, że ty widziałeś ją ostatni.

Jacob nie był zachwycony, że musi dzielić się informacjami na temat życia osobistego, zwłaszcza z podwładnymi. Gdyby nie to, że Misty była siostrą Bobby'ego Joe, po prostu nie wspominałby, że spędził z nią noc. Nie należał do tych, którzy lubią obnosić się ze swoimi seksualnymi podbojami. Ale Misty najwyraźniej zaginęła, a Bobby Joe ze zmartwienia odchodził od zmysłów. Jacob nie miał wyjścia - musiał powiedzieć funkcjonariuszom biorącym udział w poszukiwaniach, że nad ranem Misty cała i zdrowa wychodziła z jego mieszkania.

- Czy Bobby Joe skontaktował się ze wszystkimi jej znajomymi? - spytała Tewanda, a Jacob usłyszał w jej głosie sugestię, że nawet tydzień by nie starczył, żeby przesłuchał wszystkich mężczyzn, których znała Misty.

- Z tymi, z którymi jego zdaniem mogła się kontaktować. Ale wrócił z niczym. Zupełnie jakby zapadła się pod ziemię.

- Chyba nie myślisz, że... cóż, to znaczy, ten grasujący zabójca i w ogóle...

- Nic innego nie przychodzi mi do głowy - przyznał Jacob.

- Nie ma sensu wyciągać pochopnych wniosków. Misty lubi się zabawić, więc ciężko stwierdzić, gdzie się podziewa. Może po prostu postanowiła gdzieś się wybrać i zadzwoni do Bobby'ego Joe jutro. Nieraz tak bywało.

- Tak, niewykluczone.

Zadzwonił telefon na biurku Jacoba. Tewanda podskoczyła. Jacob zdrętwiał. Podniósł słuchawkę i przedstawił się.

- Tu Jimmy Lewey, z Pike's Gap. Chyba mnie pamiętasz? Nasi starzy polowali razem. Słyszałem, że szukasz Misty Harte?

- Zgadza się. Wiesz coś o niej?

Tewanda otworzyła szeroko oczy, spoglądając pytająco na Jacoba. Chciała się odezwać, ale Jacob uniósł palec wskazujący, dając jej znak, żeby poczekała.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest, ale mogę ci powiedzieć, gdzie jest jej samochód.

- Jaki samochód? - spytał Jacob.

- Żółta vega.

- Gdzie?

- Na tyłach starej stacji benzynowej na Pike's Gap. Budynek jest mój, chociaż już dawno nie prowadzę interesu. Ale mam tam w garażu mojego mustanga sześćdziesiątkę piątkę, przy którym dłubię. Wpadam tam wieczorami kilka razy w tygodniu, raczej późno. Jak dziś.

- Słuchaj, Jimmy, niczego nie dotykaj. Zostaw wszystko tak, jak jest.

- Myślisz, że Misty wpadła w ręce zabójcy, co?

- Na razie nic jeszcze nie myślę - odpowiedział Jacob. -  
Więc nie rozpowiadaj naokoło, że szeryf powiedział, że Misty jest trzecią ofiarą.

- Jasne. Będę trzymał gębę na kłódkę.

- Poczekaj tam na nas, dobrze? Już do ciebie jedziemy -  
powiedział Jacob.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Tewandy.

- Samochód Misty stoi za starą stacją benzynową Jimmy'ego Leweya, na Pike's Gap. Zadzwoń w parę miejsc. Załatw lawetę, żeby odholowała samochód. Potrzebuję też nakazu rewizji, najszybciej jak się da. Zadzwoń na domowy do sędziego Tubbsa. Przepraszam, że go budzisz.

- Powiadomię też Bobby'ego Joe.

- Jasne. I zadzwoń do komendanta Watsona.

- Co mu powiedzieć?

- Niech wyznaczycy do pomocy kilku swoich ludzi. Przyda się każda para rąk. Powiedz komendantowi, że musimy połączyć wysiłki. Najwyższa pora utworzyć grupę, której celem będzie schwytanie zabójcy.

- Myślisz, że Misty jest w rękach mordercy, prawda?

- Myślę, że jest to cholernie prawdopodobne.

Mrok pomieszczenia rozjaśniał jedynie złocisty blask świec, które rzucały ponure cienie. Wszystkie zakamarki tonęły w ciemnościach. Kiedy słuchał pieśni podobnych do tych z jego dzieciństwa, w jego głowie rozbrzmiewał cichy, miarowy szmer. Dokądkolwiek się przeprowadzał, szukał właśnie takich ludzi - dzieci nocy, które do świata ducha zwracały się po magiczną moc. Dzisiejszy wieczór należał do szczęśliwych. Każda szanująca się czarownica wiedziała, że w fazie półksiężyca wszystko może się spełnić. Pod warunkiem, że eksperyment

przeprowadzają prawdziwi, lojalni wyznawcy, którzy w powierzone zadanie wkładają całe serce.

Członkowie sekty, ubrani w czarne płaszcze z kapturami, utworzyli okrag wokół pentagramu narysowanego na betonowej posadzce. Naciągnął sobie kaptur na głowę i zajął miejsce w kręgu. Wiedział, skąd pochodzi prawdziwa moc, ale starych nawyków ciężko się pozbyć. Poza tym, potrzebował zgromadzić jak największą moc, nieważne, z jakiego źródła, zanim ostatnia, piąta ofiara da mu to, czego pragnął przez całe życie.

Ceremonię prowadziła najwyższa kapłanka tej małej zgrai okultystów. Jej oczy lśniły pod wpływem transu, a ciało wyginało się w rytm muzyki, której nikt poza nią nie słyszał.

- Wzywam cię, Cesarzu Lucyferze, Księżę Ciemności, Boski Mistrzu Duchów Zbuntowanych - odezwała się kapłanka. - Opuść swoje królestwo i przybądź tutaj. Potrzebuję cię. Przyjdź, Wielki Panie i połącz się z twoją unizoną służebnicą.

Czuł, jak wiruje wokół niego rozkoszna, odrażająca czerń. Pieści go, liże jego skórę niczym język ognia i szepcze, że wszystko, czego pożąda, niedługo będzie jego. Zamknął oczy i zawtórował innym, nucąc pieśń, która miała wspomóc najwyższą kapłankę w jej przyzywającej modlitwie.

- Wzywam cię, żebyś się przede mną pojawił, Belzebubie, nie robiąc krzywdy mnie ani tym, którzy zgromadzili się, żeby oddać ci cześć.

Jego matka też przyzywała diabła, ale nigdy go nie zobaczył. Ani razu. Jednak wiele razy czuł jego obecność, zwłaszcza kiedy matka składała ofiary. Hipnotyzujący zapach świeżej krwi zawsze go podniecał, nawet, kiedy był dzieckiem. Jego matka i członkowie ruchu, któremu przewodniczyła, byli prawdziwymi mistrzami, znali starodawne sposoby praktykowania czarnej magii, stosowane przez okultystów od tysięcy lat. W porównaniu z nimi, ta mała grupka z Cherokee Pointe była zgrają amatorów.

- Jeżeli nie możesz nas nawiedzić, to proszę cię, wyślij posłańca z podziemnego królestwa. Wybierz demona i pozwól mu stanąć przed nami w ludzkiej postaci, abyśmy za jego pośrednictwem uwielbili ciebie.

Pomieszczenie wypełniła grobowa cisza. Wszyscy czekali. Świece migotały.

- Wnieście ofiarę! - krzyknęła kapłanka.

Z kręgu wyszła postać w płaszczu, niosąca związaną gęś. Położyła zwierzę na lśniącym metalowym ołtarzu.

Jego serce zabiło szybciej, ciało naprężyło się z podniecenia. Krew w żyłach tętniła.

- Składamy ci tę ofiarę, boski Lucyferze, Upadły Panie. Przyjdź do nas i wypełnij nas swoją mocą.

Obliżał wargi na myśl o krwi, przyglądając się z bliska, jak nóż dopełnia rytualnej ofiary. Kiedy z ceremonii zaczerpnie tyle mocy, ile się da, wróci do swojej ofiary, która śpi w piwnicy i na niego czeka. O świcie będzie mógł pić do woli jej życiodajną krew. Już za kilka godzin zbliży się o krok do swojego ostatecznego celu.

Jazzy stała z Calebem McCordem na piętrze, przed wejściem do swojego mieszkania i uwodzicielsko uśmiechała się do nieznanego, który uratował ją przed Jamiem. Nie pamiętała, żeby jakikolwiek mężczyzna tak ją pociągał od pierwszego wejrzenia. Jedynie resztki zdrowego rozsądku powstrzymały ją przed tym, żeby nie zrobić z siebie kompletnej kretynki i nie zaprosić go do środka. Nie miała wątpliwości, że gdyby zaprosiła Caleba na drinka, zostałby na noc. Bóg jej świadkiem, że nie jest gotowa na romans, zwłaszcza z kimś, kogo dopiero poznała. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zaproponowała mu pracę w Jazzy's Joint.

- Jeżeli masz zamiar zatrzymać się w mieście na dłużej, mam dla ciebie pracę - oznajmiła.

- Jaka? - Pochylił się nad nią, zupełnie zasłaniając jej widok swoim zgrabnym, wysokim ciałem.

- Zwalniam bramkarza, o ile jeszcze pojawi się w pubie. Miałam zamiar dać ogłoszenie do gazety, ale gdybyś był zainteresowany...

- Zastanowię się.

- Do jutra muszę znać odpowiedź.

- Może wczesnym popołudniem? Wpadnę do Jasmine's na obiad.

Stał zdecydowanie za blisko. Zaczynała się obawiać jego męskiej siły. Kiedy pochylił głowę, wstrzymała oddech, spodziewając się mocnego, zaborczego pocałunku. Tymczasem on dotknął ustami jej czoła. Czule. Przesunął grzbietem dłoni po policzku, odwrócił się i zszedł po schodach, zostawiając ją w stanie podniecenia.

Oczarowana Calebem McCordem odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi. Usłyszała telefon. Miała nadzieję, że to nie Jamie! Cholera. Musi zainstalować sobie identyfikator numerów. Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku, podeszła szybko do telefonu i podniosła słuchawkę. Jej ucho przeszył głuchy sygnał.

Genny leżała na podłodze w kuchni, ściskając słuchawkę. Musiała zebrać wszystkie siły i skorzystać z pomocy Drudwyna, żeby przejść z ogrodu do domu. Ostatnia wizja była o wiele wyraźniejsza niż wcześniejsze, a przerażenie, jakie ogarnęło ją, kiedy rozpoznała trzecią ofiarę, doprowadziło ją do emocjonalnego i fizycznego wycieńczenia.

Najpierw wybrała numer do mieszkania Jacoba i zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce. Później zadzwoniła do

biura szeryfa, ale Tewanda powiedziała, że Jacob miał pilny telefon i wyjechał.

- Powiedz mu... powiedz mu, że następną ofiarą jest Misty. Widziałam ją.

- Dobry Boże... Wiedziałam. Jej samochód znalazł się i... zadzwonię natychmiast do Jacoba i powiem mu, że widziałas Misty.

- Poproś go, żeby przyjechał... - Telefon był zbyt ciężki. Wypadł jej z ręki. Nie zdołałaby utrzymać go ani minuty dłużej.

- Genny... Genny. Genny!

Lekko zamroczona i słaba jak nowo narodzony kociak, odzyskała przytomność kilka minut później. Udało jej się zadzwonić do Jazzy. Potrzebowała pomocy. Natychmiast. Ale nikt nie odbierał.

Och, Boże, i co ja teraz zrobię?

Resztki sił poświęciła na to, żeby wykonać kolejny telefon. Padła na podłogę. Ściskając słuchawkę, wpatrywała się w przyciski telefonu. Ze wszystkich sił starała się wcisnąć choć jeden z nich. Kiedy dotknęła pierwszego, poczuła, że w głowie wirują jej czarne cienie.

Postać w płaszczu wniosła Misty do ciemnego, rozległego pomieszczenia i położyła ją na ziemi. Genny wyczuła strach dziewczyny i podniecenie zabójcy. Pojawiło się nagle światło, które rozproszyło mrok, ukazując wnętrze starej stodoły.

Obraz zniknął równie szybko, jak się pojawił, zostawiając Genny bez sił na kuchennej podłodze. Nie mogła się ruszyć, więc nie było mowy, żeby udało jej się jeszcze raz zadzwonić. Na pewno nie teraz.

Zamknęła oczy i leżała cicho, zbierając resztki sił, by wysłać telepatyczną wiadomość.

*Dallas. Dallas. Potrzebuję cię. Proszę, otwórz serce i usłysz mnie. Przyjedź do mnie. Przyjedź do mnie teraz.*

## Rozdział 14

Dallas zaparkował na asfaltowym podjeździe przed domem. Wracając od Genny, przez całą drogę usiłował wybić ją sobie z głowy. Nie miał zamiaru wiązać się z kobietą, która twierdzi, że ma paranormalne zdolności. Do końca pobytu w Cherokee Pointe zamierzał unikać Genny Madoc. To było jedyne sensowne rozwiązanie. Przebywanie obok niej było zbyt niebezpieczne.

Otworzył drzwi samochodu, ale kiedy miał wysiadać, ogarnęło go dziwne uczucie, od którego dostał gęsiej skórki. Odczekał w napięciu kilka sekund i rozejrzał się, szukając wzrokiem osoby lub zwierzęcia, które mogło uruchomić jego wewnętrzny radar. Nic. Tylko wiatr, który mierzwił korony drzew.

Rozpiął kurtkę i marynarkę, żeby łatwiej sięgnąć po pistolet w kaburze na biodrze i wysiadł z samochodu. Idąc do drzwi wejściowych, wypatrywał czegoś niezwykłego. Otworzył drzwi i wszedł do środka. W domku, znajdującym się w odległości spaceru od centrum miasta, były salon, sypialnia, kuchnia i łazienka. Gdy tylko zamknął drzwi i przekręcił klucz, załała go kolejna fala niepokoju.

Do cholery, co się dzieje?

Zawsze słuchał intuicji, bo rzadko go zawodziła. Często słuchał podpowiedzi umysłu, które w rzeczywistości były efektem trafnego zgadywania i lat doświadczenia. Ale te vibracje nie miały nic wspólnego z intuicją ani podszeptami umysłu.

Nagle wiedział już, że coś dzieje się z Genny. Nie miał pojęcia skąd - po prostu wiedział.

Otrzeźwiej, zganił się. Skąd miałbyś wiedzieć coś takiego?



Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu zimny dreszcz, kiedy w myślach usłyszał głos Genny. Pokręcił głową, starając się odegnać słowa, które rozbrzmiewały w jego umyśle. *Potrzebuję cię. Przyjedź do mnie.*

- Zaczynasz bzikować - powiedział na głos.

Potrzebował drinka i snu. Zdjął kurtkę i rzucił ją na stojące obok krzesło. Ze wszystkich sił starał się nie zwracać uwagi na cichy i słaby głos błagającej Genny. Poszedł do łazienki, załatwił się i umył ręce. W lustrze, mimochodem, dostrzegł czyjąś postać. Odwrócił szybko głowę, ale nikogo nie było. Znowś spojrzął w lustro i zobaczył w nim tylko swoje odbicie.

Serce łomotało mu jak szalone. Widocznie zaczyna tracić zmysły. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że widzi w lustrze twarz Genny.

Poszedł do sypialni, usiadł na krawędzi łóżka i zdjął buty. Choć starał się jak mógł, nie był w stanie pozbyć się wrażenia, że Genny coś się stało. Miała kłopoty i potrzebowała jego pomocy.

Cholera, zadzwoń do niej i sprawdź, czy nic się nie stało. Inaczej nie zaśniesz.

Wziął telefon bezprzewodowy z nocnej szafki i zorientował się, że nie zna numeru Genny. Gdzieś musi być książka telefoniczna. Wysunął szufladę i okazało się, że miał rację - były w niej Biblia i książka telefoniczna. Przekartkował ją i szybko odnalazł nazwisko Genevieve Madoc. Zapamiętał numer, rzucił książkę na bok i wybrał odpowiednie cyfry.

W nagrodę za wysiłek, usłyszał sygnał zajętej linii. Do diabła! Z kim ona rozmawia o tej porze?

Może z nikim. Może słuchawka jest źle odłożona. A może zabójca włamał się do domu Genny i kiedy usiłowała wezwać pomoc, wyrwał jej słuchawkę z ręki. A może miała kolejny z

tych swoich koszmarów i jest zupełnie wyczerpana? Może próbowała zadzwonić po pomoc, ale nie starczyło jej sił.

Dallas wsunął buty na nogi, pognął do salonu, chwycił kurtkę i ruszył do drzwi. Po drodze do samochodu założył kurtkę, a z kieszeni spodni wyjął kluczyki.

Wbrew zasadom logiki, wbrew zdrowemu rozsądkowi, miał zamiar jechać z powrotem w góry, żeby sprawdzić, czy Genny nic się nie stało.

Zrobił jej kolejny zastrzyk, tym razem połowę dawki, żeby do świtu utrzymać ją w stanie zamroczenia. O wiele łatwiej będzie przewieźć ją do miejsca, które wybrał, kiedy będzie otumaniona. Poza tym, wcale nie musi być przytomna, żeby mógł czerpać satysfakcję, gdy będzie ją wykorzystywał.

Włożył już do bagażnika latarkę, płaszcz i miecz. Musiał jeszcze tylko przenieść Misty z piwnicy na tylne siedzenie.

Kiedy niósł ją przez piwnicę, zauważył, że drgają jej powieki i jest półprzytomna. Być może w niewielkim stopniu była świadoma tego, co z nią robi, a może i nie. Liczy się tylko to, żeby była trzeźwa w chwili składania ofiary.

Włożył Misty do pokrowca na zwłoki, leżącego na podłodze i zapiął go, zostawiając jej twarz odsłoniętą.

- Niedługo, moja owieczko.

Już za kilka godzin stanie się trzecią ofiarą, a jej krew doda mu sił i mocy. Zanim nadejdzie moment chwały, musi zgromadzić maksimum energii. Tylko pod warunkiem, że będzie w doskonałej formie, może liczyć na to, że zdobędzie moc piątej ofiary.

W kuchni Genny paliło się światło. Dallas nie był pewien, czy to dobry, czy zły znak. Zaparkował na podjeździe, wyskoczył z samochodu i pobiegł w stronę tylnego wejścia. Na widok

zwierząt znieruchomiał. Przy tylnym ganku stały dwa wilki. Przyglądały mu się, jakby chciały ocenić, czy jest przyjacielem, czy wrogiem. Nad głową przeleciała mu sowa i przysiadła na dachu ganku.

Z domu dochodziło wycie Drudwyna. Na ułamek sekundy serce Dallasa zamarło.

Nie zwracając uwagi na wilki, wbiegł na ganek i do środka przez uchylone drzwi. Myślał tylko o tym, żeby znaleźć Genny. Jeżeli coś jej się stało...

Leżała na podłodze, zwinięta w kłębek. Tuż obok leżał włączony telefon. Dallas podbiegł do niej, uklęknął i wziął ją w ramiona. Pilnujący Genny Drudwyn podniósł się i usunął z drogi. Obserwował i czekał.

Genny otworzyła oczy i spojrzała na Dallasa.

- Usłyszałeś mnie. Posłuchałeś swojego serca.

- Genny, co się stało? Co ci jest?

- Kolejna wizja - odpowiedziała. - Muszę zadzwonić do Jacoba. Natychmiast. - Zaciśnęła palce.

- Cholera! - Przeniósł ją przez dom do sypialni. Cały czas powtarzała, żeby zadzwonić do Jacoba. Kiedy położył ją na łóżku, usiadł przy niej, odpiął telefon komórkowy od paska i wybrał numer biura szeryfa.

Odebrała sierżant Hardy. Dallas szybko poinformował ją, kim jest, i że chodzi o pilną sprawę związaną z kuzynką Butlera, Genny.

- Już tam jedzie - powiedziała Tewanda Hardy. - Co z Genny? Wiem, że te wizje strasznie ją wykańczają.

- Nic jej nie będzie.

- Niech się nią pan dobrze zaopiekuje, słyszy pan?

- Mam taki zamiar.

Dallas odłożył słuchawkę i odwrócił się do Genny. Odgarnął jej z twarzy niesforny kosmyk kruczoczarnych włosów i pogładził ją po policzku.

- Jacob przyjedzie? - spytała.

- Już jest w drodze. - Ujął podbródek Genny. - Skąd wiedział, że go potrzebujesz?

- Zadzwoiłam, ale go nie było. Powiedziałam... - Wzięła kilka głębokich wdechów. - Powiedziałam Tewandzie, że następną ofiarą jest Misty Harte. - Uniosła rękę z takim trudem, jakby ważyła sto kilogramów i ścisnęła kłapę jego kurtki. - Jeżeli ją znajdziemy, uratujemy ją.

- Leż tutaj i odpoczywaj. - Dallas położył dłonie na ramionach Genny. - Przynieść ci coś? Wody? Herbaty? Kawy? Coś do zjedzenia?

- Nie potrzebuję niczego, oprócz ciebie. - Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech.

Jej stwierdzenie podziałało na niego w sposób, który mu się nie spodobał. Do licha, jego dzisiejsze zachowanie zupełnie do niego nie pasuje. Jakimś cudem dał się wciągnąć w to całe szaleństwo związane z wizjami Genny. Chciał jej pomóc, ale nie miał zamiaru tracić kontaktu z rzeczywistością. Musi myśleć logicznie.

Siedział przy Genny, która odpoczywała z zamkniętymi oczami. Wydawało mu się, że już po kilku minutach usłyszał warkot ciężarówki Jacoba. Po chwili w domu rozległy się kroki dwóch osób.

- Genny! - krzyknął Jacob. - Sloan, gdzie jesteście?

- Tutaj - odpowiedział Dallas. - W sypialni.

Do pokoju wpadł Jacob, a tuż za nim Bobby Joe Harte.

- Nic jej nie jest?

- Wszystko dobrze - odpowiedziała Genny. - Jestem tylko słaba, jak zwykle. Ale tym razem... Och, Jacob... Widziałam ją. To była Misty. On ma Misty.

Bobby Joe chwycił się ramy łóżka.

- Widziałas Misty w wizji? Widziałas, że ma ją zabójca?

Genny pokiwała głową.

- Jeżeli uda nam się ją znaleźć przed świtem, uratujemy ją.

- Ale jak możemy ją znaleźć, skoro nie mamy pojęcia, dokąd ją zabrał? - spytał Bobby Joe.

- Jesteś w stanie powiedzieć nam coś więcej? - Jacob, siedzący po drugiej stronie łóżka, naprzeciwko Dallasa, wyciągnął rękę i ujął dłoń Genny. - Cokolwiek, co mogłoby nam podpowiedzieć, gdzie jej szukać?

Dallas słuchał i przyglądał się zadziwiony. Czy to możliwe, że Genny rzeczywiście ma niezwykły dar? Wygląda na to, że wierzy w to każdy, kto ją zna.

- Zabrał ją z miejsca, w którym ją przetrzymywał do starej stodoły. - Genny z całej siły chwyciła dłoń Jacoba. - Nie byłam w stanie dostrzec za wiele, tylko tyle, że stodoła jest bardzo, bardzo stara i potwornie zniszczona.

- I prawdopodobnie opuszczona - zauważył Jacob.

- Wiesz, ile jest w hrabstwie Cherokee walących się starych stodoł? - spytał Bobby Joe. - Przynajmniej z tuzin. Może więcej. W dodatku są rozrzucone po całym okręgu.

- Masz rację - przyznał Jacob. - Pół dnia by nam nie starczyło, gdybyśmy mieli jeździć po wszystkich stodołach.

- Musicie utworzyć grupę poszukiwawczą - zasugerował Dallas.

- Tak, masz rację. - Jacob odwrócił się do Bobby'ego Joe. - Myślisz, że dasz sobie z tym radę, skoro Misty...

- Powiedz mi tylko, co mam robić.

- Niech Tewanda wezwie wszystkich funkcjonariuszy - zarządził Jacob. - Niech zadzwoni do komendanta Watsona i poprosi, żeby przysłał wszystkich swoich ludzi. Powiedz jej, że musimy zaangażować drogówkę.

- Rozkaz. - Bobby Joe wyszedł z sypialni, ale przystanął w progu. - A ty co będziesz robić, szeryfie?

- Myślisz, że masz siłę, żeby ze mną jechać? - Jacob ścisnął Genny za rękę.

Skinęła głową.

- Jeżeli zanieziesz mnie do auta.

- Do licha, co wy wyprawiacie? - wtrącił się Dallas. - Nie powinna się nigdzie ruszać. Spójrz na nią. Cholera, jej potrzeba lekarza.

- Niepotrzebny mi lekarz. Dojdę do siebie za kilka godzin, ale nie możemy tak długo czekać. Trzeba szukać Misty. Jeżeli pojedę z Jacobem, może będę w stanie mu pomóc.

- Niby jak możesz mu pomóc? - spytał Dallas, chociaż, niestety, zanim się odezwała, wiedział, co usłyszy.

- Moim darem widzenia - odpowiedziała rzeczowo.

- Nie masz dość siły, żeby...

- Jeżeli tak się o mnie martwisz, to jedź z nami - Genny przerwała Dallasowi w pół zdania. Odwróciła dłoń grzbietem do dołu i uniosła ją powoli w błagalnym geście. - Potrzebuję cię. Możesz dodać mi sił.

Dallas nabrał powietrza do płuc, a potem powoli je wypuścił, żeby otrzeźwić umysł. Musiał szybko podjąć decyzję.

- Pojedę z tobą. - Spojrzał na Jacoba, pochylił się i wziął Genny na rękę.

- Dziękuję - wyszeptwała, ufnie opierając głowę o jego tors. Wychodząc z domu, Jacob wydał Bobby'emu Joe ostatnie polecenia.

- Skontaktuj się z Tewandą, jak będziesz wracać do miasta, niech ona się wszystkim zajmie. Niech powiadomi, kogo trzeba. Chcę, żebyś potem pomógł jej koordynować działania grupy poszukiwawczej. Dam ci znać, gdzie jesteśmy i gdzie trzeba zacząć szukać.

- Mam zabrać Sally, czy ty to zrobisz? - spytał Bobby Joe.

- Wpadnę do niej i zabiorę ją i psy - odpowiedział Jacob.

Bobby Joe szybko wyszedł na dwór, wyprzedził innych, wskoczył do samochodu policyjnego i natychmiast skontaktował się przez radio z Tewandą.

Wychodząc przez tylne drzwi Dallas chwycił z wieszaka czarną kurtkę Genny i otulił ją. Po kilku minutach Jacob siedział za kierownicą masywnego dodge'a rama, a Dallas trzymał Genny w ramionach na siedzeniu pasażera.

- Dobra, *i gi do*, gdzie zaczynamy? - Jacob pochylił się i położył rękę na ramieniu Genny.

Zamknęła oczy. Wszyscy milczeli. Nikt się nie ruszał. Słysząc było jedynie oddechy trzech osób. Aż nagle w oddali rozległo się wycie wilka. Genny w jednej chwili otworzyła oczy.

- Teraz ją przewozi - powiedziała Genny, unosząc głowę z piersi Dallasa. - Widzę długą wstęgę wijącą się drogi. Wywozi ją w góry. - Westchnęła cicho i wyczerpana oparła się o Dallasa.

- Natychmiast zablokować drogi! - Jacob krzyknął do Bobby'ego Joe, opuszczając szybę. Odwrócił się do Genny. - Coś jeszcze?

- Cholera, czy pan nie widzi, że jest kompletnie wyczerpana? - Dallas spojrzał gniewnie na Jacoba. - Więcej nie wytrzyma. Nie wiem, co się z nią dzieje, ale widzę, że to pozbawia ją resztek energii.

- Wschód - wyszeptała. - Jedźcie na wschód.

Jacob, nie przejmując się nadopiekuńczym wybuchem Dallasa, wycofał samochód, zawrócił i zjechał podjazdem tuż za

Bobbym Joe. Policjant skręcił na południowy zachód, do miasta. Jacob ruszył w przeciwnym kierunku.

- Jedziemy po Sally - odezwał się Jacob po kilku minutach.

- Jeżeli znajdziemy się w pobliżu Misty, psy Sally od razu wyczują jej zapach.

- Będzie pan potrzebował czegoś... - zaczął Dallas.

- Mam w worku jej bluzkę. - Jacob wskazał głową tylne siedzenie. - Bobby Joe wziął ją od niej z domu, kiedy tam był dziś wieczorem. On zawsze myśli na zapas.

Drobne, delikatne ciało Genny spoczywało w ramionach Dallasa. Jej ciężar wydawał mu się słodki. Jej ciepło przenikało przez ubranie i go ogrzewało. A chyba nie dalej niż godzinę temu postanowił, że odsunie się od tej kobiety.

Tyle że nie był w stanie trzymać się od niej z daleka, podobnie jak nie byłby w stanie przestać oddychać. Za żadne skarby świata nie potrafił dociec, dlaczego Genny ma na niego taki wpływ. Może dlatego, że powoli dawał się wciągnąć w jej czary? Jeżeli Genny ma rację, jeżeli jej przewidywania się sprawdzą, może uda im się dziś złapać zabójcę. Być może zabójcę Brooke.

Uświadomił sobie, że po raz pierwszy od ośmiu miesięcy - od śmierci Brooke - coś innego nabrało dla niego równie dużego znaczenia, jak poszukiwania zabójcy siostrzenicy. Ochrona Genny. Jak by postąpił, gdyby musiał wybierać między bezpieczeństwem Genny a schwytaniem mordercy Brooke? Kilka dni temu nie miałyby żadnych dylematów. Ale to było, zanim Genny Madoc rzuciła na niego czar.

## Rozdział 15



Zaparkował na piaszczystej drodze i wyłączył reflektory. Istniały nikłe szanse, że ktoś będzie przejeżdżał tędy bladym świtem i dojrzy jego auto, ale wolał nie ryzykować. Stodoła znajdowała się dobrych piętnaście metrów od zarośniętej drogi. Któregoś dnia zeszłej jesieni, jeżdżąc po okolicy, natrafił na to miejsce i zapamiętał je sobie. Opuszczony budynek na środku pustkowiecia. Idealne miejsce na ceremonię.

Byłoby lepiej, gdyby księżyc świecił mocniej, ale latarka mu wystarczy. O świcie otworzył drzwi stodoły, żeby wypuścić poranny blask. Był tak podniecony oczekiwaniem, że krew się w nim gotowała, powodując przyływ adrenaliny. Trzecia ofiara. Jest już coraz bliżej. Sama myśl o tym, co ma nastąpić, przyprawiała go o dreszcz rozkoszy. Otworzył bagażnik i upewnił się, czy Misty nadal jest nieprzytomna. Włożył czarny płaszcz z kapturem. Wyciągnął drewniany futerał z mieczem, wsunął go sobie pod ramię i wziął wielką latarkę, której potrzebował, żeby dojść do stodoły.

Chociaż noc była zimna i w wielu miejscach leżały pozostałości lodu i śniegu, prawie nie czuł chłodu. Był silny... i z każdą kolejną ofiarą stawał się coraz silniejszy. Już niedługo stanie się niepokonany.

Wyjął z bagażnika kalosze i wsunął je na buty. Następnie włożył grube rękawice. Miał na nogach buty z włoskiej skóry i nie chciał, żeby zniszczyła je nocna wilgoć albo błotnista breja, która pozostała po stopniałym śniegu.

Powoli, ale pewnie, przemierzył otwartą przestrzeń. Kiedy dotarł do stodoły, otworzył rozklekotane, drewniane drzwi. Przy wtórze skrzypienia i jęku zawiasów, ukazało się ponure wnętrze. Nikt chyba nie słyszał tych żalonych odgłosów? Poświecił latarką dookoła. Przeszronne wnętrze było niemal puste, nie

licząc dwóch wysuszonych, drewnianych kozłów, które znalazł na poddaszu, kiedy po raz pierwszy przeszukiwał stodołę. Futerał z mieczem położył na podgniłym drewnianym korycie. Oświetlił latarką ziemię i zorientował się, że jest wilgotna. Skierował snop światła do góry i zauważył, że brakuje części sufitu, a to, co z niego pozostało, wygląda, jakby lada moment miało się zawalić.

Przesunął najpierw jeden kozioł, a potem drugi i ustawił je na wprost masywnych drzwi. Wziął kawałek sklejk grubości centymetra, który przywiózł tu wczoraj i położył na kozłach, tworząc prowizoryczny ołtarz.

Spojrzał na zegarek i zobaczył, że dochodzi czwarta. Pobiegł do samochodu po niezbędny rekwizyt ceremonii - ofiarę.

Jacob nie był religijny, ale tego wieczoru odmówił modlitwę. Zrobili wszystko, co można było zrobić, ale niewykłuczone, że to nie wystarczy. Funkcjonariusze ochrony porządku publicznego z miasta, okręgu i stanu zostali wysłani w góry, które ciągnęły się kilometrami po bezkresnych przestrzeniach. Miejscowi członkowie grupy poszukiwawczej starali się przypomnieć sobie każdą starą stodołę w okolicy. Jacob wiedział, że przeszukanie wszystkich stodoł w hrabstwie Cherokee trwałoby kilka dni. Wspólnie z Genny stwierdzili, że stodoła, do której zabójca zabrał Misty, jest pusta, prawdopodobnie opuszczona, ale mieli świadomość, że mogą się mylić. Kuzynka sama uprzedzała, że jej wizje nie zawsze są w stu procentach trafne i że nie jest nieomylna.

Ich grupa składała się teraz nie tylko z Genny, Dallasa i Jacoba. Dołączyli do nich Sally i jej psy, Peter i Paul, oraz sześciu policjantów - Bobby Joe i Tim Willingham, pracownicy Jacoba, trzech policjanci z Cherokee Pointe i jeden policjant z drogówki. Przez kilka ostatnich godzin przeszukali trzy stodoły

na wschód od domu Genny. Dwie były nieużywane i puste, a jedna należała do emerytowanego farmera, który trzymał w środku stary traktor.

Za pomocą radia kontaktowali się z innymi grupami - w sumie pięcioma - ale jak dotąd nic nie wskórali. Kiedy zjechali z drogi biegnącej wzdłuż plotu, ogradzającego starą farmę Wellsów, dwa inne pojazdy zaparkowały za jego półcieżarówką. Jacob spojrzał na zegarek. Czwarta pięćdziesiąt. Czas ucieka. Za niecałe dwie godziny zacznie świtać. Jeżeli wkrótce nie znajdą Misty, będzie za późno.

Starał się nie myśleć o Misty jak o kochance. Starał się nie przypominać sobie, że to siostra Bobby'ego Joe, ale nie mógł zapomnieć, że dla obu coś znaczyła. Dwadzieścia cztery godziny temu uprawiali seks. Swawolny, lubieżny, dobry seks. Nie kochał Misty i czasami nieźle grała mu na nerwach. Ale była dobrą dziewczyną, która nikomu nie zrobiłaby krzywdy. Wściekał się na samą myśl o tym, że jakiś psychopata zamierza ją rozplatać i wypić jej krew. Ale nie mógł marnować czasu na emocje.

Wysiadł i dołączył do pozostałych członków zespołu, którzy zebrali się przy masce jego samochodu. Sally Talbot otworzyła tylne drzwi, wysiadła i zagwizdała na Petera i Paula. Dwa ponad czterdziestokilogramowe psy wyskoczyły z bagażnika i podbiegły do swojej pani. Chwyciła je za obroże i zmierzyła okolicę wiekowym, ale wciąż przenikliwym spojrzeniem. Ściągnęła wargi, splunęła i otarła usta. Z kabiny wyłonił się Dallas. Wyniósł Genny i postawił ją na ziemi. Obejmował ją w talii, a kiedy zachwiała się po zrobieniu kilku kroków, wziął ją znów na rękę.

- Kojarzysz coś? - zwrócił się do Genny Jacob.

Wpatrywała się w ciemność, w ponure zarysy starej stodoły, obejmując Dallasa Sloana za kark.

- W środku ktoś jest.

- Boże jedyny! - krzyknął Bobby Joe. - Czy to Misty? Znaleźliśmy ją?

- Nie... nie wiem. Nie jestem pewna. - Genny drżał głosem.

- Zanieś ją z powrotem do samochodu i zostań z nią. - Jacob spojrział Dallasowi w oczy.

Sloan skinął głową.

- Wchodzimy - zarządził Jacob. - Sally, ty tu poczekaj. Peter i Paul na razie niech siedzą cicho. Reszta ma się rozejść. Otoczcie stodołę. Wejść sam. Wszystko jasne? - Nikt nie zaproponował. - Cokolwiek robicie, bądźcie ostrożni - dodał po chwili.

Jacob nie był w stanie zliczyć, w ilu misjach ratunkowych uczestniczył podczas służby w fokach. Może i brakowało mu doświadczenia jako szeryfowi, ale jeżeli chodzi o odbijanie zakładników, był ekspertem.

Zbliżając się do stodoły, wskazał swoim ludziom, żeby zajęli pozycje. Oparł się o północną ścianę i słuchał. Cisza. Pozostali zabezpieczali obrzeża, a Jacob okrążył budynek i zorientował się, że na tyłach brakuje drzwi. Po cichu wślizgnął się do środka. Z bronią w pogotowiu i latarką w dłoni, przesuwając się pod ścianą. Włączył latarkę i przeszukał wnętrze, powoli przemieszczając strumień światła.

Kiedy latarka natrafiła na człowieka leżącego na ziemi, Jacob wszedł. Ostrożnie. Leżący mruknął i przewrócił się na drugi bok. Jacob oświetlił twarz mężczyzny, który otworzył szeroko oczy i jęknął, jakby go coś bolało. Nie znał go, ale sądząc po postrzępionym ubraniu, skołtunionych włosach i brudnej twarzy, prawdopodobnie był to włóczęga, który schronił się na noc w stodole.

- Nic nie zrobiłem! - ryknął, wstając i unosząc ręce nad głowę. - Niech pan nie strzela. Nie jestem groźny. Przysięgam.

- Trzymaj ręce nad głową - poinstruował go Jacob.  
- Tak jest, sir. - Mężczyzna położył obie dłonie na głowie.  
- Wchodźcie - wezwał pozostałych Jacob. - To nie Misty.  
Zwykły włóczęga. - Spojrzał na drżącego mężczyznę. - Jak się nazywasz?

- Curry Hovater.  
- Skąd jesteś, Curry?  
- Trudno powiedzieć. Mieszkałem w Kingsport, w Bristolu i w Johnson City.

- Byłeś tu sam przez całą noc?  
- Tak jest, sir. Sam z myszami.  
- Willingham! - krzyknął na swojego pracownika Jacob. - Zabierz pana Hovatera ze sobą. Zamów mu w mieście śniadanie w Jasmine's i wsadź go do pierwszego lepszego autobusu.

Wszyscy stali w pobliżu, obserwując Jacoba i czekając na jego polecenia, a on odwrócił się do nich plecami i na chwilę zamknął oczy. Miał ochotę walić pięściami w ścianę i roztrzaskać walącą się stodołę w drobny mak. Niech to szlag! Miał nadzieję, że może w tej ruinie znajdą Misty żywą.

- Ruszamy - warknął, odwracając się do mężczyzn. - Mamy jeszcze spory teren do przeczesania.

Kiedy jechali krętą górską drogą, wszystkie zmysły Genny wyostrzyły się, jednak nie była w stanie otworzyć oczu. Przez długie godziny wysilała się, żeby pomóc odnaleźć Misty, resztkami sił starała się pobudzić zmysły do aktywności i czujności. Po raz pierwszy w życiu zmuszała się, żeby przez tyle godzin łączyć się z mocą, która zasilała jej szósty zmysł. Cały czas wciągała ją ciemność, ale ona niestrudzenie walczyła o swoje bezpieczeństwo.

Nieopodal czai się wielkie zło. Wyczuwała jego obecność. Okrutne i wrogie. Blisko. Bardzo blisko.

- Zatrzymaj auto! - krzyknęła, otwierając oczy i unosząc głowę z ramienia Dallasa.

Jacob zahamował gwałtownie na środku drogi. Bobby Joe wcisnął hamulce, ale niewiele brakowało, żeby uderzył w tył ciężarówki Jacoba.

- Co się stało? Nic ci nie jest? - Dallas przesunął dłonią po jej plecach.

- Wyczułaś coś? - spytał Jacob.

- To gdzieś blisko.

- Misty i zabójca? - spytał Dallas. Genny skinęła głową.

Jacob spojrział przez przednią szybę.

- Wychowałem się na drugim końcu okręgu, tego regionu nie znam i nie wiem, czy gdzieś w pobliżu może być jakaś opuszczona stodoła. Genny, możesz nam powiedzieć, czy oni nadal są w środku?

Oddech uwiązał Genny w gardle, kiedy zauważyła delikatną łunę na wschodnim horyzoncie. Świt zbliżał się wielkimi krokami.

- Nie wiem. Nie widzę. - Genny chwyciła Jacoba za ramię. - Znajdź ich. Znajdź ich teraz, bo będzie za późno.

Cała grupa ponownie zebrała się przy ciężarówce Jacoba, ale tym razem Genny uparła się, żeby pójść z nimi. Wspierała się o Dallasa, który obejmował ją w pasie.

- Ktoś z was wie, czy w pobliżu jest stara stodoła? - spytał Jacob. Przez kilka minut nikt się nie odzywał.

- Jeżeli dobrze pamiętam, w czasach, kiedy jeździliśmy z rodzeństwem na polowania w te rejony, dwadzieścia lat temu, była gdzieś tutaj wałaca się stodoła - odezwał się policjant z Cherokee Pointe, Jess Whitaker. - Ale nie pamiętam gdzie.

- Dobra. Sally, pora sprawdzić, czy Peter i Paul wyczują zapach Misty.

Sally wyjęła bluzkę Misty z worka, który dostała od Jacoba. Dała ją dobrze obwachać psom, a potem je wypuściła.

- Idziemy za psami - zarządził Jacob. - Reszta niech się rozejdzie i szuka cholernej stodoły.

Genny starała się dotrzymać kroku pozostałym, ale nie dawała rady. Zatrzymała się, zupełnie wyczerpana i odwróciła do Dallasa.

- Idźcie bez nas! - krzyknął Dallas do Jacoba i Sally, którzy już znajdowali się spory kawałek przed nimi, podążając za Peterem i Paulem. - Zajmę się Genny.

- Psy chyba wyczuły zapach Misty, co? - spytała.

- Możliwe.

Spojrzała na wschód. Ciemne niebo rozjaśnił nieśmiały blask dziennego światła.

- Och, Dallas. Już świta. - Wtuliła się w niego, szukając pocieszenia i siły.

Z oddali dobiegło wycie psów Sally. Żalodne zawodzenie, od którego po kręgosłupie przeszedł jej zimny dreszcz. Później rozległy się trzaśnięcie drzwi ciężarówki i samochodu osobowego oraz gwar wielu głosów. Nie wiadomo skąd, wyłoniła się grupa mężczyzn maszerujących wzdłuż drogi. Oświetlali okolice latarkami i reflektorami, które wyglądały jak świetliki w ciepłą letnią noc.

Genny zorientowała się, że mężczyźni wysiedli z zaparkowanych samochodów i kierują się w jej stronę. W słabym świetle świtu, w dodatku z oddali, nie była w stanie dostrzec twarzy.

- Co się dzieje? Co to za ludzie?

- Nie mam zielonego pojęcia. Są w cywilu.

Kiedy hałaśliwą grupą nieco się zbliżyła, Genny od razu rozpoznała przywódcę - Jerry'ego Lee Todda. Krzyczał tak głośno, że słycać go było pewnie w sąsiednim okręgu.

- Tu są! - Jerry Lee zaczął biec do Genny i Dallasa. - Trafiliśmy. Jacob musi gdzieś tu być.

- Cholera! - Dallas wymruczał pod nosem kilka niewybrednych przekleństw. - To mi wygląda na samosąd. Co za idiota im przewodzi?

- Nasz ukochany burmistrz, Jerry Lee Todd. Jego żona Cindy Todd, była drugą ofiarą.

- W takim razie nie myśli trzeźwo - skwitował Dallas. - Chyba lekko zbzikował. Pewnie nie ma pojęcia, że może zmarnować Jacobowi szanse na schwytanie zabójcy.

Zanim Genny zdążyła odpowiedzieć, dopadł ich Jerry Lee, a armia jego samozwańczych strażników zatrzymała się zaledwie kilka kroków za nim.

- Kiedy usłyszałem o Misty, zwołałem miejscowych do pomocy w poszukiwaniach. Jest tu Jacob? Znaleźliście Misty?

- Jak się przedostaliście przez blokady drogowe? - spytał Dallas.

- Jestem burmistrzem Cherokee Pointe - oznajmił Jerry Lee, jakby takie wyjaśnienie było zupełnie wystarczające.

- Ucisz tych ludzi - powiedział Dallas. - Skoro stoisz na czele bandy rozwrzeszczanych kretynów, to ich uspokój. Jacob i jego ludzie panują nad sytuacją i nie potrzebują twojej pomocy.

Jerry Lee przyglądał się Dallasowi z szeroko otwartymi oczami i ustami.

- Natychmiast - dodał Dallas grobowym głosem.

- Hej, chłopaki, uciszcie się! - krzyknął Jerry Lee, a potem odwrócił się do Dallasa. - No to co, znaleźli Misty czy nie?

Genny była tak słaba, że ledwie stała, ale zrobiła kilka kroków w stronę Jerry'ego Lee, wyciągnęła rękę i położyła mu na ramieniu.

- Niepotrzebnie pan tu przyjechał. Wie pan o tym, prawda?



- Mam prawo pomóc ścigać zabójcę Cindy. Mam pełne prawo...

- Niech pan to zostawi Jacobowi i policji. - Genny ścisnęła Jerry'ego Lee za rękę.

- Gdzie jest Jacob? - Burmistrz wyrwał się Genny.

- Szeryf i jego ludzie wykonują swoją pracę. - Dallas chwycił Jerry'ego Lee za ramię.

- Jest tu gdzieś opuszczona stara stodoła! - zawołał jakiś głos. - Założę się, że jest tam Misty. A tam gdzie ona, jest też zabójca!

Genny rozpoznała głos i poszukała wzrokiem tego, kto się odezwał.

Z szemrzącego oddziału pomocników, w markowych dżinsach, drogiej skórzanej kurtce i włoskich pantoflach, wyłonił się zabójczo przystojny Jamie Upton.

- Moim zdaniem powinniśmy iść za głosem tych zawodzących psów - stwierdził Jamie. Spojrzał na Genny. - To psy Sally, zgadza się?

- Powinniście wrócić do domów, a tę sprawę zostawić policji - powiedział Dallas.

- A co z ciebie za jeden? - warknął Jamie.

Dallas spojrział na niego złowrogo.

- To agent specjalny FBI, Dallas Sloan - wyjaśnił głośno i wyraźnie Royce Pierpont.

Spojrzenia Genny i Royce'a się spotkały. Uśmiechnął się do niej. Nie mogła pojąć, co w tej grupie robił Jamie Upton, ale widok Royce'a zaskoczył ją jeszcze bardziej. Najwyraźniej wyciągnięto go z łóżka, bo mimo nienagannego stroju - od kaszmirowej kurtki po włoskie pantofle podobne do butów Jamiego - włosy miał rozczochrane i był nieogolony.

Genny doszła do wniosku, że Jerry Lee wezwał wszystkich mężczyzn w Cherokee Pointe i pewnie dał do zrozumienia, że

ten, kto nie dołączy do jego grupy poszukiwawczej, nie jest prawdziwym mężczyzną.

- Skoro jesteś federalnym, to dlaczego nie jesteś z Jacobem i resztą? - spytał Dallasa Jerry Lee.

- Bo wiem, że szeryf Butler i jego ludzie poradzą sobie z tym zadaniem bez żadnej ingerencji z mojej strony... czy ze strony kogokolwiek innego.

Genny zbadała wzrokiem kolejno każdego mężczyznę. Rozpoznała twarze wszystkich dwudziestu pięciu. Rolnicy, mechanicy i kierowcy ciężarówek. Listonosze, hydraulicy i nauczyciele. Dillon Carson, wielebny Stowe, doktor MacNair, a nawet Brian MacKinnon.

Czyżby cała męska część populacji hrabstwa Cherokee jednocześnie zwariowała? Okoliczni mieszkańcy wpadli w popłoch, kiedy dowiedzieli się, że porwano trzecią ofiarę, a Bóg jeden wie, jak ta zgraja zareaguje, jeżeli odnajdą Misty martwą.

Genny kątem oka dostrzegła, że Brian odsunął się od innych, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zaczął szybko coś mówić. Domyśliła się, co robi. Dyktuje tekst do swojej gazety. I pewnie wzywa ekipę informacyjną z WMMK.

Jacob wiedział, że czas minał, ale starał się o tym nie myśleć. Usiłował trzymać się nadziei, że jeszcze nie jest za późno, żeby uratować Misty. Kiedy dotarli do stodoły, słońce wyglądało już zza górskiej grani.

Połowa ognistej kuli, otoczona lśniąca różowofioletową poświatą, wyglądała znad wschodniego horyzontu, wypierając ciemność. Jacoba boleśnie ścisnęło w żołądku, kiedy zbliżał się do zrujnowanej budowli, która kiedyś była stodołą. Pozostali rozeszli się, otaczając drewniany szkielet budynku. Psy Sally znalazły to, czego szukały. Zawodząc, stały przy ofierze. Podwójne drzwi stodoły były szeroko otwarte, niczym wargi

zamarłe w niemym krzyku. Jacob, z bronią w ręku, zbliżał się do wejścia. To, co zobaczył, odebrało mu władzę w nogach. Na moment zamknął oczy, modląc się, żeby ten widok był jedynie przywidzeniem.

Otworzył oczy. Na prowizorycznym ołtarzu, który był niczym więcej niż parą drewnianych kozłów i kawałkiem sklejki, leżało nagie ciało Misty Harte. Z odległości trzech metrów widać było krew. Do diabła, czuł zapach krwi. Świeżej krwi.

Niech to szlag! Żółć podeszła mu do gardła. Zrobił kilka niepewnych kroków i przystanął. Myśl trzeźwo, nakazał sobie. Misty już nie pomożesz. Może nadal jest tu zabójca. Nie możesz zapominać, czego cię uczyli, tylko dlatego, że z to kobieta, rozplataną od piersi do łona, pieprzyłeś się zaledwie kilka godzin przed tym, jak została uprowadzona.

Dokładnie przeszukał wnętrze walącej się stodoły i kiedy stwierdził, że nikogo nie ma, zawołał swoich ludzi. Do wejścia zbliżył się Bobby Joe, ale Jacob chwycił go za ramię, żeby go powstrzymać.

- Lepiej, żebyś tego nie oglądał - ostrzegł go Jacob.

- Chcę. Muszę zobaczyć. - Bobby Joe wyrwał się i wbiegł do stodoły.

- To Misty? - Tim Willingham podszedł do Jacoba.

Jacob skinął głową.

Bobby Joe zawył rozpaczliwie i padł na kolana przy ołtarzu. Pozostali mężczyźni stali na baczność, w milczeniu. Każdy z nich wyobrażał sobie, co by czuł, gdyby ofiarą była jego siostra.

Jacob dopilnował, żeby zrobiono wszystko, co trzeba. Powiadomił przez radiostację inne jednostki, że Misty została odnaleziona. Odnaleziona za późno. Musiał im też powiedzieć, że zabójca zbiegł. Później wezwał ekipę sądową, żeby przyjechała na miejsce najszybciej jak się da.

Musi zabezpieczyć miejsce zbrodni najlepiej jak potrafi. Najpierw jednak musi zająć się Bobbym Joe. Kiedy kładł mu rękę na ramieniu, zawołała go Sally.

- Wyczuły zapach.

- Zabójcy? - Jacob gwałtownie odwrócił głowę i spojrzał w twarz staruszce.

- Możliwe - powiedziała. - Wybiegły z drugiej strony stodoły. Lepiej pędźmy za nimi, bo zostawią nas w tyle.

## Rozdział 16

Erin Mercer przebudziła się i zaczęła zastanawiać, co wyrwało ją ze snu. Wtedy usłyszała pukanie do drzwi wynajętego domu. Kogo licha niesie bladym świtem? Otworzyła oczy i bez okularów usiłowała dojrzeć godzinę na cyfrowym zegarze. Dalekowzorność była przekleństwem ludzi po czterdziestym piątym roku życia, a ona te urodziny obchodziła cztery lata temu. Natarczywe pukanie nie ustawało. Erin usiadła, przysunęła zegar bliżej, żeby widzieć tarczę i zorientowała się, że jest prawie siódma rano. Zabójcza pora, jak na kobietę, która rzadko wstawała przed jedenastą.

Zanim zdążyła narzucić na siebie szlafrok i przejść do salonu, usłyszała niski, męski głos.

- Erin, do licha, jesteś tam?! - krzyknął Wielki Jim Upton na tyle głośno, że obudziłby umarłego.

Co on tu robi? Czemu jest tak zdenerwowany? Od początku romansu rzadko odwiedzał ją częściej niż kilka razy w tygodniu, nigdy rano.

- Jesteś tam? Nic ci nie jest? - Zwykle głęboki baryton Jima pod wpływem strachu był jeszcze niższy.

- Jestem, Jim. - Przeszła pośpiesznie przez pokój. - Nic mi nie jest.

Przekreśliła klucz i otworzyła drzwi. Jim bez słowa porwał ją w niedźwiedzi uścisk i pocałował tak namiętnie, że na kilka sekund pozbawił tchu. Postawił na podłodze i mocno obejmując w talii, wprowadził z powrotem do domu. Uniósł wielką stopę i zatrzasnął drzwi.

- Zabójca znów zaatakował. - Ujął jej twarz w wielkie, zniszczone dłonie. - Porwał Misty Harte, kelnerkę z Jasmine's. Jerry Lee zebrał grupę mężczyzn, żeby pomogli policji przeczesać teren.

- I przyjechałeś sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku, bo się o mnie martwisz. - Erin położyła ręce na jego dłoniach. - Boisz się, że mogę być następną.

- Dopiero cię znalazłem, kochanie. - Zdjął dłonie z jej twarzy, chwycił ją za rękę i spojrzał głęboko w oczy. - Nie zniósłbym, gdybym tak szybko cię stracił.

- Nie stracisz mnie. - Ścisnęła jego rękę.

- Owszem, stracę. Któregoś dnia spojrzysz na mnie, zobaczysz staruszka i znajdziesz sobie bardziej zielone pastwiska.

- Zabawny jesteś. - Wspięła się na palce i złożyła krótki pocałunek na jego ustach. - Tak się składa, że się w tobie zakochałam, Jimie Uptonie. Jeszcze to do ciebie nie dotarło?

- Jestem dla ciebie o wiele za stary. - Pokręcił głową, a potem przeczesał palcami gęste, siwe włosy. - Mógłbym być twoim ojcem.

- Gdyby ludzie o nas wiedzieli, pomyśleliby, że jesteś moim podtatusiałym sponsorem.

- Ludzie wszystko wiedzą najlepiej. - Jim uśmiechnął się szeroko.

- Jak ci się udało wymknąć z domu tak wcześnie rano? Reba nie będzie się zastanawiać, gdzie jesteś?

- Zostawiłem karteczkę. Wyjaśniłem, że pewnie dołączę do grupy poszukiwawczej, którą utworzył Jerry Lee.

- Powiedziałaś, że zniknęła kolejna kobieta. Jest w rękach zabójcy? Czy ona... nie żyje?

Jim skinął głową. Erin wiedziała, że jej kochanka trapi coś więcej niż troska o jej bezpieczeństwo. Od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyła - jak na ironię, w kościele - poczuła, że ten duży, szorstki mężczyzna z pięknymi, niebieskimi oczami ją pociąga. Był od niej o dwadzieścia pięć lat starszy i w dodatku żonaty. Nie uganiała się za żonatymi mężczyznami. Nigdy. Ale gdyby chciała czekać, aż on zrobi pierwszy krok, to pewnie do tej pory by się nie doczekała. Natychmiast postanowiła dowiedzieć się o nim wszystkiego i celowo wpadała na niego na każdym kroku. Właściwie nie była w stanie wyjaśnić, dlaczego, ale pragnęła go w sposób, w jaki od dawna nie pragnęła nikogo ani niczego. Ludzie mogliby sądzić, że chodziło jej o pieniądze, ale to nie była prawda. Nie potrzebowała fortuny Wielkiego Jima. Miała własny pokaźny majątek - fundusz powierniczy założony przez dziadka, kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat. Dzięki tym pieniądzom mogła realizować marzenie swojego życia i próbować sił jako malarka. Miała prawie pięćdziesiąt lat, ale sukces ciągle był przed nią.

- Wejdz i siadaj. - Erin poprowadziła go do sofy. Usiadła i poklepała poduszkę obok. Jim usadowił swoje masywne ciało na tapicerowanej kanapie. - Co się stało? - spytała.

- Mówiłem ci, grasuje zabójca, martwię się, że mieszkasz tu sama. - Chwycił kosmyk jej włosów i założył jej za ucho.

Uwielbiała to, że nie mógł utrzymać rąk przy sobie, kiedy byli razem. Zawsze jej dotykał, jakby ta czynność dostarczała mu niewysłowionej rozkoszy. Dotykał jej włosów, twarzy, rąk. A gdy się z nią kochał, ani kawałka jej ciała nie zostawiał bez pieszczot. Był najbardziej troskliwym i czułym kochankiem ze wszystkich, jakich miała.

- Jim, może nie znamy się bardzo długo, ale na tyle dobrze poznałam twoje nastroje, że wiem, kiedy coś cię dręczy. - Poglaskała go po policzku. - Możesz ze mną porozmawiać, jeżeli chcesz. Wysłucham cię.

Zamknął oczy, a na jego twarzy pojawił się wyraz potwornego cierpienia. Serce Erin zaczęło łomotać jak oszalałe. Przerażała ją jego zboląła mina.

- Mój Boże, Jim, co się stało?

Pochylił się, oparł łokcie na udach, a podbródek o zwinięte dłonie.

- Chcę, żebyś mi powiedziała, czy jestem stuknięty, że w ogóle podejrzewam... Wydaje mi się złe, że myślę to, co myślę. Jak mogę przypuszczać, że byłby zdolny do czegoś tak potwornego?

- Nic nie rozumiem. - Położyła dłoń na plecach Jima i pogłaskała go pocieszająco. - O czym ty mówisz? Kogo podejrzewasz i o co?

- Jamiego. - Jim poderwał się z kanapy, odwrócił się i spojrzał na Erin. - Wczoraj znów nie wrócił na noc do domu. Nie mam zielonego pojęcia, gdzie się włóczył. Myślałem, że jest z Jazzy albo jakąś inną kobietą. Ale teraz nie jestem już tego taki pewien.

- Twój wnuk nie wrócił na noc do domu i w związku z tym go o coś podejrzewasz?

- Powiedz mi, że się mylę. - Jim chwycił jej dłonie w swoje. - Powiedz... Jamie nie wrócił wczoraj na noc do domu i ktoś

zabił kobietę. Akurat jak jechałem, usłyszałem w radiu, że znaleziono ją martwą.

- Została zamordowana tak samo jak poprzednie dwie kobiety?

Jim skinął głową.

- Tej nocy, kiedy zabita została Susie Richards, Jamiego nie było w domu, a przyjechał niecałe dwie doby wcześniej. I nie było go w domu, kiedy zabito Cindy Todd. A teraz...

- O Boże, Jim, chyba nie chcesz powiedzieć... Chyba nie wierzysz, że...

- Bóg mi świadkiem, że nie chcę tak myśleć, ale od dawna mam świadomość, że ten chłopak to nic dobrego. Tylko że nigdy nie przypuszczałem, że byłby zdolny do... Nie mogę uwierzyć, że potrafiłby zabić te kobiety, ale... Ale jeżeli to on jest zabójcą?

- Jamie nie zabił tych kobiet - wyszeptała Erin, obejmując Jima. - Dobry czy zły jest twoim wnukiem. Nie byłby zdolny do morderstwa z zimną krwią.

Jim zadrżał i wiedziała, że szlocha po cichu. Przytuliła go jeszcze mocniej i wiedziała, że kocha go jeszcze bardziej.

Zanim na miejsce przybyła ekipa z zakładu medycyny sądowej i zaczęła badać miejsce zbrodni, wzdłuż drogi i na polu zebrało się około stu osób, nie licząc mężczyzn zwerbowanych przez Jerry'ego Lee. Dziennikarze z „Cherokee Pointe Herald” zasypywali wszystkich pytaniami, a ekipa telewizyjna z WMMK usiłowała podejść do starej stodoły. Jacob polecił Timowi Willinghamowi, żeby zawiózł Bobby'ego Joe do domu. Mógł sobie tylko wyobrażać, jak ciężko mu będzie powiedzieć matce, że Misty nie żyje.

Genny wyglądała na skrajnie wyczerpaną i Jacob najchętniej odesłałby ją do domu, ale potrzebował jej pomocy. Zamierzał zatrzymać ją tak długo, jak długo starczy jej sił, żeby



zaglądać w to tajemne miejsce i wykorzystywać dar widzenia. Psy gończe Sally wytropiły zapach zabójcy kilka metrów za stodołę, a później nagle zgłupiały. Sally od razu zorientowała się, że są chore, a po niedługim czasie wyszło na jaw, dlaczego.

- Zabójca jest cholernie sprytny. - Sally pochyliła się i pogłaskała po łbie i grzbiecie najpierw Petera, a potem Paula. - Chciał otruć moje psy. Ktoś musi je ze mną przewieźć do doktora Swaina. - Pokręciła głową. - Dzisiaj już nie będzie z nich żadnego pożytku.

Jacob i kilku policjantów pomogło wsadzić oba psy na pakę służbowej terenówki, a Sally wyjaśniła, że zabójca prawdopodobnie zmieszał arszenik z jakimś nawozem chemicznym, który znalazł w stodole, i z wodą - dookoła było mnóstwo kałuży po roztopionym śniegu - i wyprodukował wolno ulatniający się gaz. Mieszaninę rozlał wzdłuż ścieżki kilka metrów za stodołę.

- Przypuszczam, że usłyszał wycie Petera i Paula i naprędce musiał coś wymyślić - powiedziała Sally. - Jest bystry, skoro wpadł na to, że kiedy nawdychają się gazu, pomieszają im się zmysły i zgubią jego trop.

Jacob, nie mogąc liczyć na psy, musiał zupełnie zdać się na Genny.

- Chcę zobaczyć ciało Misty - poprosiła Genny.

- Nie ma mowy - uciał Jacob.

- Proszę. Muszę zobaczyć ciało. W niewielkiej odległości wyczuwam coś bardzo silnego.

Jacob niechętnie przystał na jej prośbę. Wraz z Dallasem zaprowadzili ją do ciała Misty, i zatrzymali się w odległości pięciu metrów. Patrzyła, jak pracownicy zakładu medycyny sądowej zabierają się do pracy. Z wyrazem bólu na twarzy przyglądała się miejscu zbrodni, zwracając szczególną uwagę na okaleczone ciało.

- Nie... nie... o, nie. - Genny osunęła się, ale w porę chwycił ją Dallas. Spoczywając w jego ramionach, otworzyła oczy i spojrzała na Jacoba. - On tutaj jest. Blisko. Przygląda się.

- Skąd wiesz? - spytał Dallas.

- Komunikuje się ze mną.

- Co?

- Nie rób tego. - Jacob położył dłoń na jej ustach. - To zbyt niebezpieczne.

- Może mi powiecie, do cholery, o co chodzi? - zażądał Dallas.

- Ona celowo nawiązuje kontakt telepatyczny z zabójcą. - Jacob oderwał dłoń od warg Genny i spojrzał na nią. - Przestań, to dla ciebie zbyt niebezpieczne.

- Wyśmiewa się - powiedziała. - Wyśmiewa się z ciebie i ze wszystkich, bo wie, że nie możesz go schwytać. - Złapała Jacoba za rękę. - On sobie śpiewa, w myślach. Ciągłe podśpiewuje „i tak mnie nie złapiesz”. Jest taki... szczęśliwy.

- Natychmiast ją stąd zabierz - nakazał Dallasowi Jacob. - Odwieź ją do domu. Zadzwoń do Jazzy, żeby ci pomogła. I pilnuj, żeby więcej nie próbowała połączyć się z zabójcą.

Widząc zatroskaną minę Dallasa Sloana, Jacob nie miał wątpliwości, że odpowiednio zaopiekuje się Genny. Wiedział też, że jest zdezorientowany i nadal nie wierzy. Ale już niedługo.

- Potrzebujesz mnie tutaj - wyszeptała Genny, tak słaba, że ledwie mogła mówić.

- Jedź! - nakazał kategorycznie Jacob. Rzucił Dallasowi kluczyki. - Weź moje auto. Mnie później ktoś podwiezie.

Dallas nie zastanawiał się ani chwili. Przeniósł Genny przez pole prosto do dodge'a rama Jacoba.

Wiedząc, że Genny jest bezpieczna, Jacob wezwał swoich pracowników. Kazał im zebrać wszystkich policjantów

znajdujących się jeszcze na miejscu i dokładnie przeczesać las otaczający stodołę.

- I rozejrzyjcie się w tłumie - dodał po chwili wahania. - Chcę rozmawiać z każdym, kto wygląda podejrzanie.

Dallas posadził Genny na przednim siedzeniu i już miał zamknąć drzwi, kiedy nagle obok pojawił się Pierpont. Dallas nie zdążył go powstrzymać. Royce zajął do środka i zaczął rozmawiać z Genny.

- Kochanie, nic ci nie jest? - spytał Royce.

- Jest zmęczona i zabieram ją do domu - oznajmił Dallas.

- Tak, tak, musi ją pan zabrać do domu, żeby mogła odpocząć. - Royce westchnął. - Posługiwanie się tymi zdolnościami potwornie ją wykańcza. Moje kochane, biedne maleństwo.

- Proszę się przesunąć. - Dallas, ze względu na Genny, siłił się na uprzejmość. - Chcę zamknąć drzwi.

- Och, przepraszam. - Nie ruszył się ani o krok. - Zastanawiałem się, czy nie sprawiłbym wielkiego kłopotu, gdybym poprosił, żebyście mnie podwieźli.

- Nie jedziemy do miasta - odparł Dallas.

- To nic, wystarczy, że podwiezie mnie pan kawałek. Mój samochód stoi na poboczu jakieś dwa kilometry stąd.

Dallas przyjrzał się Pierpontowi badawczo.

- Zostawiłem go, bo spotkałem kilku mężczyzn, którzy jechali drugim autem. Stwierdziliśmy, że bez sensu jechać dwoma.

- Oczywiście, że możesz z nami jechać - powiedziała Genny.

Dallas się zjeżył. Royce Pierpont otworzył tylne drzwi i wskoczył do samochodu.

Kilka minut później podjechali do lexusa, stojącego przy drodze. Royce podziękował im, wysiadł i podszedł pospiesznie do auta. Dallas miał zamiar ruszyć, ale nie usłyszał dźwięku silnika, więc spojrzał przez szybę i zauważył, że samochód ma włączone światła. Czyżby ten idiota wysiadł i nie wyłączył świateł? Jeżeli tak, to pewnie padł mu akumulator.

Po kilku minutach Pierpont wyłonił się z samochodu, wyciągnął bezradnie ręce i podszedł do ciężarówki.

- Chyba rozładował mi się akumulator. Mielibyście coś przeciwko temu, żebym pojechał z wami do Genny?

- Ależ skąd - odrzekła Genny, uprzedzając Dallasa.

- Mogę spróbować odpalić go od mojego - zaproponował Dallas. - Jacob na pewno miał kable w ciężarówce.

- Niech pan nie robi sobie kłopotu - powiedział Royce. - Musi pan jak najszybciej odwieźć Genny do domu. Zabiorę się później do miasta z Jacobem. Na pewno wpadnie sprawdzić, jak czuje się Genny.

Dallas skrzywił się, ale nie odpowiedział. Trafiał go szlag, ale kolejny raz, ze względu na Genny, zdobył się na uprzejmość.

Genny przespała całą drogę do domu. Kiedy dotarli na miejsce, obudziła się, gdy tylko Dallas wyniósł ją z ciężarówki Jacoba i chłodne powietrze owiało jej twarz.

- Lepiej ci? - Dallas uśmiechnął się do niej.

- Trochę.

- Zaniose cię do środka, położę do łóżka i przygotuję coś na śniadanie. - Zatrzasnął drzwi. - Chcesz, żebym zadzwonił do Jazzy?

- Jeżeli ty ze mną zostaniesz, to ona nie jest mi potrzebna.

Royce wygramolił się z tylnego siedzenia.

- Ja z przyjemnością zostanę z Genny. Pan pewnie musi wracać, żeby pomóc Jacobowi.

- Szeryf chyba nie potrzebuje mojej pomocy. - Dallas nie zwracając uwagi na Royce'a, skierował się w stronę tylnego ganku.

- Wejdz i poczekaj, aż Jacob przyjedzie po swój samochód!  
- krzyknęła do Royce'a Genny.

Dallas jęknął.

- Na pewno niedługo przyjedzie - szepnęła do Dallasa.

- Oby.

Wtuliła się bardziej w ciepłe, męskie ciało Sloana.

- Nie mogę być niegościnna - wymruczała miękko.

Dallas prychnął.

- Jeżeli Jacob nie pojawi się lada chwila, zadzwonię do warsztatu Pilkingtona w mieście, jak tylko otworzą - oznajmił Royce, idąc tuż za nimi. Musiał szybko przebierać nogami, żeby nadażyć za długimi krokami Dallasa. - Muszę przyznać, że przez te zabójstwa sam jestem lekko zdenerwowany.

Dallas wszedł na ganek, otworzył drzwi i wniósł Genny do kuchni. Dосkoczył do nich Drudwyn. Obwąchał Dallasa i polizał Genny w rękę.

- Idź na dwór, staruszku - powiedziała Genny.

Drudwyn ruszył w stronę otwartych drzwi, ale zatrzymał się, kiedy zobaczył Royce'a. Warknął i sierść zjeżyła mu się na grzbiecie.

- Ten pies mnie nie lubi - stwierdził Pierpont. - Warczy na mnie zawsze, kiedy odwiedzam Genny.

- Zachowuj się. - Genny zwróciła uwagę psu. - Royce jest naszym gościem.

Royce zszedł Drudwynowi z drogi, stanął w rogu werandy i nie ruszył się, dopóki pies nie wybiegł do ogrodu. Dopiero wtedy wszedł do kuchni.

Dallas milczał. Przeniósł Genny do jej sypialni. Położył ją na łóżku, wsunął jedną poduszkę pod drugą i pomógł jej oprzeć się wygodnie.

- Nie wstawaj. Odpoczywaj, a ja zrobię ci śniadanie. Na co miałabyś ochotę? - spytał.

- Prawdę mówiąc, nie jestem głodna. Wystarczy mi herbata... albo kawa, jak wolisz.

- Musisz coś zjeść.

- No to niech będzie jedna grzanka.

- Gdybyś czegoś potrzebowała...

- Wszystko mam.

Dallas odwrócił się, żeby wyjść z sypialni i mało brakowało, by wpadł na Royce'a, który stał w progu.

- Niech pan idzie zrobić Genny grzankę i herbatę - powiedział Pierpont. - Ja z nią posiedzę.

- Genny potrzebuje odpoczynku - oświadczył Dallas.

- Nie będę jej przeszkadzał. - Royce spojrział na nią, czekając na jej zgodę. - Co, Genny?

- Oczywiście, że nie - zapewniła, chociaż tak naprawdę chciała, żeby Royce wyszedł. Nie potrzebowała ani nie chciała nikogo poza Dallasem.

- Niech pan idzie - odezwał się Royce. - Zostawia ją pan w dobrych rękach.

Dallas prychnął pod nosem. Genny pomyślała, że pewnie przełknął kilka niezupełnie cenzuralnych uwag.

Gdy tylko Dallas zniknął w korytarzu, Royce wysunął spod toaletki krzesło z rattanowym siedziskiem i postawił je przy łóżku. Opadł na nie i przysunął się bliżej.

- Agent Sloan zachowuje się w stosunku do ciebie dość zaborczo - stwierdził. - Powinienem być zazdrosny?

- Ty i ja jesteśmy przyjaciółmi. Brian i ja jesteśmy przyjaciółmi. A Dallas i ja jesteśmy...

- Więcej niż przyjaciółmi.

- Niezupełnie. Tak naprawdę nie jesteśmy nawet przyjaciółmi, a ja nie jestem pewna, w jakim kierunku potoczy się nasza znajomość. - Genny westchnęła. - Nie będę z tobą rozmawiać o tym, co czuję do Dallasa.

Zanurzyła głowę i ramiona w miękkiej puchowej poduszce. Rozpaczliwie potrzebowała odpoczynku. Miała wrażenie, że byłaby w stanie przespać kilka dni. Ziewnęła. Zamknęły jej się powieki.

- Przeszkadzam ci, prawda? - Royce spojrział tęsknie na Genny.

- Nie, ależ skąd. Ale przecież wiesz, że jestem potwornie zmęczona po takiej wizji albo kiedy wykorzystuję zdolności, które odziedziczyłam po babci. Cały czas musiałam posługiwać się swoim darem, kiedy szukaliśmy Misty.

- Biedaczka.

- Tak niewiele brakowało, żeby ją uratować.

- I schwytać zabójcę.

- On tam był, wiesz? - powiedziała Genny. - Później. Obserwował Jacoba i innych. Obserwował mnie.

- Tak, wiem.

- Jak to, wiesz? - Genny spojrzała Royce'owi w oczy.

- Na pewno wiesz, że moje paranormalne zdolności są bardzo ograniczone. Nie można ich porównać z twoimi - powiedział Royce. - Mówiłem ci, że zawsze miałem nieomylną intuicję, a czasami przeczuwałem pewne zdarzenia. I kilka razy w życiu miałem nieostre wizje. Ale tym razem...

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Genny uniosła się na łóżku.

- Chyba... chyba też miałem wizję. Wcześniej rano, zanim Jerry Lee zwołał grupę do pomocy w poszukiwaniu Misty Harte - wyjaśnił Royce. - Albo był to sugestywny sen albo prawdziwa

wizja. Widziałem cię na otwartej przestrzeni. Byłaś z Jacobem i agentem Sloanem. I widziałem ciemną postać mężczyzny, czającą się wśród drzew. Obserwował... obserwował cię, Genny.

Genny wyciągnęła rękę do Royce'a, który ujął jej dłoń i usiadł na brzegu łóżka.

- Sen... Wizja przeraziła mnie, bo... bo wyczułem, że ten mężczyzna chce cię, Genny. Chce ci zrobić krzywdę.

Łzy napłynęły do oczu Royce'a. Genny zarzuciła mu ręce na szyję i go przytuliła.

- Już dobrze. Nic mi nie jest. Nic mi się nie stanie. Jacob i Dallas mnie pilnują.

Do pokoju wkroczył Dallas z filiżanką gorącej herbaty.

- Do cholery, co tu się dzieje?

Royce zerwał się na równe nogi i na widok Dallasa omal nie zaczął się trząść ze strachu.

- Royce był zmartwiony i pocieszałam go.

- Czym zmartwiony? - spytał Dallas ostrym głosem.

- Od dzieciństwa ma niewielkie zdolności paranormalne - wyjaśniła Genny. - To nas łączy i między innymi z tego powodu się zaprzyjaźniliśmy.

- I? - Dallas spojrział gniewnie na Royce'a, pochylając się, żeby podać Genny herbatę.

Uśmiechnęła się do Dallasa, biorąc od niego kubek.

- Miał nad ranem wizję we śnie. Widział cię zabójcy. Widział też, że zabójca mnie obserwował, kiedy stałam na polu z tobą i Jacobem.

- Wizję we śnie - Dallas prychnął. - Dobrze, że macie ze sobą coś wspólnego.

- Słuchaj, może lepiej pojedę. Zadzwoń i sprawdź, czy jakiś inny warsztat poza Pilkingtonem jest już otwarty. Może wysłaliby kogoś po mnie, zawieźli do auta i jakoś je uruchomili.



- Royce ostrożnie przeszedł przez pokój, uważając, by ani przez chwilę nie znaleźć się w pobliżu Dallasa.

Dallas wsunął dłoń do kieszeni spodni, wyjął komplet kluczyków i rzucił Royce'owi.

- Niech pan weźmie mój samochód i podjedzie do miasta. Auto niech pan zostawi pod Jasmine's i poda kluczyki Jazzy. Później je odbiorę.

- Jasne, dzięki. - Royce ścisnął kluczyki i powoli zbliżał się do drzwi sypialni. - Sam wyjdę. Genny, ty odpoczywaj. Zadzwonię później, żeby sprawdzić, jak się czujesz.

- Nie musisz jechać - zapewniła go Genny. Royce spojrział na Dallasa. Ten zmarszczył brwi.

- Nie, chyba jednak muszę. - Unikając kontaktu wzrokowego z Dallasem, niemal wybiegł z sypialni Genny.

- Przestraszyłeś go - powiedziała Genny. - Nie powinieś w ten sposób peszyć Royce'a.

- Pij herbatę. Bekon się smaży, muszę zrobić jajecznicę.

- Nie zmieniaj tematu.

- Ten facet to oszust. Udaje. Ma takie same zdolności paranormalne jak ja. Wciska ci kity, bo chce ci się dobrać do majątek.

- Dallasie, jesteś zazdrosny. - Genny westchnęła, a po chwili się roześmiała.

- Może i jestem. - Wzruszył ramionami. - Muszę sprawdzić, co z bekonem, bo się przypali.

- Mówisz, że Royce jest oszustem! - krzyknęła, kiedy wychodził. - Mnie też masz za oszustkę?

- Nie, nie mam cię za oszustkę. - Przystanął w drzwiach, odwrócony tyłem. - Zaczynam wierzyć, że może, ale tylko może, ty naprawdę masz paranormalne zdolności.

## Rozdział 17

Zadzwoił telefon komórkowy Dallasa. Zerwał się z krzesła, stojącego w rogu sypialni Genny, w jednej chwili wyciągnął aparat z futerału na pasku i szybko wyszedł z pokoju. Genny zasnęła kilka godzin wcześniej, a on w tym czasie telefonował do Wallace'a, żeby wziął sobie dzień wolny. Nakarmił Drudwyna, posprzątał w kuchni, a później wrócił do jej pokoju i siedział w ciszy, obserwując ją we śnie. Cholernie zadziwiła go to, co czuł do Genny, którą znał zaledwie od paru dni. Był bezgranicznie opiekuńczy. I potwornie zaborczy.

- Sloan, słucham - odezwał się po cichu.

- Wszystko w porządku? - spytała Teri Nash. - Masz dziwny głos.

- Całą noc nie spałem. - Dallas odkasznął. Zamknął drzwi sypialni i przeszedł korytarzem. - Zabójca znów zaatakował. Dziś o świcie. Niewiele brakowało, żeby udało nam się go powstrzymać.

- Mój Boże, chcesz powiedzieć, że wpadliście na to, dokąd zabrał kobietę?

- Tak... Szeryf poszedł za pewnym tropem, który okazał się właściwy.

- Więc jeżeli masz rację, że to ten sam facet, który dokonał morderstw w Mobile, to znaczy, że w Cherokee będą jeszcze dwa zabójstwa, zanim przeniesie się gdzie indziej.

Dallas chrząknął.

- Słuchaj, prawdę mówiąc, nie dzwonię po to, żeby pytać, co u ciebie - powiedziała Teri.

- Linc skończył dla nas profil?

- Jeszcze nie, ale kazał ci powiedzieć, że niedługo powinien być gotowy i na razie może powiedzieć tylko tyle, że morderstwa w Mobile były zorganizowane. - Teri przerwała. - To oznacza, że poziom inteligencji przestępcy prawdopodobnie przekracza średnią, jest on społecznie i seksualnie atrakcyjny.

- To pasuje do wszystkich sześciu facetów z naszej listy podejrzanych.

- Skoro już o tym mowa, sprawdzam nazwiska z listy, którą mi wysłałeś. Dopiero zaczęłam, więc na razie zebrałam tylko informacje na temat ich miejsca pobytu w ciągu ostatniego roku, od czasu pierwszego morderstwa w Mobile.

- I co? - Dallas zacisnął zęby i przygotował się na to, co miała do powiedzenia Teri.

- Posłuchaj. Dwóch mężczyzn w ciągu zeszłego roku nie zbliżało się do Mobile. Nie ma żadnych danych, które wskazywałyby, że Brian MacKinnon wybierał się do Mobile lub innego miejsca w odległości pięciuset kilometrów od Mobile w czasie, kiedy doszło do zabójstwa. A doktor MacNair przez dwa lata mieszkał i pracował w Bowling Green w Kentucky. Potem przeniósł się do Cherokee Pointe. W tym czasie nie miał urlopu.

- Dobra, w takim razie MacKinnona i doktora można skreślić. A co z pozostałą czwórką?

- Ciężko w to uwierzyć, ale kiedy doszło do morderstw, wszyscy czterej mieszkali w niedalekiej odległości od Mobile.

- Wszyscy czterej?

- Tak. Dillon Carson w zeszłym roku pracował w małej grupie teatralnej w Pascagoula, w Mississipi, które leży rzut beretem od Mobile.

- Czy Carson był w przeszłości notowany?

- Był kilka razy aresztowany - powiedziała Teri. - Bez wyroku. Głównie za drobne wykroczenia. Prowadzenie po spożyciu alkoholu, stawianie oporu przy aresztowaniu,

oskarżenie o kradzież w sklepie, które wycofano. I oskarżenie o napad. Ale kobieta, która zgłosiła pobicie, zmieniła zdanie i wycofała zarzuty.

- To wszystko na temat Carsona?

- Na razie nic więcej nie mam.

- Kto następny? - spytał Dallas.

- Royce Pierpont pracował w sklepie z antykami w Pass Christian, na wybrzeżu Mississippi. Stamtąd do Mobile niedaleko.

A jego przeszłość? - Z własnych, perwersyjnych powodów, Dallas miał nadzieję, że kartoteka policyjna Pierponta pęka w szwach.

- Jest czysty jak łąza. Nie dostał nawet mandatu za przekroczenie prędkości.

- Tak przypuszczałem.

- Domyślam się, że go poznałeś?

- Dziś rano poznałem wszystkich sześciu. Przyłączyli się do grupy poszukiwawczej utworzonej przez burmistrza Cherokee Pointe.

- Mąż drugiej ofiary skrzyknął własną małą grupę obrońców sprawiedliwości?

- Na szczęście łatwo było nad nimi zapanować, więc nie doszło do żadnej rozróby.

- Dobra, następny podejrzany. Wielebny Haden Stowe. Wygląda na to, że prowadził Kościół kongregacyjny w Atmore w Alabamie. Z Atmore do Mobile jest niedaleko, sześćdziesiątkapiątka.

- Domyślam się, że ksiądz nie był notowany?

- Ani razu.

- A Jamie Upton?

- Rodzina Uptonów posiada dom letniskowy w rejonie Gulf Shores. Mieszkał tam z przyjaciółką w zeszłym roku, kiedy

popelniono pięć morderstw w Mobile. Gulf Shores to praktycznie przedmieścia Mobile. - Teri zamilkła na chwilę. - Zanim zapytasz... Jamie Upton nigdy nie był skazany, ale kilka razy go aresztowano. Prowadzenie po pijanemu, narkotyki, bijatyki. Parę razy był oskarżony o gwałt, ale zarzuty wycofano. Wygląda na to, że wyszedł z opresji dzięki pieniądzom rodziny.

- Upton i Carson są chyba na samej górze listy podejrzanych, ale równie dobrze zabójcą może się okazać któryś z pozostałej czwórki. Żadnego z nich nie można wykreślić. - Dallas skupił się na nowych informacjach na temat czterech mężczyzn. Starał się zapamiętać wszystko, co Teri powiedziała na ich temat.

- Wszyscy mogą być niewinni - przypomniała mu Teri.

- Wiem. - Dallas nie chciał nawet myśleć, że mogli być znów w punkcie wyjścia, ale miał świadomość, że istniała taka możliwość.

- Zacznę kopać głębiej, jak tylko będę mogła. Cofnę się o trzy lata do Hilton Head i sprawdzę, czy któryś z tych facetów był w okolicy w czasie, kiedy tam popełniono morderstwa.

- Nie wiem, jak ci się odwdzięczę za wszystko, co dla mnie robisz - powiedział Dallas.

- Chet Morris dzwonił do Rutherforda. Dobrze się spisałeś, namawiając szeryfa Butlera, żeby zwrócił się o pomoc. A teraz, po trzecim morderstwie, Rutherford na pewno zgodzi się przydzielić agentów do grupy zadaniowej szeryfa.

- Rutherford nie chciał dostrzec tego, co miał pod samym nosem, bo mnie nie lubi. Nigdy nie lubił. Ale muszę przyznać, że mimo niechęci do mnie, zachował się przyzwoicie, pozwalając mi nagiąć zasady.

- Nigdy mu tego nie mów. - Teri zachichotała. - Jest dobrym fachowcem, ale potrafi być wredny i wszyscy o tym wiemy.

- Słuchaj, chciałem powiedzieć to najpierw tobie, zanim zadzwonię do Rutherforda... Mam zamiar wziąć urlop bezpłatny. Wykorzystałem już cały urlop wypoczynkowy.

- Rozumiem. Sądysz, że jesteś na tropie zabójcy Brooke. Robisz to, co musisz zrobić.

- Poproś Linca, żeby przygotował ten profil najszybciej, jak będzie mógł. Gdybyśmy byli w stanie ograniczyć listę podejrzanych do jednego... - Dallas sapnął głośno. - Cholera, tak niewiele brakowało, żebyśmy złapali tego faceta. Gdybyśmy dotarli tam pół godziny wcześniej, może udałoby się uratować życie kobiety i schwytać potwora. A tak? Nie mamy żadnych dowodów, więc Butler nie ma nawet podstaw, żeby przesłuchać podejrzanych, nie mówiąc już o przeszukaniu ich samochodów i domów. Poza tym, trzeba postępować tak, żeby nie spłoszyć zabójcy.

- Skąd szeryf miał informację o miejscu zbrodni? Jeżeli ma jakieś źródło, kogoś, kto...

- Nie uwierzysz, jak ci powiem.

- Może uwierzę. Spróbuj.

Dallas wziął głęboki oddech.

- Butlerowi pomaga wróżka. Pracowała już wcześniej dla tutejszego biura szeryfa i dla policji, ale nigdy nie uczestniczyła w tropieniu seryjnego zabójcy.

- Chyba żartujesz. Wróżka? Cholera, Dallas, wydawało mi się, że takich ludzi uważasz za naciągaczy.

- Tak mi się wydawało, aż do... Genny jest inna.

- Genny?

Do diabła, powiedział za dużo. Teri nie da mu spokoju.

- Genevieve Madoc. Jest kuzynką Butlera. Wszyscy, którzy znają ją całe życie, przysięgają, że ma zdolności paranormalne.

- A ty w to wierzysz?

- Nie jestem pewien. - Dlaczego okłamuje Teri? A może po prostu okłamuje siebie? - Genny naprawdę ma w sobie coś wyjątkowego. Cholera, może naprawdę jest jasnowidzem?

- Cuda i dziwy.

Dallas nie mógł znieść rozbawienia w głosie Teri. Niezłe się bawiła jego kosztem.

- Ładna jest? - spytała.

- A co to ma wspólnego z...

- Więcej niż ładna. Jest piękna, ta kobieta o imieniu Genevieve, która twoim zdaniem naprawdę może być wróżką.

- Nie myślisz tak.

- Oj, owszem, przyjacielu, właśnie tak myślę. Przepadłeś i straciłeś głowę dla kobiety, która twierdzi, że jest wróżką.

- Dla nikogo nie straciłem głowy.

- Skoro tak twierdzisz.

- Zmieniamy temat - oznajmił Dallas.

- Nie ma sprawy. Słuchaj, zobaczę, czy uda mi się zmobilizować Linca, żeby przez noc popracował nad profilem. I zacznę przeszukiwać informacje na temat twoich czterech podejrzanych. Cofnę się do czasu morderstw z Hilton Head.

- Dzięki, Teri.

- Uważaj na siebie.

- Ty też.

Dallas wsunął telefon komórkowy do futerału i przeszedł korytarzem. Przystanął przed wejściem do pokoju Genny, otworzył drzwi i spojrzał na nią. Jeszcze spała.

Stał tak, wpatrując się w nią przez kilka minut. Przyznaj się, powiedział sam do siebie. Straciłeś głowę dla Genny. Jesteś zdezorientowany i zakłopotany. Tak dałeś się wciągnąć w życie Genny, w jej nadprzyrodzone zdolności i w swoje pragnienie, że nie wiesz, co się z tobą dzieje. Przyjechałeś do Cherokee Pointe

szukać zabójcy Brooke, a niepostrzeżenie główną bohaterką wydarzeń stała się Genny.

W umyśle Dallasa pojawiła się dziwna myśl. Nie mógł się od niej uwolnić. Wydawało mu się, że los pchnął go do hrabstwa Cherokee tylko dlatego, że jest tu Genny, która potrzebuje jego ochrony.

Wszystkie trzy telewizory w Jasmine's nadawały program lokalnej stacji WMMK. Właśnie podawano południowe wiadomości, ale wcześniej wciąż przerywano ramówkę, żeby na bieżąco przekazywać informacje na temat morderstw w hrabstwie Cherokee. Wszyscy klienci, którzy pojawili się od śniadania, nie rozmawiali o niczym innym.

Jazzy, której ubyła jedna kelnerka, wzięła na siebie obowiązki gospodyni na czas obiadu. Pozostałe kelnerki były zszokowane brutalną śmiercią Misty. Sandie pojechała do domu, bo była w stanie bliskim hysterii. Jazzy liczyła się z tym, że w razie potrzeby sama będzie musiała sobie poradzić.

Kiedy w porannym serwisie informacyjnym usłyszała, że w znalezieniu ciała Misty Harte pomogła miejscowa wróżka, Genevieve Madoc, wiedziała, że Genny musiała posłużyć się swoimi zdolnościami i na pewno jest skrajnie wyczerpana. Jazzy dzwoniła dwa razy, żeby sprawdzić, jak czuje się Genny i za każdym razem Dallas zapewniał ją, że teraz śpi. Właściwie sama nie wiedziała dlaczego, ale była pewna, że Dallas należycie zatroszczy się o jej przyjaciółkę. Ton jego głosu mówił dobitniej niż słowa, ile znaczy dla niego Genny.

Kiedy zbierała brudne naczynia ze stołu, usłyszała zapowiedź wywiadu z szeryfem Butlerem. Jej wzrok powędrował do najbliższego odbiornika telewizyjnego - pokazywano Jacoba na miejscu zbrodni. Dziennikarz, Matt Newton, podstawił mikrofon pod sam nos szeryfa. Dobry Boże, pomyślała Jazzy,



chyba chce zarobić. Gdyby wiedział, jak niebezpiecznie jest machać płachtą przed rozwścieczonym bykiem, trzymałby się od Jacoba z daleka.

- Szeryfie, jak skomentuje pan fakt, że nie udało się wam uratować życia Misty Harte? Dlaczego po trzech bestialskich morderstwach w okręgu, nie ma pan ani jednego podejrzanego?

Jacob spojrział gniewnie na Newtona, ale nie odpowiedział.

- Rozumiem, że trzecia ofiara, Misty Harte, była nie tylko siostrą pana pracownika, Bobby'ego Joe Harte'a, ale także pana łączącą z nią osobista więź - ciągnął Newton, nic sobie nie robiąc ze złowrogiego spojrzenia Jacoba. - Czy to prawda? Czy pan i Misty byliście kochankami?

Jacob zostawił dziennikarza. Idiota poszedł za nim i najwyraźniej nie miał zamiaru zostawić go w spokoju.

- Szeryfie, poczciwi mieszkańcy hrabstwa Cherokee, którzy pana wybrali, chcą znać odpowiedzi. Jeżeli nie odpowie pan na moje pytania, pomyślą, że ma pan coś do ukrycia. - Newton niemal biegł, żeby dotrzymać kroku Jacobowi, który zmierzał w kierunku swojego samochodu zaparkowanego przy drodze.

Jazzy wstrzymała oddech, wiedząc, co się zaraz stanie. Wiedziała też doskonale, że to Brian MacKinnon przykazał Mattowi Newtonowi, żeby nie miał dla szeryfa litości.

Jacob zatrzymał się przy samochodzie, ale nie odwrócił się do Newtona. Zrobił to dopiero, kiedy usłyszał kolejne pytanie.

- Szeryfie, jak czuje się człowiek, który zobaczył swoją kochankę rozplataną na pół niczym filet rybny?

Jasny gwint!

Jazzy utkwiała wzrok w ekranie telewizora. Jacob Butler w mgnieniu oka zamierzył się i z całej siły uderzył Matta Newtona w twarz. Mikrofon dziennikarza poszybował w powietrze, a potem wylądował obok Newtona, który z potężnym hukiem upadł na ziemię.

Kamerzysta najwidoczniej w tym momencie uciekł, bo wywiad z szeryfem nagle się urwał.

- Nasz szeryf słynie z krewkiego usposobienia - skomentował prezenter południowego wydania wiadomości. - Po obejrzeniu tego incydentu ośmieliłbym się powiedzieć, że temperament wziął górę nad powagą stanowiska szeryfa. Moim zdaniem, Butlerowi powinny zostać przedstawione zarzuty.

- Butler powinien dostać nagrodę za to, że nie zabił tego idioty - skwitował Caleb McCord.

Jazzy podskoczyła i westchnęła, słysząc głos Caleba, bo nie zauważyła, że do niej podszedł.

- Cholera, mogłeś dać mi znać, że jesteś. Przez ciebie mało nie zsikałam się ze strachu.

- Oj, to lubię. Kobieta, która używa mocnych słów.

- McCord, złóż to na karb przerażenia.

- Wydawało mi się, że wiadomości cię zahipnotyzowały.

- Zahipnotyzowały całe miasto - powiedziała Jazzy, kończąc sprzątać stół. Uniosła prostokątną metalową tacę pełną brudnych naczyń. - W ciągu kilku dni doszło do trzech morderstw. Ludzie są przerażeni i zdezorientowani. Na dodatek, miejscowa telewizja, radio i prasa kpią z Jacoba. A on przecież robi, co może. Jak nikt inny pracuje nad tym, żeby znaleźć i powstrzymać zabójcę.

- Mam wrażenie, że ty i szeryf jesteście dobrymi przyjaciółmi.

- Jesteśmy cholernie dobrymi przyjaciółmi. - Jazzy oparła tacę na biodrze. - Nigdzie nie znajdziesz porządniejszego mężczyzny.

- Kochanka? - spytał Caleb.

- Nie twoja sprawa. - Jazzy minęła go i skierowała się do kuchni.

Pchnęła biodrem wahadłowe drzwi i weszła do środka, jednak drzwi się nie zamknęły. Obejrzała się przez ramię i spostrzegła, że Caleb stoi za nią. Odstawiła tacę z brudnymi naczyniami na ladę, odwróciła się, ujęła pod boki i spojrzała na niego gniewnie.

- Co? - spytała.

- Chyba byliśmy umówieni na randkę w południe?

- Na randkę? Nie, nie wydaje mi się. - Urwała kawałek ręcznika toaletowego z wieszaka na ścianie, wytarła ręce i wyrzuciła papier do kosza. - Zaproponowałam ci pracę i do południa dałam ci czas na decyzję.

- Aha, więc to tylko interesy, co?

- Tylko i wyłącznie. - Nie miała zamiaru ulec urokowi tego faceta. Odebrała twardą szkołę od Jamiego Uptona.

- Biorę tę pracę - oznajmił.

- Nie znając żadnych szczegółów? Godziny pracy, pensja, premie...

- Nie mam pracy. Muszę z czegoś płacić rachunki. Proponujesz mi to, czego potrzebuję. Godziny pracy nie są dla mnie ważne. Domyślam się, że płacisz przynajmniej pensję minimalną, a premie będą po prostu miłą niespodzianką.

- Jak długo będę mogła na ciebie liczyć?

- Zależy.

- Od czego?

- Od tego, jak mi się spodoba w Cherokee Pointe.

- Więc powinniśmy pomyśleć o umowie na czas określony.

Zgoda?

Skinał głową.

- No to jak, szefowo, mam pracę?

- Przyjmę cię na okres próbny, zaczynając od dzisiaj. Przyjdź na piątą, żeby wypełnić dokumenty. Kolacje masz gratis.

W tygodniu będziesz pracował od szóstej do północy, a w piątki i soboty, od szóstej do drugiej w nocy. Niedziele masz wolne.

- Domyślam się, że stanowy zakaz obowiązuje też w hrabstwie Cherokee?

- Zgadza się. W niedziele nie sprzedajemy alkoholu.

- Coś jeszcze powinienem wiedzieć? - spytał Caleb.

- Nic mi nie przychodzi do głowy, ale jeżeli będziesz miał jakieś pytania, zwróć się do Lacy.

- Lacy to barmanka, zgadza się?

Jazzy skinęła głową.

Caleb uśmiechnął się szeroko.

- To wszystko. Możesz iść - powiedziała. - Skończyliśmy.

- I tu się mylisz. - Caleb uśmiechnął się jeszcze szerzej. Pochylił się nad nią tak, by ich ciała się nie dotykały, i oparł obie dłonie o ścianę. - Ty i ja, panno Jasmine, dopiero zaczynamy.

Od jego bliskości zaparło jej dech. Zanim odzyskała głos, Caleb puścił do niej oko i wyszedł z kuchni.

Odetchnęła z ulgą. Cholera, ten facet jest śmiertelnie niebezpieczny, nawet w małych dawkach. Miała chęć pobiec za nim i powiedzieć, że jednak zmieniła zdanie na temat posady w Jazzy's. Ale nie zrobiła tego. Potrzebowała ochroniarza. Caleb potrzebował pracy. Nie ulegało wątpliwości, że wczoraj po mistrzowsku poradził sobie z Jamiem Uptonem. Jak widać, nie daje się zbić z tropu, a to bardzo przydatna cecha u ochroniarza w pubie. Więc da mu szansę i zobaczy, co dalej.

Kto wie, może on ma rację. Może między nimi wszystko dopiero się zaczyna.

Dillon Carson zjawił się w kościele kongregacyjnym dokładnie o wpół do trzeciej, bo na tę godzinę Esther Stowe wyznaczyła spotkanie.

- Podejdz do bocznych drzwi - powiedziala. - Zostawie je dla ciebie otwarte. Pamietaj, zeby je zamknac od srodka, jak wejdiesz. Bede czekala w prezbiterium.

Dillon od jakiegoz czasu interesowal sie zona duchownego, a sadzac po ukradkowych spojrzeniach, ktore przez ostatni miesiac rzucala mu przy kazdej okazji, przypuszczal, ze wkrótce bedzie jego. Nie byl wiecej zaskoczony, kiedy zadzwonila poprzedniego dnia, zeby umowic sie na popoludniowa randke. Nie spodziewal sie jednak, ze bedzie chciala spotkac sie w kościele.

Byl zadowolony, ze zdazył sie zdrzemnac. Prawie cala noc byl na nogach. Wrocil do mieszkania o dziesiatej rano, wzial prysznic, ogolil sie i ledwie zywy padl na lozko. Obudzil sie o pierwszej, akurat, zeby zdazyć cos zjesc i przygotowac sie na randke z Esther. Kochana, fascynujaca Esther.

Kiedy szedl korytarzem do prezbiterium, zastanawial sie, czy naprawde bedzie chciala, zeby zrobili to wlasnie tam, na jednej z czerwonych aksamitnych lawek a moze nawet na podlodze ambony, z ktorej jej maz co niedziele wyglaszal plomienne kazania. Ta mysl go podniecala. Lubil perwersje. Wlasciwie lubil seks w kazdej formie. Przez chwile probowal nawet sadomasochizmu i podobalo mu sie, pod warunkiem, ze to on trzymal bicz. Ale jezeli Esther lubi ostrą jazde, mógł sie zalozyć, ze to ona bedzie chciala zadawac ból.

Kiedy dotarl do prezbiterium, stwierdzil, ze jest puste. Co, u diabla? Gdzie ona jest?

- Esther?

Swiatla nagle zgasly i pomieszczenie utonelo w polmroku. Dillon z trudem przelknal sline. W co ona gra?

Nagle zaswiecily sie lampki nad chrzcielnica i jednoczesnie rozsunely sie aksamitne kotary. Woda tryskala niczym fontanna, a z chrzcielnicy, niby Afrodyta, wynurzyla sie Esther

Stowe i wyciągnęła ramiona. Oniemiały Dillon przyglądał się, jak naga wychodzi na czerwony dywan za amboną. Roześmiała się rubasznie, pokręciła głową i odgarnęła z twarzy długie, mokre kosmyki w kolorze platynowego blond, rozpryskując wokół siebie krople wody.

Dobry Boże, jaka ona jest piękna. Ponętna. Duże, kragłe piersi z twardymi brodawkami. Długie, zgrabne nogi. Szczupła talia. Obserwował każdy jej ruch, podniecony do granic jej zmysłowości. Wyciągnęła ręce i przywołała go. Jego członek nabrzmiął i pulsował.

- Och, skarbie, dam ci to, o co prosisz. - Zbliżając się do niej, zauważył, że wzgórek łonowy miała dokładnie wygolony, a tuż nad nim lśnił czarny tatuaż. Nie mógł oderwać od niego oczu.

Podążając za jego wzrokiem, spojrzała w dół na tatuaż.

- Nie poznajesz pieczęci Zefira? - Dotknęła się czubkiem środkowego palca. - Zefir, jeden z wielkich duchów firmamentu, wznieca w kobiecie miłość do mężczyzny. Ma moc nadać kobiecie każdą postać, żeby sprawić przyjemność jej kochankowi.

- Twoja obecna postać jest dla mnie wystarczająco przyjemna - odparł Dillon, sparaliżowany widokiem małego tatuażu.

Po kilku sekundach wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie. Jej szerokie wargi rozchyliły się i zaczęła lizać go od brody do ucha. Sięgnęła po jego dłoń i wsadziła ją sobie między nogi.

- Chcę, żeby nasz pierwszy raz był bardzo szybki i bardzo mocny - oznajmiła. - I chcę tego teraz!

Wsunął w nią dwa palce i zorientował się, że cała jest wilgotna. Była gotowa, więcej niż gotowa. Była gorąca, wilgotna i zdyszana.

Kiedy rozpięła mu rozporek, stał nieruchomo i pozwalał, żeby wszystkim zajmowała się sama. Po kilku minutach uwolniła jego członek i poprowadziła go w stronę jednego z wielkich, złożonych foteli na podium z amboną. Posadziła go na czerwonym aksamitnym siedzisku i dosiadła go. Przyjęła dogodną pozycję i nasunęła się na niego jednym płynnym ruchem, umieszczając jego męskość tak głęboko, jak to możliwe.

Cholera, była taka gorąca, taka ciasna i... Ugryzła go w szyję, przesunęła palcami po jego koszuli, urywając po drodze kilka guzików.

Chwycił ją za biodra i przejął kontrolę nad jej ruchami. Jej ciasne, wilgotne ciało doprowadzało go do granic wytrzymałości. Był już dalej niż w połowie drogi, choć trwało to ledwie kilka minut.

Dyszząc i jęcząc, ujeżdżała go z odchyłoną głową. Świat zacisnął się wokół nich. Nic nie widział. Nie mógł myśleć. Był w stanie jedynie czuć.

Orgazm wstrząsnął nim intensywnie. Kiedy jęknął z rozkoszy, Esther oszalała. Chwyciła go za ramiona i ujeżdżała jak szalona. Krzyknęła, kiedy doszła, a później opadła na niego bezwładnie. Siedząc pod nią, słyszał łomot własnego serca. Ujął jej twarz jedną dłonią i pocałował, zanurzając język w jej ustach.

Nabrała powietrza i uśmiechnęła się szelmowsko.

- Wiedziałam, że będziesz w tym dobry. Wystarczy, że spojrzę na faceta i już wiem.

- Dobry był, co, kochanie? - odezwał się wielebny Stowe.

Dillon przełknął ślinę. Jasna cholera, kiedy zdążył wejść mąż Esther? Do diabła, powinien był przewidzieć, że pieprzenie się w kościele może wpędzić ich w kłopoty.

Dillon spróbował uwolnić się od Esther, ale ona zarzuciła mu ręce na szyję i się roześmiała.

- Nie denerwuj się. Nic się nie stało.

- Jak to? Właśnie wszedł twój mąż i przyłapał nas...

- Nie wszedł - odpowiedziała Esther. - Cały czas nas obserwował. - Obejrzała się dyskretnie przez ramię, wyciągnęła rękę i poruszyła palcami. - Chodź tu, skarbie, i powiedz Dillonowi, jak lubisz się przyglądać, kiedy inni mężczyźni pieprzą twoją żonę.

## Rozdział 18

Genny wybudziła się z drzemki, przeciągnęła leniwie i usiadła na łóżku. Pokój pogrążony był w chłodnym, szarym mroku, bo przez okna przedostawało się niewiele światła. Nie musiała nawet spoglądać na zegar na nocnej szafce, żeby wiedzieć, że jest późne popołudnie, pewnie po czwartej. Widocznie przespała cały dzień, ale odpoczynek postawił ją na nogi. Ostatnia rzecz, jaką pamiętała, to niewyraźny widok Dallasa, siedzącego na krześle w rogu pokoju. Obserwował ją. Pilnował jej. Ale już go nie było. Pokój był pusty. Nawet Drudwyna nigdzie nie było widać. Dopiero kiedy wstała z łóżka i postawiła stopy na zimnej podłodze, zorientowała się, że jest bosa. Jej buty stały równo w nogach łóżka. Założyła je.



Ciekawe, gdzie jest Dallas. Wiedziała, że na pewno nie zostawił jej samej, bo miał zbyt silny instynkt opiekuńczy. Kiedy otworzyła drzwi sypialni i wyszła na korytarz, usłyszała głosy dochodzące z kuchni. Kobięce głosy. Klótnie. Boże, to Sally i Ludie.

Ruszyła szybko w stronę kuchni, ale przystanęła w progu, bo zrozumiała, że żadna z kobiet nie była świadoma jej obecności.

- Jak nie wstanie do piątej, to ją obudzimy - powiedziała Sally. - Musi coś zjeść. Dallas powiedział, że prawie nie ruszyła śniadania. I tak jest chuda. Porwałby ją silniejszy podmuch wiatru.

- Dajmy jej pospać. Obudzi się, jak się wyśpi. Dallas powiedział, że biedulka była wyczerpana do granic.

- Przecież wiesz, że zawsze tak ma, jak używa swoich czarodziejskich sztuczek. Melva Mae miała tak samo. - Sally zaczęła nakrywać do kuchennego stołu, nie zwracając najmniejszej uwagi na Ludie. - O piątej ją dobudzę, żebyśmy zjedli wszyscy razem, zanim Dallas wróci do miasta.

- Zdolności Genny to nie żadne czarodziejskie sztuczki i dobrze o tym wiesz - poprawiła ją Ludie. - To dziecko to sama dobroć.

- Myślisz, że o tym nie wiem. - Twarz Sally stężała. Spojrzała gniewnie na najlepszą przyjaciółkę. - Genny uprawia białą magię, tak samo jak Melva Mae.

- Jesteś starą wariatką - powiedziała Ludie cicho, jednak na tyle głośno, żeby można ją było bez trudu usłyszeć.

- Kogo nazywasz wariatką?

- Ciebie - odparowała Ludie. - Melva Mae miała dar widzenia, tak samo jak obie jej babki. Wiedziała, co się stanie, zanim to się wydarzyło, i miała wizje. Potrafiła znaleźć

zagubione rzeczy i umiała rozmawiać ze zwierzakami z lasu, z psami i kotami.

- Tak, i umiała też rozmawiać z ludźmi, nie wypowiadając słowa. Potrafiła czytać w myślach. - Sally wsparła wielkie, kościste dłonie na biodrach. - Ja to nazywam magią. A że Melva Mae nigdy nie wykorzystywała magii przeciwko ludziom, więc to biała magia.

- To nie była żadna magia. To był dar od Boga. Przecież wiesz, że Melva Mae była bogobojną kobietą.

- A czy ja twierdzę, że nie?

- Powiedziałaś...

Genny odkaszlnęła. Sally i Ludie, przestraszone, zamilkły w jednej chwili i odwróciły się do niej.

- A czemu ty już wstałaś? - spytała Ludie.

- Wstała, bo już się naodpoczywała - skwitowała Sally. - Chyba widzisz? No i kto jest starą wariatką?

- Czuję się o wiele lepiej - zapewniła Genny. - Chyba przespałam cały dzień, co?

- Prawie cały - powiedziała Sally.

- Jak długo tu jesteście? - chciała wiedzieć Genny.

- Od południa. Doktor Swain zatrzymał psy na noc. Mówi, że będą zdrowe jak ryba. Nie nawdychały się aż tyle tego cholernego gazu, żeby wywołał trwałe uszkodzenia. Kiedy Jacob wpadł i powiedział, że jedzie w góry sprawdzić, co z tobą, zabrałam się z nim.

- A ja przyjechałam, jak usłyszałam w telewizji, co się stało dziś rano. Że zabójca zamordował Misty i że pomagałaś policji - powiedziała Ludie. - Byłam tu z godzinę przed Sally. - Spojrzała na piec. - Ugotowałam naprawdę dobrą kolację. Pieczony kurczak, zielony groszek, gniecione ziemniaki, jajka na ostro, chleb kukurydziany, a na deser ciasto ze słodkich ziemniaków.

- Pachnie smakowicie. - Genny spojrzała na stół nakryty dla czterech osób. - Gdzie Dallas?

Ludie się uśmiechnęła. Jej policzki zaokrągliły się, a łagodne zmarszczki na delikatnej twarzy stały się głębsze.

- Poszedł się przejść. Powiedział, że musi oczyścić umysł.

- Lata koło ciebie jak truteń koło królowej matki - stwierdziła Sally. - Dziecko, on się o ciebie zamartwia.

- Wiecie, w którą stronę poszedł? - Genny ruszyła w stronę tylnych drzwi.

- Kawalek przed siebie. - Sally podeszła do Genny i położyła dłoń na jej ramieniu. - Nie biegaj za nim. Niedługo wróci.

Ludie uniosła pokrywę garnka z gotującymi się ziemniakami i odłożyła ją zamasyście, robiąc mnóstwo hałasu.

- Trochę świeżego powietrza i ruchu chyba dobrze by ci zrobiło. Drudwyn jest na dworze. Weź go ze sobą na spacer. Dallas poszedł na zachód. Powiedz mu, że kolacja jeszcze nie jest gotowa.

Sally sapnęła i spojrzała groźnie na Ludie.

- Niedługo wracam. - Genny otworzyła tylne drzwi. - Zabiorę Drudwyna dla bezpieczeństwa.

Kiedy wkładała kurtkę i szła na ganek, a potem do ogródka, słyszała, jak Sally i Ludie ciągną niekończącą się sprzeczkę. Wiele razy z Jazzy śmiały się ze specyficznej przyjaźni staruszek. Każdy, kto ich nie zna, stwierdziłby, że wcale się nie lubią.

Drudwyn przybiegł, gdy tylko wyczuł obecność Genny. Przykłęka, żeby przytulić go czule, a później po cichu kazała iść za sobą.

Kiedy zeszli po schodach prowadzących w dół zbocza, Genny skierowała się na zachód. Przed nią, na długości około dwóch kilometrów, ciągnęła się dość prosta droga. Słońce

szybko zachodziło i wieczorne powietrze zrobiło się chłodne. Genny wyjęła z kieszeni kurtki czapkę oraz rękawiczki i założyła je. Przeszli z Drudwynem około pół kilometra i wpadli na Dallasa, który szedł w stronę domu. Kiedy dzielili ich odległość dobrych dziesięciu metrów, przystanął i spojrzał na nią. Uniosła dłoń i skinęła. Odwzajemnił powitanie. Zbliżali się do siebie z początku zwykłym krokiem, później coraz szybszym, aż w końcu prawie biegli. Dallas chwycił ją za ramiona. Z jej ust wydostawała się para. Uniosła głowę, spojrzała na Dallasa i się uśmiechnęła.

- Co robisz na dworze? - spytał.

- Przyszłam ci powiedzieć, że kolacja będzie niedługo gotowa.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Nie jesteś osłabiona?

Pokręciła głową.

Dallas zsunął lewą dłoń po jej ramieniu i chwycił ją za nadgarstek. Prawą dłoń unióś ku jej głowie i zanurzył palce w jej włosach, przesuwając na bok czapkę.

- Nie masz pojęcia, jak się martwiłem.

- Przykro mi.

- A mnie przykro, że musiałaś przechodzić przez...

Położyła mu palec na ustach.

- Dziękuję, że tak się o mnie zatroszczyłeś.

- Genny...

W jego oczach dostrzegła coś niezwykłego. Pierwotnego. Zaborczego. Odwieczne pragnienie. Chciał jej - w najprostszy sposób, w jaki mężczyzna może pragnąć kobiety. Ten rodzaj pragnienia rozumiał. Ale wiedziała, że nie miał pojęcia o większym pragnieniu, które zawładnęło jego zmysłami. O namiętności duszy. O pragnieniu wiecznej więzi uczuciowej.

Czekała, wiedząc, co się stanie. Chciała tego. Potrzebowała. Równie mocno, jak on.

Jego wargi spoczęły na jej ustach, kiedy zamknął ją w mocnym uścisku. Zachłanność i zaborczość pocałunku złagodziła czułość, jaką jej okazywał. Zareagowała z taką samą pasją.

Pocałunek trwał i trwał, a kiedy przerwali, żeby nabrać powietrza, przesunął wargi na jej policzek, a potem do ucha, wzdłuż karku, do szyi. Przywarła piersiami do jego torsu, nogami do jego nóg. I wtedy znów ją pocałował. Mocniej. Namiętniej.

*Kocham cię*, powiedziała telepatycznie Genny, wiedząc, że nie jest gotowy, żeby usłyszeć te słowa.

Drudwyn zaskomlał. Dallas powoli zakończył pocałunek i uniósł głowę. Genny westchnęła.

- Co ci jest, nasza przyzwoitko? - Dallas spojrzał na wilczura.

Genny się roześmiała.

- Chyba jest głodny. Wie, że Ludie upiekła na kolację kurczaka.

- To może lepiej wracajmy do domu. - Dallas objął ją w talii.

- Nie zostaniesz u mnie na noc, co? - spytała, kiedy odwrócili się w stronę domu.

- Sally ma zamiar z tobą zostać - odpowiedział Dallas. - A kiedy Ludie się dowiedziała, stwierdziła, że ona też zostanie.

Genny wyciągnęła drobną rękę i ujęła wielką dłoń Dallasa.

- Mam pomysł, jak mogę ci pomóc znaleźć zabójcę. Jutro pojedę do miasta i...

- Co ci przyszło do głowy? - Dallas zwolnił kroku i ukrył jej dłoń w swojej.

- Mogę jeszcze raz spróbować połączyć się z umysłem zabójcy. Dzisiaj rano przez kilka chwil mi się to udało.

- Cholera, nie! - Dallas przystanął na środku drogi. - To dla ciebie zbyt niebezpieczne, nie sądzisz?

Nie mogła skłamać mu prosto w oczy. Wpatrywała się w drogę przed nimi.

- Istnieje jakieś niebezpieczeństwo, ale przecież będziesz przy mnie. I Jacob też. Jeżeli zanurzyłabym się za głęboko, będzie miał kto mnie wyciągnąć. W razie czego mi pomożesz.

- Nie ma mowy. - Ścisnęła jej rękę i znów zaczął iść. Musiała szybko przebierać nogami, żeby za nim nadążyć.

- Nie złość się na mnie. Chcę tylko pomóc... tobie i Jacobowi. Ten potwór zamordował już tyle kobiet...

- Znajdziemy go. - Dallas zwolnił kroku. - Ale zrobimy to tak, żeby nie narażać twojego życia.

Wiedziała dobrze, że w tej chwili nie było sensu się z nim kłócić. Ale nie miała żadnych wątpliwości, co powinna zrobić, żeby powstrzymać zabójcę. Jeżeli jeszcze raz zdoła się połączyć z umysłem mordercy, może uda jej się poznać jego tożsamość.

Siedział skulony na swoim fotelu przy kominku i z zadowoleniem przypominał sobie niedawne wydarzenia. Oglądał na okrągło serwisy informacyjne, które przez cały dzień do znudzenia nadawała WMMK. Stał się dość sławny w Cherokee Pointe i wszystkich zbił z tropu. Nad sprawą głowił się każdy głupi policjant.

Obliznął wargi. Ach, krew Misty Harte była przepyszna. I wzmacniająca. A nieoczekiwane połączenie telepatyczne z Genny Madoc było ekscytujące. Nie wiedział, z czego cieszyć się bardziej - z tego, że zaspokoi seksualne potrzeby z czwartą ofiarą, czy z tego, że będzie bawił się w gry myślowe z Genny. On sam nie był w stanie zajrzeć do jej umysłu, bo nie ma takich

zdolności. Będzie musiał czekać, aż ona doprowadzi do następnego kontaktu, tak jak dzisiaj rano. Ale kiedy już się połączy, przypuszczał, że będzie mógł się z nią porozumiewać bez żadnych przeszkód.

Uśmiechnął się, kiedy rozkoszne obrazy zwycięstwa wypełniły jego umysł. Był tak blisko wszystkiego, o czym marzył.

Jeszcze tylko jedna ofiara, żeby nabrać sił, a potem upomni się o nagrodę. Czekał na nią całe życie. Do tej pory nie udało mu się zyskać cudzej mocy, bo kobiety, które wybierał, były zbyt słabe. Ale tym razem znalazł kobietę idealną. Tym razem piąta ofiara da mu wszystko, za czym tęsknił przez całe życie. Siłę. Moc. Doskonałość.

Linc Hughes podstawił kubek, a Teri Nash naląła mu kawy. Takiej, jak zwykle, wysokooktanowej javy. Ostatnie cztery noce spędzili w siedzibie Wydziału Nauk Behawioralnych w Quantico, wyteżając zmysły. W ciągu dnia oboje pracowali nad innymi sprawami, ale ze wszystkich sił chcieli pomóc Dallasowi i szeryfowi Butlerowi. Wydział Nauk Behawioralnych zatrudniał zaledwie dziesięciu specjalistów od sporządzania profili, więc każdy z nich nierzadko pracował nad pięćdziesięcioma sprawami jednocześnie.

Linc, najbardziej doświadczony z nich, już zaklasyfikował mordercę z Mobile i Cherokee Pointe jako „zorganizowanego przestępcę”. Opierał się o dychotomię organizacji i dezorganizacji w pięciu podstawowych aspektach interakcji pomiędzy ofiarami a przestępcą. Były to: interpersonalny związek logiczny, znaczenie czasu i miejsca, cechy przestępcy, działalność przestępcy i jego wiedza z zakresu medycyny sądowej. Mężczyzna należący do tej kategorii według wszelkiego prawdopodobieństwa jest dość inteligentny, a możliwe, że

bardzo inteligentny. Jest społecznie i seksualnie atrakcyjny, a także sprawny w swoim zawodzie, ale często zmienia pracę i wyjeżdża z miasta po dokonaniu zbrodni. Z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że jest mobilny i ma samochód w dobrym stanie. A tego rodzaju typ lubi oglądać swoje zbrodnie w wiadomościach telewizyjnych.

- Wiesz, że Dallas będzie ci dozgonnie wdzięczny - powiedziała Teri, pochylając się, żeby pocałować Linca w czoło.

- Wstępny raport jest gotowy, możesz mu go wysłać. Nie jest kompletny, ale przynajmniej Dallas i szeryf będą mieli się na czym oprzeć. - Linc spojrział na zegarek. - Już prawie czwarta. Prześlę to faksem do biura szeryfa, a ty możesz zadzwonić do Dallasa, kiedy się obudzi.

- Dam mu czas do wpół do szóstej - odpowiedziała Teri. - O ile go znam, ostatnio raczej niewiele śpi. - Ziewnęła. - A skoro mowa o spaniu. Może powinniśmy spróbować się chociaż chwilę zdrzemnąć?

Linc spojrział na teczki rozłożone na biurku w jego gabinecie.

- Jak ci idzie zbieranie informacji o ofiarach?

- Nie mam wszystkich danych, ale jak na razie natrafiam ciągle na mur.

- To nie ma sensu, że ofiary nie mają ze sobą nic wspólnego poza tym, że wszystkie pięć w każdej serii morderstw mieszkają i giną w rodzinnej okolicy.

- Przedział wiekowy od kilkunastu do czterdziestu lat. Różne rasy. Różny wygląd zewnętrzny. Różne pochodzenie i zawody. Zupełnie jakby facet wybierał ofiary losowo.

- Możliwe - stwierdził Linc. - Ale intuicja i doświadczenie mówią mi, że nie bez znaczenia jest fakt, że w każdej serii jest dokładnie pięć morderstw, wszystkie mają miejsce o świcie i wszystkie stanowią rytualną ofiarę.



- I wypija krew pierwszych czterech.

- A piątej wycina serce.

- I je zjada? - spytała Teri. - Do takiego wniosku doszliście z Dallasem?

- Tak. - Linc skinał głową. - Może cztery pierwsze ofiary wybierane są losowo, tylko dlatego, że akurat są pod ręką. Ale w piątej ofierze jest coś szczególnego. Jeżeli uda nam się odkryć, co to takiego, to głowę daję, że znajdziemy powiązanie między wszystkimi kobietami, które stały się piątymi ofiarami.

- Brzmi sensownie - stwierdziła Teri. - W takim razie muszę zgromadzić wszystkie możliwe informacje na temat każdej piątej ofiary.

- Wydaje mi się, że mogą się okazać naszym brakującym ogniwem - odrzekł.

Teri nalala sobie kolejny kubek kawy, usiadła przed komputerem Linca i szybko przejrzała podstawowe informacje na temat ofiar numer pięć.

- Cztery kobiety, wszystkie piąte ofiary. Hm... - Teri zagryzła dolną wargę i cmoknęła, przeglądając informacje. - Pierwszą ofiarą numer pięć była Kim Johnson, dwadzieścia siedem lat, dziennikarka telewizyjna z Teksasu. Następna była Daphne Alaire, trzydzieści osiem lat, właścicielka księgarni i sklepu z drobiazgami z Luizjany. Trzecia ofiara numer pięć, Lori Wright, pochodziła z Hilton Head w Południowej Karolinie. Była dwudziestoletnią studentką, która przyjechała do domu na ferie wiosenne i wtedy została zamordowana.

- Nie widzę tu żadnych podobieństw.

- Bo żadnych nie ma. - Teri pokręciła głową i znów cmoknęła. - Piątą ofiarą w serii morderstw w Mobile była Barbara James, trzydziestoletnia gospodyni domowa, z dwójką dzieci, która charytatywnie pracowała z dziećmi upośledzonymi.

- Jaki był stan cywilny tych czterech kobiet?

Teri zajrzała do informacji w pliku komputerowym.

- James była mężatką, Wright panną, Alaire wdową, a Johnson rozwódką.

- Wygląd zewnętrzny?

Teri przejrzała kartotekę każdej kobiety i zapamiętała opisy.

- Blondynka, ruda, dwie brunetki. Jedna gruba, jedna chuda, dwie przeciętne. Jedna niska, jedna wysoka, dwie średniego wzrostu. - Odwróciła się na obrotowym krześle i spojrzała na Linca. - Zanim spytasz: jedna czarna, trzy białe.

- Będziesz musiała kopać głębiej. - Linc wzruszył ramionami. - Sprawdź takie kwestie, jak religia, kluby i organizacje, do jakich należały, hobby, takie rzeczy.

- Masz pojęcie, ile to może potrwać?

- Zwązamy obszar poszukiwań z dwudziestu kobiet do czterech. Jeżeli istnieje jakieś powiązanie, wspólna nić... a jestem pewien, że istnieje... to znajdziemy je pomiędzy tymi piątymi ofiarami.

- Więc chcesz powiedzieć, że jeżeli pospieszymy się i znajdziemy tę wspólną cechę, to chociaż raczej nie uda nam się ocalić czwartej ofiary, może będziemy w stanie ustalić, kto będzie piątą i, miejmy nadzieję, uratować ją.

- Zgadza się.

- Brooke była czwartą ofiarą w Mobile - powiedziała Teri. - Wiem, że Dallas chciałby uratować czwartą ofiarę w Cherokee.

- To się może nie udać. Chyba będzie musiało mu wystarczyć to, że uratuje piątą.

## Rozdział 19

W hrabstwie Cherokee panowało duże napięcie, a fakt, że miejscowe media robiły sobie kpiny z szeryfa Butlera i komendanta Watsona, tylko potęgował problem. Dallas widział to już wcześniej - ogarnięte paniką miasteczko, które zaczyna podważać kompetencje jego władz. „Cherokee Pointe Herald”, telewizja i radio WMMK, których właścicielami byli członkowie rodziny MacKinnonów, niezmiennie przekazywały nieobiektywne informacje. Powodem były animozje pomiędzy Jacobem a Brianem MacKinnonem. Jednak w ciągu minionego tygodnia w tajemnicy przed mediami poczyniono pewne postępy w sprawie rytualnych morderstw. Dzięki grupie zadaniowej oraz oficjalnej i nieoficjalnej współpracy z FBI, które wspomagało miejscowe i stanowe organy ochrony porządku publicznego, zdołali zawęzić listę podejrzanych, która mogła zaprowadzić ich do zabójcy.

Ani Matt Newton, dziennikarz, którego pobił Jacob, ani Media MacKinnon nie wytoczyli Jacobowi procesu i nie złożyli na niego doniesienia. Dallas podejrzewał, że Newton zrobi wszystko, co każe mu MacKinnon, a Brianowi MacKinnonowi podobało się, że Jacob musi czekać. Dallasowi wydawało się, że MacKinnon należy do tych, którym przyjemność sprawia bawienie się człowiekiem, nad którym, w swoim mniemaniu, ma jakąś władzę.

Większość opinii publicznej, mimo nagonki medialnej, pozostała po stronie szeryfa. Okazało się, że ludzie lubią Jacoba Butlera i mu ufają, za to bardzo nie lubią Briana MacKinnona i mu nie wierzą. Dallas nie pojmował tylko, dlaczego MacKinnon miałby celowo atakować Jacoba, jeżeli rzeczywiście był zakochany w Genny.

Dallas uniósł nogi i położył stopy na krawędzi biurka Jacoba. Odchylił się i założył splecione ręce za głowę. Nie sypiał dobrze od przyjazdu do hrabstwa Cherokee. Zbyt dużo, zbyt

szybko się działo, żeby mógł marnować czas na przesypianie ośmiu godzin w ciągu doby. Cholera, byłby szczęśliwy, gdyby sypiał po pięć. Ale odpocznie, kiedy zabójca zostanie schwytyany.

Wstępny raport, który sześć dni temu przesłał mu faksem Linc Hughes, utwierdził Dallasa w przekonaniu, że seryjnym zabójcą, który zamordował Brooke i trzy kobiety w Cherokee, jest jeden z czterech podejrzanych. Wprawdzie nie mieli dowodu przeciwko żadnemu z nich, ale też nie mieli żadnych innych podejrzanych.

Wczoraj Teri zadzwoniła do Dallasa, żeby poinformować, czego się dowiedzieli na temat pięciu morderstw w Hilton Head, które miały miejsce osiemnaście miesięcy przed zbrodniami w Mobile. Jej odkrycia zawęziły listę podejrzanych do trzech, oczywiście pod warunkiem, że szli właściwym tropem. Jeżeli wspinają się na niewłaściwą górę, to niech Bóg ma ich w swojej opiece, bo tylko cud będzie w stanie ocalić dwie ostatnie kobiety.

- Dillon Carson pracował w restauracji z kabaretem w Savannah, kiedy dokonano wszystkich pięciu morderstw - powiedziała Teri. - To czterdzieści pięć minut jazdy od Hilton Head. Royce

Pierpont był zatrudniony w sklepie z antykami w Charleston, półtorej godziny drogi od Hilton Head. A Jamie Upton spędzał tamtą wiosnę z przyjaciółmi w Hilton Head, grając w golfa, łowiąc ryby, pływając kajakiem i dwa razy dając się zamknąć za pijaństwo oraz wszczynanie awantur. Duchowny Stowe z żoną w okresie morderstw w Hilton Head mieszkali w Whiteville, w Północnej Karolinie. Biorąc pod uwagę odległość między tymi miastami, było niemal zupełnie nieprawdopodobne, żeby sprawcą tych pięciu morderstw był Haden Stowe. Nieprawdopodobne, ale nie można było tego wykluczyć. Czas uciekał, więc Jacob i Dallas uzgodnili, że skupią się na

Carsonie, Pierponcie i Uptonie - trzech najbardziej prawdopodobnych podejrzanych. Każdy z nich pasował do profilu sporządzonego przez Linca.

Carson i Pierpont byli chętni do współpracy, kiedy Jacob poprosił, żeby stawili się na przesłuchanie, jednak żaden z nich nie miał alibi na czas, kiedy doszło do dwóch pierwszych morderstw w Cherokee, jedynie na czas trzeciego. Obaj przyłączyli się do tłumu zwołanego przez Jerry'ego Lee, i dwunastu innych mężczyzn mogło potwierdzić, gdzie wtedy byli. Jednak Dallas wiedział, że biorąc pod uwagę stan psychiczny gromady burmistrza tamtego ranka, żaden z nich nie mógł mieć stuprocentowej pewności, kiedy dołączył do nich konkretny członek grupy.

Carson zarzekał się, że nie pamięta, gdzie dokładnie mieszkał, kiedy doszło do morderstw w Luizjanie i w Teksasie. Był jednak pewien, że nigdy nie mieszkał i nie pracował w Teksasie. Owszem, mieszkał przy granicy stanu Oklahoma i spędzał wakacje w sąsiedztwie Nowego Meksyku. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, kiedy. Nie był też w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatnio był w Luizjanie. Pierpont powiedział, że nigdy nie był w Teksasie, ale pracował w Baton Rouge w Luizjanie, które znajdowało się w niedalekiej odległości od Lafayette, w którym miała miejsce druga seria morderstw. Jednak nie był pewien dokładnych dat. Kilka lat temu? Tak. Co najmniej cztery? Tak, co najmniej cztery. Pierpont wydawał się dość spokojny i opanowany i odpowiadał bez wahania. Wyjaśnienia Dillona często były mętne, ale wydawało się, że bardziej złości go to, że marnuje czas, a nie to, że musi odpowiadać na pytania.

Obaj odmówili oddania prób DNA. Ale nawet niewinny człowiek może odmówić takiej prośbie.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z Jamiem Uptonem. Odmówił udzielania odpowiedzi na pytania bez obecności swojego adwokata. A miejscowy prawnik jego dziadka poinformował go, że dopóki nie zostaną mu przedstawione zarzuty, nie ma obowiązku odpowiadać na żadne pytania.

- Postaw Jamiemu jakieś zarzuty albo go zwolnij - zażądał Tyson Baines z ironicznym uśmiechem, który podkreślał jego puciołowate policzki.

Czyżby Jamie miał coś do ukrycia, czy może Wielki Jim Upton ze wszystkich sił usiłował mu pomóc? Może i jedno, i drugie. Dziś rano Jacob poinformował Dallasa, że słyszał, iż stary wynajął słynnego adwokata z Teksasu, Quinna Corteza. Czyżby to oznaczało, że dziadek podejrzewa Jamiego o morderstwa?

Dallas większość czasu spędzał w biurze szeryfa, które stało się główną siedzibą kierownictwa grupy zadaniowej. Ale udawało mu się wymknąć na chwilę, żeby pojechać w góry w te dni, kiedy Genny nie mogła przyjechać do miasta. Wiedząc, że Jacob się z nim zgodzi i wybije Genny z głowy jej plan, Dallas powiedział mu, że wpadła na pomysł, żeby telepatycznie połączyć się z umysłem zabójcy. Jacob się wściekł i dopiero wtedy Dallas zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo groziło Genny, jeżeli podjęłaby się takiego wyzwania.

- Nie możemy jej pozwolić nawet na to, żeby spróbowała - powiedział Jacob. - Jeżeli wejdzie w to zbyt głęboko, może nam się nie udać wyciągnąć jej z powrotem.

Na szczęście Genny więcej o tym nie wspominała, ani razu przez ostatnich sześć dni. Genny dla Dallasa znaczyła tyle, że ciężko było mu uwierzyć, że zna ją niewiele ponad tydzień. Po raz pierwszy w życiu kobieta stała się dla niego tak ważna. Nie nazwałby tego miłością. Miłość to tylko słowo. Zdewaluowane. Chciał Genny. Chciał jej rozpaczliwie. Ale w jego uczuciach

chodziło o coś więcej, o coś, czego nie potrafił dokładnie określić. I właśnie to go martwiło.

Nogi Dallasa oparte na biurku trąciła obuta stopa. Opuścił je na podłogę i spojrzał w górę na Jacoba.

- Śniesz na jawie? - spytał Jacob.
- Niezupełnie. A czemu?
- Nie słyszałeś, co powiedziałem, co?
- A powiedziałeś coś ważnego?

Jacob prychnął.

- Szkoda, że nie ma żadnego legalnego sposobu, żebyśmy uzyskali DNA Jamiego Uptona.

- A skąd ci to przyszło do głowy?

- Właśnie rozmawiałem z Jazzy. Myśli, jak zdobyć nakaz zatrzymania Jamiego. Jej nowy ochroniarz w Jazzy's Joint musiał wyrzucać Jamiego dwa razy w tym tygodniu. Zachowuje się tak, że właściwie można podciągnąć to pod napastowanie, ale nawet jeżeli zgłosiłaby sprawę, on sobie poradzi, i ona o tym wie.

- Myślisz, że naszym zabójcą jest Upton?

- Myślę, że to całkiem możliwe.

- Nie zgadzam się. - Dallas pokręcił głową.

- No to, agencie, twoim zdaniem, kto nim jest?

- Carson albo Pierpont.

- Carson to łajdak, a Pierpont oferma, ale ani jedno, ani drugie nie jest przestępstwem.

- Upton za bardzo rzuca się w oczy. Jest bezpośrednim typem i nie obchodzi go, że zwraca na siebie uwagę.

- Jamie jest niemoralnym draniem, który nigdy nie myślał o nikim innym niż on sam. Nasz zabójca nie ma sumienia. Ta cecha pasuje do Jamiego jak ulał.

- Nie skreślam go - powiedział Dallas. - Kieruję się tylko intuicją i doświadczeniem.

- Moje doświadczenie mówi mi, że jeżeli coś kwacze jak kaczką, chodzi jak kaczką i wygląda jak kaczką, jest kaczką.

Dallas uśmiechnął się szeroko, ale nie zdążył podzielić się żadną celną ripostą, bo do drzwi gabinetu zapukał Tim Willingham i wsunął głowę do środka.

- Na drugiej linii jest telefon, myślę, że chciałbyś go odebrać - powiedział.

- Kto to? - spytał Jacob.

- Doktor MacNair. Mówi, że zginęła jego żona.

Genny otworzyła drzwi Brianowi MacKinnonowi i zaprosiła go do środka z uprzejmą, ale dość chłodną miną. Cieszyła się, że Drudwyn biegał akurat po dworze, bo inaczej wyczułby jej wrogość. Wprawdzie mogła zapanować nad psem, ale nie była pewna, czy nie skusiłoby jej, żeby pozwolić mu trochę wystraszyć Briana.

Kiedy usłyszała samochód na podjeździe, w pierwszej chwili pomyślała, że to Jacob z Dallasem. Mieli dziś przyjechać na kolację. Zamierzała jeszcze raz spróbować przekonać ich do swojego pomysłu, żeby połączyć się telepatycznie z umysłem zabójcy.

- Nie byłem pewien, czy będziesz chciała się ze mną widzieć - powiedział Brian, wchodząc do salonu.

- A czemu miałabym nie chcieć?

Uśmiechnął się, ale w jego oczach nie było radości, a jedynie uważna ciekawość.

- Jesteś na mnie zła, prawda?

- Masz ochotę na kawę albo herbatę? - spytała Genny.

- Masz pełne prawo być mną rozczarowana po tym, jak WMMK i „Cherokee Pointe Herald” potraktowały udział Jacoba w śledztwie dotyczącym morderstwa.



Genny siłała się na łagodną minę. Brian nie miał zielonego pojęcia, jak bardzo ją rozczarował. Zakładała, że jest niewinny, dała mu szansę, żeby udowodnił, że jest naprawdę dobrym człowiekiem, i przymykała oko na niedociągnięcia w jego zachowaniu. Ale nie tym razem. Była skłonna przyznać, że pomyliła się co do Briana. On chyba był niereformowalny.

Odkasznął i stanął plecami do kominka.

- Jacob mnie nie lubi. Dał mi to wyraźnie do zrozumienia przy niejednej okazji. Nie podoba mu się to, że chcę się z tobą związać. - Przerwał, jakby spodziewał się jakiejś reakcji z jej strony. Nie było żadnej. - Do niedawna nie dałem mu żadnego powodu, żeby mnie nie lubił - ciągnął.

- Chcesz powiedzieć, że ta nagonka na Jacoba w mediach jest jakąś zemstą?

- Nie, oczywiście, że nie. - Na czoło Briana wystąpił pot. - Moim zdaniem Jacob i Roddy żałośnie prowadzą śledztwo w sprawie morderstw. Właściwie ta cała grupa zadaniowa niewiele zwojowała. Zadaniem WMMK i „Heralda” jest przedstawianie faktów tak, jak je widzimy.

- Mogłeś mi powiedzieć to wszystko przez telefon i oszczędzić sobie wyjazdu w góry. - Genny skrzyżowała ręce na piersiach.

Brian wyciągnął chusteczkę z kieszeni marynarki, otarł pot z czoła i odsunął się od kominka.

- Usiłowałem zadzwonić kilka razy, ale nie odbierałaś telefonu.

Bo wyświetlał mi się twój numer, pomyślała Genny. Chciała uniknąć Briana, ale powinna była wiedzieć, że wymusi spotkanie twarzą w twarz.

- Jacob jest dla mnie jak brat. Jest jednym z najlepszych mężczyzn, z jakimi miałam w życiu do czynienia. Gdybyś żywił

do mnie jakiegokolwiek uczucia, zastosowałbyś inną taktykę w przekazywaniu, jak to nazywasz, prawdy.

- Ale Genny, tak właśnie jest... - Wyciągnął do niej dłonie w błagalnym geście, ale opuścił je, kiedy się od niego odsunęła.

- Naprawdę żywię do ciebie uczucie. Silne uczucie. I przyjechałem tutaj, żeby ci udowodnić, jak wiele dla mnie znaczysz.

- Niby w jaki sposób?

- Chyba wiesz, że Jacob zaatakował Matta Newtona, dziennikarza WMMK, kiedy ten po prostu wykonywał swoją pracę.

Genny wzięła głęboki oddech, a później powoli wypuściła powietrze. Rzadko traciła panowanie nad sobą, właściwie większość ludzi, którzy ją znali, powiedziałyby, że nigdy. Jedynie Jazzy i Jacob znali prawdę. Wyprowadzona z równowagi, reagowała. A niewiele brakowało, żeby Brian wprowadził ją z równowagi.

Brian zrobił kilka niepewnych kroków w jej stronę, ale przystanął, kiedy spojrzała na niego groźnie.

- Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy pozwać Jacoba osobiście, albo równie dobrze wnieść oskarżenie o napaść.

- I to masz zamiar zrobić? Jestem pewna, że Matt Newton jest tylko marionetką w twoich rękach, więc...

- Genny, Genny...

Znów ruszył w jej stronę, ale powstrzymała go gestem uniesionej dłoni. W jednej chwili przystanął.

- Dlatego, że darzę cię głębokim szacunkiem i żywię do ciebie szczere uczucia, dopilnuję, żeby ani Matt Newton, ani Media MacKinnon nie pozwali Jacoba i nie zażądali procesu.

- A czego oczekujesz w zamian za ten wielkoduszny gest?

Dlaczego tak dużo czasu potrzebowała, żeby pogodzić się z prawdą, która od samego początku była oczywista? Brian

MacKinnon jest zły. Wyczuwała to zło wokół siebie. Czy wcześniej, kiedy znajdował się przy niej, udawało mu się ukrywać swoją prawdziwą naturę, czy też ona po prostu nie chciała zgłębiać jego psychiki w obawie, że legną w gruzach jej nadzieje na to, że może się zmienić?

- Podejrzewasz mnie o ukryte pobudki? - spytał Brian. - Genny, moja najdroższa, chcę ci dać karierę Jacoba, która w tej chwili jest w moich rękach, w prezencie. Żeby pokazać ci, jak wiele dla mnie znaczysz.

Rozległo się trzaśnięcie drzwi ciężarówki. Drudwyn zaszczekał. Na schodach wejściowych, a później na ganku dały się słyszeć kroki.

- Czekasz na kogoś? - Brian wyjrzał na korytarz, w stronę drzwi wejściowych.

- Jacob i Dallas przyjeżdżają na kolację - odpowiedziała.

- Rozumiem.

- Brian, jeżeli naprawdę chcesz zrobić to dla Jacoba, dla mnie... to jestem ci wdzięczna. Ale...

Drzwi wejściowe się otworzyły. Pierwszy wszedł Dallas, a zaraz za nim Jacob. Drudwyn minął biegiem obu mężczyzn i pognął do Genny. Jacob przystanął w wejściu do salonu, ale Dallas zatrzymał się dopiero przy Genny.

- Brian, wydaje mi się, że nie miałaś okazji poznać agenta specjalnego FBI, Dallasa Sloana - powiedziała Genny. - Dallas, to Brian MacKinnon, z MacKinnon Media.

Brian zmierzył wzrokiem mężczyznę i psa, stojących po obu stronach Genny i niepewnie wyciągnął rękę do Dallasa. Ten bacznie przyjrzał się dłoni Briana, po czym chwycił ją i szybko uściskał. Brian się skrzywił, więc Genny domyśliła się, że Dallas zastosował taktykę macho i zmanifestował swoją siłę fizyczną, żeby wprawić Briana w zakłopotanie.

Jacob wszedł do pokoju wolnym i rozważnym krokiem.

- Co tu robisz, MacKinnon?

- Przyjechałem dać Genny prezent. - Brian uśmiechnął się do dziewczyny.

Zdobyła się na to, żeby odwzajemnić uśmiech, jednak był blejszy niż zwykle.

- Zaprosiłabym cię, żebyś został na kolacji, ale...

Warknięcie Drudwyna niemal zagłuszyło głośne prychnięcie Jacoba.

- Innym razem - powiedział Brian. - Zadzwoń do ciebie jutro.

Genny podeszła do Briana, zamierzając odprowadzić go do drzwi. Nie zdążyła zrobić drugiego kroku, gdy Dallas chwycił ją mocno w tali i przytrzymał w miejscu. Do akcji wkroczył Jacob, który wyszedł z Brianem na korytarz i wyprowadził go na zewnątrz. Kiedy zniknęli na ganku, Genny odwróciła się do Dallasa.

- Brian mi powiedział, że Matt Newton nie pozwie Jacoba i że oni też nie będą się procesować.

- Rozumiem. - Dallas objął ją w tali obiema dłońmi i odwrócił twarzą do siebie. - Czemu należy zawdzięczać ten cud? Czego MacKinnon oczekuje od ciebie w zamian?

- Powiedział, że wykonuje ten gest po to, żeby mi udowodnić, jak bardzo mu na mnie zależy. - Genny obejrzała się przez ramię w kierunku zamkniętych drzwi wejściowych, zastanawiając się, co też Jacob może mówić Brianowi. - Mam nadzieję, że Jacob nie...

- MacKinnon nie dostanie tego, co chce, bo chce ciebie.

- Zgadza się, ale na razie zależy mu na tym, żebym nabrała o nim dobrego mniemania.

- Bo go nie masz, prawda?

Genny pokręciła głową.

- Zmarnowałam dużo czasu, wierząc, że może się zmienić, że chce się zmienić. Nawet biednemu Wallace'owi wydawało się, że widzi oznaki poprawy w zachowaniu Briana.

Jacob wszedł do domu, zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku w korytarzu.

- Wygląda na to, że mogę się przestać martwić o to, że Matt Newton wytoczy mi proces albo złoży doniesienie.

- Chyba będę mogła być dla Briana miła jeszcze przez jakiś czas - powiedziała Genny. - Nie będzie to łatwe, ale nie mamy wyjścia.

- Nawet gdyby nic dobrego nie wynikło z tortur, jakie serwują mi media, wystarczy, że zrozumiałaś, że MacKinnona nie da się zbawić.

- Nie chcę, żebyś była dla niego miła - zaprotestował Dallas.

- Nigdy nie okazywałam mu nadmiernej sympatii - odpowiedziała Genny. - W każdym razie takiej, o jakiej myślisz.

Nagle zadzwonił telefon komórkowy Jacoba. Odczekał kilka sekund, a potem pochylił się i wyjął aparat z kieszeni płaszcza.

- Może to jakieś wieści na temat Niny MacNair.

- O co chodzi z Niną MacNair? - Genny spojrzała na Dallasa.

- Jej mąż zgłosił zaginięcie. Wygląda na to, że nie było jej, kiedy się rano obudził. Nie zostawiła żadnej wiadomości. Wszystkie jej rzeczy nadal są w domu. Zabrała ze sobą tylko torebkę. MacNair myśli, że mogła pójść do sklepu spożywczego, ale w sklepie Rite nikt jej nie widział.

- Myślisz, że...

- Może. Zabójca od sześciu dni nie zrobił żadnego ruchu.

- Nie ma śladu po pani MacNair. - Jacob wrzucił telefon z powrotem do kieszeni płaszcza i wszedł do salonu. - Nikt w mieście jej nie widział. Roddy i ja uzgodniliśmy, że z uwagi na

to, że w mieście grasuje seryjny zabójca, odступujemy od okresu oczekiwania przed wypełnieniem zgłoszenia zaginięcia.

- Musicie jechać czy zostanieie na kolacji? - spytała Genny.

- Ja szybko coś przelknę i pojedę do miasta. - Jacob odwrócił się do Dallasa. - Gdybyś chciał zostać dłużej, wyśle później po ciebie któregoś z moich pracowników.

- Dzięki - odpowiedział Dallas, nie spuszczać wzroku z Genny. - Ale chyba powinienem wracać z tobą do miasta.

- Jedzcie, a ja zobaczę, czy uda mi się dowiedzieć czegoś o Ninie MacNair - powiedziała Genny. - Nie znam jej i widziałam ją zaledwie kilka razy, więc nie jestem pewna, czy...

- Sprawdź, czy uda ci się coś wyczuć na jej temat - poprosił Jacob. - Ale nie zbliżaj się nawet do umysłu zabójcy. Słyszałaś?

- Słyszałam bardzo wyraźnie. - Genny zaprowadziła mężczyzn do kuchni, podała półmiski z kurczakiem, pyzami i warzywami, a na deser ciasteczka herbaciane według przepisu babci.

Jacob i Dallas zabrali się do jedzenia, a Genny poszła do salonu i usiadła przy kominku. Wpatrując się w płomień, rozluźniła się i pozwoliła umysłowi otworzyć się i uwolnić myśli. Cały czas powtarzała nazwisko Niny MacNair. Przemknęły jej w umyśle ciemne cienie, które zaraz zniknęły. Jej świadomość ogarnęło jasnoszare światło. Wyczuwała rozpaczliwe pragnienie ucieczki, ale nie strach. Pojawił się śmiech. Poczucie wielkiej ulgi. Nie przestawaj biec. Nie oglądaj się za siebie. Wyciągnięta dłoń mężczyzny. Nadal żadnego strachu. Dłoń kobiety. Dłoń mężczyzny. Razem. Dotykają się czule.

Powieki Genny się otworzyły. Dziwne, pomyślała. Bardzo dziwne. Wróciła do kuchni, do Jacoba i Dallasa, nałala sobie szklankę mleka i usiadła przy stole. Wzięła maślany herbatnik i przełamała na pół.

- Wydaje mi się, że Nina MacNair nie jest w rękach zabójcy  
- powiedziała Genny i ugryzła kawałek ciastka.

- Więc coś wyczułaś? - spytał Dallas.

Genny skinęła głową, zastanawiając się, czy Dallas zdaje sobie sprawę z tego, jak radykalnie zmieniły się jego poglądy od chwili, kiedy zobaczyli się pierwszy raz. Niewiele ponad tydzień temu był sceptykiem, który nie wierzył w nic poza swoimi pięcioma zmysłami, a teraz akceptował jej paranormalne zdolności bez cienia wątpliwości. Albo z niewielkimi wątpliwościami.

- Wydaje mi się, że pani MacNair uciekła z innym mężczyzną - oznajmiła Genny.

- Nie zostawiła przypadkiem tymczasowego adresu? - zadrwił Jacob.

- Obawiam się, że nie - odpowiedziała Genny, kończąc herbatnik i wypijając pół szklanki mleka.

Kilka minut później, kiedy Dallas pomagał jej posprzątać naczynia, a Jacob wrzucał resztki z talerzy do miski Drudwyna, zadzwonił telefon. Trzy pary oczu zwróciły się w stronę wiszącego na ścianie aparatu, po czym dotarło do nich, że był to dźwięk telefonu komórkowego Dallasa.

Wyjął go z pokrowca na pasku i odebrał.

- Sloan, słucham.

Dallas słuchał, a Jacob i Genny przyglądali się i czekali.

- Co tam, Teri? - spytał Dallas. Milczał, słuchając odpowiedzi. - Co? - Nastąpiła krótka przerwa, kiedy znów mówiła agentka Teri Nash. - Mój Boże! Jesteś pewna?

Wzrok Dallasa skrzyżował się ze spojrzeniem Genny. Wyczuła, że Teri Nash powiedziała mu coś, co ma związek z nią.

- Wiesz, co to oznacza, prawda? - odezwał się do słuchawki Dallas. - Jeśli cztery piąte ofiary rzeczywiście miały ze sobą coś

wspólnego, wiemy już, kogo wybrał na swoją ostatnią ofiarę tu, w Cherokee.

## Rozdział 20

Dallas podziękował Teri, schował telefon do futerału, przez cały czas nie spuszczać wzroku z Genny. Mógł się spodziewać, że usłyszy od Teri różne rzeczy, ale nie przypuszczał, że jej odkrycie spowoduje, że jego życie zatoczy pełne koło. Przez osiem miesięcy obwinił się, że nie był w stanie uratować Brooke, choć poczucie winy było w zasadzie irracjonalne. Realnie patrząc, wiedział, że nie mógł zrobić nic, żeby zapobiec śmierci siostrzenicy, jednak mógł zrobić coś, aby odnaleźć jej zabójcę. Cholera jasna, przecież jest agentem federalnym. Większość dorosłego życia poświęcił pracy, która, jego zdaniem, była coś warta. Kiedy zaczynał pościg za tym nieuchwytnym diabelskim mordercą, wierzył, że kiedy go schwyta i doprowadzi przed wymiar sprawiedliwości, zamknie jakiś rozdział w życiu swoim i swojej rodziny. Jakże się mylił. Nawet w najgorszych koszmarach nie śniło mu się, że z rąk tego samego szaleńca zginie inna osoba, którą kocha.

Niech Bóg go ma w swojej opiece, bo kocha Genny Madoc.

- Co się stało? - spytała Genny. - Co Teri ci o mnie powiedziała?

Jacob gwałtownie odwrócił głowę i spojrzał na Genny.

- A co miałyby powiedzieć Dallasowi o tobie? Skąd miałyby wiedzieć, że...

- Teri przekopła wszystkie informacje, do jakich udało jej się dotrzeć, na temat piątych ofiar w każdej z serii morderstw -



powiedział Dallas. - Linc Hughes jest przekonany, że wszystkie pozostałe ofiary, pierwsze cztery w każdej serii, mogły być wybierane losowo, ale piąta jest wyjątkowa.

- W jakim sensie wyjątkowa? - Genny wyciągnęła rękę i położyła ją na piersi Dallasa, tuż nad sercem.

- Wiemy, że zabójca nie tylko wypija krew piątej ofiary - zaczął Jacob. - Wycina jej serce i... no cóż, prawdopodobnie je zjada.

- Po intensywnych poszukiwaniach Teri dowiedziała się, że cztery piąte ofiary miały ze sobą coś wspólnego. - Dallas położył dłoń na dłoni Genny.

- No to w końcu coś drgnęło. - Jacob zmrużył oczy, wpatrując się w dłoń Dallasa przykrywającą dłoń Genny. - Dlaczego mam wrażenie, że nie spodoba mi się to, co masz do powiedzenia?

- Barbara James, która była piątą ofiarą w Mobile, miała rzadki talent - rzekł Dallas. - Jej rodzina i przyjaciele twierdzą, że była jasnowidzem.

Genny zamknęła oczy. Dallas z całej siły zacisnął palce na dłoni Genny, przytrzymując ją na swoim sercu.

- A pozostałe trzy? - Jacob wstawił pusty talerz do zlewu.

- Pierwsza piąta ofiara, Kim Johnson, zabawiała przyjaciół sztuczkami telekinetycznymi. Kilkoro jej przyjaciół powiedziało Teri, że Kim potrafiła za pomocą siły umysłu przenosić przedmioty i... - Dallas wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. - Daphne Alaire dorabiała jako medium. Twierdziła, że ma umiejętność komunikowania się ze zmarłymi. A Lori Wright miała zdolności telepatyczne. Jej siostra powiedziała Teri, że Lori nie chciała, żeby któryś z jej szkolnych przyjaciół wiedział o tych zdolnościach, bo w dzieciństwie koledzy uważali ją z tego powodu za wariatkę.

- Boże drogi! - Jacob zacisnął zęby. - Dlaczego ta informacja pojawia się akurat teraz?

- Bo Teri zaczęła kopać naprawdę głęboko - powiedział Dallas. - Najwidoczniej rodziny i przyjaciele piątych ofiar nie uznali za konieczne wspomnieć władzom o wyjątkowych talentach ofiar, bo uważali, że ta informacja nie ma z morderstwem nic wspólnego.

- Jakim cudem ten facet znajdował te kobiety? I dlaczego je zabija? - Jacob zacisnął dłonie w pięści.

- Nie wiemy - odrzekł Dallas. - Ale jeżeli działa według schematu, to piątą ofiarą będzie ktoś ze zdolnościami paranormalnymi.

- To przeze mnie przyjechał do Cherokee - stwierdziła Genny z pewnością w głosie. - Zaplanował, że to ja będę jego piątą ofiarą.

- Nie stanie się tak - powiedział Dallas z całkowitym przekonaniem.

- Z całą pewnością - dodał Jacob. - Będziemy cię pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przeprowadzę się tu, żeby cię chronić.

- Jacob, ty masz zadanie do wykonania. Pozwól, żebym ja zajął się Genny - zaproponował Dallas. - Wprowadzę się do niej dzisiaj.

- Nie ma problemu - odpowiedziała Genny. - Ale, Dallasie, przecież nie możesz być ze mną cały czas. Jesteś potrzebny Jacobowi, żeby pomóc mu ująć tego bandytę, zanim zabije czwartą kobietę.

- Kiedy nie będzie mógł być z tobą Dallas, dopilnuję, żeby ochraniał cię mój pracownik - postanowił Jacob. - A w międzyczasie zrobimy wszystko, co będzie trzeba, żeby znaleźć zabójcę.

- Dopilnujemy, żebyś była bezpieczna. - Dallas czule pogładził Genny po plecach. - Przysięgam, że ten mężczyzna nie...

- Musisz pozwolić mi poznać jego tożsamość - powiedziała Genny. - W grę wchodzi moje życie, więc mam pełne prawo zaryzykować i spróbować połączyć się telepatycznie z umysłem zabójcy.

- Nie! - krzyknął Jacob.

- Tak. - Genny nie ustępowała. - Odpocznę, ile się da, w nocy i jutro rano, a po południu, kiedy ty i Dallas będziecie przy mnie, spróbuje.

- Ona to zrobi niezależnie od tego, czy się zgodzisz, czy nie - stwierdził Dallas. - Ja będę przy niej, kiedy spróbuje. A ty?

- Jasny gwint, tak! - sapnął Jacob.

Laura potrząsnęła blond lokami i butnie zadarła do góry mały nos.

- Jako twoja narzeczona mam prawo wiedzieć, co się dzieje. Odkąd przyjechaliśmy do twoich dziadków do Cherokee Pointe, jesteś wciąż poza domem. Znikasz na całe noce i twierdzisz, że byłeś z dawnym kolegą ze szkoły. Więc może mi powiesz, ilu masz tych dawnych kolegów?

- No i po co się tak wściekasz, kochanie. - Jamie chciał ją objąć, ale wymknęła się tak, że chwycił powietrze.

- Spotykasz się z innymi kobietami? - spytała kategorycznie Laura. - To dlatego dziś wychodzisz? Spotkać się z kimś innym?

- Niby po co miałbym się spotykać z innymi kobietami, skoro mam ciebie? - Uśmiechnął się do niej potulnie. - Laleczko moja, ty mi w zupełności wystarczasz.

- Kłamiesz! Może i nie mam wielkiego doświadczenia, ale wiem, kiedy mężczyzna uważa, że jestem nudna.

Jamie doskoczył do niej i tym razem udało mu się ją chwycić. Wziął ją w ramiona, ale ona szarpała się, żeby się wyswobodzić.

- Uspokój się, to ci pokażę, jak łatwo możesz mnie zadowolić. - Usiłował ją pocałować, ale odwróciła głowę.

Ugryzł ją w ucho. Jęknęła z bólu.

- Pieprzenie w dupę nie jest dla mnie nudne - wyszeptał, a potem polizał ją po uchu i pogłaskał po pośladkach. - Zdejmij majtki i pochyl się, a obiecuję, że nigdzie dziś nie pójde.

Oczy Laury otworzyły się szeroko z przerażenia.

- Czy ty poważnie chcesz mnie namówić na coś tak niemoralnego?

- Mogę cię zmusić - powiedział. - Może wolisz w ten sposób? Będziesz płakać, jęczeć, prosić mnie, żebym przestał i zachowywać się tak, jakby ci się to nie podobało.

- Nie, Jamie. Nie chcę...

Uciszył ją pocałunkiem, sięgając językiem do gardła. Laura była atrakcyjną dziewczyną. Może nie do końca ładną, ale zadbaną. Miała jędrne cycki i tylek pierwsza klasa. Niestety, nie lubiła przygód w sypialni. Po tym, jak pierwszy raz ją przeleciał, domyślił się, że niewiele wiedziała o seksie. Później przyznała, że jest dopiero jej trzecim kochankiem. Cholera, on nawet nie był w stanie sobie przypomnieć, jak się nazywała jego trzecia kochanka... ani trzydziesta. Pierwszą była jedna z pokojówek, pracujących dla jego dziadka. Miał wtedy czternaście lat i przez jakiś czas zażywał przyjemności z dwudziestopięciolatką. Aż w końcu miała dość i odeszła. Następną partnerką, którą pamiętał, była Jazzy Talbot. To dopiero była dupeczka. Ale za żadne skarby świata nie mógł sobie przypomnieć, czy była jego kochanką numer pięć, sześć czy siedem. Na pewno nie trzy.

Pocałunek na chwilę uciszył Laurę, ale gdy tylko wyswobodziła usta, jęknęła.

- Kocham cię, Jamie, ale nie zgodzę się na to, żebyś miał inne kobiety, kiedy się pobierzemy. - Uroczo wydeła dolną wargę i zrobiła nadasaną minę.

- Obiecuję, że kiedy się pobierzemy, będę wierny jak stary pies. - Nie okłamywał jej. Nie do końca. Nie mówił jej po prostu, że nie ma najmniejszego zamiaru się z nią żenić.

- Chciałabym ci wierzyć...

Kiedy rozluźniła się w jego ramionach, wiedział, że ją ma. Uległa swojej miłości do niego. W zasadzie wolał, żeby kobieta go kochała. Z zakochanymi kobietami łatwiej sobie radził.

- Kocham cię, Lauro. Wiesz o tym. Nigdy żadnej innej kobiety nie kochałem tak jak ciebie.

Boże, kobiety są tak naiwne. Za każdym razem nabierają się na tę samą starą śpiewkę. Stracił rachubę, ile razy użył dokładnie tych słów. Cholera, on tylko powiedział Laurze to, co chciała usłyszeć, w co każda kobieta chce wierzyć.

- Będzie bolało? - Rozpłynęła się w jego uścisku i wtopiła w jego ciało.

- Co niby ma boleć?

- Wiesz. - Chwyliła jego dłonie i przesunęła je z talii na swoje pośladki.

- Ach, to. - Jamie się roześmiał. - Kochanie, mnie nie będzie bolało wcale, ale... dla ciebie może być trochę nieprzyjemne.

- Jak nieprzyjemne? - Spojrzała mu prosto w oczy, wzrokiem pełnym przejęcia.

- Nie możesz się doczekać, żeby się przekonać, co? - Chwylił ją za rękę i zaciągnął przez pokój do łóżka. - Zdejmij szlafrok i majtki, a zaspokoję twoją ciekawość.

Wyswobodził ją z uścisku. Wahala się przez ułamek sekundy, a później zsunęła z ramion szlafrok i pozwoliła mu

opaść na podłogę. Pod szlafrokiem nie miała nic. Wstrzymał oddech. Stawał mu na sam jej widok.

- Kocham cię, Jamie. - Odwróciła się do niego plecami i pochyliła, wspierając się dłońmi o ramę łóżka. - Nie pozwoliłabym ci na to, gdybym cię tak bardzo nie kochała.

Jamie przesunął dłonią po jej gładkiej, jędrnej pupie, rozpiął spodnie i wyjął członek.

Jacob spędził noc w biurze. Znowu. Od morderstwa Susie Richards, spędził w biurze szeryfa tyle nocy, że zapomniał, jak wygląda jego mieszkanie. Z każdym mijającym dniem coraz bardziej żałował, że ubiegał się o to stanowisko. Zdawał sobie sprawę z tego, że znakomitym stróżem prawa można stać się po wielu latach pracy, ale w tej chwili dałby wszystko, żeby ominąć te lata nabierania doświadczenia na stanowisku i stać się od razu doświadczonym szeryfem.

Do diabła, chłopie, co miałbyś jeszcze zrobić poza tym, co już zrobiłeś? - spytał sam siebie, przeglądając plik zdjęć z miejsc zbrodni po raz chyba tysięczny z rzędu. Czy czegoś mu brakuje? Czy osobiste przeżycia Dallasa nie przeszkadzają mu patrzeć okiem zawodowca? Dlaczego grupa zadaniowa nie pomogła im rozwiązać tych spraw?

Na zwykle wybuchowy charakter Jacoba nałożyły się frustracja i brak snu. Przesunął dłonią po blacie biurka. Zdjęcia wzbily się w powietrze i bezładnie opadły na podłogę. Poderwał się z obrotowego krzesła tak szybko, że przy okazji je przewrócił. Kopnął oparcie leżącego na ziemi fotela i zaklął na czym świat stoi.

Zabójca chce Genny. Wybrał ją na piątą ofiarę z powodu jej paranormalnych zdolności, dlatego, że odziedziczyła po babce szósty zmysł.

Musi ją chronić za wszelką cenę. Jest najbliższą mu na ziemi osobą. Kocha ją jak siostrę.

Dallas Sloan też ją kocha. Intuicja podpowiadała Jacobowi, że Dallas oddałby za nią życie.

- Szeryfie Butler, doktor MacNair chce się z panem widzieć - krzyknęła Tewanda Hardy zza zamkniętych drzwi.

Jacob spojrział na zegarek. Piętnaście po dziesiątej.

- Dobrze, Tewando, powiedz mu, żeby wszedł. - Jacob podniósł krzesło i schylił się, żeby szybko pozbierać porzrzucone zdjęcia.

Drzwi otworzyły się i do środka wślizgnął się nowy miejscowy lekarz. „Wślizgnął się” - jedynie tak Jacob mógł określić zachowanie mężczyzny. Z opuszczoną głową. Ze spuszczonego wzrokiem. Zachowywał się jak zbity pies. MacNair należał do mężczyzn o łagodnym wyglądem - postawnie zbudowany, ale nie umięśniony, z rumianą twarzą, wypłowiałymi niebieskimi oczami i łagodnymi, niemal kobiecymi rysami twarzy.

- Popełniłem straszny błąd - wyznał.

- To znaczy? - Jacob przeczuwał, co lekarz miał zamiar powiedzieć. Genny prawdopodobnie zgadła: Nina MacNair uciekła z innym facetem.

- Moja żona zaginęła.

- Miał pan od niej jakieś wieści?

- Niezupełnie. - Pokręcił głową. - Ale jakieś pół godziny temu zadzwoniła do mnie jej matka. Nina chyba się z nią skontaktowała, bo nie chciała, żeby matka się o nią martwiła. Wiedziała, że zadzwonię do pani Grant.

- I teściowa powiedziała panu, że pana żonie nic nie jest?

- Nina ode mnie odeszła. Pani Grant powiedziała mi, że Nina poprosiła swojego dawnego chłopaka, żeby przyjechał wcześniej rano do Cherokee Pointe i zabrał ją stamtąd. Z domu

do miasta poszła pieszo. Dopóki się nie rozwiedziemy, będzie mieszkać u matki, a później wyjdzie za... Rano nic ze sobą nie zabrała. Nie chciała ryzykować, że ją złapię. Bała się, że zacznę ją błagać, żeby została.

Jacob nie musiał tego wysłuchiwać, nie chciał tego wysłuchiwać. Nie mógł znieść widoku mężczyzny upokorzonego przez kobietę, którą kocha.

Jacob przeszedł przez pokój i położył dłoń na ramieniu doktora.

- Zajmę się raportem o zaginięciu. Wyjaśnię, że pani MacNair wyjechała z wizytą do matki.

- Przepraszam za wszystko. Naprawdę myślałem... - MacNair przełknął łzy. - Dzięki Bogu, że się myliłem i że nie porwał jej zabójca.

Jacob odprowadził lekarza do samochodu, ciesząc się, że nie dopuścił do tego, żeby kobieta wykastrowała go emocjonalnie.

Genny zdjęła narzutę z górnej półki szafy w korytarzu i zniosła ją do sypialni Dallasa. Dała mu dawny pokój Jacoba, który znajdował się dokładnie naprzeciwko jej sypialni. Kiedy usłyszał, że idzie, odwrócił się do niej.

- Tu jest dodatkowa narzuta. - Podała mu ostatnie patchworkowe dzieło, które babcia zdążyła zrobić przed śmiercią. - Potrzebujesz jeszcze czegoś?

Jej serce zaczęło bić szybciej, kiedy zauważyła, jak na nią patrzy. Jakby chciał tylko jej, jakby oprócz niej nie potrzebował w życiu niczego więcej.

Dallas wziął narzutę i położył ją w nogach łóżka.

- Powinnaś założyć alarm.

- Dobrze. Wezwać jutro jakiegoś specjalistę?

- Ja się tym zajmę.



- Dziękuję.

- Nie musisz mi dziękować. Jestem tu po to, żeby cię pilnować, a zainstalowanie systemu alarmowego służy temu, żebyś była bezpieczna.

- Czuję się bezpieczna dzięki temu, że tu jesteś.

Przyjrzał się jej, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów i z powrotem, dużo wolniej.

- Kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz, byłem zaskoczony tym, jak silne wrażenie na mnie wywarłaś. Mówiłem sobie, że rzuciłaś na mnie czar.

- A teraz jak myślisz?

- Teraz już wiem na pewno, że rzuciłaś na mnie czar.

- Chyba masz świadomość, że z wzajemnością. Oboje ulegliśmy temu samemu czarowi.

Dallas uniósł rękę. Genny podeszła do niego jakby przyciągana niewidzialną siłą. Przesunął grzbietem dłoni po jej policzku. Zamknęła oczy, żeby w pełni rozkoszować się jego dotykiem.

- Na pewno wiesz, jak bardzo cię pragnę. - Opuścił rękę.

- Tak, wiem. Pragniesz mnie tak bardzo, jak ja ciebie.

- Bardziej - powiedział pełnym tęsknoty szeptem.

Przez całe swoje życie czekała na tego mężczyznę i na tę noc. Z każdym mijającym dniem wyczuwała wokół siebie zbliżające się niebezpieczeństwo. Niedługo stanie twarzą w twarz ze śmiercią. Może ją uratować jedynie miłość tego mężczyzny.

## Rozdział 21

Genny zastanawiała się, jak to jest, kiedy człowiek się zakocha. Teraz już wiedziała. Uczucie było uskrzydlające. Myśli, krążące jej po głowie, kusily ją. Chciała poznać Dallasa pod każdym względem - umysłowym, emocjonalnym i fizycznym. Dzisiaj zrodzą się między nimi więzi, które połączą ich na całe życie. Duchowa więź przyjdzie później, kiedy Dallas zaakceptuje ją taką, jaka jest, całkowicie, bez uprzedzeń. Ta duchowa więź będzie wieczna.

Dallas wyciągnął rękę, chwycił ją w tali i objął ramieniem.

- Jesteś pewna? - spytał. - Nie chcę, żebyś później żałowała.

- Ja niczego nie żałuję - odpowiedziała.

- Ja... hm... powinienem mieć... mam zabezpieczenie w mojej kosmetyczce.

- Weź prysznic i się ogol, a ja wskoczę do wanny. - Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. - Jak będziesz gotowy, przyjdź do mojej sypialni.

- To będą najszybsze w historii prysznic i golenie.

- Nie spiesz się. - Uśmiechnęła się. - Mamy całą noc.

Wziął głęboki oddech i wypuścił ją. Odchodząc, przez całą drogę do drzwi czuła na sobie jego wzrok.

Kiedy znalazła się w sypialni, rozpałała ogień w kominku, otworzyła dolną szufladę komody i wyjęła dwanaście grubych, domowej roboty świec i szklane świeczniki. Porozstawiała świece w pokoju i zapaliła je kolejno, a potem zgasła światło.

Jak większość mebli w domu, wielkie mahoniowe łóżce, które wcześniej należało do jej matki i babci, zanim wyszły za mąż, również było antyczne. Genny odsłoniła narzutę w kolorowe, ręcznie haftowane ptaki i kwiaty. Tkanina, która kiedyś była śnieżnobiała, z wiekiem zmieniła kolor na kremowy. Pod narzutą leżały biała koldra i prześcieradło z grubo tkanej bawełny. Poszwy czterech poduszek z pierza obszyte były

delikatną, starą koronką, ręcznie wydzierganą przez prababkę Butler. Niemal wszystko w sypialni Genny miało związek z przeszłością, z przodkami, którzy żyli, kochali i zmarli na wzgórzach Tennessee.

Genny dawno temu pogodziła się z tym, że nie jest kobietą nowoczesną, że nie jest agresywnie przebojowa jak Jazzy. Granice jej świata wyznaczały jej wyjątkowa osobowość i rzadko spotykane paranormalne zdolności. Nigdy nie opuściłaby tego domu, tej ziemi, tych rodzinnych wzgórz. Trzymała się tego, co znajome, bo pomagało jej znaleźć równowagę między rzeczywistością a metafizyką. Być może Dallas nie będzie umiał przystosować się do prostego życia tu, w hrabstwie Cherokee. Wtedy nie będzie miała wyjścia i będzie musiała pozwolić mu odejść. Nie wyjedzie z nim, ale nie będzie zmuszała go, żeby został.

Była skłonna pogodzić się ze wszystkim, co przyniesie życie. Oczami wyobraźni widziała wspólną przyszłość z Dallasem, wolną od strachu i pełną miłości. Ale lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, że plany ulegają zmianie. Życie zmienia się z każdą chwilą i zależy od milionów akcji i reakcji. Każdy człowiek ma wpływ na życie innych i na to, co Genny może dojrzeć w przyszłości.

Jednak miała wrażenie, że są rzeczy mocne jak skała, które zmienić może jedynie cud. Genny wierzyła w cuda, zwłaszcza w głębokie, ale subtelne cuda codziennego życia. Narodziny dziecka. Zakochanie. Piękny śmiech niemowlęcia. Wewnętrzny spokój. Spełnienie słodkich marzeń.

Jej cudem była dzisiejsza noc.

Uklękła przy cedrowej skrzyni w nogach łóżka. Tę skrzynię wykonał jej pradziadek i podarował swojej jedynej córce, Melvie Mae, jako kufer na wyprawę ślubną. Dorastając do kobiecości, babcia wypełniała ten kufer przedmiotami, które miały jej się

przydać jako młodej żonie. Genny uniosła wieko, wyciągnęła rękę i przesunęła dłonią po białej bawełnianej koszuli, leżącej na starannie spakowanych rzeczach. Była półprzezroczysta, prosta i ozdobiona małymi, perłowymi guziczkami. Stanik i rąbek zdobiła delikatna koronka. Była to koszula dziewczęca, uszyta na noc poślubną. Genny wzięła zwiewną koszulkę, przewiesiła sobie przez ramię i szybko poszła do łazienki.

Dallas ogolił się, zrzucił z siebie ubranie, zostawił je na podłodze w łazience i wskoczył pod strumień letniej wody z prysznica. Namydając się, starał się nie myśleć, jak to będzie czuć dotyk drobnych dłoni Genny na swoim ciele. Ale nie był w stanie zapanować nad obrazami w swoim umyśle. Co ona będzie czuła, kiedy go będzie pieścić, podniecać? Sama myśl o tym wywołała natychmiastową erekcję. Jego penis wystrzelił do góry. Kiedy się mył, dotyk jego własnych palców niemal doprowadził go na skraj pożądania. Genny była obecna wszędzie. Jej zapach unosił się w każdym pomieszczeniu tego domu. Kwiatowy. Subtelny. Ledwie wyczuwalny.

Seks nie był dla niego nowym doświadczeniem. Uprawiał seks, odkąd skończył szesnaście lat. Stracił dziewictwo dzięki koleżance siostry z pokoju w szkolnym internacie w Aleksandrii. Jillian dała mu noc, której nie zapomni nigdy.

Ciekawe, jak się potoczyło życie Jillian?

Przed dwudziestką i przez kilka lat po, kilka razy próbował się ustatkować. Kiedy skończył dwadzieścia pięć lat, przez rok nawet mieszkał z kobietą - Shannon. Zwykle dawał z siebie, ile potrafił, ale zawsze uczciwie uprzedzał, że nie chce zobowiązań. Wiedział, że zdarzają się szczęśliwe małżeństwa - jego rodzice spędzili razem dwadzieścia wspaniałych lat, ale był również świadomy, że są związki z piekła rodem. Drugie małżeństwo jego ojca cuchnęło ogniem i siarką.

Oczywiście, powód był prosty. Nigdy żadnej kobiety nie kochał na tyle, żeby chcieć z nią spędzić resztę życia. A co czujesz do Genny?

Zakręcił wodę, wyszedł na wyłożoną płytkami podłogę i chwycił gruby, puszysty ręcznik z wieszaka obok. Wycierając się, rozmyślał nad pytaniem, które sam sobie postawił. Co czuje do Genny? Pragnie jej. I owszem, jeżeli ma być ze sobą całkiem szczerzy, musi przyznać, że jest w niej zakochany. Uczucie dopadło go, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, i od tamtej pory rozwijało się w piorunującym tempie.

Choć brzmi to banalnie - nigdy nie czuł czegoś podobnego do żadnej kobiety.

Wytań się, wziął kłębek brudnych ubrań i zaniósł je ze sobą do sypialni. Wetknął je do plastikowej torby i przejrzał rzeczy w swojej walizce, szukając czegoś, co mógłby na siebie włożyć. Piżamy w ogóle nie miał. Od dziecka sypiał w bokserkach. Przejrzał ograniczone zasoby garderoby i zdecydował się na parę mocno znoszonych dżinsów. W domu panowało przyjemne ciepło, więc został bez koszuli. I tak za chwilę będzie się rozbierał.

Stojąc samotnie w swojej sypialni, na bosaka i z nagim torse, rozmyślał nad tym, co za chwilę się stanie. Będzie się kochał z Genny. Całą noc. Jeden raz na pewno mu nie wystarczy. Cholera, dwa albo trzy razy też mu nie wystarczą.

Zwykle nie rozmyślał tak wiele o seksie, ale do tej pory nie kochał się z kimś takim jak Genny. Nie miał pojęcia, jakie było jej doświadczenie. Była bardzo seksowną, zmysłową kobietą. Na pewno miała przed nim innych mężczyzn.

Do diabła! Z absurdu, czysto irracjonalnego, szowinistycznego powodu, nie chciał myśleć o tych mężczyznach.

To nie będzie przygoda na jedną noc. Wprowadził się do domu Genny i będzie tu mieszkał dopóki zabójca nie zostanie

schwytany. To, co zacznie się tej nocy, będzie trwało tak długo, jak długo on zostanie w hrabstwie Cherokee. Czy Genny zadowolony przelotny romans? Czy zadowolony jego?

A jak myślisz? - spytał sam siebie. Ten rodzaj miłości, jaki czuł wobec Genny, był dla niego czymś zupełnie nowym. Nie był pewien, jak sobie z nim poradzić. Czy małżeństwo wchodzi w rachubę? Czy opuściłaby góry, swój styl życia, żeby pojechać z nim do wielkiego miasta? Albo z drugiej strony, czy on odszedłby z FBI i osiadł na wzgórzach, żeby wieść sielskie życie?

Cholera, po co zawraca sobie głowę rozmyślaniami nad przyszłością? Liczy się tylko ta noc. Tu i teraz. Jutro przyniesie nowe problemy. Jak zawsze. Żyj chwilą - oto jego filozofia.

Odsunął na bok troski i przeszedł korytarzem do pokoju Genny. Uchylone drzwi ukazywały oświetlone świecami wnętrze. Ścisnęło go w żołądku. W życiu nie widział niczego równie romantycznego. W kominku igrał ogień. Łóżko było pościelone. Po drewnianej podłodze tańczyły blade, drżące cienie.

Drzwi łazienki się otworzyły. Z oświetlonego pomieszczenia wyłoniła się Genny i weszła do sypialni. Na widok jej piękna zaparło mu dech. Rozpuszczone kruczoczarne włosy sięgały jej do pasa. Kiedy szła do niego w świetle świec, pod długą do ziemi koshulą rysowały się delikatnie jej szczupłe kształty.

- Wejdz, proszę - powiedziała cichym, łagodnym głosem.

Zrobił kilka kroków, a potem przystanął, bo nie był w stanie oderwać wzroku od Genny. Jego męskość wyrывała się, żeby ją dopaść. Teraz.

Ale nie mógł działać za szybko. Nie z tą kobietą. To ma być przecież ich pierwszy raz. Chciał, żeby był niezapomniany.

- Nie mam szampana - oznajmiła Genny. - Mam tylko trochę cydru.

- Szampan nam niepotrzebny. - Dallas rozejrzył się po pokoju, a potem znów utkwiał wzrok w Genny. - Mam wszystko, czego nam potrzeba.

- Mam ciebie, więc mam wszystko. - Przysunęła się do niego, niczym anioł w kobiecym ciele.

- Genny, kochanie... Boże, nie wiem, co powiedzieć.

- Słowa chyba nie są potrzebne? Nie musimy używać słów, żeby się porozumieć. Serca mówią za nas.

A za niego mówiło w dodatku ciało. Potrafiło pokazać, jak bardzo jej pragnie i jak rozpaczliwie jej potrzebuje.

Wyciągnął rękę, a ona podeszła do niego. Wsunął palce w jej włosy i położył dłoń na jej karku. Zadarła brodę i spojrzała na niego. To jedno spojrzenie sprawiło, że wszystko zrozumiał. Miała rację - nie potrzebowali słów. W jej oczach widać było to, co czuła. Całą miłość i tęsknotę.

- Genny. - Jej imię odbiło się echem w ciszy sypialni. Rozchyliła wargi, wzdychając łagodnie.

Przyciągnął jej twarz i pochylił się nad nią, zbliżając swoje wargi do jej ust. Pocałował ją. W tej właśnie chwili dotarło do niego, że jego życie już nigdy nie będzie takie, jak dawniej.

Poddała się pocałunkowi bez oporów. Jej ciało przywarło do jego ciała. Doznania zalewały ją całą. Czuła ból między nogami. Ciężar piersi. Wzbierające w niej pulsujące pożądanie.

Jej palce wędrowały po jego rękach, w górę, ku barkom, aż nagle zamarły, zaciskając się mocno na twardych mięśniach. Stojąc na czubkach palców, usiłowała się do niego zbliżyć, a wtedy on zsunął dłonie po jej plecach, chwycił za pośladki i uniósł ją do góry. Przez cały czas nie przestawał jej całować.

Czuła zapach jego pożądania. Męski zapach podniecał ją nie do zniesienia. Pulsowanie między nogami wzmagало się. Zaczęła w niej wzbierać wilgoć, przygotowując jej ciało na połączenie.

Dallas zakończył pocałunek, wziął ją w ramiona i przeniósł przez pokój. Położył ją na łóżku i uniósł się nad nią, opierając kolana po obu stronach jej bioder. Zaczął rozpinać rząd małych perłowych guzików, ciągnący się przez całą długość koszuli. Za każdym razem, kiedy przekładał perełkę przez dziurkę, jego oczom ukazywał się maleńki fragment ciała, nad którym zatrzymywał się na chwilę. Pieścił, całował, lizał. Centymetr po centymetrze rozpinął jej koszulę i poddawał jej ciało słodkim torturom. Zanim doszedł do pępka, wiła się i jęczała, a namiętność wzbierała w niej coraz bardziej i bardziej.

Kiedy dotarł do ostatniego guzika, rozchylił koszulę i spojrzał na Genny. Miała wrażenie, że jego palący wzrok odciska na niej piętno.

Pocałował każdą pierś, polizał jedną brodawkę i zajął się drugą. Oderwała biodra od łóżka, szukając bliższego kontaktu. Zachłannie ssał jedną pierś, a jego palce pieściły i ugniatały drugą.

Wyznaczając językiem ścieżkę od szyi do pępka, wsunął prawą rękę między jej uda i je rozchylił. Jego palce powędrowały po jej łonie, zanurzyły się między wargi sromowe i zagłębiły w jej kobiecości.

Poczuła, że całe jej ciało się naprężyło. Zorientował się, że jest gotowa na jego przyjęcie. Zsunął się z łóżka, zdjął dżinsy, wyjął z kieszeni prezerwatywę i rzucił spodnie na podłogę. Zafascynowana, przyglądała się, jak wsuwa prezerwatywę na dużego, wzwiedzonego penisa.

Nagle zrobił coś niespodziewanego. Przesunął ją do krawędzi łóżka, uniósł jej rozchylone nogi, położył je na swoich ramionach i zakrył ją swoimi ustami. Krzyknęła, kiedy zaczął ją lizać i ssać. Napięcie narastało w niej, kiedy jego język pocierał, pieścił i drażnił. Doprowadził ją na sam skraj rozkoszy, a wtedy wycofał się i pocałował wewnątrz jej ud. Kiedy już myślała, że



zwariuje, o ile nie da jej zaspokojenia, jakiej pragnęło jej ciało, zwiększył nacisk i tempo.

Coraz bardziej. I bardziej.

Eksplozja.

Zatraciła się, kiedy przeszył ją orgazm, wstrząsając nią od stóp do głów. Kiedy opuszczał ją ostatni spazm, Dallas wsunął się do łóżka, położył na niej, uniósł jej biodra i wbił się w nią.

Kiedy pozbawił ją dziewictwa, ból przeszył ją niczym tępy nóż. Zamarł, kiedy zrozumiał, co się stało.

- Mój Boże, Genny, czemu mi nie powiedziałaś?

Zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła jego twarz do swojej. Pocałowała go i wolno zaczęła poruszać biodrami, wciągając go głębiej w siebie.

- Jesteś pewna? - spytał. - Jeżeli za bardzo boli, to...

Uciszyła go kolejnym pocałunkiem, a jej ciało poruszało się w niezmiennym rytmie, zachęcając go, żeby nie przestawał.

- Genny... Genny...

Obsypując ją pocałunkami, wsuwał się w nią coraz głębiej, aż zanurzył się do końca. Zamarł na chwilę, a później ostrożnie się wycofał. Znów się zanurzył. Powoli. Delikatnie. Mimo wszystko stopniowo zwiększał tempo. A kiedy westchnęła z rozkoszy, przestał się powstrzymywać i zaczął wsuwać się w nią mocniej i szybciej.

Nie mogła uwierzyć, że dochodzi po raz drugi, ale tak właśnie było. Znów miała orgazm. A kilka sekund po tym, jak krzyknęła z rozkoszy, Dallas jęknął. Szczytował. Jego masywnym ciałem wstrząsnęły dreszcze. Krzyknął i opadł na nią.

Obudził się podniecony. Czuł drobne ręce i nogi Genny oplecione wokół jego ciała pod sięgającą do pasa kołdrą, i jej głowę, spoczywającą na jego piersi. Czule pogładził ją po

włosach. Leżąca przy nim Genevieve Madoc, bezgranicznie ufna i zupełnie oddana, była spełnieniem jego męskich fantazji. Dziewica, która nigdy wcześniej nie miała żadnego innego mężczyzny. Chodząca niewinność, która reagowała namiętnie, pragnęła go zadowolić i była gotowa zrobić wszystko, o co poprosił. Kochanka, która ożywała przy każdym jego dotyku i przeżyła dwa orgazmy, chociaż nie była doświadczona.

Zauważył, że świece nadal się palą, a ogień dalej jasno płonie. Zasnęli zaledwie kilka godzin wcześniej, po pierwszym zbliżeniu, ale już pragnął jej znowu.

Pocałował ją w czoło. Drgnęła, ale się nie obudziła. Przesunął dłonią po jej plecach, po biodrze i ujął zaokrąglony pośladek. Otarła się o niego... jedwabście, zmysłowo... jak mała, rozpieszczona kotka, szukająca zainteresowania. A kiedy usłyszał jej mruczenie, wiedział, że się obudziła.

- Jesteś bardzo obolała? - spytał cicho.

- Nie bardzo. - Uniosła głowę z jego torsu, przesunęła się w górę i pocałowała go w szyję.

Zaczął pieścić jej brzuch okrężnymi ruchami, a potem wsunął dłoń między jej uda. Zacisnęła je na jego dłoni, wiążąc wścibskie palce.

- Chcę cię jeszcze - powiedział.

Nogą odsunęła kołdrę na brzeg łóżka i wsunęła się na niego, przygotowując ciało na szybkie, płynne połączenie. Chwycił ją w pasie, uniósł na tyle, żeby posadzić na swoim wzwiedzionym członku. Dopiero kiedy był głęboko w niej, uświadomił sobie, że wziął ją bez żadnego zabezpieczenia. Chciał się wycofać, ale przywarła do niego.

- Nie, nie tym razem - wymruczała. - Teraz chcę cię całego. Do końca.

- Ale Genny...

- Ty też tego chcesz. Wiem.

Miała rację. Też tego chciał. Bez żadnych barier. Tylko z Genny mógł zapomnieć o ostrożności, bo tylko przy niej konsekwencje nie miały znaczenia.

Ujeżdżała go tak, jakby robiła to z nim wcześniej ze sto razy. Poruszali się w doskonałej harmonii. Całowali się. Pieścili. Wzdychała i krzyczała. On jęczał i szeptał sprośne, perwersyjne słowa, które najwyraźniej wzniecały w niej ogień.

Wzbierała w nich namiętność, a ruchy stawały się coraz dziksze. Turlali się po łóżku, kilka razy zmieniając pozycję, aż w końcu zsunęli się na podłogę przed kominkiem. Dallas podniósł ją z wielkiego owalnego dywanu i znowu posadził na sobie. Siedziała, odchylając głowę do tyłu, a jej piersi błagały o dotyk jego warg i nagle zrozumiał, co miała na myśli, mówiąc, że chce go całego. Do końca.

Czuł to, co czuła Genny, słyszał jej myśli, wyczuwał swoje własne ciało w niej. Nie miał pojęcia, co się z nim działo, bo nigdy czegoś podobnego nie doświadczył. Nie był w stanie tego wytłumaczyć, ale gdzieś w odmętach zaćmionego umysłu wiedział, że Genny się z nim połączyła. Nie tylko telepatycznie. To było coś więcej.

Bez słowa błagała go, żeby ją kochał, żeby nigdy nie przestał, żeby był częścią niej na zawsze. Kiedy spełnienie spłynęło na nich jednocześnie, Dallas zrozumiał, że Genny jest wszystkim, czego potrzebuje. Wszystkim, czego kiedykolwiek potrzebował.

## Rozdział 22

Chyba trzeba wstawać i się ubrać. - Dallas przesunął dłonią po plecach Genny i pogładził ją po biodrze. - Za niecałą godzinę zjawi się Jacob.

- Muszę zawołać Drudwyna do domu i go nakarmić - powiedziała Genny.

- Kiedy go wypuściłem, pobiegł prosto do lasu.

- Cóż, ma dziewczynę, na pewno nie mógł się doczekać, żeby się z nią zobaczyć.

- Wiem coś o tym.

Genny uniosła ręce nad głowę i przeciągnęła się jak kocica wygrzewająca się na słońcu.

- Nigdy w całym życiu nie czułam się tak wspaniale. - Zarzuciła Dallasowi ręce na szyję i obsypała go pocałunkami od ucha do ramienia. - Dallasie Sloanie, chyba jestem z ciebie bardzo zadowolona.

Wyciągnął rękę i przygarnął ją do siebie. Przytuliła się do jego prawego boku, a głowę oparła na jego piersi. Pocałował ją w czoło.

- Wzajemnie. Właściwie nic lepszego nie mogło mi się w życiu przydarzyć.

Genny przysunęła się jeszcze bardziej, rozkoszując się bliskością ich nagich, wtulonych w siebie, ciał.

- Ja czuję to samo. - Przesuwając kolanem w górę i w dół jego nogi, bładziła palcami po jego owłosionym torsie.

- Genny, odnośnie do tego, co się stało... - Odkaszlnął. - Nie chodzi mi o wspaniały seks. Chodzi mi o coś innego. Nie wiem, jak to określić.

- O porozumienie. - Uniosła głowę i spojrzała prosto w jego błękitne oczy. - Jedno wyczuwa to, co myśli i czuje drugie.

- Tak, chyba o to chodzi. - Nie przestawał jej pieścić, jakby nie miał wyjścia i musiał jej dotykać. - Po pierwszym razie, było

tak za każdym razem, kiedy się kochaliśmy. Przeżywałem to, co ty przeżywałaś i...

- A ja wyczuwałam... wszystko to, co ty czułeś.

- Jak? - spytał. - Jak to jest możliwe?

- Nie wiem. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłam. - Zaśmiała się cicho. - Ale babcia mówiła, że tak będzie. Ona doświadczała tego z dziadkiem Butlerem. Nazywała to porozumieniem.

- To porozumienie... Ty to czujesz nawet wtedy, kiedy się nie kochamy, prawda? - Chwycił jej podbródek. - Powiedz mi prawdę. Czy zawsze możesz czytać w moich myślach?

- Nie umiem czytać w twoich myślach. - Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Nawet kiedy się kochamy. Niezupełnie. To jest bardziej więź, fizyczna, umysłowa i uczuciowa więź... jedność.

- Tak, tak to odczuwam. - Przesunął dużą dłońią po jej karku, do piersi. Wzięła głęboki oddech, kiedy stwardniały jej sutki. - A teraz nie możesz czytać w moich myślach? - spytał.

- Nie, ale mogę ci przekazać telepatyczną wiadomość - powiedziała. - A jeżeli się wsłuchasz, usłyszysz mnie.

- Tamtego wieczoru, kiedy poprzysiągłem sobie, że nigdy więcej do ciebie nie przyjadę, kiedy wróciłem do domu, odniosłem nieodparte wrażenie, że mnie potrzebujesz. - Wyprostował się na łóżku, odsuwając ją na bok. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią podejrzliwie. - Wydawało mi się, że widziałem twoje odbicie nad umywalką... Mój Boże, ty mi wtedy wysłałaś telepatyczną wiadomość, prawda?

- Właściwie mnie nie słyszałeś - tłumaczyła, wstając z łóżka. - Raczej wyczułeś, co do ciebie mówię. - Podniosła koszulę nocną z podłogi, włożyła ją na siebie i pośpiesznie zapięła małe, perłowe guziczki. - Teraz, kiedy połączyliśmy się fizycznie, powinieneś być w stanie słyszeć, jak do ciebie mówię... w myślach. Jeżeli będziesz się wsłuchiwał.

- Wygląda na to, że przestaniemy potrzebować telefonów. - Dallas wstał, podniósł z podłogi dzinsy i je włożył.

- Pod warunkiem że ty będziesz mógł się komunikować ze mną w ten sam sposób...

Odwrócił gwałtownie głowę. Ich spojrzenia się spotkały.

- No dobrze. Tak, rozumiem, co masz na myśli. Ty możesz mi wysłać wiadomość, ale ja nie mam zdolności, żeby ci na nią telepatycznie odpowiedzieć.

- Masz w sobie tę zdolność - powiedziała. - Tylko jeszcze nie nauczyłeś się nią posługiwać.

Jak ma powiedzieć Dallasowi, że tylko wtedy, kiedy całym sercem uwierzy w swój własny szósty zmysł, tak jak uwierzył w jej, będą mogli połączyć się naprawdę, tak jak babcia i dziadek Butler? Sam będzie musiał do tego dojść. Kiedy jego miłość do niej stanie się dość silna, wiara w ich jedność dość mocna, granice między nimi znikną zupełnie. A wtedy zawsze, kiedy będą chcieli, będą mogli uciec, tylko we dwoje, w ich sekretne miejsce. Miejsce w nich samych, do którego nigdy nikt inny nie będzie miał wstępu.

Dallas nie przestawał się w nią wpatrywać przez kilka kolejnych minut, a potem skinął głową.

- Chyba będę musiał przyzwyczaić się do tego, że moja dziewczyna ma zdolności paranormalne.

Genny podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję, wspięła się na palce i go pocałowała. Zareagował natychmiast, odwzajemniając pocałunek. Wziął ją na ręce i zaniósł do łazienki. Odkręcił wodę, ściągnął z niej koszulę, a sam zdjął dzinsy.

- Oszczędzimy czas, jeżeli weźmiemy wspólnie prysznic. - Chwycił ją w talii i postawił w brodziku.

- Jeszcze więcej czasu zaoszczędzimy, jeżeli umyjemy się nawzajem.

- Podoba mi się ten pomysł - stwierdził. - Ale uprzedzam cię, jeżeli mnie dotkniesz, będę musiał się z tobą kochać.

Jej dłoń zawisała nad jego torsem. Nie dotykając go, przesuwając ręką niżej i niżej, aż w końcu wyciągnęła dłoń i objęła jego wzwiedziony członek.

- Ostrzegalem cię.

Chwycił ją. Roześmiała się, kiedy uniósł ją do góry i posadził na swoim penisie. Objęła nogami jego biodra i poddała się wibrującej przyjemności.

Dallas i Jacob stali tuż za progiem sypialni Melvy Mae Butler i przyglądali się, jak Genny zasłania kotary i zapala wszystkie białe świece ustawione w pokoju.

- Woli korzystać z pokoju babci, kiedy wróży albo wykorzystuje dar widzenia dla konkretnego celu - wyjaśnił Jacob. - Raczej się do tego nie przyznaje, ale chyba wierzy, że kiedy jest w tym pokoju, dusza babci w jakiś sposób ją chroni.

- Wiesz co, kilka tygodni temu wziąłbym cię za wariata, gdybyś mi powiedział, że wierzysz w takie rzeczy - przyznał Dallas. - Z początku myślałem, że Genny jest po prostu piękną wariatką.

- Ale teraz już wiesz, że jest inaczej. - Jacob spojrzął Dallasowi prosto w oczy. - Nie skrzywdź jej. Nie złam jej serca. Bo inaczej... będę musiał skrócić ci kark.

- Przysięgam, że zrobiłbym dla niej wszystko. - Dallas skinął głową.

Byłbym w stanie zabić, żeby ją chronić. Oddałbym za nią życie, dodał w myślach.

- Tak przypuszczałem.

Genny przysunęła trzy krzesła do małego stolika i skinęła na Dallasa i Jacoba.

- Podejdźcie tu i usiądźcie. Obaj.

Zrobili to, o co prosiła. Kiedy usiedli, ona również zajęła miejsce.

- Może się uda, a może nie. Ale jeśli tak, to bardzo głęboko zanurzę się w inny wymiar. I jeżeli zapędzę się za daleko, będę potrzebować pomocy, żeby wrócić. - Spojrzała na Jacoba. - Robiliśmy to już wcześniej, więc wiesz, czego się spodziewać.

- Tylko bądź bardzo ostrożna - powiedział Jacob. - Pamiętam, że raz ledwie dałem radę cię wyciągnąć.

- Tym razem nie jesteś sam. Masz kogoś do pomocy. - Genny uśmiechnęła się do Dallasa, pochyliła się i ścisnęła jego rękę. - Żeby wyciągnąć mnie z powrotem, możesz mówić głośno, ale musisz mówić też w myśli. Musisz posługiwać się myślami, żeby przyciągnąć mnie z powrotem. Rozumiesz?

- Chyba tak. - Dallas z trudem przełknął ślinę. Ścisnął jej rękę. - Skoro jesteś przekonana, że musisz to zrobić... tylko uważaj. Bardzo uważaj.

Wyswobodziła jego dłoń, wyprostowała się na krześle i zamknęła oczy. Dallas bacznie się jej przyglądał. Miał wrażenie, że zupełnie się rozluźniła. Minuty wydawały się godzinami. Słyszał bicie własnego serca, wyczuwał każdą upływającą sekundę. Cisza panująca w pokoju była prawie nie do zniesienia. W pewnej chwili dotarły do niego subtelne dźwięki, których w normalnych warunkach by nie usłyszał. Łagodny wiatr za oknem cicho szemrał. Tykanie zegara przy łóżku stawało się coraz głośniejsze. Po korytarzu niósł się łoskot kostek lodu wypadających z automatu w lodówce. W uszach rozbrzmiewało mu dudnienie własnego serca.

Nagle oddech Genny stał się ciężki i przyspieszony. Rozchyliła usta, żeby nabrać powietrza. Drgnęły jej powieki. Jęknęła cicho.

- Co się dzieje? - spytał Dallas.

- Połączyła się - odpowiedział szeptem Jacob.



- Boli ją?

- Nie.

Wydawała dziwne odgłosy. Wzdychała. Jęczała. Skomlała. Przez cały czas siedziała z zamkniętymi oczami, niemal bez ruchu.

W pewnej chwili odchyliła głowę do tyłu, a na jej twarzy pojawił się wyraz cierpienia.

- Nie, proszę, nie! - krzyknęła Genny.

- Co się dzieje, Genny? Co się stało? - Dallas wyciągnął rękę, ale Jacob chwycił go i pokręcił głową.

- Możesz nam coś powiedzieć? - spytał Jacob.

- Krew. Krew na jej twarzy. Krew na rękach... nóż. Nie!

Dookoła ciemność. Roztańczone opary zła wiły się wokół bosej postaci stojącej na ziemi w pentagramie, narysowanym krwią. Własną krwią kobiety, spływającą z niewielkich nacięć na jej rękach. Nad głową trzymała splamiony purpurą nóż, kołysząc się lekko i nucąc. Wokół nagich ramion wiły się bezładnie płowe włosy.

- Książę Belzebubie, przyzywam cię! - krzyczała kobieta. - Pragnę zawrzeć z tobą przymierze i prosić, byś mnie chronił i błogosławił.

Genny wyraźnie widziała twarz kobiety. Emanowały z niej rozkosz i ból. Stała całkiem naga na środku ciemnego pomieszczenia. Sama.

- Wzywam cię, wielki Lucyferze, żebyś zesłał posłańca, który przyjmie moje ofiary, a jeżeli te dary będą ci miłe, spełnij dzisiaj moją groźbę. Pragnę, byś mnie pouczył o sposobach starożytnych przodków.

*To jest złe!* - krzyczała w myślach Genny. *Nie prosz o nic sił ciemności. Diabeł zabierze ci duszę.*

Kobieta przestraszyła się, kiedy usłyszała w umyśle głos Genny, i wypuściła miecz na betonową podłogę. Zatrzymała się gwałtownie i rozejrzała wokół siebie.

- Kto do mnie mówi? - Wyszła z przekłętego kręgu i zaczęła przeszukiwać pomieszczenie.

*Nie ma mnie z tobą w pokoju. Jestem w twoim umyśle. Widzę, co zamierzasz zrobić. Wiem, co chciałabyś osiągnąć. Musisz teraz przestać. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Ani dla ciebie, ani dla innych.*

Kobieta pokręciła głową, jakby usiłowała otrząsnąć się ze słów, które rozbrzmiewały w jej umyśle. Kiedy jej poszukiwania okazały się bezskuteczne, wyciągnęła rękę, dotknęła kontaktu na ścianie i pokój zalało światło z sufitu.

Genny zobaczyła, że kobieta znajduje się w przestronnym pomieszczeniu w piwnicy. Widziała niewykończone ściany z pustaków i betonową posadzkę. W kolorze wyblakłej szarości. Zimne. Wilgotne.

- Jesteś czarownicą? - spytała kobieta.

*Nie jestem czarownicą,* odpowiedziała Genny.

- Kim jesteś? Czego chcesz? Jak się ze mną porozumiałaś? Proszę, odpowiedz mi. Chcę się dowiedzieć. Muszę...

Genny zaczęła się wycofywać, wiedząc, że połączyła się ze złem, ale nie z potworem, którego szukała.

- Odpowiedz mi, do cholery!

Genny usiłowała przerwać połączenie z Esther Stowe, ale żona duchownego trzymała ją mocno i nie chciała wypuścić.

- Muszę wiedzieć, kim jesteś.

*Jestem kimś, kto nie chce zrobić ci krzywdy.*

- Jesteś posłańcem mojego pana, Szatana?

*Nie, Esther, nie jestem. Moja moc pochodzi od dobrego i kochającego Boga.*

Esther przestraszyła się i w jednej chwili poluźniła uścisk. Umysł Genny poszybował przez niekończące się odmęty ciemności. Czarnej. Obrzydliwej. Wśród niebezpiecznych oparów przekleństwa. Odważnie walczyła, żeby uciec.

Wirujące dookoła niej szare opary nagle zniknęły i zostało jedynie czyste, jasne światło. Odetchnęła głęboko, wiedząc, że jest wolna i znów nad wszystkim panuje.

Otworzyła oczy i spojrzała najpierw na Dallasa, a potem na Jacoba. Obaj pochylali się nad nią ze zmartwionymi minami.

- Nie dotarłam do zabójcy - powiedziała słabym głosem. - Połączyłam się z kobietą, która uważa się za czarownicę i uprawia czarną magię.

- Jak to możliwe? - spytał Jacob. - Skoro koncentrowałaś się na Cherokee, to znaczy, że...

- Mieszka w Cherokee Pointe - powiedziała Genny. - To Esther Stowe, żona duchownego.

Esther wbiegła po schodach do łazienki, wzięła szybki prysznic, żeby zmyć krew z ciała i posmarowała nacięcia maścią antyseptyczną. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Prawdę mówiąc, nie rozumiała, co to oznaczało. Ale nie miała cienia wątpliwości, że połączyła się telepatycznie z innym umysłem. Jednak nie był to wyznawca okultyzmu, taki jak ona.

Głos powiedział, że nie należał do czarownicy, ale Esther była innego zdania. Osoba, która posiada tak niezwykłą moc, musi być co najmniej kapłanką, chociaż pewnie kapłanką białej magii. Chciałaby móc połączyć się z nią jeszcze raz.

Otworzyła drzwi szafy, zdjęła z wieszaka szary dres i się ubrała. Założyła skarpetki oraz buty i skierowała się do drzwi wyjściowych. Chwyciła wiszący na wieszaku biało-czarny tweedowy płaszcz i wybiegła z domu, nie zamykając drzwi na klucz. Pędziła chodnikiem, kilka razy zaczęła nawet biec,

zwalniając później do szybkiego marszu. W rekordowym czasie pokonała drogę z plebanii do kościoła, który znajdował się przecznicę dalej.

Miała nadzieję, że Haden jest sam. O wiele za dużo czasu poświęcał pracy, pocieszaniu i doradzaniu członkom swojego Kościoła. Miał dobre serce, chociaż lubił dziwactwa. Poznała go, gdy miała siedemnaście lat. Był duchownym w kościele w Abilene w Teksasie, do którego uczęszczała jej ciotka, Theda. Poszli do łóżka po około miesiącu spotykania, a jak tylko skończyła osiemnaście lat, pobrali się. Cholera, wyszłaby chyba za każdego, byle tylko uciec od ciotki Thedy i Abilene. Z początku seks był dobry i Haden dogadzał jej, dając wszystko, czego tylko zapragnęła. Ale w niedługim czasie ujawnił swoje seksualne dziwactwa. Był podglądaczem. Lubiał obserwować. A nic nie rozpałało go bardziej niż patrzenie, jak pieprzy ją inny mężczyzna.

Marty Gannon stał się jej kochankiem i nauczycielem. Wciągnął ją w satanizm, a ona szybko odkryła swoje prawdziwe powołanie. Przez pięć ostatnich lat zawzięcie pracowała w swoim fachu, najpierw szukając innych kręgów czarownic, kiedy wraz z Hadenem przenosiła się z jednej parafii do drugiej, a w końcu tworząc swój własny krąg i mianując się najwyższą kapłanką.

Haden kategorycznie sprzeciwiał się temu, żeby uprawiała czarną magię, ale kiedy zagroziła, że zakończy zabawy i gierki, bez których nie mógł żyć, stał się bardziej tolerancyjny. Z początku nie chciał przyłączyć się do rytuałów, ale kiedy do listy praktyk dołączono orgie seksualne, nie był w stanie się oprzeć. Sam nigdy w nich nie uczestniczył, ale obserwował, czerpiąc z tego lubieżną satysfakcję.

Esther zapukała do drzwi biura i czekała. Nauczyła się, że nie może zniecka wpadać do męża, kiedy jest w pracy.

- Tak, proszę - powiedział Haden.
- Jesteś sam? - Uchyliła drzwi i zajrzała do środka.
- Tak, pracuję nad niedzielnym kazaniem.
- Mam ci coś wspaniałego do powiedzenia. Nie uwierzysz.

Wpadła do pokoju i podbiegła do niego. Zarzuciła mu rękę na szyję i usiadła mu na kolanach. Zaskoczony, odchylił się z trudem i zaczął się jej uważnie przyglądać.

- Dziś po południu połączyłam się z kimś telepatycznie - oznajmiła.

- Mój Boże! - Oczy Hadena otworzyły się szeroko z przerażenia. - Z kim?

- Uspokój się. Nie rozmawiałam osobiście z Kosmatym. - Roześmiała się. - Połączyłam się z kobietą, która twierdzi, że nie jest czarownicą, ale ja wiem swoje. Tylko że uprawia białą magię i...

Haden chwycił Esther za podbródek. Jęknęła, kiedy jego długie, szczupłe palce wbiły się w jej skórę.

- Pozwoliłaś, żeby ktoś poznał twoją tożsamość? Ktoś, kogo nie znasz i komu nie ufasz? - Haden spojrział na nią z wściekłością. - Ty kretynko, masz pojęcie, co zrobiłaś?

- Co się z tobą dzieje? Czego się tak wściekasz?
- Wiesz, co to za kobieta?

Esther pokręciła głową.

- Czy ona wie, kim jesteś? - spytał.
- Nie wiem, czy wie... - Esther zaniemówiła.
- Co?
- Powiedziała do mnie „Esther”.

- Ty idiotko. Wystawiłaś się. Wystawiłaś nas. Ta kobieta z telepatycznymi zdolnościami wie, że zajmujesz się czarami. Nasze życie będzie zrujnowane, jeżeli prawda wyjdzie na jaw.

- Ale... ale... dlaczego miałyby... co miałyby za... och, Haden, jak myślisz, kto to jest?

Kiedy zepchnął ją ze swoich kolan, o mały włos nie straciła równowagi, ale w porę chwyciła się biurka. Przeszedł przez pokój. Esther stała w milczeniu i czekała, aż przejdzie mu złość.

- Genevieve Madoc! - krzyknął. - Dziewczyna z gór. Ludzie z Cherokee Pointe mówią, że jej babka była czarownicą. Prawdopodobnie miała silne zdolności paranormalne. To na pewno ona. Nie sądzę, żeby mógł to być ktoś inny.

- Ona jest chyba kuzynką albo siostrą szeryfa.

- Kuzynką. Jeżeli powie mu o tobie, a on zacznie węszyć, odkryje nasze sprawy, a wtedy...

- Wszystko ukryję - powiedziała Esther. - Zbiorę wszystkie moje książki i mikstury i... Obiecuję, że nie będę...

- Jeżeli powiąże nas z ofiarami ze zwierząt, które złożyliśmy jesienią w lesie, to stąd już krótka droga, żeby zaczęli podejrzewać nas o morderstwo.

- O morderstwo? Ale czyje?

- W Cherokee zostały złożone w ofierze trzy kobiety. Nie sądzisz, że ludzie pomyślą, że ten, kto złożył rytualne ofiary ze zwierząt na cześć diabła, równie dobrze mógł poświęcić ludzi?

- Może nie połączyłam się z Genevieve Madoc. Może...

Haden potrząsał nią mocno.

- To nie ty się z nią połączyłaś, idiotko. Nie masz mocy. To ona połączyła się z tobą. I teraz wie, kim jesteś.

- Co... co masz zamiar zrobić?

- Pozbędziesz się wszystkiego, co ma związek z twoją czarną magią. Nie obchodzi mnie, co z tym zrobisz, masz tylko dopilnować, żeby nie mogli powiązać tego z nami.

- Ale co z tą Madoc?

- Nie martw się. Zajmę się nią.

## Rozdział 23

Dallas, silnym ramieniem obejmując Genny w pasie, zaprowadził ją z pokoju babki do jej sypialni. W młodości, zawsze kiedy odzyskiwała siły po tym, jak wykorzystwała dar widzenia, była zależna od babci. Jednak przez sześć ostatnich lat nie miała wyjścia i musiała liczyć na Jacoba albo Jazzy, a czasem na Sally i Ludie. Byli jedynymi ludźmi, którym ufała bezgranicznie i którzy rzeczywiście rozumieli jej sytuację. Ale teraz ma Dallasa, tak długo, jak długo będzie chciał pozostać w jej życiu. Dzięki wyjątkowej więzi, jaka się między nimi zrodziła, dawał jej siłę, jakiej nikt inny nie mógł jej dać.

Kiedy Dallas pomagał jej się położyć, w progu stanął Jacob. Genny wyciągnęła do niego rękę i go zawołała.

- Jestem tu, *i gi do*. - Jacob podszedł do niej i chwycił ją za rękę.

- Esther Stowe uprawia czarną magię. Jest najwyższą kapłanką w kręgu z Cherokee Pointe - powiedziała Genny. - Kiedy byłam w jej umyśle, widziałam jej myśli: obrazy zwierzęcych ofiar i dzikich orgii. - Przerwała i wzięła kilka płytkich oddechów. - Marzy o magicznej mocy i wierzy, że zadziałają zaklęcia, którymi wzywa diabła.

- Miałaś wrażenie, że jest w jakiś sposób powiązana z rytualnymi morderstwami?

- Nie, ale... - Powieki Genny zaczęły opadać, aż w końcu się zamknęły.

- Genny? - odezwał się Dallas.

- Zasnęła. - Jacob wyswobodził jej dłoni. - Zostaniesz z nią?  
- zwrócił się do Dallasa.

Sloan skinął głową. Wyszli na korytarz.

- Chyba złożę przyjacielską wizytę wielebnemu Stowe i jego żonie - oznajmił Jacob. - Nie mogę ich o nic oskarżyć, bo nie mam dowodów. A żaden sędzia nie da mi nakazu rewizji, żebyśmy mogli przeszukać kościół i plebanie na podstawie tego, że Genny miała wizję. Ale mogę państwem Stowe'ami troszkę wstrząsnąć, wpadając do nich z wizytą.

- Genny chyba nie wyczuła, żeby Esther Stowe miała coś wspólnego z morderstwami, ale niewykluczone, że jej mąż... A może któryś z członków jej kręgu? Możliwe, że nasz morderca miał w przeszłości coś wspólnego z czarną magią.

- Zadzwoń...

- Lepiej skontaktuję się z Teri. Szybciej dostaniemy odpowiedź.

- To niech sprawdzi Carsona, Pierponta i Jamiego Uptona, no i oczywiście Hadena i Esther Stowe.

- Jasne - przytaknął Dallas. - Zadzwoń do mnie, jak porozmawiasz ze Stowe'ami.

- I tak bym do ciebie zadzwonił, żeby zapytać, jak czuje się Genny.

- Nie martw się o nią. Będę jej pilnował.

Esther Stowe była rozkoszną istotą, gibką i elastyczną a ciało miała wprost stworzone do pieprzenia. Kiedy poprosiła go o przysługę, chętnie się zgodził, bo wiedział, że odwdzięczy mu się seksem. Był wiernym członkiem jej małego, amatorskiego kręgu, więc była przekonana, że może mu wierzyć. I mogła - do pewnego stopnia. Gdyby wyjawiał jej tajemnicę, tym samym przyznałby się, że sam należy do ruchu, który oddaje cześć diabłu. A tym raczej nie chciał się chwalić. Lecz gdyby kiedyś go zdradziła, wyjawiając jego nazwisko jako wyznawcy szatana, srogo by ją ukarał.



- Będziesz musiał trzymać wszystko w swojej piwnicy - oznajmiła. - Wiem, że u ciebie moje rzeczy będą bezpieczne. I przez jakiś czas nie będziemy mogli się spotykać. Haden zabronił. Dopóki nie zyskamy pewności, że szeryf się nam nie przygląda.

- Nie ma się czym martwić - powiedział. - Wymyślimy, jak pozbyć się szeryfa Butlera. Za kilka tygodni będziemy mogli korzystać z mojej piwnicy, jeżeli zachowamy dyskrecję.

- Jasne. Świetny pomysł, skoro będą tu wszystkie moje rzeczy...

Chwycił ją za kark i przyciągnął do siebie.

- Jeżeli z jakiegoś powodu szeryf Butler będzie chciał przesłuchać ciebie i Hadena, nie możecie wyjawić nazwisk członków kręgu.

Ze strachem w oczach i zeszywniałym z napięcia ciałem Esther pokręciła głową.

- Nie, oczywiście, że nie. Nigdy bym tego nie zrobiła.

Uśmiechnął się do niej, a ona rozluźniła się i odwzajemniła uśmiech.

- Czy Haden wie, że będziesz przechowywać rzeczy w mojej piwnicy?

- Był jeszcze w kościele, kiedy je pakowałam i wynosiłam do samochodu. Zostawiłam mu na lodówce wiadomość, że wpadnę tutaj. Gdyby wrócił do domu i zobaczył, że mnie nie ma, na pewno by się martwił.

- Wolałbym, żeby Haden nie wiedział, że ci pomagam. Przynajmniej na razie. Jak wrócisz do domu, zniszcz liścik, który mu zostawiłaś.

- Jasne, oczywiście. Chyba, że zdążył go już zobaczyć.

Zacieśnił uścisk na jej szyi, uniósł ją i dotknął wargami jej ust.

Zadrżała. Roześmiał się.

- Chcę cię pieprzyć w usta - wyszeptał, ledwie dotykając jej warg.

Westchnęła ciężko.

Uwolnił ją z uścisku. Ukłękła przed nim i szybko rozpięła mu zamek w spodniach. Kiedy chciała wsunąć dłoń w jego bokserki, chwycił ją za rękę.

- Ja zrobię resztę - powiedział. - Ty tylko otwórz szeroko usta.

Zrobiła, o co prosił. Taka była z niej kapłanka. Jego matka nigdy nie pozwoliłaby, żeby mężczyzna - żaden mężczyzna - mówił jej, co ma robić. Matka była prawdziwą kapłanką. To ona wydawała rozkazy. To ona zadawała ból.

Uwolnił swój członek, chwycił od tyłu głowę Esther i wsunął go w jej usta. Kiedy sięgnął gardła, zaczęła się dławić, ale przytrzymał ją, wycofał się i powtórzył wszystko od nowa.

Mała, posłuszna dziwka. Gdyby nie zostawiła mężowi tej cholernej wiadomości, mogłaby stać się czwartą ofiarą.

Na ich szerokim podjeździe stała wielka ciężarówka szeryfa. Esther zakłęła, życząc szeryfowi, żeby piekło go pochłonęło. Co on tu robi? Czyżby jego kuzynka, ta cała Madoc, już zdążyła do niego zadzwonić i powiedzieć mu o ich rozmowie telepatycznej? A jeżeli szeryf zapyta ją, czy jest czarownicą?

Och, Boże, a jeśli Haden przyjął go w kuchni? Jeżeli szeryf zobaczył liścik?

Esther zwolniła, minęła ciężarówkę i zaparkowała starego mini coopera obok kościelnego minivana sedony, którym jeździł Haden. Nacisnęła klamkę tylnych drzwi, ale były zamknięte. To dobrze. To znaczy, że Haden wszedł od frontu, gdy wrócił z kancelarii parafialnej. Przekręciła klucz w zamku i szybko weszła do kuchni. Usłyszała dobiegające z salonu głosy Hadena

i szeryfa. Rzuciła torebkę i klucze na blat i zerknęła na lodówkę. Liścik nadal tam był. Odetchnęła z ulgą.

Odczepiła magnes, podarła wiadomość na drobne kawałki i wyrzuciła do śmieci.

Nadal miała na sobie jego zapach, jego smak w ustach. Nie mogła wejść do salonu i przywitać się z szeryfem. Musiała najpierw zmyć z siebie dowody niedawnego zbliżenia. Najpierw wypłukała usta wodą, później wzięła butelkę soku cytrynowego z lodówki i wlała sobie trochę do ust. Umyła twarz i ręce mydłem w płynie, sięgnęła pod umywalkę, wyjęła pojemnik Lysolu i spryskała się obficie. Tyle tylko była w stanie zrobić, nie idąc do łazienki, a z kuchni do łazienki nie mogła przejść niezauważona.

Wyprostowała się, zdobyła się na ciepły, przyjazny uśmiech i poszła do salonu przywitać się z gościem.

- Esther, moja droga - powiedział Haden, gdy tylko ją zobaczył. - Chodź, przywitaj się z szeryfem Butlerem.

Żona duchownego uśmiechnęła się serdecznie do szeryfa.

- Nigdy nie zgadniesz, o czym rozmawialiśmy z szeryfem - oznajmił Haden, pociągając nosem. Esther udała zdziwienie. - Opowiadał mi, że podejrzewa, że w Cherokee Pointe istnieje ruch satanistyczny. Wyznawcy diabła. Nie do wiary, nie sądzisz?

- Raczej tak - odpowiedziała. - Dość nieprawdopodobne.

- Wydawało mi się, że pani mąż powinien wiedzieć o naszych podejrzeniach - powiedział szeryf Butler. - Kontaktuje się ze wszystkimi duchownymi w hrabstwie Cherokee. Wydaje mi się, że bogobojni kaznodzieje powinni się tym zainteresować.

- Oczywiście. Oczywiście - przytaknął Haden.

- Dziękujemy, że przekazał nam pan tę wiadomość - powiedziała Esther. - Ma pan pojęcie, co to mogą być za ludzie?

- Nie mam pewności, madam. Ale może być pani pewna, że robimy, co możemy, żeby się dowiedzieć. Okoliczni mieszkańcy mają już dość ofiar ze zwierząt.

Haden nerwowo potarł dłonie. Niech go szlag! Esther miała ochotę wymierzyć mu policzek. To nie pora, żeby mięknąć. Rano, kiedy kazał jej pozbyć się wszystkiego, co łączy ich z kręgiem, był dość stanowczy. Woląa twardego, stawiającego warunki Hadena niż mięczaka i słabeusza, jakim często się okazywał.

- Chyba... chyba pan nie sądzi, że istnieje jakiś związek między ofiarami ze zwierząt a rytualnymi morderstwami? - spytał Haden, lekko drżącym głosem.

- Bierzemy pod uwagę możliwość, że mordercą jest członek ruchu. - Szeryf spojrzał w oczy Esther.

- Coś potwornego. - Esther pokręciła głową, udając zmartwienie.

- Będę się z państwem kontaktował od czasu do czasu. - Szeryf Butler podał rękę Hadenowi i wymienił z nim krótki uścisk dłoni. - Muszę zajrzeć jeszcze w parę miejsc, więc będę jechał.

Haden odprowadził szeryfa na chodnik, a jak tylko Butler wsiadł do ciężarówki, szybko wrócił do domu. Z miejsca zaatakował Esther.

- Widzisz, co narobiłaś swoją głupotą?! - ryknął. - On wie. Mówię ci, że wie.

- Wie tylko to, co powiedziała mu Genny Madoc, a wierz mi, że nie powiedziała nic takiego, co mogłoby skończyć się w sądzie.

- W sądzie? Czy ty myślisz, że martwię się tylko tym, żeby mnie nie zamknęli? Jeżeli wyjdzie na jaw, że jesteś czarownicą, stracę pracę. Nigdy więcej nie będę mógł głosić kazań.

- To nie byłoby wcale takie złe. Nie cierpię być żoną duchownego. Nigdy nie cierpiałam.

- Tak, wiem. - Spojrzenie Haden powiedziało jej, że żywi do niej niechęć w takim samym stopniu, w jakim ona gardzi nim. - Mamy poważny problem, jest się czym martwić. Poważnie. Co, jeżeli Genevieve Madoc będzie usiłowała jeszcze raz się z tobą skontaktować?

- Mam taką nadzieję. Ma wielką moc i mogłaby... - Haden wymierzył Esther policzek. Zachwiała się, potarła policzek i spojrzała na niego z wściekłością.

- Nie pozwalam na to - powiedział. - Słyszysz? Chyba wiesz, że ta kobieta jest dla nas niezwykle niebezpieczna.

- Zrobiłam to, o co prosiłeś. - Esther się roześmiała. - Wywiozłam wszystkie przedmioty, które mogłyby ściągnąć na nas podejrzenia o powiązanie z kultem. Mam zamiar zrobić to, co do mnie należy, żeby nas chronić. Ale musisz coś zrozumieć. Nie boję się ciebie, Haden. Nie masz nade mną władzy. - Podeszła do niego z uśmiechem na ustach. - i niezależnie od tego, co ci się zdaje, nie masz władzy nad Genny Madoc. Ale może ja mam. Mogę ją przekląć. Mogę...

- Jesteś kretynką, jeżeli ci się zdaje, że możesz rzucać na ludzi przekleństwa lub czary. Nie masz żadnej magicznej mocy. - Spojrzał na nią, mierząc ją od stóp do głów. - Masz talent jedynie do tego, żeby swoim ciałem zadowalać mężczyzn. Nie poradzisz sobie z Genny Madoc. Za to ja wiem, jak to zrobić.

Wallace MacKinnon zadzwonił późnym popołudniem, żeby spytać, czy ma przyjść nazajutrz do pracy. Dallas powiedział mu, że tak, o ile Genny nie poleciała mu inaczej. Nie było powodu zakładać, że Genny nie będzie w stanie prowadzić w miarę normalnego życia, chociaż wiedziała, że jest ostatecznym celem szaleńca. Dallas nie chciał zostawiać jej samej, nawet

gdyby Jacob mógł zapewnić jej należytą ochronę. Ale sytuacja wyglądała tak, że Jacob miał ograniczoną liczbę pracowników i każdy był potrzebny. Wydział szeryfa miałby więc problem, gdyby jednego funkcjonariusza musiał oddelegować do pilnowania Genny. A poza tym, Dallas nie był przekonany, czy jej bezpieczeństwo powierzyłby w ręce kogoś innego.

Genny odpoczywała, a Dallas doglądał szklarni, bo poprosiła go o to, kiedy na chwilę się przebudziła. Zostawił przy niej Drudwyna i dwa razy sprawdził, czy dobrze zamknął drzwi, zanim wyszedł na zewnątrz.

Słońce już zaszło i po wzgórzach przesuwaly się półcienie zmierzchu. Nadchodziła noc. Stojąc na tylnym ganku, spojrzął w niebo. Nad głową kłębiły się burzowe chmury. Nagle w oddali dało się słyszeć uderzenie pioruna. Prawdopodobnie do rana spadnie deszcz. A jeżeli temperatura sięgnie w nocy zera, może padać śnieg.

Dallas wszedł na oszkloną werandę, wytarł nogi w wycieraczkę i zdjął kurtkę. Powinien wstawić wodę na herbatę. Kiedy Genny się obudzi, będzie chciała się napić czegoś ciepłego. Przygotuje też kanapki na kolację. Pewnie nie będzie chciała nic jeść, ale namówi ją, żeby jednak coś przegryzła.

Powiesił kurtkę na wieszaku na werandzie, poszedł do kuchni i zabrał się za przygotowywanie wieczornego posiłku. Zanim czajnik z gotującą się wodą zaczął gwizdać, usłyszał skomlenie Drudwyna i wiedział, że Genny się obudziła i bawi się z wilczurem. Szybko zaparzył kubek herbaty. Niosąc go przez korytarz, uzmysłowił sobie, że czuła troska o kobietę zupełnie nie była w jego stylu. Do tej pory w związkach zwykle to on był obdarzany troskliwością i czułością. Kobiety na ogół się za nim uganiały, a kiedy miały chociaż cień nadziei, że go usidla, okazywały mu swoje względy. Po raz pierwszy w życiu to on coś z siebie dawał, a nie brał.

Chrząknął, kiedy znalazł się przed drzwiami sypialni Genny. Śmieszne, ale nigdy wcześniej na żadnej kobiecie nie zależało mu na tyle, żeby zawracać sobie głowę jej potrzebami innymi niż seksualne. Genny była inna.

Boże, to mało powiedziane!

Kiedy wszedł do pokoju, zobaczył Genny siedzącą na podłodze przy kominku. Obejmowała Drudwyna za szyję i głaskała go pieszczotliwie.

- Lepiej ci? - spytał.

- Lepiej. - Uniosła głowę i się uśmiechnęła. Spojrzała na kubek, który trzymał w ręce. - To dla mnie?

- Gorąca herbata. - Podał jej kubek.

- Dziękuję. - Uniosła kubek do ust i wypila kilka niedużych łyków.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po głowie, po uchu i ramieniu.

- Wypij herbatę, a ja pójdę do kuchni i zrobię kilka kanapek.

- Naprawdę nie jestem głodna.

- Zjesz tyle, ile dasz radę - powiedział. - Ale coś musisz przelknąć.

- Dobrze, *yu ne ga*, będę posłuszna - odrzekła kusząco Genny.

- Jak mnie nazwałaś? - spytał.

- Nazwałam cię białym człowiekiem - roześmiała się.

- No cóż, jestem biały, więc to chyba nie była obelga. - Uśmiechnął się promiennie. - A jak mówi do ciebie Jacob? *I gi go*?

- *I gi do* - poprawiła go. - To w języku Cherokee znaczy „siostra”.

Dallas nagle poczuł ukłucie zazdrości. Genny tyle łączyło z kuzynem i nawet nazywał ją pieszczotliwie.

- Może powinienem nauczyć się języka Cherokee - powiedział, zbierając się do wyjścia.

- Wiesz, jak chciałabym, żebyś do mnie mówił?

Przystanął w progu i obejrzał się przez ramię.

- Jak chciałabyś, żebym do ciebie mówił?

- *A qua da li i.*

Dallas powtórzył słowa.

- A co to znaczy?

- Powiem ci... kiedyś.

Uśmiech Genny rozjaśnił cały pokój. Cholera, rozjaśnił mu cały świat.

- Mogę spytać Jacoba.

- Możesz. Ale tego nie zrobisz.

- Pij herbatę - szepnął. - Za chwilę wrócę do ciebie z kolacją.

- Przecież mogę pójść do kuchni.

- Dobrze, jeżeli masz siłę.

- Pójdę z tobą. Muszę wystawić jedzenie dla ptaków i innych zwierząt. Czekają na nie.

- Powiedz mi, gdzie trzymasz pokarm, to...

- Nie tkną jedzenia, którego dotykał ktoś inny.

- Powinienem był się domyślić. - Dallas się skrzywił.

Genny wstała i poszła za nim, a Drudwyn poderwał się i pobiegł za nią. Kiedy znaleźli się w kuchni, Dallas zajął się robieniem kanapek, a Genny wyszła na tylny ganek. Wyjęła wielki wór z pokarmem z drewnianej skrzyni stojącej przy zapasie drewna, napełniła cztery miski, położyła je jedna na drugiej i postawiła na podłodze.

Pchnęła biodrem szklane drzwi wahadłowe, wyszła, a Drudwyn wybiegł do ogródka. Drzwi zamknęły się z głośnym hukiem. Dallas wypuścił nóż do masła, którym rozsmarowywał musztardę na kromkach chleba, i pobiegł za nią.



- Genny, poczekaj! - krzyknął. - Nie chcę, żebyś...

Ciszę zmierzchu rozdarł strzał. Dallas wykrzyknął jej imię. Nagle poczuł się tak, jakby u nóg miał ołowiane kule. Miał wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Słyszał strzał. Słyszał własny głos, niosący się echem w jego głowie. Widział, jak Genny staje, chwytając się za ramię i przechyla na bok. Widział, jak Drudwyn niczym rakieta puszcza się pędem za czymś lub za kimś.

Genny zwinęła się w kłębek na ziemi. Kiedy Dallas do niej dobiegł, leżała nieruchomo. Uklęknął przy niej, dostrzegł krew, która poplamiała jej kurtkę na plecach, i musiał pogodzić się z faktem, że została postrzelona. Ktoś do niej strzelił. W jej własnym ogródku. Kiedy pilnował jej wielki, nieustraszony agent FBI.

Wziął ją w ramiona na kilka sekund, a później górę wziął rozsądek. Sprawdził oznaki życia. Słabe. Ale żyła. Miał dwie możliwości - natychmiast odwieźć Genny do szpitala albo biec za Drudwynem i ścigać tego, kto do niej strzelał.

Podniósł Genny z ziemi. Tak naprawdę istniała tylko jedna możliwość. W tej chwili liczyła się tylko Genny.

## Rozdział 24

Jazzy położyła dłoń na plecach Dallasa Sloana. Zesztywniał w jednej chwili, ale się nie odwrócił. Od chwili, kiedy nocą przyjechała do szpitala hrabstwa Cherokee, nie słyszała, żeby Dallas wypowiedział choćby jedno słowo. Mała poczekalnia wypełniona była ludźmi, którzy kochali Genny. Jacob. Sally i Ludie. Royce. Wallace. Brian. I dziesiątki innych, którzy

przewijali się w ciągu długiej nocy, ofiarując pomoc i modlitwy. Zadzwoniło wielu mieszkańców hrabstwa Cherokee, w tym duchowni kościoła metodystów i baptystów, chociaż Genny nie należała do żadnego z nich. Salowe kilka razy częstowały kawą i proponowały, że przyniosą z baru coś do jedzenia. Wszyscy, którzy znali Genny, uważali ją za wyjątkową. Cały okrąg przejął się tym, co się wydarzyło.

I nikt, zupełnie nikt, nie był w stanie zrozumieć, dlaczego ktoś chciał zrobić krzywdę tak dobrej, miłej i kochanej istocie.

Kiedy poprzedniego wieczoru Jacob zadzwonił do Jazzy, natychmiast pojechała do szpitala, ale Genny już była na sali operacyjnej, więc nie mogła jej zobaczyć. W poczekalni przed salą operacyjną na piętrze zastała Jacoba, który siedział w milczeniu, z pochyloną głową i zamkniętymi oczami. Dallas niespokojnie chodził w tę i z powrotem po korytarzu. Nie zwrócił uwagi, kiedy się do niego odezwała.

Jacob wytłumaczył jej, co się stało - przynajmniej tyle, ile udało mu się wyciągnąć od Dallasa.

- Koło domu w górach moi ludzie szukają dowodów - powiedział. - Tego się nie spodziewaliśmy. Skąd mogliśmy wiedzieć? Ale Dallas się obwinia. Próbowałem z nim porozmawiać, ale żadne argumenty do niego nie trafiają.

Po niekończących się godzinach oczekiwania i modlitw, usłyszeli dobre wieści. Operacja przebiegła pomyślnie i lekarz zapewnił, że Genny w pełni wróci do zdrowia. Kula trafiła w plecy i wyszła ramieniem, ale nie spowodowała poważniejszych uszkodzeń. Jazzy spodziewała się, że Dallas zareaguje podobnie jak ona i Jacob - odetchnie z ulgą. Tymczasem zniknął. Nie wiedziała, dokąd się udał, ale podejrzewała, że w jakieś ustronne miejsce, gdzie mógł być sam. Do łazienki? Do kaplicy? Może wymiotował. Albo płakał. A może odmawiał dziękczynną modlitwę. A może wszystko naraz.

Była czwarta pięćdziesiąt nad ranem! Jazzy stanęła za Dallasem na końcu korytarza i patrzyła przez okno w ciemną noc. Poklepała go po plecach.

- Za kilka minut nas do niej wpuszczą.

Skinał głową, ale się nie odwrócił.

- Genny wyzdrowieje.

Cisza.

- Musisz wziąć się w garść, zanim do niej wejdiesz - przekonywała. - Jak tylko cię zobaczy, wyczuje, że coś jest nie tak. Wyglądasz, jakbyś przeszedł piekło.

Obejrzał się przez ramię i zaczerwienionymi oczami spojrzął na Jazzy gniewnie.

- Nie pomożesz Genny, gnębiąc się poczuciem winy - tłumaczyła. - Więc zdejmij pokutne szaty i pogódź się z tym, że nie jesteś Supermanem, tylko zwykłym człowiekiem, jak my wszyscy.

Odwrócił wzrok, ale ona chwyciła go za rękę.

- Do jasnej cholery, skąd mogłeś wiedzieć, że na dworze czyha jakiś wariat, żeby ją zastrzelić. Ona, w przeciwieństwie do ciebie, ma paranormalne zdolności, a jednak nie zorientowała się, że jest w niebezpieczeństwie.

- Nie powinienem był pozwolić jej wychodzić! - Słowa wytoczyły się z jego piersi niczym kule armatnie.

Jazzy ścisnęła mocniej jego rękę i potrząsnęła nim, a później spojrzała mu w twarz.

- Ten kto strzelał do Genny, mógł wycelować do niej przez okno. Nie byłbyś w stanie temu zapobiec. Jacob też by nic nie zrobił, gdyby tam był.

Dallas nie odpowiedział.

Jazzy uwolniła jego rękę z silnego uścisku, odwróciła się i odeszła. Miała dość wycucia, by wiedzieć, kiedy się wycofać. Do Dallasa nie przemawiały racjonalne argumenty. Trawiły go

poczucie winy i wyrzuty sumienia. Ona sama kilka razy przechodziła podobne piekło.

Wpadła na wychodzącego z poczekalni Jacoba.

- Co z nim? - Wskazał głową koniec korytarza.

- Może ja o czymś nie wiem? - spytała Jazzy. - Zachowuje się tak, jakby to on ją postrzelił. Nie rozumiem, skąd u niego to poczucie winy.

Jacob zawahał się, a potem skinął, żeby za nim poszła. Zaprowadził ją za róg, gdzie krzyżowały się dwa korytarze.

- Nikt nie może się o tym dowiedzieć, jasne?

Jazzy skinęła głową.

- Wiemy o tym tylko Genny, Dallas i ja. - Jacob wyglądał tak, jakby to, co zamierzał powiedzieć, sprawiało mu potworny ból. - Dallas usiłuje wytropić seryjnego zabójcę, który jego zdaniem w zeszłym roku w Mobile zabił jego siostrzenicę.

- Wiem. I co z tego?

- Ten facet zabija w seriach po pięć. Dallas odkrył, że w ciągu kilku ostatnich lat doszło do czterech serii niemal identycznych zabójstw. Ofiary nie miały ze sobą zupełnie nic wspólnego, poza tym, że piąta ofiara w każdej serii miała szczególny dar. Taki jak Genny.

Myśli Jazzy krążyły jak szalone, kiedy starała się przyswoić to, co chciał przekazać jej Jacob.

- Rytualne morderstwa tu, w Cherokee... - Westchnęła. - Mój Boże, przyjechał tu z powodu Genny. Jest jego piątą ofiarą.

- Dallas zaproponował, że będzie ochraniał Genny, a ja miałem zamiar wysłać do niej mojego pracownika wtedy, kiedy Dallas nie mógłby z nią być.

- Myślisz, że zabójca zmienił sposób działania i strzelił do Genny zamiast...

- To nie był on - odrzekł Jacob. - Ale domyślam się, kto to mógł być. Potrzebuję tylko drobnego dowodu, żeby wsadzić go do ciupy.

- O kim ty mówisz?

Jacob nie zdążył odpowiedzieć, bo podeszła do nich pielęgniarka.

- Szeryfie Butler, może pan wejść do Genny.

- Później ci wytłumaczę - powiedział szeptem do Jazzy.

Kiedy Genny odzyskała przytomność, była przy niej Jazzy. Usiłowała się podnieść, ale zawroty głowy skutecznie ją zniechęciły.

- Cześć, śpiąca królowo - zagadnęła Jazzy. - Jak się czujesz? Trochę ociężałe, co?

- Czuję się tak, jakbym została postrzelona. - Genny usiłowała się uśmiechnąć, ale nawet tak prosta czynność wydawała jej się niemożliwa.

- Oj, kochanie. Dojdiesz do siebie. Za parę tygodni będziesz zdrowa jak ryba.

Genny spojrzała na boki, a później przed siebie i dostrzegła stojącego w progu Jacoba. Podszedł do niej nienaturalnie szybkim krokiem. Kiedy znalazł się przy jej łóżku, pogładził ją dłonią po policzku.

- Nieźle nas przestraszyłaś, *i gi do*.

- Gdzie Dallas?

Pełna napięcia cisza.

- Nic mu się nie stało? Jego też postrzelili? - Przemknęło jej przez myśl, że może nie żyje.

- Nic mu nie jest. Nie został postrzelony - odpowiedział Jacob. - Był tu przez całą noc i gdzieś tu się kręci. Jest w koszmarnym stanie. Obwinia się o to, co się stało.

- A co się stało? - spytała Genny.

- Wysłaś na dwór nakarmić zwierzęta, a Dallas nie zdążył cię powstrzymać. Ktoś, kto ukrywał się w lesie, strzelił do ciebie - wyjaśnił Jacob.

- Kto? O Boże, Jacob, myślisz, że to...

- Albo Esther, albo Haden Stowe. Poznałeś przecież ich wstrętny sekret.

- Znajdźcie Dallasa - poprosiła Genny. - Chcę się z nim zobaczyć.

- Słuchaj, jest tu parę innych osób, które nie mogą się doczekać, żeby do ciebie wejść. Ciocia Sally i Ludie. Wallace. Royce i Brian i...

- Chcę Dallasa!

- Uspokój się - zgromiła ją Jazzy. - Pójdę go poszukać i go tu przyprowadzę, nawet gdybym musiała go związać i przyciągnąć siłą.

- Nie, ty zostań z Genny. - Jacob pochylił się i pocałował Genny w czoło. - A ty odpoczywaj i przestań się martwić, znajde Dallasa.

Jacob potrzebował pół godziny, żeby znaleźć Dallasa. W międzyczasie zadzwonił do niego Tim Willingham i powiedział, że znaleźli łuski naboju, ślady stóp i strzępek materiału w krzakach, w lesie przy domu Genny. Dowody. Dowody na to, że ten, kto do niej strzelał był pełnym amatorem, w dodatku niechlujnym. Zabójca składający rytualne ofiary był pewnym siebie zawodowcem, który doskonale zacierał ślady i nie zostawiał nic za sobą. Nic, poza DNA. Ale najlepszą wiadomością było to, że Tommy Patrick, sąsiad Genny mieszkający na farmie oddalonej o kilometr, polował na bezpieczną krowę, która o zachodzie słońca błakała się po lesie, mniej więcej w tym czasie, kiedy strzelano do Genny. Tommy słyszał odgłos strzelby i widział mężczyznę uciekającego przez las do samochodu zaparkowanego przy piaszczystej drodze,

prowadzącej do ulicy. Wysoki, szczupły, ciemnowłosy mężczyzna wsiadał do starego bmw, który odpowiadał wyglądowni auta należącego do Esther Stowe. Bingo! Mamy ich!

Jacob przystanął, zanim podszedł do Dallasa i starał się wczuć w jego położenie. Jak do niego dotrzeć? Cholera, człowieku, a jak można by dotrzeć do ciebie, gdybyś był w jego skórze?

Dallas siedział sam w pustym barze. Zgarbiony, z założonymi rękami, podpierając się o stół, wpatrywał się w przestrzeń. O wpół do szóstej rano w barze panował niewielki ruch. Kiedy usłyszał, że zbliża się do niego Jacob, uniósł głowę i spojrzał na niego.

- Coś się stało z Genny? - spytał.

- Tak, stało się. Obudziła się i pytała o ciebie.

Ręce Dallasa opadły.

- Chcę, żebyś poszedł na górę i się z nią zobaczył. Później pojedziemy do państwa Stowe'ów i zabierzemy ich na przesłuchanie - powiedział Jacob.

- Mam rozumieć, że twoja ekipa znalazła dowody przeciwko nim? - Dallasowi zaświeciły się oczy. Wyprostował się.

- Tak, i to najlepszy dowód z możliwych: naocznego świadka, który w lesie przy domu Genny zauważył mężczyznę, który wygląda jak duchowny Stowe. Widział, jak mężczyzna wsiada do samochodu identycznego z tym, którym jeździ Esther Stowe.

Dallas zamknął na chwilę oczy, a na jego twarzy odmalowało się skupienie. Jacob wiedział, że dziękuje Bogu za to, że Genny nic nie jest, i prawdopodobnie mają wystarczające dowody, żeby aresztować Hadena Stowe'a za usiłowanie zabójstwa.

- Przypuszczam, że chcesz wziąć udział w przesłuchaniu. - Jacob podszedł bliżej do stolika, przy którym siedział Dallas.

- Zgadłeś. - Dallas wstał.  
- Jak tylko pójdziesz do Genny, pojedziemy do sądu.  
- Nie mogę. - Dallas robił wszystko, żeby nie patrzeć Jacobowi w oczy.

- Możesz i pójdziesz. Ona na ciebie czeka. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie było cię przy niej, kiedy się obudziła.

Jacob położył dłoń na ramieniu Dallasa. Ich spojrzenia skrzyżowały się i zatrzymały na chwilę, jak u dwóch zaciętych rywali, z których żaden nie zamierzał ustąpić.

- Jak mam jej spojrzeć w oczy po tym, co się stało? - Dallas pierwszy odwrócił wzrok.

- Nie wini cię. - Jacob wyswobodził ramię Dallasa z mocnego uścisku. - Nikt nie zrzuca na ciebie odpowiedzialności za to, co się stało, poza tobą samym.

- Jak byś się czuł, gdybyś to ty jej pilnował?

- Czułbym się tak, jak ty. Ale przełknąłbym gorycz i robił to, co należy. Stawiłbym czoła temu, czego bałbym się najbardziej. Poszedłbym na oddział intensywnej terapii i udowodnił Genny, że jej nie opuściłem i nigdy nie opuszczę.

Pięć minut później Dallas stał przed salą, w której leżała Genny. Miał spocone dłonie i ściśnięty żołądek. Jazzy, siedząca na krześle przy łóżku Genny, spojrzała na niego, uśmiechnęła się i skinęła, żeby podszedł. Zawahał się, słysząc w uszach dudnienie własnego serca. Jazzy powiedziała coś do Genny, a potem wstała i podeszła do niego.

- Całe szczęście, że w końcu się zjawileś - odezwała się cicho, przystając przy nim. - Genny śmiertelnie się o ciebie martwiła. A teraz siadaj tu i powiedz jej, że ją kochasz i że ci przykro, że przez ciebie się zamartwiła.

Dallas wypuścił wstrzymywany oddech, skinął głową i zmusił nogi do posłuszeństwa. Kiedy znalazł się na środku sali,



dostrzegła go Genny. Do końca życia zapamięta wyraz jej twarzy. Pełen radości. Żadne inne słowa nie byłyby w stanie opisać jej miny.

- Dallas. - Jej słodki głos był przeraźliwie słaby.

Ostatnie metry dzielące go od łóżka pokonał niemal biegiem.

- Tak się o ciebie martwiłam - powiedziała, unosząc drżącą dłoń.

Chwycił drobną, delikatną dłoń i uniósł ją do ust, pocałował i przytulił do swojego policzka. To ona została postrzelona, dlatego, że na kilka minut stracił czujność, a jednak to ona martwiła się o niego.

- Myślałem, że umrę - wyjąkał zdławionym ze wzruszenia głosem.

- Ja czułabym to samo, gdybyś ty został ranny. Ale nie musisz się zadrećcać. Możesz się uwolnić od bólu. Daj mu odejść. Nic mi nie będzie. Nie jesteś winny temu, co się stało.

Z trudem przełknął ślinę, a potem znowu kilka razy pocałował ją w dłoń, aż w końcu pochylił się i czule pocałował ją w usta.

- Kocham cię, Genny Madoc.

- Wiem. Ja też cię kocham.

Dallas siedział w rogu pokoju, kiedy Jacob przesłuchiwał Esther Stowe. Jej mąż w innym pokoju czekał na swojego adwokata. Esther zrzekła się prawa do obecności adwokata, twierdząc, że nie zrobiła niczego złego.

- Nie mam nic wspólnego z postrzeleniem pana kuzynki - powiedziała. - Niby dlaczego miałabym chcieć zrobić jej krzywdę?

- Niech pani mi powie - odpowiedział Jacob. - Dlaczego pani albo pani mąż chcieliście zabić Genny?

Esther wzruszyła ramionami.

- Mamy świadka, który zeznał, że widział, jak pani mąż oddalał się z miejsca zbrodni - oświadczył Jacob, nieco naciągając fakty. - Ten świadek widział, jak wielebny Stowe wsiada do pani samochodu. Była pani z nim? Może czekała pani w samochodzie, a pani mąż w tym czasie zakradł się w okolice domu Genny i strzelił do niej, kiedy wyszła na zewnątrz?

- Nigdzie z nim nie byłam. Wyjechał jak szalony, bo się pokłóciliśmy. Skąd mam wiedzieć, co robił w lesie? Poza tym, może pana świadek się myli, może...

- Czy pani mąż ma strzelbę?

- Ma kilka. Lubi polować.

- Jeżeli kula, którą lekarz wyjął z pleców Genny, będzie pasowała do którejś ze strzelb pani męża, zdobędziemy dowód i na jego podstawie prokurator okręgowy oskarży pani męża o usiłowanie zabójstwa.

- Dobrze, założmy, że faktycznie próbował ją zabić. - Esther zerknęła na Dallasa, stojącego przy oknie, a później spojrzała prosto w oczy Jacoba. - To nie ma nic wspólnego z mną. Nie było mnie z nim. Nie brałam w tym udziału.

Szeryf przesłuchiwał Esther przez dobre pół godziny, a później zrobił przerwę. Dallas przypuszczał, że Jacob zrozumiał, że nie jest w stanie złamać Esther Stowe. Była twarda jak skała.

Jacob wezwał Tewandę, która tego dnia nie poszła na zajęcia, żeby zostać na drugą zmianę i pomóc. Stała w drzwiach i czekała na polecenia.

- Zabierz panią Stowe - powiedział Jacob. - Daj jej coś do picia i znajdź jakieś miejsce, gdzie będzie mogła odpocząć przez kilka minut.

Tewanda wyprowadziła Esther z pokoju, a Jacob zamknął drzwi i odwrócił się do Dallasa.

- Niezbyt dobrze mi z nią poszło.

- Całkiem nieźle. Tylko ona nie ma zamiaru ci nic powiedzieć. Dopóki nie masz przeciw niej żadnego dowodu, nie musi się martwić. Nawet gdyby wyszło na jaw, że wyznaje kult diabła i jest czarownica, ani jedno, ani drugie nie jest przestępstwem. Chyba że udowodnię, że jest winna składania ofiar ze zwierząt. A jej męża mógłbyś żywcem ukrzyżować. Jej jest to obojętne.

Dallas podszedł do ekspresu i nalał czarnej kawy do dwóch kubków. Jeden podał Jacobowi, sam napił się z drugiego.

- Tim przywiezie Tommy'ego Patricka. Niedługo powinni tu być. Jeżeli Tommy rozpozna Hadena Stowe'a, nie będziemy musieli dłużej czekać, żeby aresztować bydlaka.

- Nawet jeżeli ten facet nie potwierdzi, że widział Stowe'a, bez problemu powinieneś dostać nakaz rewizji plebanii. Załóżę się, że znajdziesz broń, którą posłużył się Stowe, oraz buty i kurtkę, które miał na sobie. Wystarczy przebadać je w laboratorium i sprawę będziesz miał z głowy.

Rozległo się pukanie do drzwi. Dallas i Jacob odwrócili się i zobaczyli tęgiego mężczyznę w średnim wieku, ubranego w trzyczęściowy garnitur. Wsadził głowę do środka, żeby rozpoznać teren.

- Wejdz, Maxie - zaprosił go Jacob, po czym przedstawił sobie mężczyzn. - Agent specjalny Dallas Sloan, a to pan Maxwell Fennel, prawnik wielebnego Stowe'a.

- Mogę wejść? - spytał Maxwell.

Jacob skinął głową.

- Widziałeś się już ze swoim klientem?

- Właśnie z nim rozmawiałem. Obraz nędzy i rozpacz. Jest przytłoczony tym, co się stało. Na skraju załamania nerwowego.

- Chyba nie masz zamiaru złożyć wniosku o uznanie go za niepoczytalnego? - Jacob chrząknął.

- Słuchaj, Jacob - odezwał się Maxwell. - Kazał mi powiedzieć, że przyzna się do winy. Mówi, że to on strzelał do Genny.

## Rozdział 25

Esther Stowe stała się ciężarem, odkąd pięć dni wcześniej aresztowano jej męża. Nie mógł pozwolić, by dalej żyła. Męża zostawiła samemu sobie, bez mrugnięcia okiem. Równie łatwo zdradziłaby jego. Sloan i Butler prawdopodobnie domyślali się już, że zabójca jest członkiem kręgu Esther. Wkrótce zaczną pytać o nazwiska. Może Esther przez jakiś czas wytrzyma, ale niedługo. Może będzie próbowała wybronić się, pomagając policji. Wiedział, że w końcu wyda nazwiska innych satanistów. Nie mógł ryzykować, że padnie na niego więcej podejrzeń. Na razie nie mieli przeciwko niemu właściwie żadnych dowodów. I chciał, żeby tak zostało.

Kolejny raz los wyznaczył ofiarę. Uśmiechnął się do siebie na myśl o tym, jak przerażona będzie kapłanka, kiedy zorientuje się, że to ona zostanie barankiem ofiarnym. Za poetycką sprawiedliwość uznał to, że ktoś, kto zabił tyle zwierząt, żeby przypodobać się diabłu, na końcu sam zginie w podobny sposób.

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał jej numer. Odebrała po trzecim sygnale.

- Esther, moja mała owieczko, chcę się z tobą zobaczyć.

- No to przyjeźdź - powiedziała. - Haden jest w więzieniu. Na pewno nie zapłacił kaucji.

- A może ty byś przyjechała do mnie? Przygotuję kolację, otworzę butelkę dobrego wina i możemy... się zabawić.

- Jasne, nie ma sprawy. Przynajmniej gdzieś wyjdę. Zabroniono mi wyjeżdżać z miasta.

- Nie mogę się doczekać naszego wieczoru.

- Ja też. Trochę ostrej i dzikiej zabawy pozwoli mi oderwać się od problemów.

Myśl o jej nagim ciele go podnieciła. Oblizał wargi. Prawie czuł smak jej krwi.

- Obiecuję, że będzie to najdziksza noc w twoim życiu.

Trzy dni wcześniej Genny została umieszczona w prywatnym pokoju. Poprosiła pielęgniarki, żeby nie dawały jej więcej środków przeciwbólowych, ale Jacob przykazał im, żeby nie słuchały jej protestów. Gdyby miała ze sobą lecznicze zioła babci, mogłaby skończyć ze środkami odurzającymi. Sally powiedziała, że pójdzie do niej do domu, weźmie, co trzeba i przemyci do jej pokoju. Ale Jazzy, dość dobrze znająca zarówno ciotkę, jak i Genny, domyśliła się, co kombinują i przeszkodziła w przemycie ziół.

W szpitalu była od pięciu dni, ale czuła się tak, jakby spędziła tu pięć tygodni. Leki wywoływały dziwne sny i wyczuła ją na kolory i światło. Miała wrażenie, że wszystko jest za jasne, za żywe. Jednak środki przeciwbólowe przytłumiły jej paranormalne zdolności. Wychwytywała jedynie fragmenty i okruchy myśli i uczuć. Jej wejrzenie stało się mroczne, jakby patrzyła przez mętną, a nie kryształowo czystą wodę.

Na szczęście tego ranka lekarz zgodził się na mniejsze dawki leku. Czuła się już lepiej, chociaż zdolności paranormalne w dalszym ciągu były słabsze niż zwykle.

Została przeniesiona z intensywnej terapii, więc mogła przyjmować kwiaty - a dostała ich tyle, że jej pokój zaczął

przypominać kwiaciarnię. Sam Dallas pilnował, żeby pocztę kwiatowej Cherokee Flower Box nie brakło zajęcia. Codziennie dostawała od niego bukiet róż. Czerwonych. Różowych. Żółtych. Brzoskwiniowych. Białych. I codziennie przychodził do niej w porze posiłku i zmuszał ją do jedzenia. Dallas, Jazzy i Jacob byli jedynymi osobami, którym wolno było przychodzić o każdej porze. Jej pokój odwiedzało tylu przyjaciół i znajomych, że pielęgniarki musiały ograniczyć liczbę wizyt. Brian i Royce otrzymali pozwolenie na jedną wizytę dziennie, ale dzwonił do niej kilka razy w ciągu dnia, żeby sprawdzać, jak się czuje. A Ludie i Sally nie raz zostały przyłapane przez pielęgniarki, gdy zakradały się do jej pokoju z drugą wizytą. Strażnicy, którzy siedzieli przed wejściem do pokoju Genny, znali obie kobiety i najwyraźniej nie mieli sumienia, żeby je zatrzymywać.

Jazzy uchyliła drzwi i wsunęła głowę do środka. Kiedy zobaczyła, że Genny nie śpi, uśmiechnęła się i weszła do pokoju.

- Jak ci mija wieczór? Wyglądasz jeszcze lepiej niż rano.

- Lekarze w końcu zmniejszyli dawkę środków przeciwbólowych. Czuję się o wiele lepiej.

- Na tyle dobrze, żeby usłyszeć najnowsze wieści?

Genny skinęła głową, objęła się ramionami, nie wiedząc, co usłyszysz od przyjaciółki.

Jazzy zdjęła płaszcz, złożyła go i położyła w nogach łóżka.

- Maxwell Fennel ściągnął dwóch psychiatrów, którzy orzekli, że Haden Stowe jest stuknięty.

- Rozumiem. To znaczy, że prawdopodobnie nie pójdzie do więzienia.

- Tak, pod warunkiem, że biegły sądowy psychiatrą to potwierdzi. Jeżeli nie, to po prostu sprawa trochę się przeciągnie.

- A co na to Jacob i Dallas?

Jazzy zacisnęła zęby i się skrzywiła.

- Ich zdaniem nie jest wariatem. Udaje. Wierz mi, obaj mieliby wielką ochotę rozedrzeć Stowe'a na strzępy.

- Żaden z nich nie chce mi nic powiedzieć na temat morderstw - poskarżyła się Genny. - I pilnują, żeby nie docierały do mnie żadne informacje. Mogłabyś mi powiedzieć, czy wydarzyło się coś nowego?

- Chcesz wiedzieć, czy zabił czwartą ofiarę.

- Przecież jesteśmy w dziewięćdziesięciu procentach pewni, że ja mam być piątą. Tak, chciałabym wiedzieć, czy jestem następna w kolejce.

- Nie było kolejnych morderstw. - Jazzy przysiadła na brzegu łóżka i ścisnęła rękę Genny. - A teraz może zmienmy temat.

- Dzięki, że powiedziałaś mi chociaż tyle. - Genny musiała przyznać, że spędzając kolejne dni w szpitalnym łóżku, zdana na innych, miała o wiele za dużo czasu na przemyślenia. I na martwienie się. - Jak się spisuje nowy ochroniarz? Znowu dokopał Jamiemu?

- Wszystko w moim życiu układa się pomyślnie, poza tym, że moja najlepsza przyjaciółka została postrzelona. A co do nowego bramkarza, spisuje się całkiem dobrze. Nikt już nie próbował z nim zadzierać. - Jazzy uśmiechnęła się szeroko. - Nawet Jamie.

- To dobrze.

- Tak. - Jazzy spojrzała na zegarek.

- Naprawdę nie musisz czekać, aż przyjdzie Dallas. Nic mi nie będzie, jeśli zostanę sama. Przecież cały czas pod drzwiami czuwa ochroniarz.

- Nie ruszę się, dopóki nie zjawi się Dallas.

- Nie wiem po co upiera się, żeby przesiadywać tu całą noc.

- Niech robi, co chce. - Jazzy wstała, przeszła przez pokój i przysunęła do łóżka krzesło. - Wierz mi, lepiej wysypia się tutaj, zwinięty na fotelu niż u siebie w domu. Kochana, on jest w tobie szaleńczo zakochany i nie myśli trzeźwo.

- Ja też jestem w nim szaleńczo zakochana. - Genny zanurzyła głowę w poduszkę, zamknęła oczy i się uśmiechnęła.

- Chcesz obejrzeć *Pamiętny romans*? Leci na kanale filmowym o wpół do siódmej. - Jazzy postukała palcem w tarczę swojego masywnego srebrnego zegarka.

- Bardzo chętnie go zobaczę - Przez lata obejrzała z przyjaciółką wiele starych filmów. Jednym z hobby Jazzy było klasyczne kino. Zwłaszcza romanse.

Jazzy włączyła telewizor, zrzuciła buty i ułożyła się w fotelu. Genny rozluźniła się i czekała, aż zacznie się film. Rozmawiały przez kilka minut, ale kiedy na ekranie pojawił się Cary Grant, Jazzy zamilkła na dobre.

Po godzinie Genny zaczęła odczuwać znużenie. Próbowwała walczyć z sennością, ale w końcu uległa. Zamknęła oczy.

W jej umyśle pojawiły się mroczne, wirujące opary. Ciemnofioletowa mgła stawała się coraz ciemniejsza i ciemniejsza, aż w końcu mgłę przesłoniły czarne chmury. Kobieta płakała, błagała o litość. Nie chciała umierać. Łzy spływały po jej policzkach. Genny widziała zarys twarzy przesłoniętej welonem. Usiłowała dojrzeć twarz, ale coś przytrzymywało welon.

Usłyszała myśli kobiety.

*Pomóż mi! Och, boski Lucyferze, jestem twoją wierną służebnicą. Nie zostawiaj mnie.*

Esther Stowel

Genny nie musiała widzieć twarzy, żeby wiedzieć, kim była kobieta. Dlaczego miała wizję Esther? Czyżby to ona miała stać



się czwartą ofiarą zabójcy? Czy Genny może ufać swoim otumanionym zmysłom?

Otrząśnij się, powiedziała do siebie Genny. Nie myśl o Esther. Staralaś się skupić na Misty Harte, ale nie dotarłaś do niej na czas, żeby zdążyć ją uratować. Wiesz, z kim musisz się skontaktować. Jeżeli dostaniesz się do jego umysłu, jest szansa, że uratujesz Esther i siebie.

Ciemność powróciła, ale tym razem była jeszcze czarniejsza. Bardziej złowroga. A obecność, którą wyczuwała Genny, była o wiele bardziej demoniczna. Zabójca był tak nikczemny i perwersyjny jak sam diabeł, którego usiłowała wezwać Esther Stowe.

*Kim jesteś!* - spytała Genny.

*Genevieve Madoc, czy to ty?*

Połączyła się. Boże, miej ją w swojej opiece.

*Zastanawiałem się, jak długo będę musiał czekać na twoje odwiedziny,* powiedział.

Genny nie była w stanie go rozpoznać, bo bezgłośnie przekazywał myśli z umysłu do umysłu.

*Masz teraz przy sobie Esther Stowe?* - spytała Genny.

*Chyba nie o to chcesz mnie tak naprawdę zapytać?*

*Masz zamiar zabić Esther? Będzie twoją czwartą ofiarą?*

*Poświęcę ją jutro o świcie. A później przyjdę po ciebie.*

Strach zalał umysł Genny niczym żrący kwas i przerwał łączność z zabójcą.

*Nie. Nie. Wracaj!* - krzyknęła Genny.

Nagle chwyciły ją czyjeś silne ręce. Gdzieś poza nią, w rzeczywistości bardzo odległej od miejsca walki, jaka się w niej rozgrywała, usłyszała odgłosy rozmowy.

- Co się stało, do cholery?! - spytał Dallas ze złością.

- Nie wiem - odpowiedziała Jazzy. - Zasnęła, kiedy oglądałyśmy film. Myślałam, że śpi, ale zaczęła się kręcić, zwijać i coś mruzczała. Usiłowałam ją obudzić, ale nie reagowała.

- Genny, kochanie, obudź się. - Dallas delikatnie potrząsnął Genny. - Słyszysz mnie? Wracaj do mnie natychmiast.

Powieki Genny drgnęły. Ze wszystkich sił starała się opuścić otchłań swojej podświadomości, ale coś ją tam trzymało.

- Wezwij pielęgniarkę - powiedział Dallas.

- Nie potrzebuje pielęgniarki - stwierdziła Jazzy. - Widziałam ją w takim stanie. Wiele razy. Ma problem z powrotem do rzeczywistości, do normalnej świadomości. Mów do niej.

Jazzy podeszła do łóżka z drugiej strony i usiadła. Zaczęła gładzić Genny po policzkach.

- Otwórz oczy. Wiem, że to niełatwe, ale dasz radę. No, dalej. Postaraj się. Słuchaj mnie i głosu Dallasa.

- Genny, musisz do mnie wrócić - mówił Dallas. - Jazzy ma rację. Dasz radę.

Czuła dłonie Jazzy na swojej twarzy, słyszała głosy, wyczuwała troskę. Miała wrażenie, jakby tonęła w morzu ciemności, a im bardziej starała wydostać się na powierzchnię, tym mocniej piekielna moc ściągała ją w otchłań.

*Dallas, proszę, pomóż mi. Wyrwij mnie z ciemności. Sama tego nie zrobię.* Poczwała jego siłę i zrozumiała, jak rozpaczliwie jej potrzebuje. Gdyby się z nią połączył, wchłonęłaby jego siłę i się uwolniła.

Wyczuła, że jest zaskoczony faktem, że ją słyszy. *Genny, musisz otworzyć oczy i na mnie spojrzeć.* Dallas porozumiewał się z nią bez słów, docierając myślami do jej podświadomości. *Czekam tu na ciebie i cię nie zostawię. Nie wiem, co cię tam*

*trzyma, ale na pewno nie jest to tak silne jak my. Razem możemy walczyć i pokonać wszystko. Wyjdź z ciemności i wróć do światła.*

Gdy tylko odpowiedziała, znów porozumiał się z nią telepatycznie. Otoczył ją swoimi myślami i uczuciami. Ochraniał ją. Razem walczyli z ciemnością.

Powieki Genny znów drgnęły i tym razem powoli się podniosły. Zamrugała parę razy. Po kilku próbach udało jej się w pełni otworzyć oczy i spojrzeć na dwie zmartwione twarze.

- Dzięki Bogu... - Jazzy przytuliła Genny. - Śmiertelnie nas przeraziłaś.

- Esther - odezwała się Genny ledwie słyszalnym szeptem i spojrzała Dallasowi w oczy. Odkaslnęła i położyła rękę na dłoni Dallasa, spoczywającej na jej ramieniu. - Ma Esther Stowe. Zabije ją o świcie.

- Dostałaś się do jego umysłu? - spytał Dallas.

Genny skinęła głową.

- Psiakrew, chyba obiecałaś...

- Nie złość się. - Do jej oczu napłynęły łzy.

- Nie płacz. - Dallas delikatnie pogładził ramię Genny. - Proszę cię, nie płacz. Nie jestem zły, po prostu się martwię.

- Powiedział, że jak zabije Esther, przyjdzie po mnie.

Dallas wymruczał stek przekleństw. Zeskoczył z łóżka i wybiegł z pokoju.

- Dallas?! - krzyknęła za nim Genny.

- Uspokój się. - Jazzy chwyciła Genny za rękę. - Wybiegł na korytarz, żeby ochłonać. Musisz zrozumieć, jakie to wszystko trudne dla niego i Jacoba. Wiedzą, że jesteś w niebezpieczeństwie, ale nie mogą dopaść zabójcy, który ci grozi.

- Muszę im pomóc znaleźć Esther. - Genny odrzuciła kołdrę i cienki koc, którymi była przykryta, i spróbowała usiąść.

- Co ty wyprawiasz? Nie waż się wstawać z łóżka.

- Idź po Dallasa. Powiedz mu, że jeszcze raz chcę się połączyć z zabójcą. Może uda mi się go zlokalizować, jeżeli...

- Nie powiem mu tego. Wścieknie się.

Za drugim razem Genny udało się usiąść na łóżku. Odwróciła się i opuściła nogi na podłogę.

Jazzy pobiegła po Dallasa. Dobrze. Genny musi im uświadomić, że jeżeli do rana nie znajdą Esther Stowe, to o świcie stanie się czwartą ofiarą zabójcy.

Akurat wstała, kiedy do pokoju wparował Dallas. Nie zdążyła wsunąć na nogi kapci, bo wziął ją na ręce i położył z powrotem do łóżka.

- Nie ruszaj się. - Pogroził jej palcem wskazującym.

- Chcę wyjść ze szpitala. Natychmiast. Wydaje mi się, że znajdę Esther. Wyczuwam, że jest w Cherokee Pointe, gdzieś w mieście.

- Nigdzie nie pójdziesz, bo jesteś za słaba - skwitował Dallas.

- Doktor Rawlins chce mnie wypisać jutro po południu. Co za różnica, czy...

- Omal nie zginęłaś. - Jazzy usiadła w nogach łóżka i spojrzała błagalnie na Genny. - Jeszcze nie doszłaś do siebie po postrzale. A jakby tego było mało, dopiero co wyrwałaś się z kolejnej wizyty w nibylandii. Dallas ma rację. Jesteś za słaba, żeby podjąć się telepatycznego poszukiwania Esther Stowe.

Genny przeniosła wzrok z Jazzy na Dallasa. Nie mieli zamiaru pozwolić jej opuścić szpitala. Trudno. Wiedziała, co musi zrobić. Ułożyła się, zamknęła oczy i położyła sobie ręce na brzuchu.

- A niech to, ona znowu próbuje odpłynąć! - krzyknęła Jazzy.

Dallas chwycił Genny i potrząsnął nią delikatnie. Kilka razy zawołał ją po imieniu. Nie zareagowała. Usiłował mówić do niej telepatycznie, ale nie odpowiadała. Odcięła się od niego.

Wiedziała, że przebywając w jednym miejscu, trudniej jej będzie zlokalizować Esther Stowe. Będąc unieruchomiona, nie poczuje że zbliża się do miejsca, gdzie zabójca przetrzymuje kolejną ofiarę. Będzie jej trudniej, ale jest w stanie zlokalizować Esther, nie opuszczając szpitala. Tylko tak może uratować jej życie.

Skupiła myśli na Esther. Każdą komórkę umysłu zaangażowała w to, żeby zlokalizować kobietę. Ciemność wirowała i rozplywała się, pozostawiając zimne, szare cienie.

*Gdzie jesteś, Esther? Gdzie jesteś?*

Żadnej odpowiedzi.

Genny cały czas usiłowała nawiązać połączenie. Chciała użyć swoich zdolności, ale były osłabione po fizycznym zranieniu, przebytej operacji, a później po telepatycznej łączności z zabójcą. Chwilowo nie mogła ich wykorzystać.

Smutek chwycił ją za gardło, a z oczu popłynęły łzy. Wyciągnęła rękę i otarła mokre policzki.

- Płacze - powiedziała Jazzy.

- Genny? - Dallas pogłaskał wilgotny policzek.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego zamglonym wzrokiem.

- Powiedz Jacobowi o Esther. Powiedz mu, że nie jestem w stanie mu pomóc. Jestem o wiele za słaba, żeby... - Jej głos zamarł. Ogarnęło ją zmęczenie.

- Dzięki Bogu. - Jazzy spojrzała na Dallasa. - Zadzwoń do Jacoba, jedź do niego i zróbcie coś, żeby uratować Esther Stowe. Zostanę z Genny.

- Nic jej nie będzie, prawda?

Jazzy skinęła głową.

- Jak się porządnie wyśpi, powinna dojść do siebie.

Genny zorientowała się, że Dallas wychodzi, i chciała go zawołać, ale nie była w stanie otworzyć ust. Jej powieki robiły się coraz cięższe i nagle się zamknęły.

Zmorzył ją sen.

## Rozdział 26

Dallas doceniał fakt, że Jacob bez oporów pozwolił mu uczestniczyć w przesłuchaniu trzech głównych podejrzanych z listy: Carsona, Pierponta i Uptona. Jeżeli któregoś z nich nie zastaną dziś wieczorem, będą mogli zawęzić listę podejrzanych do jednego. A jeżeli wszyscy trzej mają alibi, może to oznaczać dwie rzeczy - że zabójca ukrył Esther i ma zamiar wrócić do niej przed świtem, albo że zabójcą nie jest żaden z tej trójki. A wtedy niech Bóg ma ich w swojej opiece, bo znajdują się w punkcie wyjścia.

Dallas stał obok Jacoba, kiedy ten wciskał dzwonek przy drzwiach posiadłości Uptonów. Drzwi otworzyła pokojówka w szlafroku i kapciach.

- Boże miłosierny, co się stało, szeryfie Butler? - westchnęła przerażona.

- Nic się nie stało, Dori - odpowiedział Jacob. - Przynajmniej taką mamy nadzieję. Ale musimy się zobaczyć z panem Jamiem. Byłabyś tak dobra i powiedziała mu, że szeryf chce zamienić z nim słowo?

- Święty narodzie, wie pan, która godzina? - Posłała Jacobowi surowe spojrzenie.

- Parę minut po dziesiątej - odpowiedział Jacob.

- Nie wiem nawet, czy pan Jamie jest w domu. Ciągłe gdzieś kursuje, odkąd przyjechał. Ale pójde sprawdzic, niech panowie wejdą do środka. Możecie poczekać tutaj, w holu.

- Dzięki. - Jacob zdjął z głowy stetsona i wszedł do domu.

Zanim Dori zdążyła podejść do schodów, z gabinetu wyłonił się Wielki Jim Upton.

- O co chodzi, do cholery? - Spojrzał na Jacoba, a potem na Dallasa. - Zaczekaj, Dori,

Gospoia zatrzymała się natychmiast.

- Wracaj do łóżka - powiedział Jim. - Ja porozmawiam z szeryfem Butlerem.

- Musimy się widziec z Jamiem - oznajmił Jacob.

- Źle się czuje - odpowiedział Jim. - Chyba czymś się zatrul.

- Przykro nam to słyszeć, ale muszę z nim pomówić przez parę minut.

- Po co?

Jacob sapnął.

Dallas zastanawiał się, czy rzeczywiście Jamie Upton jest na górze i odpoczywa po wymiotach lub biegunce, czy może gdzieś kursuje, jak ujęła to Dori.

- Zaginęła kolejna kobieta - wyjaśnił Jacob. - Jeżeli Jamie jest w domu, to będziemy wiedziec, że prawdopodobnie nie on ją uprowadził.

- Chodźcie. - Jim Upton zmrużył oczy i spojrzal złowrogo na Jacoba. - Możecie na niego spojrzeć i to wszystko. Ani słowa, jasne? Chłopak jest chory, nie próbujcie go nękać, bo was pozwę.

Pięć minut później Jacob i Dallas wsiadali do ciężarówka Jacoba i ruszali do mieszkania Dillona Carsona.

- Hm, jeżeli Jamie Upton nie jest chory, za to przedstawienie powinien dostać Oscara - powiedział Dallas.

- To go nie wyklucza. Mógł uprowadzić Esther Stowe wcześniej, ukryć ją, a później się rozchorować.

- Wszystko jest możliwe.

Jacob wciskał gaz do dechy i ciężarówka pędziła do miasta przez puste drogi. Kiedy dotarli do Cherokee Pointe, pojechali prosto do Dillona Carsona. Jacob wjechał na parking przed blokiem, wyłączył silnik i wysiadł. Dallas poszedł za nim na górę, a później przez słabo oświetlony korytarz, prosto do drzwi następnego podejrzanego.

Jacob zadzwonił. Żadnego odzewu. Zadzwonił jeszcze raz. Czekali. Nic. Dallas spojrzał na Jacoba, który pokręcił głową.

- Może jest w Jazzy's Joint - powiedział Jacob. - Chodzi tam chyba co wieczór.

- Mam zadzwonić i się dowiedzieć? - spytał Dallas.

- Chyba musimy. W domu go nie ma. - Jacob jeszcze raz nacisnął dzwonek.

Mieli już odejść, ale drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich półnaga kobieta. Miała na sobie tylko przezroczystą koszulkę, która nie zostawiała wiele miejsca wyobraźni.

- Czego chcecie? - spytała.

Mówiła trochę niewyraźnie, a po jej pełnej, okrągłej twarzy widać było, że jest odurzona alkoholem.

Jacob i Dallas starali się nie patrzeć na jej duże piersi ani na czarny trójkącik kręconych włosów między udami. Jednocześnie przełknęli ślinę i odkaszlęli. Cycata brunetka była najwyraźniej pijana, bo chwiała się w drzwiach w przód i w tył.

- Przyjechaliśmy do Dillona Carsona - powiedział Jacob.

- Jest zajęty. - Chichocząc, położyła na ustach palec. - Śpi.

Potwornie go wymęczyłam.

- Więc jest w swojej sypialni?



- Nie w sypialni. - Otworzyła drzwi na oścież i wskazała kanapę. - Jest tam.

Dillon Carson leżał na podłodze, biodrami opierając się o przód kanapy. Nogi miał rozchylone, jedną stopę opierał o poduszkę, a drugą wsunął pod nią. Był całkiem nagi.

- Jak długo pani z nim jest?- spytał Jacob.

- Nie wiem. Z parę godzin - odpowiedziała. - Spotkaliśmy się w Jazzy's Joint, wypiliśmy kilka drinków i przyjechaliśmy tutaj.

Kiedy Jacob rozmawiał z kobietą, Dallas przeszedł przez pokój i przyjrzał się Carsonowi. Wyciągnął dłoń i chwycił Carsona za rękę. Kiedy ją wypuścił, opadła na podłogę jakby była z ołowiu.

- Jest nieprzytomny - stwierdził Dallas.

- Przepraszamy, że panią niepokoiiliśmy, madam. - Jacob uklonił się, uchylając kapelusza.

Dallas skinął jej głową i poszedł za Jacobem. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem, dopóki nie znaleźli się przy ciężarówce. Dallas przystanął i spojrzął na Jacoba.

- Nic nie mamy - stwierdził Dallas.

- Jeszcze jeden ruch i będzie po wszystkim. - Jacob zmarszczył brwi. - Pierpont mieszka niedaleko, nad sklepem z antykami.

- No to jedźmy. - Dallas wskoczył do środka, gdy tylko Jacob otworzył auto. - Ty prowadź, a ja zadzwonię do komendanta Watsona i sprawdzę, co działała grupa zadaniowa. Może ktoś wpadł na jakiś trop, w końcu dziesięciu facetów szuka Esther w całym mieście.

Po kilku minutach Jacob zaparkował przed sklepem z antykami. Nie wyłączał silnika, żeby było ciepło, dopóki Dallas nie skończy rozmowy z komendantem Watsonem. Cholera, Jacob miał rację, że ten facet to idiota. Zamiast zostać w

komisariacie i kierować poszukiwaniami, siedział sobie w domu i oglądał w telewizji mecz koszykówki.

- Nic nie słyszałem - powiedział Watson. - Więc przypuszczam, że nikt nie wpadł na to, gdzie może być ta Stowe. A ty i Jacob na coś natrafiliście?

- Na razie nie. Przepraszam, że przeszkodziliśmy w oglądaniu meczu. - Dallas się rozłączył.

- Mecz? - Jacob uniósł brwi. - Niech zgadnę. Siedzi w domu i ogląda w telewizji mecz koszykówki.

- Tresowany orangutan byłby lepszym komendantem policji.

- Myślałeś kiedyś o tym, żeby zmienić pracę, przeprowadzić się do małego miasteczka i ustatkować się u boku dobrej kobiety? - spytał Jacob, wyłączając silnik.

- Odkąd poznałem Genny, mam wiele dziwnych pomysłów - przyznał Dallas. - Wydaje mi się, że ona nie będzie chciała wyjechać z Cherokee.

- Nie. Nigdy nie uda ci się zabrać jej z tych wzgórz.

- A myślisz, że stanowisko komendanta policji może być wkrótce wolne? - Dallas otworzył drzwi samochodu.

Wysiedli. Jacob zamknął drzwi i stanął na chodniku.

- Chyba nawet Wielki Jim Upton nie będzie w stanie pomóc mu utrzymać posady po takim zaniedbaniu obowiązków w dochodzeniu w sprawie morderstwa. Moim zdaniem stanowisko komendanta policji będzie niedługo wolne.

Kolejny raz Jacob poszedł przodem, a Dallas za nim. Do mieszkania na piętrze prowadziły długie, wąskie schody, ukryte za drzwiami wejściowymi między sklepem z antykami a sąsiednią kancelarią prawniczą. Dallas zatrzymał się kilka stopni niżej przed wejściem do mieszkania, bo w wąskim przejściu ledwie mieścił się sam Jacob.

- Nie widzę nigdzie dzwonka, ale tu jest tak cholernie ciemno, że ledwie widzę własną dłoń. - Jacob uniósł rękę i zapukał głośno.

Cisza.

Zapukał kolejny raz. Głośniej i dłużej. Żadnej odpowiedzi.

Być może to Pierpont. Może w tej chwili w jego sypialni leży związana i zakneblowana Esther Stowe. A może już zdażył ją przewieźć do miejsca z ołtarzem.

Jacob spróbował po raz trzeci. Nic. Aż nagle, kiedy właśnie schodzili na dół, usłyszeli odgłos kroków. Drzwi otworzyły się skrzypiąc i zaświeciło się górne światło.

- Kto tam? - wymamrotał Royce Pierpont. Jego oczy były opuchnięte.

- Royce, tu szeryf Butler.

- Jacob, co się stało? Coś z Genny?

Dallas stał nieruchomo, a Jacob wszedł jeszcze raz na górę, gdzie w progu czekał Pierpont.

- Genny nic nie jest. Ale zaginęła Esther Stowe, a Genny jest pewna, że Esther jest następną ofiarą.

- To po co do mnie przyjechaliście? - Pierpont westchnął i ściągnął poły jedwabnego szlafroka. - Mój Boże, ciągle podejrzewasz, że to ja jestem zabójcą.

- Po prostu rozglądamy się po mieście - odpowiedział Jacob. - Musimy zrobić wszystko, żeby znaleźć Esther.

- Tak, tak, oczywiście. - Pierpont skinął głową. - Rozumiem. Jeżeli to pomoże, wejdźcie do środka i przeszukajcie moje mieszkanie. Mogę zapewnić, że nie ma tu Esther Stowe.

Jacob zawahał się przez chwilę. Dallas odkaszlnął.

- Wejdź i sprawdź. Ja tu poczekam.

- Ależ proszę, zapraszam. - Pierpont skinął ręką. - Przepraszam, że tak długo nie otwierałem. Niezbyt dobrze

sypiam, odkąd postrzelono Genny. Taki byłem zmęczony, że w końcu się zламаłem i godzinę temu wziąłem tabletkę nasenną.

- Dobrze. - Jacob wszedł do mieszkania.

Dallas czekał. Słyszał nieustające paplanie Pierponta, który oprowadzał Jacoba po pokojach. Po trzech minutach Jacob wrócił, pożegnał się i dał znać Dallasowi, że mogą już wyjść. Pierpont uprzejmie zostawił im zapalone światło.

- No i dokąd teraz jedziemy? - spytał Jacob.

- Dołączymy do grupy zadaniowej i będziemy się modlić, żeby do świtu znaleźć Esther. - Dallas przystanął na chodniku przed sklepem z antykami. - Obstaw Pierponta, Carsona i Uptona do rana. Musimy wiedzieć, czy któryś z nich nie wybierze się na nocną przejażdżkę.

Butler i Sloan podejrzewają go, ale nie jest jedynym podejrzanym. Mają na liście innych. Są bystrzy, ale on jest bystrzejszy. W końcu przechytrzy wszystkich. Od ich wizyty minęło kilka godzin i nie miał wątpliwości, co musi zrobić. Nigdy nie zabijał ofiary w pobliżu swojego miejsca zamieszkania, ale w tym przypadku nie miał wielkiego pola manewru. Esther była w piwnicy - związana, zakneblowana, odurzona lekami czekała na jego powrót. Nie odważy się jej przewieźć. Jeżeli Butler jest tak mądry, za jakiego go uważał, na pewno wyznaczył ludzi, żeby śledzili trzech głównych podejrzanych. A w takim razie nie ma wyjścia i ofiarę z Esther musi złożyć w piwnicy. Słoneczne światło wpada do środka przez dwa małe, wysokie okna w miejscu, gdzie postawił ołtarz.

Może dopiero za kilka tygodni albo miesięcy ktoś znajdzie ciało Esther. Ale wtedy to będzie już bez znaczenia. Wtedy będzie niepokonany, będzie miał moc, o jakiej nie śnił w najśmielszych snach. Kiedy wytnie serce Genevieve Madoc i je zje, jej moc będzie należeć do niego. Nie będzie miał sobie

równych na ziemi. Jedyne boskie duchy będą mogły się z nim równać.

Będiesz ze mnie dumna, mamó. Twój niedobry, mały chłopczyk będzie miał największą moc ze wszystkich ziemskich stworzeń. Szkoda, że nie dożyłaś tego wielkiego dnia.

Genny krzyknęła. Jazzy poderwała się z fotela, na którym spała, i podbiegła do niej. Leżała z zamkniętymi oczami, sztywna jakby połknęła kij. Cały czas krzyczała. Niemal natychmiast do pokoju wbiegła pulchna blondynka, pielęgniarka, i zaczęła budzić Genny, jednak bez skutku. Krzyki obudziły wszystkich na piętrze. Mimo protestów Jazzy, pielęgniarka zrobiła Genny zastrzyk.

- Na uspokojenie - wyjaśniła.

- Ona nie potrzebuje niczego na uspokojenie, do cholery! - wściekła się Jazzy. - Musi się wybudzić.

Krzyki trwały przez kilka minut, a potem Genny zaczęła płakać i jęczeć. Rzuciła się na łóżku, jakby walczyła z demonem.

- Nigdy nie widziałam czegoś podobnego - skwitowała młoda pielęgniarka.

- A ja tak - wymruczała Jazzy.

- Zadzwoń do doktor Rawlins.

- Nie będzie umiała jej pomóc.

Jazzy usiadła na łóżku, chwyciła Genny za ramiona i trzymała ją, kiedy ta walczyła.

- Wracaj, Genny. Wszłaś za głęboko. Nie wiem, gdzie jesteś, ale to niebezpieczne. Nie daj mu wygrać. Za żadne skarby nie możesz dać mu wygrać.

Genny jeszcze przez kilka minut walczyła, a później zamarła i zaczęła normalnie oddychać. Powieki jej drgnęły i się uniosły.

- Zadzwoń do Jacoba - wyszeptala. - On już zabił Esther. Widziałam ją wyraźnie. Leżała na zdezelowanym szezlongu. I miecz... miecz rozciął jej ciało. Krew. Tyle krwi...

Jazzy zerknęła na rolety, zasłaniające okna w pokoju Genny. Podeszła i je podciągnęła. Ciemne niebo rozjaśniał bladoróżowy blask poranka.

## Rozdział 27

Odczekał do siódmej, aż funkcjonariusz obserwujący jego dom odjechał. Najwyraźniej miał rozkaz, żeby pilnować go, dopóki na dobre się nie rozjaśni. Jednak ani policjant, który przez całą noc go śledził, ani szeryf, ani członkowie grupy zadaniowej nie wiedzieli, że już poświęcił Esther Stowe. U siebie w piwnicy. Wszystko poszło zgodnie z planem. Żałował jedynie tego, że nie mógł pozwolić Esther krzyczeć. Ktoś mógłby ją usłyszeć.

Wszedł do szpitala od strony izby przyjęć. Miał na sobie płaszcz, kapelusz i szal, zasłaniający dolną część twarzy. W ciągu tygodnia zdążył przyjrzeć się wszystkim wejściom, sprawdzić, przy których stoi ochrona, które drzwi są zamykane na noc i o której otwierane rano. Dwadzieścia cztery godziny na dobę otwarte były jedynie automatyczne podwójne drzwi, przez które z podjazdu dla karettek wchodziło się do poczekalni przed izbą przyjęć.

W poczekalni siedziały tylko dwie osoby, ale żadna nie zwróciła na niego większej uwagi, kiedy szedł w stronę długiego korytarza, prowadzącego do wind. Spojrzał na zegarek. Musi dotrzeć do pokoju Genny i zabrać ją ze szpitala zanim Dallas Sloan przyjedzie na śniadanie. A może Sloan w ogóle nie pojawi się dziś rano, jeżeli dołączy do pospolitego ruszenia

poszukiwaczy Esther Stowe. Na pewno jej nie znajdą. A w każdym razie nieprędko.

Uważnie rozglądał się dookoła. Nie byłoby dobrze, gdyby wpadł na kogoś znajomego. W razie czego, zawsze może powiedzieć, że przyszedł do Genny. Przecież to żadne kłamstwo. Naprawdę do niej przyszedł. Żeby ją zobaczyć, podać jej lek i ją uprowadzić.

Wszedł do windy, zorientował się, że jest sam i uśmiechnął się, wciskając guzik. Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Jeżeli los się do niego uśmiechnie, plan się powiedzie. Kiedy znalazł się na górze, poszedł prosto do magazynu, który odkrył, kiedy badał piętro, na którym leżała Genny. Zamknął za sobą drzwi i zapalił światło. Zdjął szalik, płaszcz i kapelusz, starannie je złożył i schował w pojemniku na śmieci. Później zdjął spodnie i dołożył do pozostałych ubrań. Obiema dłońmi poprawił perukę, którą miał na głowie.

Szkoda, że nie ma tu lustra, pomyślał. Chciałby się przejrzeć i sprawdzić, czy na pewno dobrze wygląda w stroju pielęgniarki. Przebranie skompletował z taką samą dokładnością, z jaką robił wszystko inne. Starannie nałożył makijaż. Szminka, róż, kredka do oczu. Na szczęście ma tak ładną twarz, że nikt się nie domyśli, że nie jest kobietą. Matka zawsze powtarzała, że jest zbyt ładny, jak na chłopaka.

Szybko, szybko, popędził się. Czas ucieka. Na szczęście, idąc przez korytarz, nie wpadł na żadną z pielęgniarek. Kątem oka dostrzegł pracownicę restauracji, wytaczającą z windy pięciokołowy wózek ze śniadaniem. Zatrzymała wózek kilka kroków od dyżurki pielęgniarek, podeszła i zaczęła rozmawiać z oddziałową.

Podszedł do wózka, wziął z góry jedną tacę ze śniadaniem i pogwizdując z radości w myślach, skierował się do pokoju Genny. Rozpoznał stojącego przed drzwiami strażnika.

- Dzień dobry, sierżancie Willingham - powiedział wysokim altem. Tak dobrze potrafił naśladować głos matki, że zdarzało mu się przestraszyć, gdy słyszał siebie samego.

- Dzień dobry - odpowiedział policjant.

- Mogę podać Genny śniadanie?

- Jasne, proszę.

Minał głupiego funkcjonariusza, który nawet nie pofatygował się, żeby spytać, dlaczego Genny ma dostać śniadanie wcześniej niż inni i nie zauważył, że żaden pacjent nie dostał jeszcze swojej porcji. Pokój Genny znajdował się na końcu korytarza, więc powinna być obsłużona jako jedna z ostatnich.

Wszedł do sali z pochyloną głową. Musiał szybko przeprowadzić plan, żeby przypadkiem nie wpaść. Genny jest bardzo bystra i może się domyślić, kim jest naprawdę. Dlatego lepiej, żeby za bardzo mu się nie przyglądała, zanim ją uprowadzi. Przedstawi się jej później.

Spojrzał na łóżko. Puste. Nagle usłyszał szum wody w łazience. Postawił tacę na składanym stoliku i wyjął z kieszeni jedną z dwóch strzykawek. Zdjął z igły plastikową osłonkę i po cichu otworzył drzwi. Willingham stał tyłem.

Dzięki za współpracę.

Podkraść się do policjanta i przez spodnie wbił mu igłę w pośladek. Willingham jęknął i chwycił się za pupę, ale nie zdążył nawet obejrzeć się przez ramię, bo upadł na podłogę. Napastnik chwycił go za ramiona i wciągnął do pokoju Genny. Wsunął go pod łóżko tak, że prawie nie było go widać i w tej samej chwili z łazienki wyszła Genny.

- Witaj, kochaniutka - powiedział najśłodszym tonem, jakiego używała jego matka. - Śniadanie czeka.



Przystanąła tuż za progiem łazienki. Przyglądała mu się. Cholera, czyżby wyczuła podstęp? Czyżby rozpoznała jego głos, mimo że mówił nie swoim?

- Pomóc ci dojść do łóżka? - spytał i podszedł do niej szybko.

Uniosła rękę, gestem wskazując, żeby się zatrzymał. Przystanął, odwrócił się i podszedł do łóżka. Strzepnął poduszkę i poprawił kołdrę. Genny zawróciła przy łóżku i ruszyła w stronę drzwi. Złapał ją, kiedy chwyciła klamkę. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, ale zakrył jej twarz jedną ręką i zaciągnął do łóżka. Szarpała się, ale na szczęście była drobna i w dodatku jeszcze nie doszła do siebie po operacji. Rzucił ją na łóżko i jedną ręką wyciągnął z kieszeni drugą strzykawkę. Zębami zdjął plastikową osłonę, zabezpieczającą igłę. Oczy Genny otworzyły się szeroko ze strachu, kiedy zrozumiała, co stanie się za chwilę. Szarpnęła się i znów zaczęła się wyrwać, ale przytrzymał ją kolanem i wbił igłę w jej biodro. Po kilku sekundach straciła przytomność.

Drzwi na klatkę schodową znajdowały się na końcu korytarza, zaledwie dwa pokoje dalej. Musiał tylko owinąć ją w koc, przenieść niecałe pięć metrów i będzie już prawie po wszystkim. Były małe szanse, że ktoś go zobaczy. Niewielu ludzi chodzi po schodach, zwłaszcza o tak wczesnej porze. Samochód zostawił na parkingu dla pracowników, tuż przy wejściu. Poranna zmiana zaczęła pracę, a nocna poszła do domu, więc nikt nie powinien się tam kręcić. Kiedy już będzie bezpiecznie leżeć w jego samochodzie, wyjedzie z miasta boczną drogą.

Na złożenie ofiary wybrał doskonale miejsce. Miejsce godne księżniczki druidów czy szamanki Cherokee, których krew płynęła w żyłach Genny Madoc. Sama mu powiedziała.

Dallas przyjechał do szpitala dokładnie dwadzieścia po ósmej. Genny do tej pory pewnie zdążyła wziąć prysznic i

czekała na niego. Przez ostatnie pół godziny dręczyło go dziwne przeczucie. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że coś jest nie tak. Może mu się zdaje, bo całą noc nie spał. Z Jacobem i grupą zadaniową robili co mogli, żeby odnaleźć Esther Stowe. Martwą albo żywą.

Kiedy wysiadł z windy na pierwszym piętrze, od razu zorientował się, że personel jest rozgorączkowany. Nigdy nie widział tylu pracowników szpitala, biegających w tę i z powrotem po korytarzu. Kiedy podszedł do dyżurki, pielęgniarka natychmiast go rozpoznała.

- Och, agencie Sloan, dzięki Bogu, że pan się zjawił. - Nerwowo zacierała dłonie. - Dzwoniłam do szeryfa Butlera i już jedzie do szpitala.

Strach ścisnął Dallasa za gardło.

- Coś z Genny?

- Nie wiem, jak to się mogło stać. Nikt nic nie widział.

Dallas puścił się pędem do pokoju Genny. Przed drzwiami zauważył pracownika ochrony, rozmawiającego z kilkoma kobietami w białych fartuchach. Chciał ich minąć, żeby wejść do pokoju Genny, ale ochroniarz chwycił go za ramię.

- Sierżant Willingham jest nieprzytomny. Jedna z pielęgniarek znalazła go pod łóżkiem pani Madoc.

Dallas chwycił ochroniarza za koszulę i spojrzał mu ze złością prosto w oczy.

- Gdzie jest Genny?

- Nie wiemy. Zniknęła.

Dallas wypuścił funkcjonariusza, minął go i wpadł do pokoju Genny. Od razu rzuciła mu się w oczy leżąca na łóżku zużyta strzykawka. Niech to jasna cholera! Zabójca ma Genny!

Kiedy odzyskała przytomność, nie wiedziała, gdzie jest ani co się stało. Po chwili otworzyła oczy i nagle odzyskała

świadomość. Przebiegł ją zimny dreszcz. Było jej zimno. Potwornie zimno.

Rozejrzała się, żeby zobaczyć, gdzie jest. Była w jaskini. Ognisko płonące w ciemnym wnętrzu groty strzelało pomarańczowymi iskrami, ale było zbyt daleko, żeby mogło ją ogrzać. Chciała się ruszyć, ale zorientowała się, że ma związane nogi i ręce. Chciała otworzyć usta, ale nie mogła, bo były zakneblowane. Spojrzała na siebie i zobaczyła, że ma na sobie cienką koszulę szpitalną, a od pasa zawinięta jest w koc.

Rozejrzała się dookoła, ale nie dostrzegła śladu żadnej żywej istoty. Gdzie on jest? Czyżby ją tu przywiózł i zostawił? Jeżeli tak, wróci jutro przed świtem.

Musi skontaktować się z Dallasem. I co mu powiesz? - spytała siebie. Przecież nie wiesz, gdzie jesteś.

Przewróciła się, zsunęła z siebie koc i zaczęła turlać się po zimnej, wilgotnej ziemi w grotcie. Jak dziecko, które nie umie chodzić ani raczkować, doturlała się aż do wejścia jaskini. Spojrzała w górę na niebo i zorientowała się, że było już południe. Słońce znajdowało się wysoko na niebie. Leżąc na plecach, popatrzyła na okolicę. Drzewa, drzewa i jeszcze raz drzewa. Jest w samym środku lasu, pewnie w górach, bo na wzgórzach jest mnóstwo jaskiń. Na wschodzie, w oddali, zauważyła polanę. Myśl, Genny, myśl. Nic nie kojarzysz?

Miasteczko pełne było spanikowanych mieszkańców, filmowanych przez miejscowe i przyjezdne ekipy telewizyjne. W połowie przecznicy od gmachu sądu zgromadziły się posiłki policjantów z pobliskich miasteczek i z całego stanu. Jazzy usiłowała przedrzeć się przez tłum, stojący przy ulicy. Dowiedziała się nie tylko tego, że w dalszym ciągu nie odnaleziono Esther Stowe, ale również, że Genny Madoc została uprowadzona ze szpitalnego łóżka. Jeżeli Genny zaginęła, to

dlaczego Jacob jej nie powiadomił? Usiłowała się do niego dodzwonić, ale linia była zajęta, a w telefonie komórkowym cały czas odzywała się skrzynka głosowa.

Idąc ulicą, zauważyła, że wokół gmachu sądu zebrał się tłum. Wydawało jej się, że widzi Jamiego, ale kiedy spojrzała drugi raz, już go nie było.

Przedzierając się między ludźmi, na parkingu dostrzegła Bobby'ego Joe Harte'a, który pilnował wejścia do biura szeryfa. Podskoczyła parę razy, żeby wybić się ponad kłębiący się tłum i go zawołała. Zrobił jej przejście.

Zanim zdążyła dojść do celu, dziennikarz telewizyjny podsunął jej mikrofon pod nos.

- Jak pani na imię?

- Niech mi pan zejdzie z drogi - warknęła Jazzy.

- Dlaczego policjant każe panią przepuścić, a innych zatrzymuje? - spytał dziennikarz.

- Kim pan jest, do cholery i co pan robi w Cherokee Pointe? - syknęła.

- Whit Conners z WHRB z Chattanooga.

- Słuchaj, Whit, złaż mi z drogi i powiedz swojemu kamerzyście, żeby... - wskazała palcem tęgiego wielkoluda, który wycelował w nią kamerę - ...przestał mnie filmować, jeżeli nie chce, żebym rozbiła mu tę zabawkę.

- Jest pani świadkiem? - Whit nie miał zamiaru się poddać. - Widzowie z całego wschodniego Tennessee chcą wiedzieć, co się dzieje w waszym miasteczku. Wiemy, że ostatnio doszło do kilku brutalnych morderstw, a obecnie dwie kobiety uważa się za zaginione.

- To Jazzy Talbot! - krzyknął ktoś z tłumu. - Najlepsza przyjaciółka naszej wróżki. Tej, która dziś rano została porwana ze szpitala.

Jazzy udało się przedrzeć przez rząd dziennikarzy prasowych, stojących przed Bobbym Joe i wymknąć się Whitowi Connersowi.

- Co się dzieje?! - spytała Bobby'ego Jazzy, krzycząc, żeby mógł ją usłyszeć wśród ogólnej wrzawy.

- Wejź do środka i porozmawiaj z Jacobem - powiedział Bobby Joe. - Nie zdążyliśmy cię poinformować. Wszystko stało się nagle.

- Powiedz mi tylko jedno: czy Genny zaginęła? Została porwana ze szpitala?

Bobby Joe skinął głową.

Jazzy poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Zabójca porwał Genny. O Boże! O Boże!

## Rozdział 28

Gdzieś się wybierasz, ślicznotko?

Genny spojrzała w górę na stojącego nad nią przystojnego mężczyznę, który uśmiechał się odrażająco. Boleśnie ścisnęło ją w żołądku. Jacob i Dallas umieścili go na swojej liście podejrzanych, ale ona nie brała poważnie pod uwagę możliwości, że to on jest zabójcą. Wydawało jej się, że go zna, że jest jej przyjacielem, i naprawdę wierzyła, że ją kocha. Najwyraźniej wykorzystując swoje zdolności paranormalne, choć były ograniczone, zdołał zablokować negatywną aurę swojego umysłu i dlatego odebrała wszystko niewłaściwie. Z zasady starała się nie zaglądać w umysły innych ludzi bez ich przyzwolenia. Niestety, nie złamała zasad i nie zajrzała do wnętrza tego z pozoru łagodnego i dobrego mężczyzny.

Wyciągnął rękę i zerwał knebel z jej ust.

- Krzycz sobie do woli, tutaj nikt cię nie usłyszy.

- Dlaczego? - spytała. - Powiedz mi, dlaczego?

Trzymając ją za koszulę na karku, wciągnął ją po ziemi do jaskini. Drobne odłamki ostrych kamyków i gałęzie, które przywiał wiatr, drapały ją po plecach, pośladkach i nogach. Zaciśnęła zęby, żeby wytrzymać ból, bo postanowiła nie krzyczeć i nie pozwolić, by miał satysfakcję, słysząc jej płacz. Zaciągnął ją w pobliże ogniska i puścił.

- Genevieve Madoc, jesteś moim największym osiągnięciem. Po śmierci matki postanowiłem, że jej i całemu światu udowodnię, że nie jestem słabeuszem i chociaż nie mam wielkich zdolności paranormalnych, znajdę sposób, żeby osiąść największą moc wśród wszystkich ziemskich dusz. Przez lata starannie doбираłem ofiary, szukając tych, które miały wyjątkową moc.

- Ale nie wszystkie miały dar. Tylko te piąte. - Genny z trudem przełknęła ślinę.

- Bardzo słuszna uwaga. - Uśmiechnął się szerzej. Jego kryształowo niebieskie oczy promieniały od perwersyjnej rozkoszy. - Twój kochanek jest sprytny, ale nie na tyle, żeby mnie schwytać.

- Dallas cię znajdzie, nawet gdyby miał poświęcić na to resztę życia. Nigdy się od niego nie uwolnisz.

- Kiedy już osiądę twoją moc, żadne ludzkie prawo mnie nie dosięgnie. Nikt nie będzie mógł mnie tknąć.

- A jak masz zamiar osiąść moją moc? - spytała, doskonale wiedząc, że zamierza ją zabić i złożyć w ofierze, jak wszystkie inne kobiety do tej pory.

- Oczywiście muszę cię złożyć w ofierze. - Wyciągnął rękę i przesunął palcami po jej ciele, od szyi do brzucha.

- A kiedy już mnie ofiarujesz? - Skrzywiła się, nie mogąc znieść jego dotyku i obawiając się tego, co zrobi za chwilę.

- Matka nauczyła mnie, że moc człowieka znajduje się w jego sercu, a szczególne zdolności, jakimi obdarzeni są tylko niektórzy, mogą przejść na kogoś innego po zjedzeniu takiego serca.

Genny zamknęła oczy. Nie poddawaj się strachowi. Skup się na tym, żeby znaleźć sposób ucieczki i na tym, żeby telepatycznie połączyć się z Dallasem. Jeżeli wpadniesz w panikę i dopuścisz, żeby sparaliżowała cię potworna wizja tego, co on zamierza, to wygra, a ty stracisz życie.

- Opowiedz mi coś więcej o twojej matce. - Nie wiedziała, jakie dręczyły go demony, ale była pewna, że znalazły się w jego życiu za sprawą matki.

- Była czarownicą, która miała moc. - Uklęknął przy Genny. - Była prawdziwą kapłanką. - Roześmiał się ze złudną łagodnością. - Nie taką jak Esther Stowe, oszustka. Ta kretynka była zwykłą dziwką, która chciała uchodzić za kapłankę.

- Twoja matka była... - Kiedy z kieszeni spodni wyjął nóż, zeszytniała. - Twoja matka była dla ciebie bardzo ważna. Musiałeś ją strasznie kochać.

Chwycił ją za szpitalną koszulę przy szyi, opuścił nóż i rozciął materiał od dekoltu po sam dół. Genny wzdrygnęła się, bardziej pod wpływem odrazy i złego przeczucia niż z powodu zimowego chłodu.

- Czy ją kochałem? - Przechylił głowę na jedną stronę, jakby kogoś słuchał. - Tak, matko, chyba powinienem jej powiedzieć.

- Co powiedzieć?

- Bałem się jej. Odczuwałem lęk przed jej mocą. Sprawilem jej wielki zawód, bo pod względem mocy nie dorastałem jej do pięć. Myślała, że zostanie wielkim czarnoksiężnikiem, ale chociaż

mi się nie udało, miała ze mnie pożytek. Pomagałem jej przy składaniu ofiar i nauczyłem się od niej, jak ważna jest piąta ofiara. Zawsze składała w ofierze pięć zwierząt, najlepsze jako ostatnie. I czasem, kiedy byłem grzeczny, w nagrodę pozwalała mi zjeść kawałek serca piątego zwierzęcia.

- Ale twoja matka chyba nie zabijała ludzi? Nie robiła tego, co ty?

Pochylił się nad nią, aż jego twarz znalazła się tuż nad jej twarzą.

- Dlatego będę miał większą moc niż ona. Dostanie to, czego zawsze chciała. - Polizał jej twarz. - Kiedy umarła, złożyłem w ofierze czworo zwierząt, a potem wyciąłem jej serce i je zjadłem. Myślałem, że przejdzie na mnie jej moc, ale tak się nie stało. Zrozumiałem, że pierwsze cztery ofiary też muszą być z ludzi. Inaczej to nie działa.

Jest zupełnym psychopata!

*Dallas, słyszysz mnie? Proszę, usłysz mnie. Jestem w jaskini gdzieś w górach. Otwórz serce i słuchaj. Potrzebuję cię. Przyjedź do mnie. Znajdziesz mnie, idąc za moimi myślami.*

Przesunął opuszkami palców po jej piersiach. Starła się odciąć od dotyku jego rąk. Wykorzystując zdolność opuszczenia rzeczywistości, głębiej zanurzyła się w siebie.

*Dallas... Dallas... proszę, odpowiedz mi.* Usiłowała skupić się tylko na tym, żeby nawiązać kontakt z jedyną osobą, z którą łączyła ją najbardziej niezwykła więź. Byłby w stanie trafić do niej, idąc za jej myślami. Ale pod warunkiem, że w to uwierzy. I jeżeli jego miłość jest wystarczająco silna.

Kiedy ciepła, ohydna sperma oprawcy znalazła się w zagłębieniu między jej piersiami, odwróciła głowę i zwymiotowała.



Jacob i Dallas sprawdzali, gdzie są trzej główni podejrzani. Dillona Carsona zastali w domu z potężnym kaczem po całonocnej libacji. Jamie Upton leżał w łóżku, a babka i narzeczona skakały nad nim, jak nad niemowlęciem. Ale sklep z antykami, należący do Royce'a Pierponta był zamknięty. Bezskutecznie pukali do drzwi. Dallas bez najmniejszych oporów złamał prawo i włamał się do mieszkania Pierponta. Przeszukali z Jacobem każdy zakamarek, ale nie znaleźli nic, co mogłoby mieć związek z Genny.

- Czy jest tu piwnica? - spytał Dallas.

- Chyba tak. Prawie wszystkie budynki mają tutaj piwnice.

- Wiesz, jak się tam dostać?

- Nie bardzo. - Jacob pokręcił głową. - Ale przypuszczam, że wejście znajdziemy w którymś z pomieszczeń na zapleczu sklepu.

- Spróbujemy wejść tylnymi drzwiami. Lepiej, żeby nikt nie widział, jak się włamujemy. - Dallas zszedł po schodach. Kiedy postawił stopę na chodniku, stanął za nim Jacob.

- Nie masz oporów przed włamaniem, co? - spytał Jacob.

- Nigdy sztywno nie trzymałem się zasad - powiedział Dallas. - A dla Genny złamałbym każdy przepis, gdyby było trzeba.

- No to na co czekasz?

Wymienili pełne zrozumienia spojrzenia. Dallas puścił się pędem do następnej przecznicy i skręcił za róg w boczną uliczkę. Kiedy Jacob go dogonił, Dallas zdążył już otworzyć tylne drzwi do sklepu i wchodził do środka. Szczęśliwie, schody do piwnicy znajdowały się w magazynie wychodzącym na podwórze.

Dallas po omacku znalazł włącznik światła. W jednej chwili zapaliło się kilka silnych żarówek, które oświetliły schody i rozjaśniły ciemną, ponurą piwnicę. Kiedy stanął na dole

rozchwianych drewnianych schodów, wciągnął nosem powietrze.

- Ja też czuję, krew i... - Jacob zacisnął zęby.

- Zapach śmierci.

Jacob skinął głową.

Na autentycznym szezlongu, który posłużył za ołtarz, znaleźli Esther Stowe. Miała rozcięte ciało, jak pozostałe ofiary.

- To Pierpont - skwitował Dallas. - Ma Genny.

Zostawili wszystko tak, jak było i wrócili do ciężarówki Jacoba. Esther Stowe im nie ucieknie. Miejsca zbrodni nikt nie naruszy. Najważniejsze jest to, żeby uratować Genny. Wyjechali z miasta, włączając się do masowego poszukiwania, które przeniosło się z Cherokee Pointe do sąsiedniego okręgu.

Wiedzieli, kto jest zabójcą. Niestety, to nie pomoże im odnaleźć Genny. Mógł ją zabrać do każdego zakątka okręgu.

Dallas oparł głowę o skórzany zagłówek i zamknął oczy. Genny, gdzie jesteś?

Jacob odwrócił się do Dallasa z posępną miną.

- Znajdziemy ją. A wtedy dorwę Pierponta. Rozumiesz? Pierpont jest mój.

- Nie - odpowiedział Dallas z zamkniętymi oczami, słysząc dudnienie w skroniach. - Mój.

Jacob nie zaprotestował. Musiał pogodzić się z tym, że chociaż bardzo kochał Genny, odpowiedzialność za nią ponosił już ktoś inny. Teraz należała do Dallasa, a on do niej. On był jej obrońcą.

*Genny, odezwij się do mnie, połącz się ze mną. Pomóż mi cię odnaleźć.*

Umysł Dallasa uwolnił się i przeniósł w inny wymiar. W jego głowie pojawiły się tańczące, ciemne chmury. *Jestem, Dallas. Jestem.*

- Genny! - Dallas otworzył oczy, kiedy na głos krzyknął jej imię.

- Co się stało? - Jacob wcisnął hamulce.

- Nie wiem. Nic. - Dallas kilkakrotnie przełknął ślinę. -  
Chyba się ze mną połączyła.

- No to, na miłość boską, słuchaj jej uważnie.

Dallas znów zamknął oczy.

*Genny, słucham. Mów do mnie.*

*Przyjdź do mnie.* Usłyszał słowa, które nie zostały wypowiedziane, a jedynie poczuł je w sercu. *Jeżeli będziemy trzymać się razem i nie zerwiesz więzi, odnajdziesz mnie. Będziesz wiedział, gdzie jestem.*

*Możesz mi powiedzieć, dokąd cię zabrał?* - spytał Dallas.

*Wysoko w góry. W głęboki las.*

*Skrzywdził cię?*

Nie odpowiedziała i Dallas poczuł w żołądku piekący ból, który rozlał się po całym ciele. *Jeżeli ci coś zrobił, to...*

*Skup całą energią na tym, żeby utrzymać łączność, żebyś mógł mnie znaleźć. Nie marnuj siły na złość.*

Dallas spróbował usunąć z głowy wszystkie myśli, poza tą o Genny. Kiedy skupił się wyłącznie na niej, poczuł niewiarygodny przyływ mocy. I nagle wiedział.

- Jedź na północny wschód, w góry, na sam szczyt - polecił.

Jacob, nie zadając żadnych pytań, skierował się na północny wschód.

- Jeszcze tylko kilka godzin - powiedział Royce. -  
Przygotowałem ołtarz w jaskini. Góry są dla ciebie idealnym miejscem, Genevieve. Twoja krew spłynie na ziemię, którą tak bardzo kochasz.

Genny słyszała jednostajny głos Royce'a, ale nawet nie starała się wsłuchiwać w sens słów. W ciągu niekończących się godzin skupiała się tylko na Dallasie. Czas przestał istnieć. Czowała jedynie miłość Dallasa. Słyszała jedynie myśli Dallasa. Wiedziała tylko, że z każdym oddechem Dallas był coraz bliżej.

Nagle poczuła inne myśli, które chciały wtargnąć do jej głowy, inne umysły usiłujące się z nią połączyć. Walczyła z nimi, ale głosy stały się tak silne, że nie mogła ich ignorować. Podtrzymując więc z Dallasem, słuchała i odpowiadała.

*Tak, tak. Przyjdźcie do mnie. Pomóżcie mi. Przeprowadźcie do mnie Dallasa.*

Grupa poszukiwawcza przeczesywała górskie zbocze razem z Sally i jej dwoma psami gończyymi, które już całkiem wyzdrowiały. Wszyscy mieli nadzieję, że po zapachu odnajdą Genny. Dallas, cały czas połączony z Genny, wiedział, że była gdzieś niedaleko. Tylko gdzie? Przez kilka ostatnich godzin sygnały od niej stawały się coraz słabsze, jakby opadła z sił i zmagala się, żeby utrzymać łączność.

- Czy to najwyższy punkt w górach? - spytał Jacoba Dallas.

- Tak. - Nagle pod wpływem olśnienia jego oczy otworzyły się szeroko. - Nie! Najwyższym wzniesieniem jest szczyt Oocumma.

- Na wschód?

Jacob wskazał kierunek. Wschód.

- Prosto w górę, w chmury.

- Tam jest Genny - powiedział Dallas.

- Nie dochodzi tam droga. Musiałby zostawić samochód niżej i wnieść ją na górę.

- Widocznie tak zrobił. - Dallas chwycił Jacoba za ramiona.

- Mówię ci, że tam jest. Musisz mi pokazać drogę.

- Zwołaj resztę. Niech idą za nami.

- Czas wyjść z jaskini - oznajmił Royce. - Zaraz zacznie świtać. Nie chcę czekać do ostatniej chwili, bo mógłbym z czymś nie zdążyć. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Jakaś pociecha niech będzie dla ciebie to, że pozostaną po tobie wielkie zdolności paranormalne. Kiedy umrzesz, twoja moc przejdzie na mnie.

- Mylisz się - odpowiedziała Genny. - Nigdy nie posiadziesz mojej mocy. Słyszysz mnie, Royce? Jeżeli umrę, moje dary umrą wraz ze mną. Moje zdolności są dziedziczne. Nie można ich na nikogo przenieść.

Podniósł ją z ziemi i wyniósł z grotu. Wrywała się i wiała resztką sił, starając się utrudnić mu zadanie. Przystanął, postawił ją i chwycił za kark.

- Czemu się nie boisz? - spytał. - Przecież umrzesz i nikt cię nie uratuje.

Genny wyczuwała ich bliską obecność. Szły do niej, całymi tuzinami, wskazując Dallasowi drogę.

- To ty umrzesz - powiedziała Genny nad wyraz spokojnie. Znów chciał ją wziąć na rękę, ale uklękła.

*Chodź do mnie. Jesteś blisko. Bardzo blisko.*

- Przestań się stawiać, bo zaciągnę cię do ołtarza na siłę. - Royce spojrział na nią ze złością.

Genny rozważała swoje możliwości. Royce podniósł ją i przerzucił przez ramię. Była cicho, cały czas wzywając wybawicieli.

Dallas i Jacob wzięli z ciężarówki dwie strzelby i przewiesili je przez ramię. Dallas ruszył za Jacobem krętą ścieżką, wiodącą na szczyt Oocumma. Sally spuściła Petera i Paula, gdy tylko

przeszli górskie źródło zasilające rwący strumyk, który przecinał ich ścieżkę.

- Nie dam rady wejść na szczyt - powiedziała Sally, wypływając tytoniową miazgę. - Zaczekam tutaj i wskażę drogę pozostałym. - Nagle Sally spojrzała w górę na rozgwieżdżone niebo. - Co u licha?

- Co się stało? - Jacob podążył za wzrokiem Sally. - A niech mnie!

Dallas zadarł głowę. Na niebie pojawiły się dziesiątki sów.

Po wzgórzach poniosło się żalosne wycie wilka, do którego dołączyło kilka innych, tworząc zwierzęcy chór. Trzepotowi skrzydlatych stworzeń zawtórował odgłos kopyt. Cały las obudził się do życia. Jakby przyzywane do jednego miejsca, jelenie i losie połączyły się z rysiami, pumami, kojotami i płowymi wilkami.

- To Genny - powiedział Dallas z taką pewnością, jakiej nie miał nigdy w życiu.

- Tak, to Genny. - Jacob poklepał Dallasa po plecach. - Idźmy za nimi. Zaprowadzą nas prosto do niej.

Royce skonstruował surowy ołtarz z kamieni, który nakrył białym prześcieradłem. Umieścił na nim Genny i położył jej związane ręce nad głową, żeby jej piersi się uniosły. Spojrzał w niebo, uklęknął i podniósł drewniany futerał, stojący przy ołtarzu.

Zimne powietrze przeszło Genny. Była tak przemarznięta, że prawie nic nie czuła. Wiatr smagał jej nagie ciało, a ona leżąc nad ziemią, modliła się.

Czuła, że jej modlitwa opuszcza ziemski wymiar i przedostaje się do świata ducha. Zaufała całkowicie mocy opatrności. Otoczyła ją miłość. Namiętna miłość Dallasa. Braterska miłość Jacoba. Siostrzana miłość Jazzy. Miłość

wszystkich dobrych ludzi, którzy ją znali. I czysta, pełna oddania miłość bożych stworzeń.

Do wycia wilków dołączył skowyt psów. Genny nie przestawała się modlić, wysyłając w świat pozytywną energię.

Royce wyjął miecz z aksamitnego futerału i zamachnął się nad głową Genny.

- Niedługo, moja owieczko, niedługo - wyszeptał jej do ucha.

- Tak, niedługo.

Wysunął miecz w jej stronę, tak, że niemal jej dotykał, i przesunął ostrzem po wybranej ścieżce.

- Dlaczego nie krzyczysz, Genny? One zawsze krzyczą. Ty też będziesz krzyczeć.

- Raczej ty - odpowiedziała.

Genny spojrzała na wschód. Znad ciemnego horyzontu wylaniał się blad różowy cień.

- Kiedy słońce dotknie tego miecza, wszystko, o czym marzyłem, będzie moje - oznajmił triumfalnie Royce.

- Rozejrzyj się - poradziła Genny. - Zobacz, co się czeka.

- O czym ty mówisz... - Royce zmrużył oczy, starając się rozpoznać otaczające ich cienie. - Co się dzieje? Kim są ci...

Wraz z nadchodzącym świtem niebo stawało się coraz jaśniejsze. Royce wpatrywał się w gromadę zwierząt, które otoczyły ołtarz, zaledwie kilka metrów od nich. Zgraja wilków utworzyła krąg. Był z nimi Drudwyn Genny i psy Sally. W oddali stało co najmniej dziesięć jeleni, które patrzyły i czekały. W kierunku ołtarza ze wschodu, zachodu, północy i południa nadciągały olbrzymie wilki. Okoliczne drzewa obsiadły sowy i inne ptaki.

- Co się dzieje? - spytał Royce, głosem drżącym ze strachu.

- Nie wiesz?

Pokręcił głową.

- Nie domyślasz się? - drażniła go Genny. - Przywołałam Drudwyna, a on ściągnął górskie drapieżniki i leśne stworzenia, żeby mnie ocalić.

Royce uniósł miecz ku niebu. W metalowym ostrzu odbiły się pierwsze słabe promienie słońca.

- Zginiesz. Twoja moc będzie należeć do mnie! - krzyknął Royce. - A wtedy zapanuję nad tymi bestiami.

Zamachnął się, ale nie zdążył opuścić miecza, bo rozległ się strzał. Nabój ze strzelby Dallasa minął gromadę zwierząt i trafił w cel - w Royce'a Pierponta. Zawył z bólu i padł na ziemię.

Dallas i Jacob podbiegli do ołtarza. Do oczu Genny napłynęły łzy wdzięczności. Szybko, z wściekłością rozwiążali ręce i nogi Genny. Dallas posadził ją, zdjął płaszcz i ją okrył.

- Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz - powiedziała Genny ledwie słyszalnym głosem.

- Lepiej nic nie mów, kochanie - poprosił Dallas. - Natychmiast musimy zawieźć cię do szpitala.

- Nic mi nie będzie. Nie martw się. - Spojrzała na ziemię, tam, gdzie upadł Royce, ale już go nie było. - Gdzie... - Serce zamarło w niej na chwilę, kiedy zobaczyła, że dwa wilki pod wodzą Drudwyna ciągną ciało Royce'a za ręce.

- Nie mam zamiaru strzelać do wilków po to, żeby odzyskać ciało tego potwora - oznajmił Jacob.

- Niech go pożrą. - Dallas objął mocno Genny i zaczął schodzić z polany na wzgórzu Oocumma.

Wilki dopilnowały, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Leśne zwierzęta rozeszły się i zniknęły w gąszczu, a sowy i inne ptaki odleciały, opuszczając poranne niebo.

## Epilog



Wiosna w górach była tuż, tuż. Po zimowym bezruchu świat zaczynał powoli budzić się do życia. Przez zimną, twardą ziemię zaczęły przebijać się małe, kolorowe główki krokusów, ogłaszając doroczne odrodzenie się Matki Ziemi. Genevieve Madoc zdrowiała z każdym dniem. Fizycznie. Psychiczenie. Uczuciowo. I co najważniejsze - zdrowiała duchowo. Miłość i oddanie Dallasa dawały jej siłę, której potrzebowała nie tylko do tego, żeby przeżyć, ale żeby odżyć.

To, co zostało z ciała Royce'a Pierponta, kiedy skończyły z nim zwierzęta, przekazano gdzie trzeba i ponoć pochowano po chrześcijańsku. Jazzy, mimo wszystko, miała nadzieję, że jego szczątki zostały wrzucone do rzeki i stały się pokarmem dla ryb.

Cherokee Pointe i cały okręg powróciły do normalnego życia. Za kilka tygodni miał rozpocząć się sezon turystyczny i liczba mieszkańców małej miejscowości miała się potroić. Jazzy już słyszała dźwięk otwieranej bez przerwy kasy. Uśmiechnęła się do siebie.

- Wszystko gotowe - oznajmiła Tiffany.

Jazzy westchnęła przestraszona.

- Przepraszam. - Tiffany się roześmiała. - Jesteśmy gotowi.

Kiedy się ich spodziewasz?

- W każdej chwili.

- Chcesz szybko spojrzeć?

- Tak, chciałabym...

Drzwi wejściowe do Jasmine's otworzyły się z impetem i Dallas wprowadził do środka Genny. Jazzy wyszła im na powitanie.

- Wyglądasz prześlicznie. - Jazzy ujęła dłonie przyjaciółki i zmierzyła ją od stóp do głów.

Genny miała na sobie czarną satynową sukienkę o prostym kroju, a na niej ręcznie haftowany czarny, kaszmirowy sweterek.

- A ja? - spytał prowokująco Dallas.

Jazzy zerknęła na niego przelotnie. Był ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i gładki czerwony krawat.

- Ty też wyglądasz wspaniale.

Jazzy uniosła lewą dłoń Genny.

- Pokaż.

- Co? - Genny się uśmiechnęła.

- Przecież połowa miasteczka wiedziała, że Dallas da ci dziś pierścionelek.

- Wszyscy oprócz mnie.

Jazzy obejrzała pierścionelek z diamentem na serdecznym palcu lewej ręki Genny.

- Niezły kamień. - Spojrzała na Dallasa. - Sporo musiałeś na niego wydać. - Puściła do niego oko. - Jesteś pewien, że możesz sobie na to pozwolić, skoro nie masz pracy?

- Mam duże oszczędności - odpowiedział Dallas. - Rozsądne inwestycje i mądre planowanie wydatków.

- Dobrze wiedzieć. - Gestem dłoni zaprosiła parę do pustej restauracji.

- Wydajesz dziś w Jasmine's prywatne przyjęcie?

- Tak.

- Och, Jazzy, ty...

- Co za idealne rozpoczęcie. - Zagwizdała przeciągle i głośno.

Z kuchni wyłonił się tłum ludzi, z Jacobem na czele. Za nim pojawiły się Sally i Ludie z Wallace'em. Restaurację zapełnili przyjaciele i znajomi Genny, którzy kolejno składali szczęśliwej parze najlepsze życzenia. Wreszcie tłum się rozstał, żeby zrobić miejsce rodzinie Dallasa. Szeroko otworzył oczy ze

zdziwienia, kiedy zobaczył, że podchodzą do niego siostry, Savannah i Alexandria. Wyciągnął ramiona i przytulił je. Za nimi tłoczyli się szwagier, siostrzeniec i siostrzenica. Kiedy uściskał i ucałował siostry, szwagier podał mu rękę i poklepał go po plecach. Siostrzeniec Mark uścisnął mu dłoń, naśladując ojca. Dziesięcioletnia Amy po prostu spadła mu w objęcia i pocałowała go w policzek.

- To zaręczynowe przyjęcie niespodzianka - powiedziała Jazzy. - Gdybyście się jeszcze nie domyślili.

- Wiedziałaś o tym? - spytała Dallasa Genny. Uśmiechnął się potulnie. Genny go szturchnęła.

- Przysięgam, że nie miałem pojęcia. - Dallas pacnął ją palcem w nos. - Ale dlaczego ty na to nie wpadłaś, moja mała wróżko?

- Bo przez kogoś tak byłam zajęta cielesnymi sprawami, że nie miałam czasu pomyśleć, nie mówiąc już o wykorzystywaniu daru widzenia.

Kiedy Dallas przedstawił Genny swojej rodzinie, Tiffany wniosła srebrną tacę z szampanem. Jazzy wzięła dwa kieliszki i podała szczęśliwym narzeczonemu.

Z gabinetu Jazzy na korytarz wyszła skrzypaczka, grając romantyczną melodię.

- Czy życie nie jest piękne? - Jazzy przytuliła Genny. - Jak nikt zasługujesz na szczęście.

- Ty też się doczekasz. - Genny mocno uściskała przyjaciółkę. - Obiecuję.

Jazzy się odsunęła.

- Są też prezenty. Mnóstwo prezentów. Ale nie myślcie, że to zamiast wesela. Już zresztą zaplanowałam wieczór panieński.

- Chodź, *a qua da li i*. - Dallas objął Genny w talii. - Zajmiemy się gośćmi. Skoro mam przejąć posadę Roddy'ego Watsona, powinienem lepiej poznać moich wyborców.

- Chyba trochę za wcześnie nazywasz mnie żoną, bo pobieramy się dopiero w czerwcu. - Nagle dotarło do niej, co powiedział o posadzie komendanta policji. Westchnęła. - Dallas, dlaczego mi nie powiedziałeś... Kiedy...

- Miałem dziś telefon, kiedy spałaś. Chciałem powiedzieć ci przy kolacji.

- Gratulacje, komendancie Sloan! - Jazzy położyła dłoń na plecach Dallasa.

- O co chodzi? - spytał Jacob, dołączając do trójki przyjaciół.

- Wyobraź sobie, że Dallas dostał posadę Roddy'ego Watsona - wyjaśniła Jazzy.

- Na razie zachowajcie to dla siebie - poprosił Dallas. - Dziś świętujemy to, że Genny przyjęła oświadczyzny i uczyniła ze mnie najszczęśliwszego faceta pod słońcem.

- Co to się dzieje z ludźmi - zażartował Jacob.

- Poczekaj tylko - powiedział Dallas. - Na ciebie też przyjdzie pora. Któregoś dnia pojawi się małe, seksowne stworzenie i zupełnie stracisz głowę. Połapiesz się dopiero, jak na kolanach będziesz ją błagał, żeby wyrwała cię z niedoli.

- Nigdy w życiu - zapewnił Jacob.

Jazzy podeszła do Jacoba i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Skoro w czerwcu będziemy świadkami, dziś pierwsi powinniśmy wznieść toast.

- Ja jestem mało romantyczny - mruknął Jacob.

- Mógłbyś spróbować, dla Genny. - Jazzy pociągnęła go za rękę, a on pozwolił poprowadzić się do baru.

- O romantyzm niech dba Dallas.

- Jacobie Butlerze, jesteś przypadkiem beznadziejnym. Biedna ta, która na ciebie trafi.

- Jazzy Talbot, za to facet, którego usidlisz, stanie się największym i najbardziej żalonym pantoflarzem na ziemi.

- Skoro tak dobrze znamy swoje wady, może powinniśmy się pobrać? Romansowanie mielibyśmy z głowy.

Jacob zachichotał.

- Przecież spotykaliśmy się i doszliśmy do wniosku, że nie ma między nami chemii.

- Może lepiej nam bez chemii? Mniej komplikacji.

- Mniej komplikacji, ale nie warto się wysilać.

Jacob i Jazzy wzięli z baru kieliszki i wznieśli toast za narzeczonych. Jazzy zastukała długimi paznokciami w szkło, żeby zwrócić uwagę gości. Panowała jednak taka wrzawa, że nikt jej nie usłyszał.

Wskoczyła na bar.

- Posłuchajcie! - krzyknęła.

Cała sala zamilkła, a Jazzy się uśmiechnęła. Uniosła kieliszek z szampanem.

- Za Genny i Dallasa. - Spojrzała na nich i się rozpromieniła. - Bądźcie zawsze tak zakochani jak w tej chwili.

Goście wznieśli toast. Jazzy skinęła na Jacoba. Odkaszlnął i uniósł kieliszek.

- Twoje zdrowie, Dallas. Powiem krótko: lepiej, że trafiło na ciebie niż na mnie.

Wszyscy się roześmieli.

Dallas wziął Genny w ramiona i pocałował ją w obecności rodziny, przyjaciół i Boga. Próba generalna przed weselem.

Jazzy nikomu w życiu nie zazdrościła bardziej niż im.